

Ślepa

BEN ELTON

wiara



# Ślepa

BEN ELTON

# wiara

Z angielskiego przełożył  
JACEK MANICKI



Tytuł oryginału:  
BLIND FAITH

Copyright © Ben Elton 2007  
All rights reserved

Published by arrangement with Transworld Publishers,  
a division of Random House Group Ltd.

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2009

Polish translation copyright © Jacek Manicki 2009

Redakcja: Beata Słama

Ilustracja na okładce: Getty Images/Flash Press Media

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7359-871-3  
(oprawa twarda)

ISBN 978-83-7359-870-6  
(oprawa miękka)

*Dystrybucja*

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk  
Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.  
t.f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009  
[www.olesieluk.pl](http://www.olesieluk.pl)

*Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe*

[www.empik.com](http://www.empik.com)  
[www.merlin.pl](http://www.merlin.pl)  
[www.ksiazki.wp.pl](http://www.ksiazki.wp.pl)

WYDAWNICTWO ALBATROS  
ANDRZEJ KURYŁOWICZ  
Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

2009. Wydanie I  
Druk: Łódzkie Zakłady Graficzne, Łódź

*Żonie i dzieciom*

# 1

Trafford pożegnał się z żoną, cmoknął w czołko dzidzię, która im się niedawno urodziła, i przystąpił do otwierania baterii blokad, rygli i zasuwek zabezpieczających drzwi frontowe.

– Ja tobie też dobrego dnia życzę, Traffordzie – doleciał go głos Barbielli.

– No przecież, naturalnie, jak mogłem zapomnieć! Dzień dobry, Barbiello – wydukał Trafford zmieszany. – Serdeczne dzień dobry, to znaczy, do widzenia... znaczy się... no, znaczy, nie chcę się spóźnić, rozumiesz...

– Rozumiem i dłużej cię nie zatrzymuję, Traffordzie.

– No coś ty, wcale mnie nie zatrzymujesz.

– Dołóż starań, aby ten dzień upłynął ci bezproblemowo i jak najowocniej.

– Dziękuję. Bardzo ci dziękuję. Dołożę.

Żona spojrzała na niego z wyrzutem. Trafford wiedział, że Chantorria podejrzewa go, iż rozmyślnie nie wita się z Barbiellą, że to z jego strony swego rodzaju bunt i próba podkreślenia swojej niezależności. No i się nie myli.

– Czasami nawet mnie zapomina powiedzieć dzień dobry – zaszczębiotała Chantorria i pomachała do Barbielli patrzącej na nich ze ściennego ekranu.

Zwyczajnie się podlizywała. Trafford wiedział, że Chantor-

ria nie cierpi Barbielli tak samo jak on, jeśli nie bardziej. Ale rozsądniej i bezpieczniej było z tą babą nie zadzierać. Przynajmniej jeden członek rodziny ma tyle oleju w głowie, żeby o tym pamiętać.

Barbiellą wyciągnęła rękę z wielkiej torby pełnej serowych przysmaków, którymi raczyła się na śniadanie, i też pomachała. Od dawna pełniła funkcję moderatorki blokowego czat-roomu, a od kiedy roztyła się tak bardzo, że nie była już w stanie opuścić swojego mieszkania, prawie nie schodziła z posterunku. Nieustanna obecność Barbielli w każdym lokalu czyniła z niej dodatkowego i nie zawsze pożądanego członka wszystkich rodzin w kamienicy, a Trafforda na sam jej widok szlag trafiał.

– Pędź, pędź, Traffordzie! Leć! – zawołała Barbiellą z afektowaną wesołością. – Nowy dzionek nam nastał, niech żyje Miłość!

Trafford wyszedł z mieszkania i zaczął schodzić po zaśmieconych, upstrzonych szcurzymi odchodami schodach. Winda działała, ale Trafford nigdy z niej nie korzystał. Twierdził, że schodzi na piechotę dla sportu, ale tak naprawdę robił to, żeby choć na parę chwil uwolnić się od wszędobylskich ekranów inforozrywkowych. Naturalnie nigdy nikomu się do tego nie przyzna – uznano by go za niebezpiecznego dziwaka. No bo jak można czuć awersję do oglądania wiadomości i programów rozrywkowych podczas nudnej jazdy windą?

Znalazłszy się na ulicy, Trafford skręcił w stronę stacji metra. Szedł, omijając skrupulatnie płachty celofanu, brudne różowe wstążeczki, gnijące kwiaty, małe fotografie, karteczki z wypisanymi odręcznie epitafiami, pocztówki o złożonych brzegach:

*Odszedł w Panu.*

*Jeszcze jedna gwiazdka w zodiaku.*

*Nowe uderzenie serca w niebiesiech.*

Boże, miej w swojej opiece tego, kto nadepnąłby niechcący na któryś z tych obślinionych pocałunkami świstków albo na zeschnięty kwiatek. Trafford widział mężczyzn pobitych do nieprzytomności za łżejsze przewinienia. Nic nie uszło uwagi lamentujących kobiet, które wyległy tego ciepłego poranka na ulice, by opłakiwać swoich zmarłych i śpiewać żałobne pieśni.

*Zawsze będę cię kochała.*

*Serce musi bić dalej.*

Jeden fałszywy krok, jeden nadepnięty niechcący płatek, i ta rozszlochana, pogrążona w nieutulonym smutku zgraja bez wątpienia uzna, że została obrażona. A na obrazę te zasmarkane płaczki były bardzo wyczulone. Nawet jej domniemanie mogło sprawić, że wynoszona na ulice żałoba przekształci się w uliczne zamieszki. Lont był krótki, drewno suche, niewiele brakowało, jednej iskry, żeby mieszkańcy okolicznych czynszówek wybiegli na ulice i powstrzymywani przez niekwapiącą się zbytnio do interweniowania policję ruszyli hurmem wymierzać Ludową Sprawiedliwość. Wiele z ofiar tego słusznego pospolitego ruszenia nie dowiedziałyby się nigdy, co je właściwie wywołało, tak samo wielu z tych, którzy przyłączyliby się do rozjuszonego tłumu, mogłoby się tylko domyślać, w co ta wściekłość jest wymierzona. Na pewno chodziło o jakieś dzieci, bo jak nie wiadomo, o co chodzi, to znaczy, że chodzi o dzieci. A przynajmniej o te, które umarły.

A umierało ich ostatnio mnóstwo.

Śmierć wyzierała teraz zewsząd: z brzęczenia owadzych skrzydełek, z plusku skażonej wody, z poszeptu wiatru. Czyhała na wszystkich, i młodych, i starych, ale to młodych najbardziej sobie upodobała i ich głównie kosiła.

*Libra Divine: Niebo zyskało nową supergwiazdę.*

*Tyson Armani: Po prostu najwspanialszy.*

*Malibu: Świeca na wietrze.*

Tyle umarłych dzieci. Miliony. Istny pomór. Ani skrawka

chodnika bez poświęconej któremuś kapliczki. Ani jednej prywatnej strony internetowej bez katalogu buź dzieci, które tak krótko patrzyły na ten świat, za to żyją teraz w rajcu cyberprzestrzeni.

*Moja siostrzyczka.*

*Mój maciupci kuzynek.*

*Mój chłopaczek. Moja dziewczuszka.*

Wszystkie bezpieczne teraz w ramionach Jezusa. I Diana też. Duch miłości i Pan. Nie żyją, ale może to i dobrze. Dzięki Bogu, nie dobierze się już do nich żaden pedofil.

*Sagiquarius: Nietknięta. Na zawsze niepokalana.*

Śmiertelność wśród dzieci odciskała się piętnem płonącego krzyża na duszy narodu, była bezsprzecznie karą za grzechy niewiernych przodków. Żadne dziecko nie było bezpieczne: szalejące epidemie doświadczały tak biednych, jak i bogatych. W wielkim planie Boga nie liczyły się ani stopień zamożności, ani pozycja społeczna, chociaż w uboższych, gęściej zaludnionych dzielnicach epidemie zbierały siłą rzeczy obfitsze żniwo. Guzy i wrzody, czyraki i krosty, łamanie w kościach, łzawienie i infekcje dróg oddechowych, temu wszystkiemu musiało stawiać czoło niemowlę, zanim jeszcze rozpoczęło naukę chodzenia. Matka, która wydała na świat sześcioro dzieci mogła mieć jedynie nadzieję, że do McDonalda na piąte urodziny któregoś z nich zaprowadzi chociaż trójkę. Że tylko dla połowy przychówku nie będą tam musieli przygotowywać okolicznościowych paczek.

Chantorria urodziła niedawno ich pierwsze dziecko, córeczkę. Radość nieopisana, ale i początek czasu nerwów i niepewności. Jak wszyscy świeżo upieczeni rodzice Trafford i jego żona już od wielu tygodni, od dnia porodu, nasłuchiwali, czy nie pojawia się charakterystyczny kaszel, wypatrywali wysypki i bez przerwy sprawdzali, czy maleństwo prawidłowo reaguje na dźwięk i światło.



Dzisiaj jednak Trafford, chcąc nie chcąc, musiał udać się do pracy, na ten właśnie dzień przypadał mu bowiem wymóg fiz-ności. Fiz-ność – potoczny skrót od terminu „FIZyczna ObecNOŚĆ” – zapisana w indywidualnie skrojonej dla Trafforda umowie o pracę nakładała na niego obowiązek stawienia się tego dnia osobiście w realnym miejscu pracy. Realnym w odróżnieniu od wirtualnego, w którym pracował na co dzień, które istniało tylko online, i w którym mógł robić, co do niego należy, nawet nie wstając z łóżka.

Obowiązek fiz-ności wprowadzono specjalną ustawą. Prawo nakazywało każdemu zatrudnionemu spędzanie co najmniej dwudziestu pięciu procent czasu pracy w towarzystwie realnych, fizycznych kolegów i koleżanek w realnej fizycznej przestrzeni. W bliżej nieokreślonej przyszłości zamierzano podobno zwiększyć te proporcje do pięćdziesięciu procent i odpowiednio usprawnić system transportu miejskiego, by podolał dodatkowym szczytom komunikacyjnym, ale Trafford wątpił, by do czegoś takiego doszło jeszcze za jego życia. Wszelkie podobne plany sprowadzały się jak dotąd do rozpaczliwych doraźnych usiłowań zapobieżenia całkowitemu zakorkowaniu miasta.

Fiz-ności były stosunkowo nowym pomysłem. Dwadzieścia przesilen wcześniej, kiedy Trafford zaczynał karierę zawodową, w ogóle nie było wymogu pojawiania się na realnym stanowisku pracy. Mało kto to robił, wyjątek stanowiły osoby zatrudnione w branży restauracyjnej i erotycznej. Były to czasy, kiedy nikomu do głowy nawet nie przychodziło, żeby podważać zalety egzystencji w wirtualnym świecie. Zbawienny wpływ, jaki na zdrowie społeczeństwa ma trzymanie ludzi z dala od siebie, zdawał się być „oczywistą oczywistością” i zakładano powszechnie, że nastanie taki dzień, gdy przedstawiciele wszystkich zawodów będą pracowali w domu. Jednak narastające przejawy rozpadu więzi społecznych kazały za-

równy Świątyni, jak i władzom świeckim pochylić się nad ludzką potrzebą bezpośredniego kontaktu. Urzędnicy państwowi i pasterze dusz doszli do wspólnego wniosku, że ludziom mającym do czynienia tylko i wyłącznie z rzeczywistością wirtualną konfrontacja z realem nastęrcza poważne emocjonalne problemy. Są niezdolni do integrowania się z innymi członkami społeczeństwa, zamknięci w sobie, milkliwi, a zdarza się również, że sięgają po broń palną, i nie tylko, kładą trupem, kogo popadnie, a potem strzelają sobie w łeb.

Stało się również „oczywistą oczywistością”, że ci, którzy otoczeni pudełkami po pizzy ślęczą dzień w dzień samotnie w swoich ciasnych mieszkankach przed ekranem komputera, nie mają większych, ba, najmniejszych szans na znalezienie sobie partnera seksualnego. Stało się to tematem ożywionej dyskusji w łonie Świątyni. Wniosek mógł być tylko jeden: skoro jedno na dwoje nowo narodzonych dzieci umiera w wieku niemowlęcym, to pierwszym i najważniejszym obowiązkiem duchowym ludzkości jest wzmoczona rozrodczość, a żeby stało się to możliwe, potrzebni są partnerzy seksualni. I tak Rada Najwyższa Świątyni zobligowała władze do umożliwienia ludziom częstszych kontaktów osobistych. W ten to sposób fiz-ności stały się narzuconą odgórnie powinnością każdego zatrudnionego.

Nie ma teraz niczego ważniejszego niż płodzenie dzieci i wychowywanie ich tak, żeby nie stały się z wiekiem dewiantami o morderczych instynktach, konstatował Trafford, lawirując w ten upalny, smrodliwy poranek spod znaku Strzelca między kipiącymi od emocji odpryskami trwale okaleczonego społeczeństwa.

## 2

Trafford był kimś w rodzaju urzędnika państwowego. Podobnie zresztą jak większość tych, którzy nie pracowali w cateringu ani w usługach. Rząd był jak dotąd największym pracodawcą w kraju. Prawdę powiedziawszy, od kiedy wszystko to, co ludzie konsumowali albo czego używali, brało się nie wiadomo skąd, rola rządu sprowadzała się głównie do wynajdywania ludziom bardziej lub mniej sensownych zajęć.

Trafford pracował w KrajBanDanie – Krajowym Banku Danych – który zajmował się gromadzeniem i przechowywaniem informacji na temat populacji. Historycznie rzecz biorąc, KrajBanDan był kiedyś przybudówką Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, ale już dawno rozrósł się tak, że role się odwróciły i teraz to Ministerstwo Spraw Wewnętrznych było jego przybudówką. W KrajBanDanie odnotowywano każdy najdrobniejszy, nadający się do odnotowania szczegół dotyczący każdego mieszkańca kraju. Każdą operację finansową, każde pojawienie się przed kamerami CCTV, każde kliknięcie myszką komputera, każde mrugnięcie powieką, każdą wizytę z dziurawym zębem u dentysty wylapywano i wprowadzano do pamięci głównego komputera, a następnie zapisywano w zaszyfrowanej postaci na wąskich czarnych paskach magnetycznych na rewersie karty członkowskiej Świątyni, którą posiadał każdy.

Nie miało to bynajmniej nic wspólnego z tak zwaną powszechną inwigilacją ani ze złowróżbnymi praktykami wszystkowiedzącego państwa policyjnego. Policja miała zresztą własny bank danych, za pomocą którego starała się zwalczać terroryzm, a terroryzm jak kwitł, tak kwitł. Już dawno stało się jasne, że obojętne, ile informacji zebrano by o ludziach, ci nadal są w stanie wysadzać się w powietrze w miejscach publicznych, jeśli im na tym bardzo zależy. Prawdę mówiąc, przytłaczająca większość populacji (w tym najbardziej potencjalni terroryści oraz kandydaci na pospolitych morderców) i tak publikowała najdrobniejsze szczegóły ze swojego życia osobistego na swoich stronach Masz Twarz w nadziei, że ktoś to przeczyta. W świecie, w którym dążenie do zachowania prywatności uznawane było za perwersję i przejaw odchodzenia od wiary, powszechna, sponsorowana przez rząd inwigilacja nie miała większego sensu.

A mimo to KrajBanDan nadal się rozrastał, zatrudniając coraz więcej i więcej osób, by gromadzić i przechowywać coraz więcej i więcej informacji. Z tego, co Traffordowi było wiadomo, do informacji, które on do tej pory zebrał, nikt jeszcze nie zajrzał, nikt nie zwracał się jeszcze do niego o udostępnienie ich komukolwiek. Przetwarzał je więc tylko, tak jak miliony jemu podobnych pracowników, przelewając z maszyny na maszynę niczym ogromne falujące morze. Po nocach śniło mu się niekiedy informacyjne tsunami, moment, w którym wszystkie elektroniczne operacje na tych kwantylionach bitów wzbierają raptownie jedną ogromną, niepowstrzymaną falą, która zatapia ludzkość w jej wirtualnej wersji.

Chociaż wizja była bardzo wyrazista, a opowiadanie, co się komu śniło, stanowiło nieodłączny element zarówno spotkań towarzyskich, jak i nabożeństw, Trafford tego powtarzającego się snu nikomu dotąd nie opowiedział. Proszony o opowiedzenie jakiegoś snu na zbiorowej spowiedzi albo przy kawce w

dni fiz-ności zawsze zmyślał. Klecił na poczekaniu jakieś niestworzone historie z fragmentów zasłyszanych gdzieś tam kiedyś snów innych ludzi – a to tego o przestraszonym króliku, a to o uczuciu spadania, a to o niezachwianej pewności, że „wszystko będzie dobrze”, i wychodziła mu przeważnie nawet zborna opowieść, której nikt nie mógł niczego zarzucić.

Nikt go nigdy nie przyłapał na bladze. Większość słuchaczy nie mogła się doczekać, kiedy dorwie się do mikrofonu. Trafford nie zachowywał swoich snów dla siebie dlatego, że dostrzegał w nich jakieś ukryte, nieprawomyślne znaczenie. Uważał po prostu, że skoro są rojeniami bez ładu i składu dla niego, to innym tym bardziej się takimi wydadzą. Zachowywał je ponadto w tajemnicy dla samej zmysłowej przyjemności trzymania czegoś w tajemnicy. Dla związanego z tym dreszczyku emocji. Bo Trafforda rajcowała każda tajemnica, choćby najbanalniejsza. Wystarczało mu, że jest to coś, o czym wie on i tylko on.

# 3

Z pokorną rezygnacją Trafford dobił do tłumu szturmującego wejście na stację metra. Władze stawały na głowie, żeby ułatwić ludziom życie i rozładować tworzące się w godzinach szczytu zatory, ale przed tym wejściem zator był permanentny. Tłum falował zresztą przed wejściami do wszystkiego i wewnątrz wszystkiego i najczęściej pęczniał, najpierw w strefie przedbramkowej, a później buforowej, gdzie ludzie oczekiwali na wpuszczenie do i tak zatłoczonego już ponad miarę środka właściwego. Ludzie spędzali większą część życia na posuwaniu się noga za nogą w ścisku, tak że z czasem wchodziło im to w krew i powstawał na tym tle poważny społeczny problem: drobili noga za nogą nawet w tych rzadkich sytuacjach, kiedy nie mieli przed sobą zwartej ludzkiej masy i nikt nie napierał na nich od tyłu. Władze inicjowały często ogólnokrajowe kampanie na rzecz zdrowego trybu życia, napominając ludzi, żeby się nie garbili, trzymali prosto i chodzili normalnie, wyciągniętym krokiem, zamiast dreptać jak kaczki. To dobrze wpłynie na ich kręgosłupy i poszerzy horyzonty, zapewniali inicjatorzy. Ale nikt nie brał sobie do serca tych zaleceń, bo po cholerę chodzić normalnym wyciągniętym krokiem, skoro to tylko przyspieszy natknięcie się na kolejny zator.

Trafford nie cierpiał tłoku. Słyszał kiedyś od matki (a ona pewnie od swojej), że dawniej było luźniej, że nawet w mia-

stach istniały tereny zielone, gdzie można było sobie posiedzieć w samotności na ławeczce, bez wachania potu tuzina innych osobników. Ale to było w grzesznych latach BTF. Zanim pokarany przez zgorszoną Miłość kraj skurczył się i cała populacja musiała się ścieśnić na połowie obszaru, jaki miała wcześniej do dyspozycji.

Trafford posuwał się noga za nogą ku otwierającym się i zamykającym bramkom prowadzącym na to opróżniające się, to zapelniające perony. Zdawał sobie sprawę, że nie powinien narzekać, bo ma szczęście, mieszkając w pobliżu funkcjonującej linii metra z wciąż sprawnym systemem kierowania przepływem pasażerów. Ale w tej chwili, zgniatany w drepczącym tłumie, mając przed sobą dzień pozbawionej sensu pracy, nie czuł się ani trochę szczęściarzem. Nie czuł się szczęściarzem po nocy spędzonej w maleńkim pokoiku z jeszcze bardziej od niego zmęczoną żoną i wrzeszczącym bachorem. Czuł się otępiały.

– Traffordzie! – zawołał go ktoś po imieniu. – Traffordzie Sewellu! A podejdźże no tu na słówko!

Trafford dobrze znał ten głos. I wiedział, że będzie musiał podejść. Będzie musiał zrezygnować z wydreptanego mozolnie miejsca w ludzkiej masie (choć od znalezienia się na peronie dzieliły go już tylko dwa otwarcia bramki) i zareagować na wezwanie. Oczywiście spóźni się do pracy, ale nikt mu nie będzie robił z tego powodu wyrzutów ani przygadywał, że powinien wcześniej wychodzić z domu. Każdy pracodawca rozumiał, że ktoś poproszony na słówko przez spowiednika nie może odmówić.

Trafford zawrócił i zaczął przeć pod prąd ludzkiej rzeki.

A było pod co przeć. Tyle luda i tak dużo każdej osoby. I każda prawie wszystko ma na widoku. Tyle ciała. Tyle spocznego, prawie gołego ciała. Rozlazłe babska w kusych, prześwietlających bluzeczkach i figach, kombinacjach zakrywają-

cych niewiele więcej niż bikini. Niektóre nawet z całkiem obnażonym biustem. Wielkie, wysrane przez niemowlęta, różowe i brązowe sutki łypały oskarżycielsko na przepychającego się między nimi Trafforda, przywodziły na myśl znaki drogowe zwracające mu uwagę, że posuwa się w niewłaściwym kierunku. Mężczyźni w szortach i pepegach, w podkoszulkach albo nadzy od pasa w górę. A wśród najbardziej obnażonych brzuchów przeważały brzuchy największe, brzuszyska niczym tarany, wypięte dumnie kałduny, bandziochy jak malowanie, zwieńczone obwisłymi, rozdyndanymi, owłosionymi męskimi piersiami.

Trafford, przedzierając się z najwyższym trudem przez tę zbitą, niemal zwartą masę, trzymał ręce wysoko uniesione. Trzymał je tak w obawie, że jego dłoń może otrzeć się przypadkowo o czyjąś pierś albo, co gorsza, zakleszczyć w czymś kroczu. Najłżejszy dotyk bardzo łatwo mógł zostać fałszywie zinterpretowany.

„Dobierasz się do mnie?! – rozległby się zaraz wrzask. – To ty mnie złapałeś za cycek?!”

Trafford już dawno zauważył, że im grubszy i bardziej roznegliżowany babsztyl, tym większe prawdopodobieństwo, że oskarży kogoś o złapanie za biust. A przecież w takim ścisku, przy tyłu tak ogromnych, ogromniastych biustach, nie było siły, żeby któregoś, chcąc nie chcąc, nie potrącić. Miał przed sobą rozkołysaną ławę piersi wielkich jak piłki plażowe, wylewających się z malutkich trójkącików połyskliwej tkaniny, kłujących w oczy brązowymi półkołami na wpół odsłoniętych suteków.

No i stało się, co musiało się stać.

– Zboczeniec! – rozdarła się jakaś kobieta. – Do stacji w przeciwnym kierunku, fajfusie!

Trafford nie próbował nawet ustalić, z której strony ten wrzask dobiegł. Wiedział z doświadczenia, że ostatnią rzeczą,



jaką chce usłyszeć taka rozwścieczona osoba, to tłumaczenia i przeprosiny. Natychmiast skręcił o dziewięćdziesiąt stopni i jął się przedzierać przez tłum w poprzek. Musiał się czym prędzej oddalić od źródła tego oskarżycielskiego krzyku, bo od słowa „zbrodniec” był tylko jeden mały krok do słowa „pedofil”, a gdyby to ostatnie padło w tak rozeźlonym, znerwicowanym tłumie, skutki mogłyby być dla niego opłakane. Wierzyć się nie chce, jak szybko w ścisku, w którym nawet w nos trudno się podrapać, robi się nagle miejsce na skopanie człowieka na śmierć.

– Przepraszam... przepraszam... – bąkał Trafford, prąc dalej z rękami uniesionymi wysoko w górę i nisko opuszczoną głową, byle tylko nie dotknąć czyichkolwiek cycków ani nie nawiązać kontaktu wzrokowego z kimkolwiek. – Mój spowiednik mnie wzywa, muszę do niego...

Gniewne pomstowania oddalały się stopniowo i w pewnej chwili Trafford, przedzierając się wciąż w pośpiechu przez zbitą masę ciał jak przez nieprzebytą dżunglę, wystrzelił z niej nagle niczym korek z butelki prosto w ramiona duchowego pasterza swojej gminy, spowiednika Bailey'a.

– Ho, ho, ho! – roześmiał się Bailey, wielki i jowialny jak zawsze. – Spokojnie, spokojnie, Traffordzie. Śpiesz się powoli, jak powiedział kiedyś pewien mądry człowiek.

– Wzywałeś mnie, spowiedniku. Coś się stało? – spytał Trafford, siłąc się na taką samą rozkoszną wesołość, jaką udawał spowiednik.

– Jeszcze pytasz, Traffordzie?! Oczywiście, że się stało! – wykrzyknął Bailey, zamykając go w niedźwiedzim uścisku. – Gratulacje, bracie! Gratulacje i niech nam żyje Miłość! Podobno Pan Życia pobłogosławił tobie i twojej uroczej, przeuroczej, seksownej, przeseksownej pani ślicznym dzidziusiem płci pięknej. Dobrze słyszałem?

Spowiednik Bailey wciąż trzymał Trafforda w swoich

przepastnych objęciach, a był z niego kawał chłopca. Trafford czubkiem głowy sięgał mu ledwie do podbródka i mając policzek docięnięty do torsu kaznodziei, chcąc nie chcąc, wdychał teraz przyprawiający o mdłości aromat drogich markowych perfum zmieszany z wonią wody po goleniu oraz odorem potu. Bailey nie paradował, rzecz jasna, nago: był ubrany stosunkowo skromnie, jak na człowieka o tak wysokiej pozycji w gminie, w obcisłe, nieskazitelnie białe szorty z ałtasu, białe podkolanówki i białą kolarską koszulkę z lycry. Koszulkę zdobił połyskliwy złoty krzyż upstrzony mrugającymi światełkami. Nad tym krzyżem rozciągała się tęczą, również iluminowana, a na jej tle widniał gołąbek w locie. Na głowie spowiednik Bailey miał wysoką mitrę wysadzaną sztucznymi klejnotami i obwieszoną girlandami światełek.

– Dobrze słyszałeś – wymamrotał Trafford w tors Bailey, starając się nie oddychać zbyt głęboko. – Urodziło nam się dziecko.

– Wszystko w porządku, mam nadzieję. Chantorria dobrze się czuje? Silna? Dumna? Pracuje nad odzyskaniem figury?

– Tak, tak, oczywiście.

– I tak trzymać, dziewczyno! Chwalmy Pana! Chwalmy Miłość!

– Chwalmy Miłość – powtórzył jak echo Trafford.

– Dzieciątko zdrowe?

– Tak, dziękuję, bardzo zdrowe, ojczy – odparł Trafford. – Jest cudowna.

– A jakżeby mogło być inaczej. Toż uczyniona została na obraz i podobieństwo swojej niesamowicie seksownej matki, a tym samym na obraz i podobieństwo naszego Stworzyciela. A ma już to cudowne maleństwo imię?

– No... zastanawialiśmy się nad... Caitlin...

Spowiednik Bailey ściągnął brwi. Formalne, tradycyjne

imiona nie były ostatnio w modzie. Sama przeszłość nie była teraz modna. Każdy wiedział, że to w przeszłości społeczeństwo popełniło brzemiennie w skutki błędy. Przeszłość była siedliskiem ignorancji, herezji i czarnej, najczarniejszej magii. To w przeszłości nauczano, że człowiek pochodzi od małpy, a chrześcijańscy pastory głośili, że Bóg nie jest wcale istotą z krwi i kości, a jedynie metaforą dobroci.

– Nie podjęliśmy jeszcze ostatecznej decyzji – dodał pośpiesznie stropiony Trafford. – Chantorria proponuje Happy-mealę.

– I powinieneś przyklasnąć swojej pani – powiedział zdecydowanie spowiednik Bailey. – Ma głowę na tym swoim silnym kobiecym karku. A do tego ładniutka i cycata, że aż nie chce się wierzyć, iż to sama natura obdarzyła ją takim dużym i jędrnym przedsięwzięciem.

– Dziękuję, spowiedniku Bailey, powtórzę jej twoje słowa.

Spowiednik uśmiechnął się, ale nie rozpogodził.

– Zajrzałem na twoją stronę Masz Twarz, Traffordzie – oznajmił surowo. – Obejrzałem również twój profil na portalu Wieści Gminnej.

Trafford wbił wzrok w ziemię. Wiedział, co zaraz nastąpi. Tylko z tego jednego powodu spowiednik Bailey mógł go wywołać z tłumu.

– Goognałem cię nawet na World Tubie, ale... – ciągnął Bailey tonem z każdą sylabą coraz surowszym – ...ale i tam nie znalazłem żadnego filmu z narodzin.

Trafford stał ze zwieszoną głową. Żył nadzieją, że te narodziny tak szybko nie wyjdą na jaw, że uda je się utrzymać w sekrecie przynajmniej do czasu, kiedy przywykną z Chantorrią do dziecka. I właśnie dzisiaj wieczoru zamierzał zamieścić w sieci ten obowiązkowy film. Że też musiał się nadziać na Bailey'a. Wpatrywał się rozognionym wzrokiem w leżącą

między jego stopami kartkę wspomnieniową:

*Fanta: Poszła do nieba, ale na zawsze pozostanie w naszych sercach.*

– Masz jakiś problem z łączem, Traffordzie? – spytał lodowato spowiednik Bailey. – Jeśli szwankuje, mogę sprawdzić. Wyciągnij tylko kabel z gniazdka i odczekaj pięć minut...

– Ja... nie wysłałem jeszcze tego filmu z narodzin – wyznał Trafford. Zawsze lepiej było się przyznać, Świątynia i tak wszystko wiedziała. – Chantorria suszyła mi o to głowę, ale... ale nie mogłem się jakoś zebrać.

Kapłan uśmiechnął się, ale był to uśmiech wymuszony, nieszczerzy.

– Ach, zebrać się nie mogłeś?

– No właśnie.

– Nie chciało ci się podzielić ze społecznością, z całym światem, tym wspaiałym, najszczególniejszym ze szczególnych, zrządzonym przez Pana wydarzeniem, którego nie da się z niczym porównać i po którym już nigdy nie będziesz taki sam?

– Podzieliłem się – bąknął bez przekonania Trafford. – Napisałem o tym w moim blogu.

Tym razem Bailey nie silił się nawet na uśmiech.

– Podzieliłeś się? Napisałeś o narodzinach dzieciątka w swoim blogu? I to wszystko?

– Obszernie napisałem! Pochwaliłem się, jaka jest śliczna...

– Pochwaliłeś się, powiadasz. – Kapłan nie krył już wzburzenia. – W blogu. Pan obdarzył nas cyfrowym sprzętem rejestrującym, dzięki któremu możemy utrwać, sławić i podziwiać w najdrobniejszych szczegółach cud każdego niuansu dzieła jego stworzenia, a ty, w swej próżności, uroiłeś sobie, że twój opis – te wypociny twojej nędznej, żalostnej, ograniczonej wyobraźni – potrafi oddać to lepiej! Wydaje ci

się, że twoje opisanie, twoje konfabulowanie, jest na prezentację dzieła bożego środkiem lepszym niż zdigitalizowana rzeczywistość!

Teraz Trafford przestraszył się nie na żarty. Nie spodziewał się, że spowiednik Bailey tak zinterpretuje jego wyjaśnienia. Słowa „konfabulacja” nie wypowiedziało się ot, tak sobie. Konfabulacja była grzechem, świętokradztwem. Wszyscy wiedzieli, że inwencja, akt tworzenia, jest przywilejem tylko i wyłącznie Miłości. Bóg stworzył rzeczywistość i człowiek miał ją czcić, tak już było. Ludzie tworzyli jedynie kłamstwa.

– Skądże znowu! – zaprotestował Trafford. – To nie jest żadne konfabulowanie! To tylko... opisanie, nic więcej. Opisanie rzeczywistości... słowami.

– Dlaczego tego nie zarejestrowałeś? Dlaczego zamiast podać do powszechnej wiadomości najprawdziwszą rzeczywistość, usiłowałeś ją nieudolnie opisać słowami? Czy golisz się rano przed lustrem?

– No... tak, oczywiście...

– A więc nie do końca dowierzasz opisowi swojej twarzy. Nie przykładasz brzytwy do policzka, kierując się jedynie słowem pisany! Bo gdybyś tak robił, szybko pociąłbyś się na kawałki.

– No nie...

– A więc najprawdziwsza rzeczywistość jest dobra tam, gdzie chodzi o twój osobisty komfort, ale kiedy chodzi o celebrowanie bożego daru życia, wystarcza sam opis rzeczywistości. Tak?

– Nie!

– Dlaczego nie rozpowszechniłeś filmu z narodzin, Traffordzie?

Trafford wiedział dlaczego, ale nie mógł tego powiedzieć. Za nic nie mógł przyznać, że do zwłoki z zamieszczeniem w sieci nagrania wideo z narodzin podjudził go dziwny we-

wewnętrzny głos argumentujący, że należy mu się choćby namiastka prywatności. Jakaś tęsknota za zachowaniem czegoś, choćby na krótko, tylko dla siebie.

Nie mógł tego powiedzieć. Dla Świątyni i w ogóle dla gminy nie było czegoś bardziej odstręczającego niż prywatność. W jakim celu ktoś miałby coś ukrywać przed ogółem? Czyż nie jest ich obowiązkiem szczylenie się sobą? A może Trafford czegoś się wstydzi? Albo może wymyślił sobie, że jest kimś specjalnym? Lepszym od innych, że inni nie są go warcii?

– Prywatność – wycedził Bailey złowróżbnym tonem – to bluźnierstwo, Traffordzie. Tylko zboczeńcy szukają prywatności, żeby pod jej przykrywką robić swoje.

– Wiem o tym, spowiedniku.

– Jeśli nie masz się czego wstydzić, to nie masz niczego do ukrycia.

– Nie przyszło mi tylko do głowy, że może to kogoś zainteresować – wydukał Trafford. – Tyle się dzieje w naszej kamienicy. Na przykład taka Galaxy Starlight spod numeru osiem A uprawia seks z tatą swojego męża, ale mąż nadal bardzo ją kocha, stworzyli więc trójkąt i można ich oglądać na żywo przez siedem dni w tygodniu dwadzieścia cztery godziny na dobę. Kto by w takiej sytuacji chciał patrzeć na...

– Czy coś jest może nie tak? – wpadł mu w słowo spowiednik nagle zaniepokojony. – Czy dzieciątko aby nie zdeformowane?

– Skądże znowu!

– Chwała Miłości.

– Chwała Miłości.

– Zakrzyknijmy: „Alleluja”!

– Alleluja!

– Ciężki był poród? – spytał ksiądz. – Rozerwał Chantorię?

– Troszeczkę, ale...

– Skoro tak, to tym bardziej trzeba się tym podzielić, szukać duchowego wsparcia. Tragedia i ból również pochodzą od Pana, mają testować naszą siłę i wystawiać nas na próby. Bądźcie dumni ze swojego bólu! Dzieląc się swoim cierpieniem z innymi, uczymy się więzi z Bogiem, rozwijamy ją i zacieśniamy.

- Wszystko jest w jak najlepszym porządku, naprawdę...
- Zakrzyknijmy: „Miłość”!
- Miłość!
- Zakrzyknijmy: „Wiecznotrwała Miłość”!
- Wiecznotrwała Miłość!
- Niech usłyszę, jak wołasz: „Wiecz Miś”!
- Wecz Miś!

Dopóki trwały te gromkie pokrzykiwania, spowiednik stał z oczami wzniesionymi do nieba, teraz znowu utkwiał rozognione spojrzenie w Trafforda.

– No więc dlaczego nie wywiązałeś się ze swojego obowiązku wobec społeczności swej gminy i nie zamieściłeś w sieci wideo z narodzin?

Na to pytanie po prostu nie było odpowiedzi. Wyznanie prawdy pociągnęłoby za sobą publiczne potępienie, a kto wie, czy nie chłostę. Trafford znowu spojrział w ziemię, a Baileyowi przyszło nagle do głowy coś jeszcze.

– A może Chantorria wstydzi się swojej broszki? – spytał.

– Nie, spowiedniku! Skądże znowu! To ja...ja zapomniałem zamieścić film.

– Broszkę miała Ewa! Matka Maria miała broszkę! Diana miała broszkę! Broszki to dla dzieciątek drzwi na świat. Chantorria powinna być dumna, że jest silną kobietą z broszką wydającą na świat dzieci.

– I jest, ojcze! Jeszcze jak jest. Jest bardzo dumna. Dumna, że jest kobietą.

- Silna niewiasta! Niewiasta wiary.
  - Tak, naturalnie. Wiara to oś naszego życia. Nie ma dla nas niczego ważniejszego od bezpośredniego kontaktu z Miłością. Cały czas z nią rozmawiamy.
  - To dlaczego nie pokazała broszki, którą dała jej i światu Miłość w okresie swojej najwyższej kreatywności? Nie chce zostać wzorem do naśladowania? Dodać innym odwagi? Umożliwić wspólną celebrację i czerpanie nauki z doświadczenia, które zesłał na nią Pan? Czyż nie uważa się za piękną i nie chce, żeby wszyscy na nią patrzyli, wraz z nią przeżywali? Kibicowali jej?
  - No naturalnie, że chce. Oczywiście, że ma to wszystko na uwadze.
- Spowiednik Bailey cofnął się o krok i z powagą przyłożył dłoń do czoła Trafforda.
- Rozpowszechnisz w najbliższym czasie film z narodzin?
  - Tak... tak, rozpowszechnię, ojcze. Oczywiście, że rozpowszechnię. Przepraszam, że tak długo z tym zwlekałem.
  - No dobrze – mruknął spowiednik, znowu się uśmiechając. – Pozdrów ode mnie gorąco Chantorrię i malutką Happy-mealkę. Nie zapomnij tym razem.



## 4

Trafford, szczęśliwy, że obyło się bez skarcenia wprost z kazalnicy, na oczach wszystkich, pożegnał uniżenie Baileya i odwrócił się, by dołączyć z powrotem do ludzi próbujących dostać się na stację metra. Miał przed sobą ławę lśniących, spoconych, półnagich, a tu i ówdzie całkiem gołych tyłków. Zadów opiętych kusymi obcisłymi szortami, pośladków wylewających się ze stringów. Nie było w tym tłumie ani jednego zakrytego skromnie półdupka. Rozłożyste i chude, obwisłe i jędrne. Owłosione i gładkie jak liczko noworodka, głęboko pobrużdżone, nakrapiane. Rozstępy, blizny pooperacyjne, ekstrawaganckie tatuaże i ślady po ukąszeniach kochanków. Dupy dumne. Dupy wyzywające. Dupy przeciętne, takie sobie.

Trafford wiedział, że nigdy w życiu nie przywyknie do tego bezwstydnego wystawiania na publiczny widok takich połaci golizny. Nie chciał patrzeć na te dupska, nie życzył sobie, żeby jego wzrok przyciągały co rusz najrozmaitsze niedoskonałości ciał innych ludzi. Choćby nie wiem jak się starał nie zwracać na nie uwagi, oko wciąż jakąś wylapywało, a jemu robiło się coraz bardziej niedobrze. Ludzie! Trochę samokrytyki!

Nie, nie miał nic przeciwko nagości jako takiej. Ale czuł podświadomie, że obnażanie ciała powinno mieć coś z artyzmu, nawet tajemniczości, a nie sprowadzać się do prostackie-

go epatowania golizną. To samo dotyczyło powiększania piersi. Rozumiał logikę: skoro są atrakcyjne, to im większe, tym lepiej. Co w tym złego? Niby prawda, ale w głębi duszy dochodził do wniosku, że nie wszystko, co wielkie, jest piękne.

Z nikim się tymi refleksjami nie dzielił, nawet z Chantorią. Wiedział bardzo dobrze, jak zagrożeni i zgorszeni poczuliby się ludzie, gdyby wyjawiał, że mierzi go przymusowe oglądanie ich gołych tyłków. W sieci nie zostawiliby na nim suchej nitki; zostałyby okrzyknięty bluźniercą szydzącym z dumy, z jaką ludzie obnoszą swoje wdzięki. Czyż Bóg nie stworzył nas wszystkich na swój obraz i podobieństwo? Stąd konkluzja, że ten, kogo mierzi ludzka powierzchowność, urąga samemu Bogu. Napomykano by, że tylko ci, którzy wierzą, iż ludzie pochodzą od małpy, mają powody wstydzić się swojego człowieczeństwa. Wystarczająco ryzykował przesadną skromnością ubioru. Mając awersję do obnażania ciała choćby o cal więcej, niż wymuszały to upał i społeczne konwenanse, zawsze nosił podkoszulek zamiast kusej kamizelki oraz szorty sięgające prawie do połowy uda. Z tą swoją pruderią tak odbiegał od normy, że niejednokrotnie brano go na ulicy za muzułmanina i kazano wracać do getta albo jeszcze lepiej tam, skąd przybył, jeśli to coś wystawało jeszcze ponad poziom morza.

Trafford odpędził od siebie te myśli i z podchodzącym do gardła żołądkiem po raz wtóry tego poranka podreptał z tłumem w kierunku bramek stacji metra. Na zawieszonych nad bramkami ekranach leciały wiadomości i pakiet inforozrywkowy, te same, które Trafford mógł oglądać na słupach ulicznych latarni w drodze z domu na stację, wyświetlające się też nieproszone na jego karcie miejskiej oraz, bez wątpienia, w windzie, z której tego ranka nie skorzystał. Wszędzie ten sam powtarzany w kółko pakiet. Tyle platform do oglądania, a tak

mało tego oglądania wartych.

W *Życiu na gorąco* gwiazdy najprzeróżniejszego kalibru zmagaly się ze swoimi osobistymi demonami, które z bożą pomocą na koniec pokonają. W *Wiadomościach z ostatniej chwili* donoszono o wybuchach kolejnych wielkich bomb w tłumnie uczęszczanych miejscach. Wojsko dwoiło się i troiło, prowadząc w skrajnie niesprzyjających warunkach niezliczone misje pokojowo-stabilizacyjne na całym świecie, a na dodatek broniąc przedmurza chrześcijaństwa przed szturmującymi je masami chorych na cholere niewiernych błagających o szklanke czystej wody. W bardziej swojskich wiadomościach z kraju piętnowano liczne przypadki łamania prawa przez organa do egzekwowania tego prawa powołane, między innymi przez ruch Sprawiedliwość Ludowa (z którym władze sympatyzowały, chociaż nie przyznawały się do tego otwarcie), i krytykowano rząd, że patrzy biernie, jak piąta kolumna pedofilów infiltruje społeczeństwo.

W *Pogodynce* informowano o przerywanych przez morze falochronach, zniszczonych przepompowniach wody i powodziach jak świat długi i szeroki.

Trafford zastanawiał się, dlaczego nie wpadli jeszcze na pomysł ułatwienia sobie życia i nie zaczęli puszczać codziennie tej samej taśmy. Wiadomości były zawsze takie same i do dziewiątej rano każdy znał je na pamięć.

Jeszcze dwie powtórki pakietu, oszacował, i będzie za bramką.

„Setki ofiar...”.

Nie mógł tego słuchać, zwłaszcza w takim tłumie. Komentarz mieszał się z kakofonią wydobywającą się z osobistych inforozrywników zwisających z każdej szyi.

„Zamachowiec, który miał siedemnaście lat...”.

„Uch! Uch! Bam bu duf! Bam du!”.

„Zginął w wyniku...”.

„Dziewczyno, ty naprawdę masz szansę zostać gwiazdą...”.

Trafford wepchnął słuchawki głębiej w uszy, żeby odciąć się od tego zgiełku. Zgiełk zawsze go drażnił. Podobnie zresztą jak widok obnażonych ludzkich ciał i bijąca od nich woń potu, wód toaletowych i żarcia. A już najbardziej tego ostatniego.

Większość ludzi drepczących w kierunku bramek, słuchających swoich inforozrywników, wgapionych w ekrany wyświetlające pakiet wideo coś tam glamowała, podgryzała, żuła. Można by pomyśleć, że żadnemu ze zmysłów nie dana jest chwila wytchnienia. W wagonie podziemnej kolejki będzie, rzecz jasna, jeszcze gorzej. Trafford wzdrygnął się na tę myśl. Duszno jak w piecu, ludzie upchani jak śledzie w beczce, każdy coś zajada – ten pizzę, tamten burgera albo kurze udko, albo zdrowy owsiany batonik w czekoladowej polewie. Wygrzebał z kieszeni ekstramocnego miętusa, sprawdzony środek, który pozwoli mu przetrwać tę podróż bez puszczenia pawia. Niestety, coraz trudniej było dostać miętusy bez czekoladowej polewy. Sprzedawczynie w sklepach bardzo się dziwiły, że o takie prosi. Jak można nie lubić czekolady?

## 5

Trafford nawet lubił fiz-ności. Nie cierpiał tłoku, ale nie aż tak bardzo, żeby stronić od towarzystwa, zwłaszcza że wyczuwał, iż kilku kolegów z KrajBanDanu podobnie jak on nie do końca otwiera się przed ogółem. Oczywiście pewności co do tego nigdy mieć nie będzie. To właśnie ma do siebie prywatność: jest prywatna i stąd jej urok. Presja na wywnętrzanie się i wylewność była tak wszechobecna, że męczyła.

Z dachu budynku, w którym pracował Trafford, zwiślał transparent. *W jakim humorze dzisiaj jesteś?* – pytał. *Natychmiast to komuś powiedz!* Slogan ten ukuło i promowało Ministerstwo Dobrego Samopoczucia. Był jeszcze taki: *Dzielić się emocjami? A cóż w tym wstydliwego?*

W telewizji, radiu i sieci przez cały dzień apelowano do ludzi, żeby dzwonili i opowiadali, w jakim są aktualnie nastroju.

„Powiedz nam, jak się czujesz, dopytywał się didżej. Chcemy to od ciebie usłyszeć! Co cię tak zbulwersowało?”

Każdy pracownik służby zdrowia i każdy przewodnik duchowy głądził do znudzenia: „Bierz się za bary z troskami. Szczyć się swoimi uczuciami. Stawiaj czoło demonom. Opowiadaj o sobie!”

Nietrudno się chyba domyślić, że takie właśnie było stanowisko Świątyni.

– Człowiek jest dziełem Boga! – grzmiał do swoich para-

fian spowiednik Bailey. – Wszystko, czym jesteśmy, wszystko, co robimy, wszystko, co mówimy, pochodzi od Pana i Miłości. Kiedy więc opowiadamy o sobie, to tak naprawdę mówimy o Bogu! Każda nasza myśl, każde wypowiedane słowo, każda część ciała, które mamy zaszczyt zamieszkiwać, jest darem Miłości i powinno być z dumą prezentowane ogółowi! Pokusa zachowywania prywatności jest równoznaczna z wypieraniem się Miłości, a ten, kto wypiera się Miłości, nie ma wiary!

Traffordowi doskwierał brak prywatności, chciał, aby choć na chwilę zostawiono go w spokoju. Nie było dnia, żeby chociaż raz nie naszła go pokusa wykrzyczenia na całe gardło: „Mam propozycję. Może byśmy tak na pięć minut stulili wszyscy dzioby?”. Ale brak wiary był bardzo poważnym przestępstwem.

Dawniej nie był. Świątynia utrzymywała, że był, ale nie był. Trafford wiedział o tym, bo stosowna zmiana w prawie nastąpiła już za jego życia. Ustawowy obowiązek wierzenia zapisany został w paragrafie otwierającym *Kodeks Wembleyski*, tak zwany *Statut Ludowy*.

Ponieważ *Kodeks Wembleyski* od dość dawna był jedynym obowiązującym, w zapomnienie odchodziły czasy, kiedy istniały inne formy legislacji, a istniały takie. Gdy Trafford był podrostkiem, prawo stanowiła wykolejona, skorumpowana, wyalienowana elita, każąca siebie nazywać „członkami parlamentu”.

Zmiana nastąpiła wskutek narastającego w społeczeństwie, a zwłaszcza w łonie Rady Najwyższej Świątyni przekonania, że wyłanianie w powszechnych wyborach ustawodawcy „nie wsłuchują się w głos ludu”. Każde z ugrupowań politycznych, które dochodziło do władzy, momentalnie wycofywało się ze swoich przedwyborczych obietnic, a co gorsza, stawało się głuche na „wolę ludu” i ani myślało uczyć się na błędach.

Myślałby kto, że rząd istnieje tylko po to, by frustrować trzeźwo myślących wiernych i robić im wbrew.

Dziwna rzecz, ale politycy również dostrzegali ów problem. Naturalnie we własnym interesie każdego polityka leżało lobbowanie za uchwalaniem ustaw spełniających społeczne oczekiwania. Pytanie tylko, jak by tu umyć ręce i zrzucić z siebie odpowiedzialność za to, co z takich ustaw wyniknie, przenieść ją sprytnie z barków wybranych przedstawicieli społeczeństwa na elektorat?

Rozwiązanie tego problemu nasuwało się właściwie samo – referendum. Projekty najważniejszych ustaw zamieszczono w Internecie i poproszono obywateli o głosowanie na tak lub nie, ewentualnie zgłaszanie własnych sugestii bądź poprawek. Skończyło się to katastrofą, bo wynik nie był odzwierciedleniem woli społeczeństwa jako całości, lecz mieszaniną indywidualnych punktów widzenia poszczególnych jednostek. Jediną pozytywną stroną całej operacji było odkrycie, że podczas gdy masami można sterować, jednostki często przejawiają niezależność, a w wielkiej demokracji sieciowej każdy potrafiący obsługiwać komputer pedofil czy miłośnik małp może się kontaktować z całym światem i albo propagować własne, albo powtarzać czyjeś poglądy na dowolny temat. Zapanowała całkowita anarchia i nie wiadomo już było, jaka właściwie jest ta „wola ludu”.

Wyjście z tej sytuacji podsunęli spowiednicy Świątyni. Prawa fizyczne niech uchwalają osoby fizyczne. Byłby to powrót do klasycznej definicji demokracji. Świątynia miała kontakt z ludźmi, organizowała regularnie wielkie spędy wiernych. Nic prostszego niż przyznać tym spędom władzę ustawodawczą.

Na cotygodniowym Świątynie Wiary na stadionie Wembley powołany został do życia Święty Zakon. Podczas uroczystości charyzmatyczni wierni z całej stolicy dzielili się swoimi

troskami, łączyli w Miłości i sprawdzali siłę swojej wiary. Stadion mieścił dwieście pięćdziesiąt tysięcy ludzi, zadekretowano więc, że każde zgromadzenie w tej liczbie, przemawiające jednym głosem, władne będzie stanowić prawo.

Ponieważ tylko Świątynia miała doświadczenie w organizowaniu takich masowych imprez, a na dodatek dzierżała Nowy Nowy Stadion Wembley – jedyny obiekt mogący pomieścić takie mrowie ludzi – zdecydowano, że od tej pory prawo stanowić będzie Świątynia, a rząd ograniczy się tylko do administrowania. Postanowienie to, nawiasem mówiąc zdroworozsądkowe, było również zgodne pod każdym względem z prawem, nawet tym starym. Bo nawet w czasach ignorancji Sprzed Nastania Prawdziwej Wiary, w skrócie SNPW, przestępstwem było podżeganie do nietolerancji religijnej, a co może być bardziej wymiernym przejawem podżegania do nietolerancji religijnej od sprzeciwiania się woli wiernych?

Pierwszym z uchwalonych praw wembleyskich był, a jakże by inaczej, *Kodeks Wiary*, a najważniejszy z zapis tego *Kodeksu* to delegalizacja braku wiary. Paragraf ów również był w zgodzie ze starym prawem SNPW, bo już wtedy zabroniona była dyskryminacja ze względu na wyznanie. Świątynia argumentowała, że jeśli ktoś nie ma wiary i nie wierzy w to, w co wierzy większość, to znaczy, że tej większości nie szanuje. A zatem każdy praworządny obywatel musi mieć wiarę, i już.



## 6

Jedynym, czego Trafford w fizykoznosci z całego serca nienawidził, było grulanie. Grulanie, czyli GRUpowe PrzytuLANIE, stanowiło nieodłączny element pracowniczej integracji. Trafford w miarę możliwości starał się od tych sesji wymigiwać, a to tłumacząc, że ma do załatwienia pilną służbową sprawę, to znowu uciekając do toalety pod pretekstem rozstroju żołądka, ale musiał być ostrożny: za powtarzające się zbyt często absencje mógł dostać naganę, a nawet zostać zadenuncjowany podczas spowiedzi. Tak więc w większości gruiń, chcąc nie chcąc, uczestniczył.

– Zapraszam wszystkich do kółeczka! – zawołała radośnie Księżniczka Piczka.

Grulanie inicjowała zawsze Księżniczka Piczka, chociaż licho wie dlaczego akurat ona, bo przecież w bezpośrednim otoczeniu Trafforda nie istniał podział na wyższe i niższe stanowiska ani na takie czy inne kompetencje. W urzędach państwowych hierarchia ograniczona była oficjalnie do absolutnego minimum, żeby ludziom nie spadał wskaźnik samooceny i by czuli się w pracy komfortowo. Posiadanie osobistych aspiracji było oczywiście karalne. Tak stanowił *Kodeks Wembleyski*.

*Kto potrafi marzyć, ten może zostać, kim tylko zechce. Z mocy prawa.*

Paragraf ten był jedną z nielogiczności życia, z jakimi Trafford stykał się na co dzień i które bardzo go bulwersowały. No bo prawo z jednej strony zabraniało sztydzenia z wiary, z drugiej kazało wierzyć w możliwość realizacji w praktyce ludzkich ambicji i aspiracji, czyli „marzeń”, jak to potocznie określano. Traffordowi coś się tu nie zgadzało. Każdy z jego znajomych chciał być bajecznie bogaty i sławny, a żadnemu jakoś nie udawało się owego celu osiągnąć. Mało tego, z upływem czasu ich stopa życiowa spadała, zamiast się podnosić. Mimo to ludziom nadal wmawiano, że mogą osiągnąć wszystko, czego pragną, byle tylko wystarczająco bardzo tego pragnęli, bo jest to ich ustawowym prawem.

Trafford widział, że rzeczywistość nijak ma się do głoszonych oficjalnie dogmatów. A jednak ludzie wierzyli (albo udawali, że wierzą), iż marzenia mogą się spełniać i spełniają się, i prawo nakładało na Trafforda obowiązek, by również w to wierzył. Coś tutaj najwyraźniej było nie tak.

Traffordowi wszystko to wydawało się jakieś zakłamanie i niespójne, zwłaszcza jeśli chodzi o Boga. Mijał kiedyś kobietę, która wykrzykiwała na rogu ulicy, że jeśli Bóg, Miłość, Stwórca, Najwyższy, tak bardzo miłuje dzieci, to dlaczego tyle ich umiera w cierpieniu? Tuliła do wezbranych mlekiem piersi niemowlę i kiedy policjanci wyrwali jej w końcu maleństwo, okazało się, że jest martwe. Kobieta ubrała w słowa sprzeczność, która od dawna nie dawała Traffordowi spokoju. Podejrzewał, iż nie tylko jemu. Ale kobietę aresztowano za bluźnierstwo i Trafford nigdy już jej nie zobaczył.

W sprzeczności z odczuciami przeciętnego obywatela stało tyle przepisów prawa, że trudno się dziwić, iż pomimo braku oficjalnej hierarchii stanowisk w miejscu pracy istniały jednak nieformalne, ale ściśle przestrzegane podziały na ważniejszych i mniej ważnych, czego głównym kryterium była żarliwość, z jaką dana osoba afiszowała się ze swoim duchowym zaangażowaniem.

żowaniem, a w małym świątku Trafforda w tym rankingu najwyżej plasowała się Księżniczka Piczka. Wiara tak przepełniała Księżniczkę Piczkę, że Trafford dziwił się, skąd w niej jeszcze miejsce na pączki, którymi się całymi dniami opychała.

Księżniczka Piczka wierzyła we wszystko. Po pierwsze, i przede wszystkim, wierzyła, a jakże, w Pana, w Miłość i w prawo Świątyni. Nie trzeba chyba dodawać, że wierzyła również w Dzieciątko Jezus oraz w to, że Dzieciątko Jezus chce, by ona, Księżniczka Piczka, marzyła o zostaniu kim tylko zechce. Ale głęboka wiara Księżniczki Piczki sięgała głębiej. Księżniczka była mianowicie wykwalifikowaną astrolożką i tarocistką, parała się białą magią, a niedawno siła wiary przyniosła jej tytuł wydziałowej Odchudzanny Roku. Seks uprawiała wyłącznie tantryczny i utrzymywała, że jest buddystką, bo wierzy bez zastrzeżeń w potęgę miłości i uzdrawiającą moc uświadamiania sobie własnego „ja”. Wszystkie te poglądy były w stu procentach zgodne z naukami Świątyni, przyjęte zostało bowiem, że każda wiara w Miłość, choć pod różnymi nazwami, jest tą samą wiarą. Oczywiście istniały wyjątki nazywane „fałszywymi wiarami”, a chodziło tu głównie o islam, tę wielką „drugą”, no i, rzecz jasna, o zawszone żydostwo.

Księżniczka Piczka bezsprzecznie miała wiarę. Była, co przy każdej okazji podkreślała, bardzo, ale to bardzo uduchowioną osobą. Była również niebezpieczna jak pitbull, jeśli ktoś nadepnął jej na odcisk, i potrafiła wdeptać na biurowym blogu w błoto każdego, jeśli uznała, że ten ubliżył jej albo jej rodzinie.

Trafford podejrzewał, że jest tajną współpracownicą inkwizycji.

– Grupowe przytulanie! – zakrzyknęła Księżniczka Piczka, uśmiechając się szeroko i równie szeroko rozrzucając

ramiona, a potem, głosem małej dziewczynki, choć nieco schrypniętym, dorzuciła: – Chcę, żeby mnie ktoś przytulił. Niech ktoś to zrobi. Czekam z u-tęsk-nie-niem.

Trafford i jego koledzy zgromadzili się na wolnej przestrzeni pośrodku zastawionej biurkami sali, objęli się i spuszczać głowy, utworzyli kółko. Trafford ku swemu przerażeniu stwierdził, że złośliwy los przydzielił mu na sąsiadkę Księżniczkę Piczkę. Próbował objąć ją w pół, ale nie dał rady. Rękę miał za krótką. Księżniczka Piczka nie na darmo szczyciła się swoją puszystością. Zrezygnowany wczepił się palcami w pokątną fałdę tłuszczu wylewającego się spod gumki atlasowych fig Księżniczki. Znalazł się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Jak mocno ścisnąć? Jeśli robi to za słabo, zarzuca mu brak skupienia i zaangażowania w ten grupowy rytuał, jeśli za mocno, zostanie posądzony o molestowanie seksualne i wyuzdanie. Księżniczka Piczka była nieprzewidywalna, a na samą myśl o narażeniu się komuś, o kim krążyły plotki, że ma powiązania z inkwizycją, cierpła skóra.

– O, Panie, o, Miłości, o, Panie Miłości – zaintonowała Księżniczka Piczka, wprawiając w wibracje przyciśnięte do jej gołych pleców ramię Trafforda – spraw w swojej łaskawości, żebyśmy wszyscy byli sobą, kochali się i zostawali, kim tylko zechcemy. Żebyśmy snuli marzenia i żyli marzeniami, tak jak to sobie umyśliłeś, o, Panie. Każdy dzień to otwarte drzwi. Daj nam odwagę, żeby przekroczyć ich próg, i nie zatrzasnij ich za nami, by w nasze ślady mogli pójść inni. Stworzyłeś mnie, Panie, na swój obraz i podobieństwo, a zatem moim obowiązkiem jest kochać siebie tak, jak ty kochasz mnie. Wierzę, że dzieci są przyszłością. Amen.

– Amen! – ryknęło wniebogłosy kółko.

– A skoro już mowa o dzieciach – zawołała Księżniczka Piczka z wystudiowanym entuzjazmem kulturalno-oświatowego na wczasach zakładowych, który ma za chwilę

ogłosić, kto wyciągnął szczęśliwy los loterii fantowej – to Trafford ma nam chyba coś do oznajmienia!

Oczy wszystkich zwróciły się na Trafforda. Naturalnie, powinien być na to przygotowany. Kobieta taka jak Księżniczka Piczka nie przepuściłaby okazji do skomentowania tak doniosłego wydarzenia jak narodziny dziecka. Ale mimo wszystko zapomniał języka w gębie.

– Tak... – wydukał – faktycznie. Chantorria powiła dziewczynkę.

– Gratulacje! Znaczący damski krawiec z ciebie! – zapiszczała Księżniczka Piczka. – Dziewczynka, powiadasz! Płeć piękna! Oby natura obdarzyła ją wielkimi cyckami, a tatuś zafundował jej jeszcze większe!

Wszyscy gruchnęli śmiechem. „Dobra robota!”, wołano, „Tak trzymać!”. Trafford przybijał piątki, obściskiwano go i obcałowywano.

Nagle Księżniczka Piczka spoważniała i z pogrzebową miną poprosiła wszystkie pogrążone w żałobie matki, żeby z okazji szczęścia, które spotkało Trafforda, zebrały się w grupę i publicznie wyzaliły.

– Ja zacznę – powiedziała i rozszlochała się.

Przez pięć długich minut Księżniczka Piczka opowiadała z emfazą o swoim nieutulonym smutku i bólu, którego nic nie uśmierzy. To cierpienie nie było udawane: Trafford nie wątpił, że Księżniczka Piczka rzeczywiście przeżywa śmierć swoich dzieci tak samo głęboko jak inni osieroceni rodzice. Tylko dlaczego tak się drze? Inna sprawa, że ostatnio wszyscy krzyczą. Nawet najbardziej osobiste rozmowy prowadzone są podniesionymi głosami. Zdaniem Świątyni gromkość wypowiedzi jest najlepszym wyznacznikiem szczerości, ci zaś, którzy mówią cicho, nie są wystarczająco dumni z tego, co mają do powiedzenia. Świątynia nakłaniała mających wiarę do czynienia radosnego zgiełku ku chwale Miłości. W związku z

czym wszyscy wszędzie i na każdy temat wrzeszczeli, ale Księżniczce Piczce udawało się ich przekrzyknąć i potoki słów, które z siebie wyrzucała, zdzierając gardło, orały teraz bębenki uszu Trafforda niczym ostra raszpla.

– Wiem – zakończyła Księżniczka Piczka – jestem absolutnie przekonana, że moje dzieciaczki nie odeszły w niebyt, lecz są teraz z Jezusem, otoczone Miłością, w objęciach Diany. Co mnie nie zabija, czyni mnie silniejszą. Każdą podróż rozpoczyna ten pierwszy krok i ból, którym Miłość doświadczyła moje kobiece piersi, wzmocnił mnie i uczynił lepszą.

Kiedy Księżniczka Piczka wreszcie zamilkła i ucichł aplauz, jakim nagrodzono jej wystąpienie, w podobnie wrzaskliwym tonie wypowiedziały się jeszcze dwie kobiety, ale trzecia, czarnoskóra referentka, której różyczka zabrała niedawno pięcioletnie dziecko, mówiła ciszej i krótko, i Trafford wyczuwał, że robi to niechętnie. Ta powściągliwość nie spodobała się Księżniczce Piczce.

– No, Kahluo, wyrzuć to z siebie – zażądała brutalnie. – Wesprzyj się na nas. Podziel się z nami swoim bólem.

Kahlua wzniosła oczy do sufitu, otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Nie płakała – oczy miała suche – a jednak Trafford, patrząc na nią, odnosił wrażenie, że zagłęda w bezdenną studnię łez.

– Powiedz nam, co czujesz – nalegała Księżniczka Piczka. – Myślałam, że jako Afrobrytyjka o pięknym odcieniu skóry uwielbiasz się zwierzać i tym samym umacniać, a jednocześnie umacniać nas, i w ogóle.

Ciche, niewidzialne, suche łzy popłynęły strumieniami, w wyobraźni Trafforda zalały całą salę i niemal poczuł w ustach słoność tajonej rozpaczy Kahlui.

– Kiedy umarł Duke – powiedziała cicho – ja umarłam razem z nim.

Mina Księżniczki Piczki świadczyła o tym, że nie jest usa-

tysfakcjonowana wyznaniem Kahlui, ale zdaje sobie sprawę, że więcej z niej nie wyciągnie, zaklaskała więc głośno. Teraz rozpoczęło się na dobre oficjalne celebrowanie szczęścia, które spotkało Trafforda.

I Trafford stwierdził, że zupełnie nie potrafi stanąć na wysokości zadania i wyrazić się w powszechnie przyjęty sposób. Po pierwsze, podobnie jak Kahlua, nie czuł się moralnie zobligowany do wrykiwania na całe gardło swoich najskrytszych i najbardziej intymnych uczuć. Po drugie, zwierzenia pograżonych w żałobie matek, których przed chwilą wysłuchał, przywołały wspomnienia o Phoenix Podfruwajce.

Phoenix Podfruwajka była pierwszym dzieckiem Trafforda z pierwszego małżeństwa, zmarła w wieku lat czterech na tężec i nie było dnia, żeby Trafford o niej z tęsknotą nie pomyślał. Na szczęście rzadko wzywano go do zwierzeń w tej przykrew sprawie, cierpienie ojców nie stanowiło bowiem znaczącego składnika emocjonalnej materii społeczeństwa. Nie odgrywało też istotnej roli w liturgii Świątyni. Owszem, napomykano o nim podczas mszy żałobnej, ale ogólnie rzecz biorąc, przeżywanie straty uważano za przywilej matek. Często zmiana małżonka uznawana była za najefektywniejszy sposób na zwiększenie przyrostu naturalnego i podtrzymywania Miłości, w związku z czym w większości rodzin ojcowie byli jak te meteory, które przelatują przez dom i znikają. Ojcowie odchodzili, matki zostawały z dziećmi, które im urodziły. Świątynia to aprobowała. Mało tego, małżeństwa trwające zbyt długo podejrzewano o sprzeniewierzenie się naturalnemu obowiązkowi szerzenia Miłości, spoczywającym na każdym mężczyźnie od czasów Adama. Starszyzna Świątyni rezerwowała dla siebie prawo poligamii i praktykowała wielożeństwo (spowiednik Bailey miał aktualnie osiem żon), swoim owieczkom zaś zalecała częste rozwody i ponowne ożenki. Mimo wszystko Jezus pobłogosławił małżeństwo z

Kany, a co pobłogosławił Jezus, musiało przetrwać do grobowej deski.

Tak więc Trafford myślał o Phoenix Podfruwajce nawet teraz, podczas celebrowania narodzin Caitlin Happymealki. Na szczęście był to urząd państwowy i uroczystość nie przebiegała aż tak zgiełkliwe i nie trwała aż tak długo, jak to się zdarzało w innych zakładach pracy. Chociaż pisków i pohukiwań było naturalnie co niemiara. Wtoczono na wózku ogromny tort przyozdobiony brylancikami, wniesiono również pudła wybornych mrożonych pączków. Trafford dostał okolicznościową kartkę wideo, na której wszyscy życzyli mu wszystkiego co najlepsze, i jeszcze jeden tort, dla Chantorrii, który nie wiadomo w jakim stanie dowiezie zapchanym metrem do domu. Nikt jednak nie zaproponował, żeby po fajrancie całe biuro urzęduło się z tej okazji w trupa czy wybrało się na karaoke. Traffordowi kamień spadł z serca, za to Księżniczka Piczka głośno wyraziła swoje rozczarowanie:

– No, co z wami!?! – krzyknęła. – Miało być uroczyście!

Ale prawie trzy kwadranse później świętowanie dobiegło końca. Uczestnicy rozdrapali resztę pączków, dolali sobie jeszcze po filiżance pianistej, zawieszistej kawy z biurowego dystrybutora i rozeszli się na stanowiska pracy.



Trafford pracował na stanowisku starszego samodzielnego analityka. Na jego piętrze wszyscy byli starszymi samodzielnymi analitykami. W urzędach państwowych hierarchia stanowisk okrojona została do niezbędnego minimum, za to te, które się ostały, nosiły bardzo wyszukane i pompatyczne nazwy, a to w celu utrzymania na odpowiednim poziomie poczucia prestiżu oraz samooceny pracowników. Starszy samodzielny analityk to był nie byle kto, osoba z tym tytułem stała o jeden szczebel wyżej od zwyczajnego starszego analityka. Kiedyś, znudzony przestojem, w które obfitował zazwyczaj jego dzień pracy, Trafford zajrzał do komputerowego słownika i dowiedział się, że nie jest ani starszym, ani samodzielnym, ani analitykiem. Z tezaursusa wynikało, że tak naprawdę jest zwyczajnym urzędasem, czyli tym, za kogo się w duchu uważał.

Pracował, jak to już zostało nadmienione, w KrajBanDanie, w dziale stat-roz. Dział stat-roz, w rozwinięciu STATystyka ROZwodnictwa, zajmował się rejestracją, a następnie monitorowaniem i dokumentowaniem związków (obojętne, jak bliskich) zawieranych przez każdego z każdym oraz wszystkiego, dosłownie wszyściuchnego, co się w tych związkach potem działo i co z tego na koniec wynikało.

Do obowiązków Trafforda (tudzież tysięcy jego kolegów)

należało ustanawianie nowych linków, na podstawie których wyliczało się statystyki rozwodnictwa. Komputery stat-rozu już dawno zaprogramowane zostały na automatyczne tworzenie linków między tymi, którzy oglądają określone seriele telewizyjne, a tymi, którzy gustują w określonych małosolnych, jonizujących napojach energetyzujących, ale nie powstał jeszcze program umożliwiający komputerowi bezbłędne typowanie tych, którzy na przykład oglądając dany serial, popijają akurat ten, a nie inny napój. Pisaniem takich właśnie programów zajmował się Trafford.

Dział Trafforda nie otrząsnął się jeszcze z konsternacji, jaka niedawno w nim zapanowała, kiedy wyszło na jaw, że komputery stat-rozu nie potrafią powiązać preferencji danej osoby co do gotowych dań do podgrzania ze znakami zodiaku, pod jakimi urodzili się jej rodzice. I tak pytanie, czy istnieje chociaż śladowe statystyczne prawdopodobieństwo, że osobnik splotzony, dajmy na to, przez rodziców, z których co najmniej jedno przyszło na świat w znaku Byka, będzie sięgał po lasagne częściej niż osoba mająca oboje rodziców spod znaku Strzelca, pozostawało bez odpowiedzi.

Po ustanowieniu nowego linku trzeba było skojarzyć go z tymi już istniejącymi. Co, na ten przykład, wiadomo o preferowanych formach spędzania weekendów przez lubiące mrożoną lasagne potomstwo Byków? Na to akurat pytanie komputery działu stat-rozu KrajBanDanu znały odpowiedź i chociaż nikt dotąd nie poprosił o dane na ten temat, były one gotowe do udostępnienia w każdej chwili, gdyby kogoś zainteresowały.

Podczas ostatniej kampanii wyborczej premier chełpił się, że zasoby „informacji” przechowywanych w cyfrowym archiwum KrajBanDanu podwajają się z dnia na dzień i liczba zgromadzonych tam „faktów” z życia każdego pojedynczego obywatela już dawno przekroczyła liczbę atomów we wszech-

świecie. Opozycja utyskiwała, że chociaż te dane statystyczne mogą wyrzucić wrażenie, to robi się w tym kierunku zdecydowanie za mało, a to, co się robi, też jest niewystarczające i mocno spóźnione.

Trafford głośno się właśnie nad programem, który miał ustalać korelację między marką lakieru do paznokci używanego przez daną osobę a liczbą oraz rodzajem spółgłosek występujących w jej nazwisku, kiedy usłyszał nad sobą:

– Może wyskoczmy na lunch? No wiesz, dzieciaczka należałoby oblać.

Trafford znał ten głos: należał do Cassiusa, najstarszego pracownika na piętrze Trafforda. Cassius nie miał tu właściwie nic do roboty. To, że trzymano go do tej pory na etacie, zawdzięczał tylko wydanemu przez rząd rozporządzeniu, które zabraniało prowadzenia polityki zatrudnienia dyskryminującej ludzi ze względu na wiek. W angażu Cassius miał zapisane, że ma siedzieć w kącie obok niepełnosprawnej kobiety przykutej do wózka inwalidzkiego i reprezentować starsze pokolenie. Oboje byli jeszcze intelektualnie sprawni – niedotknięci sklerozą, biegli w posługiwaniu się komputerem – a praca, jak to w KrajBanDanie, dziecinnie prosta i całkowicie bezcelowa, w związku z czym na wydajność nie kładziono specjalnego nacisku. Ale mimo to odsunięto ich od wprowadzania danych do komputera. Byli tu tylko po to, żeby rządowemu rozporządzeniu stało się zadość.

– Czy ja wiem... – Trafford nie odniósł się do tej propozycji ze szczególnym entuzjazmem, tym bardziej że do tej pory nie zamienił z Cassiusem ani słowa.

– Chyba że nie masz ochoty uczcić tego wydarzenia, bracie – powiedział Cassius i Traffordowi wydało się, że patrzy na niego jakoś tak znacząco. – Było nie było, jedno na dwoje dzieci umiera przed ukończeniem piątego roku życia. Co tu świętować?

Cassius mówił przyciszonym głosem. O śmiertelności dzieci nie rozmawiało się ot, tak sobie, a już na pewno nie ze świeżo upieczonym rodzicem, i gdyby Cassius zasunął taki tekst komuś innemu, kto niedawno został ojcem, jak nic obe-  
rwałby w nos.

– No dobrze – westchnął Trafford. – Chodźmy.

Sam nie wiedział, dlaczego się zgodził. Może dlatego, że Cassius powiedział na głos to, co jemu samemu chodziło od pewnego czasu po głowie. Jedno na dwoje. Faktycznie, co tu świętować? Czyż nie lepiej byłoby odłożyć publiczne świętowanie przynajmniej do czasu, gdy dziecko ukończy pięć lat?

Ku zaskoczeniu Trafforda Cassius nie zaprowadził go do najbliższego burger-bufetu w drugim końcu sali biurowej, nie zatrzymał się, również przy tym obok windy, ani przy tym w holu na parterze budynku.

– Muszę rozprostować nogi – wyjaśnił Cassius głośno, gdy mijali baterię kamer CCTV przy wyjściu. – Starzeje się człowiek. Ale ja się na to nie uskarżam, praca taka jak inne.

I tak Cassius nie zaciągnął Trafforda do żadnej innej burgerowni, lecz do małej podrzędnej knajpki z falafelami w ciemnej, zapyziałej, bocznej uliczce.

Trafford zatrzymał się na chodniku z desek przed wejściem.

– Tu mamy jeść? – spytał.

– Nie lubisz falafeli? – zdziwił się Cassius.

– Nie, nie w tym rzecz... tylko że...

– Tylko byś wolał, żeby to był Świat Falafela.

Trafił w sedno. Obskurna mała knajpka, przed którą stali, i owszem, serwowała falafele, ale nie należała do potężnej sieci zbiorowego żywienia Świat Falafela ani do nieco mniej popularnej, „konkurencyjnej” sieci Świat Falafelka (należącej, nawiasem mówiąc, do Świata Falafela). Był to niezależny lokal nastawiony na konsumentów wywodzących się z lokal-

nej podklasy nielegalnych imigrantów. Zaglądali tu tylko oni i policja. Dla dbającego o reputację, szacownego obywatela implikacje skorzystania z takiego przybytku były nietrudne do przewidzenia. Decydując się na falafele inne od preferowanych przez miliony współobywateli, robili afront społeczeństwu. Najwyraźniej uważali Świat Falafela za niegodny siebie, Świat Falafelka za jeszcze mniej godny, a każdy, kto pogardzał preferencjami ludu, uznawany był za zadufanego snoba, którego należało uważniej obserwować.

– Proszę, ja stawiam – powiedział Cassius. – Po prostu przepadam za falafelami z prawdziwego zdarzenia, takimi domowymi.

Zaskoczony zuchwalstwem towarzysza Trafford dał się wprowadzić do środka. Weszli po schodach wiodących z zatęchłego parteru do małej salki na pięterku, gdzie stały tylko trzy stoliki, wszystkie wolne. Cassius gestem ręki zaprosił Trafforda do zajęcia miejsca przy jednym z nich. Trafford rozejrzał się po ścianach, po czym usiadł plecami do kamery.

– Coś ci powiem – podjął Cassius rozbawiony. – Z moich obserwacji wynika, że jeśli ktoś chce pozostać niezauważonym, to niech się lepiej nie stara nie rzucać w oczy.

– Ja nie dlatego... – Trafford urwał, zdając sobie sprawę, że wypieranie się nie ma sensu. Cel jego manewrów był aż nadto oczywisty.

Cassius się uśmiechnął.

– Wszyscy w naszym dziale wiemy, że rzadko która z informacji gromadzonych przez władze jest analizowana. No bo jak by to było możliwe? Każdy z nas jest na bieżąco inwigilowany. Trzeba by każdemu obywatelowi przydzielić policjanta, który przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, nie śpiąc i nie jedząc, śledziłby cały spływający materiał na temat swojego podopiecznego. Do analizy dochodzi, kiedy dany osobnik zwróci czymś na siebie uwagę. Stąd wniosek, że najlepiej się

nie wychylać, a wtedy nie wywołamy wilka z lasu.

– Siedzimy w niezależnym lokalu, kolego – zauważył cierpko Trafford. Drażnił go protekcyjnalny ton Cassiusa.

– Ale legalnym.

– Owszem, tylko że do takich knajp zagląдают jedynie nielegalni imigranci.

– A może jesteście turystami albo socjologami zbierającymi materiały do pracy naukowej? Ewentualnie policjantami tropiącymi gwałcicieli z ościennych państw. Dopóki siedzimy spokojni i pewni siebie, nie zwracamy uwagi. Ściągniemy ją za to na siebie, jeśli zaczniemy się krygować i ukrywać swoje twarze przed kamerami.

– Nie byłoby sprawy, gdybyśmy poszli do Świata Falafela – odparował oschle Trafford. Wyprostował się jednak i spróbował rozluźnić.

Cassius zamówił dwa falafele i sałatkę.

– Smakuje? – spytał, kiedy Trafford wbił zęby w swój falafel i odgryzł pierwszy kęs.

Trafford się skrzywił.

– Nie, cierpki jakiś, w język szczypie.

– Nie cierpki, tylko pikantny.

– Cierpki.

– Nie śpiesz się z werdyktem. To tylko pierwsze wrażenie.

Trafford odgryzł drugi kęs. I w miarę, jak jego kubki smakowe oswajały się powoli z nowym bodźcem, zaczął dochodzić do wniosku, że, o dziwo, jedzenie czegoś, co nie jest słodkie i mdłe, też może być miłe dla podniebienia.

– Nie powiem – przyznał, przełykając – całkiem... całkiem...

– Ani kropelki syropu kukurydzianego – wyjaśnił Cassius. – Potrzeba paru chwil, zanim się człowiek przestawi i oswoi, ale warta skórka wyprawki. Robią je tu według wła-

snego przepisu. Sama drobno zmielona, odsączona ciecierzycą. Ich zdaniem falafel nie powinien być słodki.

Trafford znów rozejrzył się nerwowo po ścianach.

– Wszystko powinno być słodkie – oznajmił trochę zbyt stanowczo, jakby te słowa były przeznaczone dla uszu kogoś trzeciego. – To „oczywista oczywistość”. Słodycz krzepi. Im coś słodsze, tym smaczniejsze.

– Nikt nas nie podsłuchuje, Traffordzie – powiedział Cassius. – Do licha, pracujesz przecież w Krajowym Banku Danych, jesteś profesjonalistą. Wprowadziłeś już pewnie do bazy danych miliardy godzin ujęć z Telewizji Obywatelskiej. Słuchałeś kiedyś ścieżki dźwiękowej z materiału, który wprowadzasz?

Trafford się uśmiechnął. Faktycznie.

– Nie.

– No pewnie, że nie. Bo kto tego słucha. To nie tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty czwarty.

– Jaki znowu tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty czwarty?

– To rok Sprzed Potopu.

– Tyle sam wiem.

– I tytuł powieści.

Trafford przymrużył oczy. Czy to aby nie prowokacja? Prowokacje były na porządku dziennym. Mówiono o nich w każdym dzienniku: gładcy, młodzi policjanci, którzy na wabia przechadzają się po cywilnemu brzegami kanałów i aresztują sodomitów skuszonych ich wdziękami, dealerzy narkotyków, którzy okazują się być funkcjonariuszami agencji do walki z narkotykami, no i oczywiście strony internetowe rzekomo dla tych, którzy wierzą jeszcze, że ludzie pochodzą od małpy, przedstawiające dowody, że życie na Ziemi zakiełkowało przed milionami lat, a w istocie będące sponsorowanymi przez Świątynię pułapkami dla umysłów.

– Chcesz powiedzieć... fikcji literackiej? – spytał ostroż-

nie.

– Tak, *Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty czwarty* to powieść o społeczeństwie, w którym...

– Nie kończ, kolego! – wpadł mu w słowo Trafford. – Nie chcę tego słuchać. Powieści są bluźnierstwem, a fikcja literacka grzechem zapełnionym nieprawdziwymi ludźmi wykreowanymi przez ludzką wyobraźnię. Jestem wierzący i wiem, że ludzi może stwarzać jedynie Stwórca.

– No nie, ty mnie chyba bierzesz za niedowiarka, którego trzeba nawrócić... – zachnął się Cassius. Albo może za tajniaka?

– Za nikogo takiego cię nie biorę – zapewnił dobitnie Trafford.

Chciał, żeby jego stanowisko głośno i wyraźnie się nagrało. Każdy wiedział, że Przed Potopem na złą drogę sprowadzała ludzi głównie fikcja literacka. Spowiednik Bailey przypominał o tym swojej trzódce tydzień w tydzień. Opowiadał o tamtych strasznych czasach, kiedy społeczeństwo skolonizowane zostało przez „wydumane postacie”. O czasach, kiedy kanały telewizyjne roily się od ludzi, którzy udawali ludzi, a nimi nie byli! Od ludzi będących wytworem wyobraźni trzeciej partii, będących osobami fikcyjnymi. O czasach książek, ale nie takich, jakie nadal czytuje się w Erze Oświecenia, książek niemających nic wspólnego z książkami dobrymi, książkami o wierze, o objawieniach, aspiracjach i samorealizacji, z książkami doradzającymi, jak się wzbogacić, jak pozyskiwać przyjaciół, czerpać satysfakcję z uprawiania seksu i dominować w swojej grupie społecznej. Nie, tamte książki były powieściami i tysiącami tysięcy zapełniały półki domowych biblioteczek. Cały naród opętany obsesją na punkcie czegoś, co nie było prawdą, popadł w złudne przekonanie, że to, co potrafi wymyślić człowiek, jest piękniejsze, bardziej interesujące od dzieła bożego. Potem, dzięki Bogu, jeszcze Przed Potopem, nadszedł



czas, kiedy człowiek zaczął powoli odrzucać powieść na rzecz realu. Błogosławiony czas, kiedy nowe pokolenie zaczęło przeglądać się samo w sobie, oglądać w telewizji tylko siebie, czytać tylko o sobie w książkach lub czasopiśmie i tym samym celebrować realność tego, co stworzył Bóg.

– Daj spokój, Traffordzie – prychnął Cassius. – Nie jestem żadnym policjantem. Czy policjant siedziałby latami w kącie twojego biura po to tylko, żeby cię na czymś nakryć? Czyżbyś był kimś ważniejszym, niż mi się wydawało?

– Skądże znowu! – zapewnił Trafford trochę zakłopotany.  
– Ale wspomniałeś o *Tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym*. Powiedziałeś, że to...

– Powieść?

– Ciszej, na miłość boską!

– Moim zdaniem obcowanie z fikcją literacką nie jest żadnym grzechem – oznajmił Cassius.

– A właśnie że jest!

– Niby dlaczego?

– Dobrze wiesz, dlaczego. Wszyscy wiedzą. Dlatego że kiedy człowiek zaczął wymyślać te swoje niestworzone historie, duma i próżność przepełniły go z czasem tak bardzo, że ubzdurało mu się, iż potrafi napisać powieść o życiu – i tak doszło do popełnienia grzechu najcięższego ze wszystkich, kiedy to człowiek napisał powieść o Ziemi, ani słówkiem nie napomykając o Bogu!

– No, no... – Cassius spojrział na niego z kąpiącym podziwem. – Musiałeś być prymusem w szkole wiary, Traffordzie. Ty naprawdę wierzysz w ten bełkot?

Trafford wstał. Nie będzie się zadawał z idiotą, który koniecznie chce zostać aresztowany za bluźnierstwo. Umywa ręce.

– Do widzenia, Cassiusie – powiedział głośno i wyraźnie.

– Dziękuję za lunch, ale to był pierwszy i ostatni raz. Jeśli

będziesz chciał ze mną porozmawiać, równie dobrze możesz to zrobić w biurze.

– Jedno na dwoje – mruknął Cassius. – Jedno na dwoje umrze, Traffordzie.

Trafford został tam, gdzie stał. To przede wszystkim ta ponura statystyka skłoniła go do przyjęcia zaproszenia Cassiusa.

– Przestań to w kółko powtarzać! – krzyknął. – Bawi cię to, rajcuje? A może ty zboczony jesteś? Jeśli nie będziesz trzymał języka za zębami, zadenuncjuję cię na blogu.

– Nie drzyj się i siadaj – rzucił rozkazującym tonem Cassius. – Jeśli mnie zadenuncjujesz, to na samym wstępie zapytają cię, dlaczego w ogóle przyjąłeś moje zaproszenie na lunch. I dlaczego dałeś mi się zaciągnąć do takiego szemranego lokalu. Od zarzutu wspólnictwa nie tak łatwo się uwolnić. Zostałbyś z tym piętnem do końca życia, a Księżniczka Piczka zjadłaby cię żywcem.

Trafford przestąpił kilka razy z nogi na nogę, po czym usiadł naburmuszony.

– I przestań, do licha, udawać, żeś taki wierzący – podjął Cassius. – To się robi nudne.

– Ale ja jestem wierzący – zaperzył się Trafford, ale nawet w jego uszach zabrzmiało to nieszczerze.

– Skoro tak twierdzisz – westchnął Cassius.

– Po co mnie tu przyprowadziłeś?

– Chciałem cię lepiej poznać. Obserwuję cię od pewnego czasu i odnoszę wrażenie, że jesteś troszeczkę... inny.

– Wszyscy się od siebie różnimy, każdy z nas jest indywidualnością, jest niepowtarzalny i silny, jedyny w swoim rodzaju i dumny...

– Tak, tak – wpadł mu w słowo Cassius i Trafford po raz pierwszy usłyszał w jego tonie nutkę nerwowości – ale mnie nie o tę inność chodzi. Miałem na myśli prawdziwą inność. Zastanawiałem się nawet, czy ty aby nie masz jakichś... tajem-

nic.

Trafford zdał sobie sprawę, że zdradza go mina.

– Bez obawy – uspokoił go czym prędzej Cassius. – Nie ty jeden. Ja też mam swoje tajemnice. I to bardzo szczególne.

Trafford wzruszył ramionami, dając tym do zrozumienia, że jest gotów słuchać, ale niczego nie potwierdza.

– Zarzuciłeś mi, że rajcuje mnie śmiertelność wśród dzieci – ciągnął Cassius.

– Owszem, zarzuciłem.

Oczy Cassiusa rozbłysły gniewem.

– A nie zastanawia cię reakcja rządu i Świątyni na ten pomór? Nie zauważyłeś, że tylko biadolą, a nie robią nic, żeby znaleźć wyjście z sytuacji?

– Staram się o tym nie myśleć.

– No to, cholera jasna, najwyższy czas, żebyś pomyślał, Traffordzie! – uniósł się Cassius. – I pora, żebyś zadał sobie pytanie, co sam w tej sprawie zamierzasz.

– Nie rozumiem. A co ja mogę? Będę się modlił, będziemy skrapiali jej poduszkę olejkami lawendowym i...

– Modlić się będziesz, powiadasz? Modlić!

Trafforda zamurowało. W życiu nie słyszał tego słowa wypowiedzianego z taką pogardą.

– Czy wiesz – ciągnął Cassius – że chorobie, która zabija nasze dzieci, można zapobiegać?

Trafford wiedział tylko tyle, że powinien jak najszybciej stąd wyjść, bo rozmowa z minuty na minutę staje się coraz bardziej niebezpieczna i wywrotowa. Ale nie wychodził.

– Wiem... wiem, że ludziom tak się kiedyś zdawało – wybąkał – ale teraz już wiadomo, że byli w błędzie.

– Nie byli w błędzie – warknął Cassius.

– A ty niby skąd to wiesz?

Cassius zamówił kawę.

– Espresso! – zaordynował głośno. – Bez mleka, bez

pianki, bez cukru, bez śmietanki, bez żelków, bez niczego.

Dwie maleńkie filiżaneczki z chińskiej porcelany, które przed nimi postawiono, były najmniejszymi filiżankami do kawy, jakie Trafford w życiu widział, istne naporstki. Trafford przyzwyczał się do kawy serwowanej litrami w kartonowych wiaderkach.

Na zdrowie – powiedział Cassius, unosząc z wymuszonym uśmiechem filiżaneczkę i dorzucając: – Gdybym naprawdę był policjantem i gdybym w wyniku jakiegoś niebываłego zbiegu okoliczności patrzył teraz w monitor, to prawdopodobnie do głowy by mi nawet nie przyszło, że człowiek, który wykazuje się tak zuchwałą niekonwencjonalnością, jak zamówienie espresso, a do tego bez żadnych dosładzaczy, miał przed chwilą na końcu języka bluźnierstwo karane śmiercią.

Trafford zrozumiał, co Cassius ma na myśli, i też uniósł do ust filiżaneczkę. Skrzywił się odruchowo, bo kawa była piekielnie gorzka.

– Przywykniesz – uspokoił go Cassius.

Trafford nie miał ochoty dyskutować o kawie.

– Skąd wiesz, że kiedyś śmiertelność wśród dzieci nie była aż tak duża?

– Bo jestem szczepicielem – odparł Cassius.

Trafford słyszał o nich, rzecz jasna. Szczepiciele byli zło-wrogą, tajemniczą sektą praktykującą gusła mające swe ko-rzenie w Łże Erze. Bezbożnym bractwem, które w imię dawnej i zdyskredytowanej tak zwanej nauki znęcało się nad dziećmi.

– I kłujesz dzieci zatrutymi igłami? – spytał zdjęty grozą Trafford.

– Owszem, ale nie nazywaj tego kłuciem. To się nazywa „szczepienie”. Tak, robię to, kiedy tylko się da. Kiedy tylko nadarzy się sposobność i jeśli mam akurat pod ręką szczepionkę. Wiele rodzin, którym Pan jakoby błogosławi, zawdzięcza swoją wielodzietność właśnie mnie albo moim braciom i siostram. Wyszukujemy tych, którzy naszym zdaniem mają wolę i siłę myśleć samodzielnie, i pomagamy ich dzieciom przeżyć. Dlatego właśnie mój wybór padł na ciebie.

– Dlaczego... dlaczego akurat na mnie?

– Jak już wspomniałem, obserwuję cię od pewnego czasu – wyjaśnił Cassius. – I wyczuwam, że skrywasz jakieś tajemnice.

Trafford milczał.

– Straciłeś już jedno dziecko, prawda? Phoenix Podfruwajkę. Zmarła na tęzec?

– Tak. Któż nie stracił dziecka?

– Bardzo poruszająco to opisałeś. Zarchiwizowałem twój blog. Był piękny, choć przygnębiający. Zakładam, że nie chciałbyś przeżywać tego po raz wtóry.

– Chcesz zaszczerpić moje dziecko?

– To mój obowiązek. Złożyłem przysięgę, że będę ratował dzieci. Każdy szczepiciel ją składa.

– Powiniennem donieść na ciebie policji – mruknął Trafford.

Szczepienie było ni mniej, ni więcej, tylko człowieczą próbą odebrania Bogu przywileju kształtowania przeznaczenia. Wszyscy to wiedzieli. Kurowanie choroby lekami Świątynia dopuszczała, bo była to tylko reakcja post factum na wolę bożą, której już stało się zadość. Co innego szczepienia ochronne stanowiące przeciw próbę ingerencji w boski plan i mogące zaburzać jego przebieg, a nawet, o zgrozo, uniemożliwiać dopełnienie się czegoś, co zostało w nim zapisane. Była to czarna magia w jej najczarniejszej postaci. Jedyne Bóg miał wgląd w przyszłość i tylko On mógł ją kształtować. Uodpornianie na choroby czy to dziecka, czy dorosłego było ewidentną próbą podważania wyroków boskich, oszukiwaniem Boga, a tym samym, bezsprzecznie, świętokradztwem. Dla zwolenników owego kultu Świątynia rezerwowała najdotkliwszą inwektywę.

– Nie byłbyś pierwszy – westchnął z goryczą Cassius. – Wielu spośród moich braci i sióstr zadenuncjowanych przez rodziców, którym proponowali pomoc, znikło na zawsze w lochach inkwizycji. Wielu zostało zlinczowanych albo spalonych na stosie przez motłoch. Szczepiciel jest w świadomości społeczeństwa wrogiem wiary i musi się z tym liczyć. Interesujące, nieprawdaz?

– Interesujące?

– Widzisz, całkiem podobne zastrzeżenia można by wysuwać wobec innych gałęzi medycyny, które się jednak ostały

i są legalne. Weźmy taką transplantologię. Czym jest podawanie pacjentom po przeszczepie leków zapobiegających odrzuceniu przeszczepu, jeśli nie uodpornianiem ich na tę ewentualność? Czym jest chirurgia plastyczna, jeśli nie próbą poprawiania boskiego planu? A przecież upiększanie się, jak sam dobrze wiesz, to moralny obowiązek naszej tak zwanej płci pięknej.

Trafford wzruszył ramionami. Sprzeczności w naukach Świątyni było tyle, że dawno już przestał zwracać na nie uwagę.

– Czysta hipokryzja – mówił Cassius. – Jestem przekonany, że starszyzna Rady Najwyższej szczepi swoje rodziny, żeby zapewnić im przetrwanie. Nie byłiby pierwszymi w dziejach despotami, którzy potajemnie korzystają z dobrodziejstw, których odmawiają swoim poddanym.

– Ale szczepienia nie spełniają swojego zadania. Nigdy nie spełniały – zaprotestował Trafford. – Wiem, bo interesowałem się tym tematem.

– A więc jednak.

– Czytałem na Googu. Przyznaję. I wyczytałem, że jeszcze Przed Potopem ludzie zaczęli sobie uświadamiać, że szczepienia bardziej dzieciom szkodzą, niż pomagają.

– Przyznaję, tak wtedy uważano.

– Sporo o tym czytałem. Szczepienia wywoływały niepożądane skutki uboczne, od autyzmu poczynając, a na otyłości kończąc. Zaprzestano tych praktyk jeszcze przed nastaniem Ery Oświecenia. Kiedy nie było jeszcze Świątyni.

– Zgadza się. Tamte beztroskie czasy, kiedy śmiertelność wśród dzieci była czymś marginalnym, tak uspiły czujność ludzi, że w swej krótkowzroczności i głupocie zrezygnowali ze szczepień. Jeszcze Przed Potopem i nadejściem tak zwanego Oświecenia nawet inteligentni z pozoru ludzie dopatrywali się w nich czegoś podejrzanego. No i, oczywiście, bardzo się

mylili.

– Skąd wiesz?

– Intuicja – odparł z uśmiechem Cassius. – A ona nigdy mnie nie zawiodła.

Trafford nie wiedział, co odpowiedzieć. Kierowanie się intuicją nie było, jak dotąd, zakazane. I nawet w ogniu takiej jak ta, w najwyższym stopniu niebezpiecznej dyskusji, instykt podpowiadał Traffordowi, że nie wypada robić Cassiusowi przykrości, podając w wątpliwość jego intuicję.

– Ja ratuję dzieci, Traffordzie – podjął Cassius zdecydowanym tonem. – Niemal na pewno mógłbym uratować i twoje. W czasach, kiedy szczepienia były powszechnie akceptowane – a szczyt ich popularności przypadł na trzecią ćwiartkę dwudziestego wieku Przed Potopem – całe społeczeństwo dostrzeżało ich zbawienny wpływ i w wieku niemowlęcym umierało zaledwie jedno dziecko na tysiąc.

– To kłamstwo!

– Teraz umiera ich pięćset.

– Kłamstwo. Zachowały się dane statystyczne z tamtego okresu. Przeglądałem je. Śmiertelność niemowląt w epoce, gdy uważano, że człowiek pochodzi od małpy, była tak samo wysoka jak teraz.

– Ja też widziałem te statystyki.

– Chyba nie powiesz, że są sfałszowane?

– Nie.

– W całej mojej karierze zawodowej nie zaprogramowałem nigdy ani jednej fałszywej statystyki. I nie prosił mnie nigdy o to żaden z kierowników działu.

– Statystyki mają to do siebie, że nie trzeba się wcale uciekać do fałszerstwa, żeby powiedziały to, co chcesz usłyszeć. Wystarczy je tylko odpowiednio zinterpretować. – To powiedziawszy, Cassius wstał. – Chodźmy. Zasiedzieliśmy się tu trochę. Wypada wrócić do pracy. Nawet stary wyga powi-



nien od czasu do czasu stwarzać pozory.

## 9

Kiedy Trafford z Cassiusem wślizgiwali się do biura, trwała tam kolejna impreza. Zespół działu stat-roz powiększył się o nową pracownicę Crestę Fiestę, młodą dziewczynę po college'u, i uroczystość weszła właśnie w fazę obściskiwania.

Sala rozbrzmiewała pokrzykiwaniami i piskami, każdy po kolei, z rozanieloną miną, porywał w objęcia nowy narybek. Cresta Fiesta ze swej strony szczebiotała, jaka to jest niby wniebowzięta, że będzie pracowała w takim niesamowicie cudownym i zgranym kolektywie, a kolektyw prześcigał się w zapewnieniach, że jest jeszcze bardziej wniebowzięty, pozyskując tak przesympatyczną nową koleżankę. Gremialnie wyrażano przekonanie, że to ogromnie ekscytująca i najszcześniejsza z chwil, która bez wątpienia zaowocuje wieloma dozgonnymi przyjaźniami.

Obściskiwanie stanowiło bardzo ważny element rytuału witania nowo zatrudnionych i wielkim błędem byłoby nie przyłączyć się do niego z entuzjazmem. Sztywny kodeks towarzyskich zachowań nakazywał w takich przypadkach okazywanie spontanicznej, ocierającej się o histerię radości przejawiającej się salwami perlistego śmiechu i wylewnym okazywaniem pozytywnych emocji rozbudzonych tym niecodziennym wydarzeniem. Kto nie tryskał stosownym entuzjazmem, uznawany był za czarną owcę i potępiany. Tak więc cały personel działu

stat-roz tłoczył się teraz wokół nowej i rozrzucając szeroko ramiona, czekał na sposobność, by zademonstrować swoją emocjonalną otwartość i gotowość do przyjęcia jej na łono zespołu w imię Miłości.

Trafford wyczuwał, że większość zebranych tutaj pracowników nie miałyby nic przeciwko temu, żeby obściskiwanie zakończyło się z chwilą, kiedy ostatni z nich wyściska nową, wycaluje ją i da wyraz swojej sympatii, ale, co było do przewidzenia, Księżniczka Piczka włączyła do programu powitania niespodziankę.

– Jakaś ty młodziutka! Dziecko prawie! – zapiała zmanierowanym, piskliwym głosem małej dziewczynki, który w zestawieniu z jej posturą czynił ją jeszcze bardziej odrażającą. – Podejdz tu do mnie. Podejdz tu szybko, panno Cresto Fiesto, i jeszcze raz mnie uściskaj! Chcę, pragnę, byś porwała mnie w ramiona!

Cresta Fiesta posłuchała, podeszła i utonęła w cycatych objęciach. Okrzyki, pohukiwania, oklaski.

– To zgrany personel – ciągnęła Księżniczka Piczka, nie wypuszczając Cresty Fiesty z mocarnych objęć. – Zgrany, silny i dumny. Wszyscy tu jesteśmy szczęśliwymi, silnymi i uduchowionymi ludźmi. Ale nie tolerujemy snobów ani odludków, rozumiesz? Zakłamanych suk też nie lubimy i wygarniamy im to w oczy. Jeśli masz coś do ukrywania, to nie ma z nami kolegowania. Dobrze mówię, malutka? Tacy już jesteśmy. I albo to akceptujesz, albo żegnamy, bo my się nie zmienimy. Mogę prosić o aplauz?

Krąg pracowników, z Traffordem i Cassiusem włącznie, zareagował na ten apel brawami i gwizdami.

– Wiem o tobie dużo więcej, niż myślisz, panno Cresto Fiesto – podjęła Księżniczka Piczka. – Czyż to nie urocze imię, nawiasem mówiąc!

Znowu wiwaty, podczas których Księżniczka Piczka i

Cresta Fiesta obejmowały się i ścisnęły jak dwie lesbijki, chociaż znały się od niespełna pięciu minut.

– O tak, wszystko o tobie wiem, malutka ty moja! – krzyknęła Księżniczka Piczka we włosy Cresty Fiesty. – Prześwietliłam cię na Googu, koleżanko! O tak, na Tubie też cię sprawdziłam i powiem ci, dziewczyno, że podoba mi się, co tam o tobie znalazłam!

– O mój Boże! – pisnęła nowa przez jedno z wielkich kół zwisających z uszu Księżniczki Piczki. – Nie zrobiłaś tego! Nie zrobiłaś! Ja się zabiję!

– A zrobiłam! Przeogogowałam cię, dziecino, i mało tego, ściągnęłam coś niecoś z tego, na co tam natrafiłam. Obejrzyjmy to teraz, Cresto Fiesto, malutka ty moja, bo nie da się ukryć, że to twoje życie!

– O mój Boże! – kwiknęła Cresta Fiesta. – O Bożeż Ty mój!

– Pamiętasz, jak w swoje piąte urodziny umazałaś sobie nosek tortem? Jakież to zabawne! Ładniutka wtedy byłaś!

Księżniczka Piczka nacisnęła klawisz laptopa i na wideo-ścianie pojawiło się ściągnięte z sieci zdjęcie z urodzinowego przyjęcia pięciolatki. Gruchnęły owacje, a Cresta Fiesta znowu zakwiczła w udawanym proteście.

– Chwila, chwila, chwila! – krzyknęła Księżniczka Piczka. – To dopiero preludium! Najlepsze jeszcze przed nami.

Na ekranie pojawiła się dziewczynka z noskiem umazany tortem i personel biura gromko wyraził swój zachwyt. Potem nastąpiły fotografie dorastającej Cresty Fiesty bawiącej się w burger-restauracjach, jeżdżącej na rowerze, próbującej, a jakże, sił w karaoke, a potem ubranej w różowe bikini na uroczystości rozdania dyplomów ukończenia szkoły średniej.

– Tak, tak, małe dziewczynki rosną, nieprawdaż, Cresto Fiesto? – zażartowała Księżniczka Piczka. – A jakie było uwieńczenie tamtego niezapomnianego wieczoru!

– Nie! – pisnęła Cresta Fiesta. – Nie pokażesz tego!

– A pokażę – powiedziała Księżniczka Piczka i naciskając ponownie klawisz laptopa, puściła filmik wideo z dwojgiem kopulujących nastolatków w rolach głównych. Cresta Fiesta piszczała i krzyczała, wtulając twarz w obfity biust Księżniczki Piczki, a wszyscy klaskali, wiwatowali i pocieszali ją, że materiały zamieszczone na ich temat w sieci są równie frywolne.

– Ślicznie wyszłaś, malutka! Tak seksownie – zapewniała Księżniczka Piczka. – Ja w dzień inicjacji nie miałam nawet na sobie bikini! Możesz sprawdzić na mojej stronie Masz Twarz, kociątko, przemontowałam kilka scen, padniesz, jak zobaczysz!

Przyszła pora na powiększanie przez Crestę Fiestę piersi.

– Nie miałam jeszcze szesnastu lat – wyjaśniła uroczystym tonem Cresta Fiesta – ale prosiłam i prosiłam, i w końcu mama mi pozwoliła.

– Brawo, mamusiu! – zachrypiała Księżniczka Piczka. – To taki szczególny moment, kiedy mama pozwala swojej córeczce zrobić coś z cycuszkami.

– Ja po prostu wiedziałam, że to mi pomoże, i bardzo tego chciałam! Rozumiecie? Chciałam być jak najbardziej piękna. Na chwałę Pana i Miłości. Tak piękna, jaką chce mnie widzieć Miłość.

Znowu aplauz, pohukiwania, a na ekranie nieprzytomna szesnastoletnia Cresta Fiesta na stole operacyjnym z rozciętymi piersiami, w trakcie wszczepiania implantów.

– W wieku szesnastu lat, moi państwo! – zakrzyknęła Księżniczka Piczka, przesywając powietrze zaciśniętą pięścią. – Cóż za świadectwo szacunku dla Pana! No, malutka, pokaż nam efekt!

Zebrani wyrazili huraganem oklasków, gwizdów i zachęt swoje poparcie dla tej propozycji. Młoda kobieta ściągnęła

kusą top bluzkę, rozpięła biustonosz i dumnie wyeksponowała ogromne nagie piersi.

– Dzięki nim poczułam się bardziej kobietą – wyznała Cresta Fiesta. – Nauczyły mnie kochać swoje ciało, rozwijać się i wierzyć w siebie, i jeszcze bardziej w mojego Stwórcę, i żywić dla niego jeszcze większy szacunek.

– I tak trzymać, dziecino! Tak trzymać! – krzyczała Księżniczka Piczka. – Bo nie zapominaj ani na chwilę, że jesteśmy stworzeni na obraz i podobieństwo Pana i kiedy ludzie patrzą na nas, to tak, jakby patrzyli na Boga!

Znowu aplauz, ale tym razem bardziej stonowany. Wszyscy pochylili głowy, padło chóralne „amen”.

– Zgadzasz się ze mną, Sandro Dee? – podjęła Księżniczka Piczka ze zjadliwą nutką w głosie.

Oczy wszystkich skierowały się na Sandrę Dee.

Sandra Dee wyglądała na jakieś dwadzieścia pięć lat. Do zespołu dołączyła niedawno i od razu stała się obiektem jadowitych uwag Księżniczki Piczki. Po części dlatego, że nie miała powiększonych piersi. Miłość obdarzyła ją biustem przeciętnych rozmiarów, a ona nie zrobiła nic, by ten stan rzeczy zmienić. W zasadzie nie miała takiego obowiązku, bo prawo nie obligowało obywaterek do powiększania biustu. Ale od kobiet o małych piersiach oczekiwała tego Świątynia i zapominanie o tym było czymś szokującym i niekonwencjonalnym. W niektórych ortodoksyjnych rodzinach zdarzało się, że młoda kobieta drobnej kości, z niedostatecznie wykształconym biustem, niewyrażająca chęci skorygowania tej ułomności, była siłą przywożona na zabieg przez krewnych płci męskiej. Bracia, ojciec, wujowie i kuzyni odurzali ją i wieźli nieprzytomną do szpitala, gdzie po pewnym czasie budziła się z piersiami jak balony, jak na szanującą się kobietę przystało. Nazywało się to „honorowym powiększaniem”.

Sandra Dee wytrzymała złe spojrzenie Księżniczki Piczki,

ale nic nie powiedziała. Trafford był pod wrażeniem. Mało kto ważyłby się zrobić taki afront Księżniczce Piczce, kiedy ta była „w szwungu”. Księżniczka Piczka była zgryźliwa, bezkompromisowa, i szczyciła się tym, że ma w wielkim poważaniu, co kto sobie o niej pomyśli. Była straszna, ale taka już była, i jeśli się to komuś nie podobało, tym gorzej dla niego.

– Ciekawam, co sobie myśli teraz Stwórca, jeśli na ciebie patrzy, Sandro Dee – ciągnęła Księżniczka Piczka najjadowitszym z tonów, których miała cały arsenał.

– Nieodgadnione są myśli Miłości – odparła cicho Sandra Dee.

– Alleluja! – krzyknął Trafford, boksując pięścią powietrze.

Wszyscy na niego spojrzeli. Nie ulegało wątpliwości, że wydał ten okrzyk, by wesprzeć Sandrę Dee, z drugiej strony Księżniczka Piczka i jej przydupasy nie mogli mu niczego zarzucić, bo allelujowanie było zawsze na miejscu.

– Alleluja! – powtórzyła za nim chórem cała grupa. Mimo wszystko stali w obściskółku i to obligowało ich do podchwytывania tego rodzaju spontanicznych okrzyków.

– Chwała Miłości! – krzyknął Trafford, ponownie boksując pięścią powietrze.

– Chwała Miłości! – zawtórowała mu grupa i Trafford zauważył, że Kahlua, Cassius oraz kilka innych osób, które zawsze traktowały takie imprezy ze źle skrywaną rezerwą, teraz wykrzyczało te słowa z autentycznym entuzjazmem. Za to Sandra Dee, jakby nie dostrzegając, co się wokół niej dzieje, nadal mierzyła wzrokiem swoją prześladowczynię.

Księżniczkę Piczkę najwyraźniej trafiał szlag. Nie przywykła, żeby zbijano ją z pantaląku, kiedy rusza do frontalnego ataku.

– Och, a mnie się wydaje, że potrafimy bez trudu odgadnąć, co myśli Miłość o tej konkretnej sprawie, moja kochana –

wywarczała.

– Doprawdy? – Sandra Dee uniosła brew.

Trafforda zachwyciła jej odwaga, bo nikt nigdy nie postawił się Księżniczce Piczce. Sam przerwał jej przed chwilą tylko pod pretekstem religijnego uniesienia. Korciło go, żeby powtórzyć gest pięścią i jeszcze raz zakrzyknąć „alleluja”, ale nie starczyło mu odwagi. Przeważająca część obściskółka patrzyła na Sandrę Dee z najwyższą dezaprobatą i wrywanie się z okazywaniem emocji klóących się z nastrojami większości nie byłoby roztropne. Jeden taki wyskok, choć bardzo dwuznaczny, był jeszcze do przyjęcia, ale drugi zostałby uznany za ewidentny dowód braku szacunku. Natomiast ludzie niepotrafiący uszanować dezaprobaty tłumu stawali się nieuchronnie jego następną ofiarą. Pozostawało mu więc tylko patrzeć na Sandrę Dee z subtelnym, taką miał nadzieję, współczuciem.

– Moim zdaniem, Sandro Dee – krzyknęła Księżniczka Piczka – Stwórca rzucił ci wyzwanie, którego ty, dziewczyno, nie podjęłaś! Dał ci łono i broszkę, żeby nikt nie miał wątpliwości, żeś jest córą Ewy i siostrą Diany, która kocha wszystkie dzieci, ale nie był zbyt szczodry, jeśli chodzi o cycki, prawda, dziewczyno?

– Nie mam o to do niego pretensji – odparła Sandra Dee.

– Taaak!? I cała nasza reszta ma na to spokojnie patrzeć!? Ale co ciebie to obchodzi, prawda, Sandro Dee? Uznałaś, że takie ci do szczęścia wystarczą, a mnie się wydaje, że najwyższa pora, żebyś poszła po rozum do głowy, Sandro Dee! Pora, żebyś stała się taką kobietą, jaką chce cię widzieć Bóg.

– A mnie się wydaje, że Bóg chce mnie widzieć właśnie taką, jaką jestem – odparła spokojnie Sandra Dee. – Po to mnie taką stworzył.

Na te słowa ktoś wydał cichy okrzyk zaskoczenia. Traffordowi przemknęło przez myśl, że to Kahlua, ale ktokolwiek to



był, teraz powtarzał go cały krąg. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że Sandra Dee zapoczątkowała właśnie proces, w wyniku którego jej życie stanie się wkrótce pasmem udręki.

– Jesteś czynną lesbijką, Sandro Dee? – spytała zjadliwie Księżniczka Piczka. – Uprawiasz seks z kobietą?

Księżniczka Piczka uciekła się do swojej ulubionej metody rzucania w ciemno nieuzasadnionych oskarżeń. Trafford wątpił, by miała jakiegokolwiek dowody na poparcie swojego zarzutu; lesbijstwo było, mimo wszystko, poważnym przestępstwem.

– Nie – odparła Sandra Dee.

– W takim razie zrób wreszcie coś ze swoimi cyckami, kobieto, bo obrażasz Boga i przynosisz wstyd całemu działowil!

Sandra Dee nic tym razem nie odpowiedziała. Uciekła w milczenie. Świąteczna jeszcze przed chwilą atmosfera zagęściła się, siadła. Cresta Fiesta, na której cześć odbywała się ta powitalna uroczystość, poczuła się zobligowana do zabrania głosu.

– Masz piękne włosy, Sandro Dee – odezwała się. – Prawda, że ma?

– Uroczę to było, Cresto Fiesto – zapiała Księżniczka Piczka. – I takie do ciebie pasujące. A teraz zapraszam na tort!

Trafforda bardzo zaskoczyło, że Księżniczka Piczka daje za wygraną. Fakt, że Sandra Dee nie ugięła się pod ciężarem jej inwektyw, wyraźnie wyprowadził ją z równowagi. Matka powtarzała mu zawsze, że najlepszy sposób na gnębicieli to ostro im się stawiać, ale ponieważ stawianie się gnębicielom takim jak Piczka mogło pociągnąć za sobą kampanię oszczerstw i donosów do inkwizycji, nigdy nie uciekł się do tej metody.

Impreza przeskoczyła tymczasem o kolejny ząbek. Do biura wniesiono ogromny tort powitalny oraz pudła pełne mrożo-

nych pączków i posypanych czekoladowymi wiórkami bułeczek. Jednak Sandra Dee skierowała się do swojego biurka, by podjąć pracę. Ścigały ją skonsternowane, rozeźlone spojrzenia Księżniczki Piczki i jej popleczników. Odmowę podzielenia się tortem ze współpracownikami uznawano za szczyt chamstwa, ale Sandra Dee zdawała się nic sobie nie robić ze złych emocji, które prowokowała. Kiedy go mijała, Trafford jeszcze raz spróbował dać jej wzrokiem do zrozumienia, że trzyma jej stronę, ale ona chyba niczego nie zauważyła. Może dlatego, że wpychał sobie w tym momencie do ust lukrowany pączek.

# 10

Kiedy uroczystość dobiegła wreszcie końca i Trafford wrócił za swoje biurko, podszedł do niego Cassius, przysunął sobie krzesło i usiadł.

– Byłbym bardzo zobowiązany, gdybyś mi zdradził, co robisz przez cały dzień na tych wielkich ekranach – zagadnął pogodnie. – Może i mam swoje lata, ale umysł u mnie jeszcze chłonny, więc czemu by się nie podszkolić.

– I tak trzymać! – wrzasnęła Księżniczka Piczka z drugiego końca sali, gdzie wtajemniczała Crestę Fiestę w zasady biurowej ligi paintballa. – Chwała Miłości!

– Chwała Miłości! – podchwycił Cassius, składając dłonie jak do modlitwy, a potem wyprowadzając w powietrze energiczny cios zaciśniętą pięścią.

Trafford zerknął w inny koniec sali, gdzie przy komputerze siedziała Sandra Dee. Obejrzała się odruchowo na Cassiusa tak służalczo demonstrującego swoją pobożność. Traffordowi wydało się, że dostrzeżę ironiczny uśmiezek przemykający przez jej beznamiętną zwykle twarz.

Po chwili Cassius, upewniwszy się, że nikt nie zwraca już uwagi ani na niego, ani na Trafforda, wychylił się zza ramienia tego ostatniego i zaczął stukać w klawiaturę.

– To właśnie robisz? – spytał niewinnie, zanurzając się krok po kroku, z wprawą eksperta, coraz głębiej w ocean

archiwów KrajBanDanu. – To tutaj wędruje i jest przechowywana każda sekunda naszego życia?

Cassius podał wyszukiwarce 15. rok Przed Potopem.

– Miał wtedy numer dwa tysiące czternaście – mruknął. – Wybrałem go na chybił trafił. Może być?

Trafford kiwnął głową i Cassius nacisnął klawisz „enter”.

W jednej chwili ekran komputera zapelniał się danymi statystycznymi sprzed blisko stulecia. Liczby, miejsca, daty, a wszystko to dotyczące dziesiątek tysięcy dzieci umierających co roku wkrótce po przyjściu na świat, na którym nie było jeszcze wtedy ani Trafforda, ani Cassiusa.

– No widzisz? – powiedział Trafford. – Dwa miesiące... tydzień... jeden dzień. Jakkolwiek by na to patrzeć, Przed Potopem dzieci umierały jeszcze wcześniej niż teraz. Większość nie dożywała nawet pierwszych urodzin. Nie uchroniła ich – zniżył głos do szeptu – ówczesna nauka.

– Na to wygląda – przyznał Cassius, po czym znowu pochylił się nad klawiaturę komputera Trafforda, postukał w klawisze, wcisnął „enter” i wszystkie liczby na ekranie się zmieniły. – A co powiesz na to?

– Co zrobiłeś? – spytał Trafford.

– Przesunąłem słupki – wymamrotał Cassius z ustami pełnymi maślanej bułeczki. – Odjąłem dziewięć miesięcy od wszystkich wyświetlonych tu dat zgonów. Jak widzisz, większość liczb poprzedzona jest teraz znakiem minus, czyli jest ujemna.

– I co z tego?

– Zwróć uwagę, że dzieci, które w oficjalnej wersji tej statystyki zmarły w wieku, dajmy na to, czterech i pół roku, teraz figurują na tej liście jako zmarłe w wieku trzech lat i dziewięciu miesięcy. Natomiast dzieci, które w tamtej wersji zmarły w trzecim miesiącu życia, teraz śmierć zabrała w minus szóstym miesiącu.

Trafford wzruszył ramionami.

– A jak miałyby być inaczej, skoro od każdej daty zgonu odjąłeś sztucznie dziewięć miesięcy.

– Otóż to. Zauważ, że daty zgonu wszystkich dzieci, które zmarły w pierwszych miesiącach życia, są teraz poprzedzone znakiem minus. Czwarty miesiąc staje się minus piątym miesiącem. Jeden miesiąc – minus ósmym. Tysiące tysięcy ujemnych dat reprezentują dzieci, które najwyraźniej zmarły, zanim zdążyły przyjść na świat.

– No, to już zupełna bzdura – zachnął się Trafford poirytowany. Cassius miał w sobie coś z nauczyciela, co działało mu na nerwy, nawet jeśli tamten mówił z sensem. – Jak można umrzeć przed urodzeniem? Co starasz się mi pokazać?

– Że te dzieci faktycznie zmarły przed urodzeniem.

– Nie rozumiem. Przecież odjąłeś tylko dziewięć miesięcy od...

– No właśnie. Dziewięć miesięcy. Tyle trwa ciąża. W statystykach śmiertelności dzieci z czasów Przed Potopem nie wzięto pod uwagę daty narodzin, lecz przybliżoną datę poczęcia.

– Nadal nie...

– Nie kojarzy ci się to ze środkami wczesnoporonnymi?

– A co to są środki wczesnoporonne?

– To tabletki, które kobieta mogła zażyć nazajutrz po stosunku. Skutecznie czyściły jej łono z niepożądanych zarodków.

– Masz na myśli chemiczną aborcję?

– Tak również można to nazwać.

– Przecież to niezgodne z prawem.

Trafford był na tyle dobrze wykształcony, by wiedzieć, że Przed Potopem chemiczne wywoływanie wydalenia formującej się dopiero z komórek zygoty nie było uważane za usunięcie płodu. Świątynia miała na ten temat inny podgląd. Aborcja

była aborcją od pierwszej sekundy poczęcia, a tym samym zbrodnią. Natomiast tak zwane pigułki następnego poranka stanowiły niewątpliwie jeden z czynników, które przepełniły czarę i rozsierdziły Miłość tak bardzo, że ukarała ludzkość potopem.

– Pragnę ci tylko uzmysłwić, Traffordzie – ciągnął Cassius wciąż z tym samym wymuszonym uśmiechem – że ktośkolwiek prowadzi statystyki śmiertelności niemowląt, wychodzi z założenia, że życie dziecka rozpoczyna się z chwilą poczęcia.

– Bo tak przecież jest! – zaperzył się Trafford i rozejrzał nerwowo.

– Jest albo nie jest, oto jest pytanie – wymruczał Cassius. – W każdym razie od jakiegoś czasu Świątynia nie dopuszcza aborcji ani nawet stosowania środków wczesnoporonnych, tak więc obecnie statystyki śmiertelności liczone są od daty narodzin. Żeby mieć porównanie, trzeba w statystykach Sprzed Potopu uwzględnić tylko liczby dodatnie, czyli zgony tych dzieci, które zmarły już po przyjściu na świat.

Palce Cassiusa znowu zatańczyły na klawiaturze Trafforda, z ekranu zniknęły wszystkie daty poprzedzone minusem i prawie nic na nim nie zostało.

– Widzisz – ciągnął Cassius – prawda jest taka, że był czas, kiedy zaledwie garstka nowo narodzonych nie dożywała wieku dojrzałego. W Brytanii może jedno na dwieście, a nie jedno na dwoje, jak dzisiaj. A to dzięki szczepieniom. Dlatego zostałem szczepicielem. Ratowanie dzieci przed śmiercią to moje powołanie i mój moralny obowiązek. To, jeśli wolisz, moja wiara. Wiem, że kiedyś zapłacę życiem za moje przekonania, ale się nie cofnę.

Cassius zebrał z biurka papierowe talerzyki i kubki.

– Wiesz, Traffordzie – dodał cicho – kiedyś przeciwko tępcowi szczepiono rutynowo. Gdyby twoja pierwsza córeczka

urodziła się w tamtej ciemnej, zabobonnej erze Przed Potopem, żyłaby do dzisiaj a z czasem stała się dorosłą kobietą.

Wróciwszy do domu, Trafford zastał Chantorrię karmiącą dziecko piersią. Siedziała na kanapie naga, w samych tylko kapciach i ze ścierką na podołku, okrywającą dwudniową szczecinkę zarostu na wżórku łonowym.

– Cześć, kochanie. Cześć, dzidziuniu – pozdrowił Trafford swoją rodzinę. – Cześć, Barbiello – dorzucił, spoglądając na ścienny ekran i kiwając głową. – Na czat-roomie wszystko w porządku?

– Fjacksonajlepsym, Traforcie, ciekuje – wymamrotała z ustami pełnymi chipsów cyfrowa reprezentacja Barbielli.

Trafford pochylił się nad stolikiem do gier wideo, żeby pocałować żonę. Pokoik był tak malutki i zagracony, że dotarcie ustami do nadstawionego policzka Chantorrii stanowiło nie lada wyzwanie. Trafford musiał się oprzeć rękami o podkurczone nogi Chantorrii.

– Auć! To boli!

– Przepraszam.

Kanapa też była nieduża, dwuosobowa, niewiele większa od płaskiej paczki, w której dostarczono ją ze sklepu, a mimo to zajmowała całą szerokość jednej ściany pokoju. Ale Trafford i Chantorria i tak byli szczęśliwi, że przyznano im taki metraż. Mieszkali tu tylko we trójkę, a w myśl prawa lokalowego mieszkanie o takiej powierzchni przysługiwało rodzinie



co najmniej sześćoosobowej, a w wielu mniejszych zagęszczenie było jeszcze większe, sięgające dziesięciu do dwunastu osób. Klątwa Miłości uczyniła Londyn bardzo, ale to bardzo małym miasteczkiem, które z upływem czasu coraz bardziej się kurczyło.

– Jest jakieś zainteresowanie? – spytał Trafford.

– Trzyosobowe – odparła Chantorria, pokazując głową bez większego entuzjazmu kamerę internetową, którą na czas karmienia dziecka ustawiła na poręczy kanapy.

Trafford dotknął przycisku wristopa\* na nadgarstku.

\* *wrist* (ang.) – nadgarstek

Na ściennym ekranie pojawiły się twarze trzech osób skłonnych dzielić z Chantorrią jej szczęście. Dwie należały do matek z ich bloku. Obie były, oczywiście, nagie, jedna karmiła piersią swojego oseska, druga straciła niedawno dziecko, umarło na koklusz, i przyglądała się tylko z pobudek emocjonalnych.

Trafford podkreślił z wristopa siłę głosu.

– Musiałam niedawno przyjąć do wiadomości, że wszystko dzieje się w jakimś celu – mówiła ta w żalobie. – Moje dzieciątko jest teraz w lepszym miejscu, w ciepłe, bezpieczne, otoczone miłością przez Miłość.

– Witaj, Tinkerbelciu – powiedział Trafford z taką emfazą, na jaką potrafił się zdobyć. – Jak samopoczucie?

– Obłeci. Dziękuję, Traffordzie. Staram się nie poddawać – odparła Tinkerbelcia, ocierając oczy rąbkiem różowej ścierki do naczyń. – Mówiłam właśnie, że dzięki temu, czym doświadcza mnie Miłość, stanę się w końcu lepsza. Od śmierci Gucciego KitKata dużo z Nim rozmawiam i On nakazuje mi stanowczo, żebym była si... sil...

Siła, do zachowania której zachęcała ją Miłość, właśnie Tinkerbelcię opuściła. Załamała się i rozplakała. Trafford usłyszał w tle chór pełnych współczucia pocieszających ją

głosów.

– Ach, te dzieci... te dzieci... te dzieci...

– Bądź silna, dziewczyno. Mały KitKacik jest teraz pod opieką Pana.

– Czas goi rany.

Trafford kliknął na licznik uczestnictwa i w rogu ekranu pojawiła się liczba informująca, że z Tinkerbelcia, włączając w to jego i Chantorrię, łączy się w bólu czterdzieści siedem osób.

– Czterdzieścioro siedmioro przyjaciół – zachwyciła się Chantorria. – Coś niebywałego, Tinkerbelciu, wszyscy jesteśmy z tobą.

Chantorria nie dodała, że to istny tłum w porównaniu z zaledwie trzema osobami, które poświęciły uwagę jej szczęściu, ale Trafford wiedział, że tak sobie pomyślała. Wiedział, że Chantorria bardzo przeżywa to śladowe zainteresowanie ich rodziną. Nie to, żeby ich w jakiś szczególny sposób skazywano na ostracyzm, po prostu nie cieszyli się popularnością i Chantorrii było przykro, że tylko trzy osoby zdecydowały się popatrzeć, jak karmi piersią. Ludzie niepopularni i mało znani łatwo stawali się obiektem prześladowań. Im jak dotąd się to nie zdarzyło, w każdym razie nie w jakimś znaczącym stopniu, ale jeśli któraś z grubych ryb z ich kamienicy ubzdura sobie, że zależli jej za skórę, nie będzie miał ich kto bronić. W takiej zwartej społeczności izolacja nie była zdrowa.

I to dlatego Chantorria wciąż upominała Trafforda, żeby w bardziej wylewny sposób okazywał Barbielli sympatię. Barbiella była oczami i uszami całego bloku, potężną wszechwidzącą nadzorczynią, i chociaż otyłość nie pozwalała jej opuszczać mieszkania, to obecna była w każdym lokalu. Barbiella mogła być nieocenionym sprzymierzeńcem, ale również groźnym wrogiem, a którą z tych ról przyjmie, zależało od wiarygodności pochlebstw oraz ilości poświęcanego jej czasu.

Trafford, choć bardzo się starał, nie potrafił się przemóc i okazywać temu babsztylowi takiego szacunku, na jaki w swoim mniemaniu zasługiwała.

– Tylko trójka – powiedziała Chantorria z wymuszonym chichotem, a potem scenicznym szeptem dodała: – W tym jeden zboczek.

Trzeci widz ze ściennego ekranu, mężczyzna w średnim wieku, udał, że nie dosłyszał. On też, podobnie jak Chantorria, był nagi i miał zarzuconą na podolek ścierkę do naczyń.

Zanim Chantorria skończyła karmić Caitlin Happymealkę, Trafford zdążył już rozmrozić dwie lasagne i schłodzić trzyli-trową butlę pepsi. Zasiedli do posiłku przy stole do gier wideo. Trafford chciał go przykryć obrusem, żeby nie oglądać leca-cych ciurkiem reklam nowych gier, które będzie można sobie wkrótce ściągnąć z sieci. Trudno mu się było skupić na jedze-niu w natłoku tych wszystkich podskakujących, fikających, walczących ze sobą animowanych postaci, ale Chantorria mu nie pozwoliła.

– Jesteśmy online, Traffordzie – upomniała go przyciszo-nym głosem. – Starajmy się nie wyglądać na większych dzi-waków, niż jesteśmy.

Trafford, któremu nieobca była logika, przyznał jej w du-chu rację. Skoro te gry wideo ze swoimi spikselowanymi bohaterami mają tylu wielbicieli, to im ich więcej, tym więcej szczęśliwych ludzi. Nic dodać, nic ująć.

Jedli w ciszy, jeśli ciszą można nazwać nieodzywanie się do siebie. Bo tak naprawdę w pokoju wcale nie było cicho. Na obu włączonych laptopach leciał karaoke reality show, a z telefonów i innych urządzeń komunikacyjno-rozrywkowych, których w pomieszczeniu było co niemiara, rwał strumień wiadomości z tak zwanej ostatniej chwili. Między innymi hałaśliwa reklama najnowszego hitu kinowego z odwrotu pudełka z chrupkami ryżowymi, no i, a jakże, intymne zwie-

rzenia lokalnej społeczności produkującej się na ściennym ekranie. A co najgorsze, przez kartonowo-gipsowe ścianki działowe przenikała od sąsiadów kakofonia odgłosów wydobywających się ze wszystkich innych laptopów, komunikatorów i pudełek z płatkami śniadaniowymi.

Duchota, jak zawsze, była nie do zniesienia. Trafford popartywał spod oka, jak pot skapuje kropelkami z górnej wargi jedzącej Chantorrii i ścieka jej strumyczkami między piersi.

Dzidzia, też umęczona upałem, zaczęła płakać.

– Coście tacy milkliwi – ofuknęła ich Barbiella. – Życia więcej. Więcej życia!

Chantorria podskoczyła jak spłoszony ptaszek i natychmiast zwiększyła siłę głosu ściennego ekranu, na którym produkowała się właśnie Tinkerbelcia.

– Czuję się po prostu zagubiona, a do tego zupełnie rozbita i otepiała. – Głos Tinkerbelci wzniósł się ponad na wpół przyciszoną kakofonię w tle. Autentyczny ból ściągał jej stosunkowo młodą twarz, orał zmarszczkami czoło. – Zupełnie jakby mi coś wycięto. Nie wiem, co bym teraz zrobiła, gdybym nie wierzyła, że Bóg jest ze mną.

– Ja też jestem z tobą! – wykrzyknęła Chantorria z taką egzaltacją, że Trafford, chcąc nie chcąc, się skrzywił. Czyżby nie rozumiała, że są tacy, którzy żerują na słabostkach innych? Jeśli Chantorria nie chce paść ich ofiarą, nie powinna tak się odsłaniać.

Trafford przypomniał sobie Sandrę Dee, młodą kobietę o naturalnym biuście, którą Księżniczka Piczka próbowała sponiewierać psychicznie w biurze. Ale Sandra Dee okazała się należeć do tych, co nie dają sobie w kaszę dmuchać. Zdecydowanie wygrała z Księżniczką Piczką potyczkę na spojrzenia, wychodząc z niej zwycięsko. Trafford już był świadkiem takich pojedynków i wiedział, że wymagają nie lada odwagi.

– Dziękuję, Chantorrio, to naprawdę miło, bardzo miło z

twojej strony – wychlipiała Tinkerbelcia. Chantorria uśmiechnęła się, ale ten uśmiech natychmiast zniknął z jej twarzy, kiedy Tinkerbelcia dorzuciła z przekąsem: – Chociaż nie mam pewności, czy chciałabym to usłyszeć od mamuśki, która niedawno powiła i karmi teraz piersią zdrowe dzieciątko.

Chantorria wzdrygnęła się, jakby ktoś dał jej w twarz. Poczzerwieniała. Trafford obserwował, jak nie tylko jej lico, ale i ramiona, i cała klatka piersiowa podrygują z upokorzenia, a sutki przestają się odróżniać od tła strachu i zaambarasowania, jakie przybrała skóra.

– Nie chciałam... – wybąkała Chantorria.

Ale Tinkerbelcia nie odpuszczała, miała jeszcze dużo do powiedzenia. Mimo wszystko była w żalobie.

– Całe szczęście, że jestem silna psychicznie – ciągnęła. – Znasz Honeymiłkę? Ona ma stały kontakt z moim synkiem, odkąd mnie opuścił, i on jej powiedział, że jest mu dobrze tam, gdzie odszedł. Honeymiłka nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Jest szczęśliwy i czeka tam na mnie ze swoją starszą siostrzyczką, która odeszła wcześniej.

– To KitKat nauczył się już w niebie mówić? – wtrącił drwiąco Trafford.

Zrobił to bez zastanowienia. Szlag go trafiał, że Tinkerbelcia tak brutalnie potraktowała okazującą jej szczerze współczucie Chantorrię. A jeszcze bardziej rozjuszyła go bzdurna sugestia, że Honeymiłka posiada jakieś nadprzyrodzone zdolności. Zdaniem Trafforda rzeczona Honeymiłka, samozwańcze medium z kamienicy, to głupia, prymitywna baba, intrygantka, plotkara i urodzona kłamczucha. Jak można było wierzyć, że ta kretynka ma jakiś kontakt z niemowlętami, które zmarły, zanim nauczyły się mówić?!

Trafford doskonale wiedział, dlaczego wyrwał się z tym komentarzem, ale teraz bardzo tego żałował. Zaczzerwieniona do tej pory Chantorria w mig pobladła. Była przerażona.

Trafford naśmiewał się z pogrążonej w żałobie matki, która oplakuje swojego zmarłego ośeska. Nic, po prostu nic nie mogło bardziej wzburzyć lokalnej społeczności.

Barbiella, która najwyraźniej miała podzielną uwagę i potrafiła przysłuchiwać się czterdziestu rozmowom jednocześnie, natychmiast wychwyciła jego potknięcie.

– Coś ty powiedział?! – zagrzmiała.

– Ja tylko... – Trafford szukał gorączkowo odpowiedzi.

– Masz wątpliwości, że Honeymiłka kontaktuje się z małutkim KitKatem? – ciągnęła ze świętym oburzeniem Barbiella.

– Nie to miał na myśli! – przyszła Traffordowi w sukurs Chantorria.

– Honeymiłka... ona, ona naprawdę słyszy myśli mojego dzieciątka – zaprotestowała Tinkerbelcia.

Tinkerbelcia była skonfundowana. Pokpiwanie sobie publicznie z czyjegoś nieszczęścia nie mieściło się w głowie i nie była pewna, czy dobrze zrozumiała Trafforda.

– Jasna sprawa, że słyszy! – wrzasnęła Barbiella. – Honeymiłka to niezrównane medium. Nie ma lepszego. Tylko dzięki niej wszyscy mamy kontakt z zaświatami...

– Tak, tak, święta prawda – wpadł jej w słowo Trafford, uświadamiając sobie w tym momencie, że musi czym prędzej zatuszować swoje *faux pas*, zanim do czterdzieściorga kilkorga osób łączących się w bólu z Tinkerbelcią dotrze sens jego słów. – Właśnie o to mi chodziło.

– Znaczy o co? O co ci chodziło? – Do głosu Barbielli wkradła się podejrzliwość.

– No, że... że... że to takie cudowne, że za pośrednictwem Honeymiłki Tinkerbelcią może wiedzieć, co odczuwa jej dziecko.

– To co miałeś na myśli, pytając Tinkerbelcią, czy KitKat nauczył się mówić? – spytała Barbiella nie do końca przeko-

nana.

– No... ten, tego... przyszło mi do głowy, że skoro Gucci KitKat nie potrafił jeszcze mówić, kiedy umierał, to odczucia jego duszyczki po śmierci są tym bardziej przejmujące. Niby mówi... ale to coś więcej! Niewinne niemowlę potrafi swoim zachowaniem przekazać więcej niż my wyrazić słowami, a dzięki Miłości mamy Honeymiłkę, żeby nam to... tłumaczyła. To zupełnie tak, jakby Gucci KitKat osobiście do nas przemawiał. – Trafford uśmiechnął się do kamery internetowej, starając się przywołać na twarz minę pobożnisa.

Barbiella to kupiła.

– Aaaa – mruknęła udobruchana. Gniew zastąpiła lukrowa empatia. – Czyż nie uroczo to ujął, Tinkerbelciu?

Tinkerbelcia uśmiechnęła się z ekranu teraz już pewna, że z niej nie pokpiwano, szczęśliwa, że ma wokół siebie samych przyjaciół.

– Tak, doprawdy uroczo – przyznała. – Dziękuję, Traffordzie. Dziękuję, że mogę na ciebie liczyć w potrzebie.

– Zawsze do usług – odparł z uśmiechem Trafford, podbudowany widokiem rumieńców powracających na policzki Chantorrii.

# 12

– Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby Caitlin Happymealka umarła – powiedziała Chantorria.

Kończyli kolację. W ostatniej fazie posiłku Chantorria weszła na blokowy czat-room i zaczęła tokować na całego, przymilając się Barbielli na wypadek, gdyby ta uznała jednak, że Trafford naprawdę pokpiwał sobie z Tinkerbelci.

Po blisko półgodzinie Trafford nie zdierzył, nie mógł dłużej słuchać tych duserów i żarliwych wyznań wiary i wylogował się. Nadal byli z Chantorrią na wizji i wszystko słyszeli, ale ich rozmowa słyszana nie była. Świątynia uznawała ten poziom prywatności za społecznie i duchowo dopuszczalny, a nawet wskazany o tej porze wieczoru. Kiedy dzień miał się ku końcowi, mężczyźni nabierali ochoty na interaktywne sam na sam ze swoimi aktualnymi żonami w celu utrwalania związku, wyznawania sobie uczuć i uprawiania miłości ku chwale Miłości.

– Chyba bym się zabiła – ciągnęła Chantorria.

– Taaa... – westchnął refleksyjnie Trafford, wpatrzony w rozgrzebane resztki swojego gotowego dania do podgrzania. – Pamiętam, co przeżywaliśmy z moją poprzednią żoną, Truskawkowym Szczęściem, po śmierci Phoenix Podfruwajki. Czasami, kiedy ją wspominam, nachodzi mnie ta sama myśl. Najlepiej byłoby umrzeć razem z nią. Tylko że w takim przy-



padku nie spotkałbym ciebie i nie spłodzilibyśmy wspólnie Caitlin...

W tym momencie Caitlin Happymealka zachichotała. Śmiała się często, o wiele częściej niż płakała. Rozśmieszało ją prawie wszystko, a szczególnie rozpięty nad łóżeczkiem sznurek z nanizanymi kolorowymi figurkami i grzechotkami. Trącała je teraz tłusciutkimi rączkami i nóżkami, wprawiając w ruch wirowy, a im szybciej wirowały, tym serdeczniej się zaśmiewała, zarażając śmiechem Trafforda i Chantorrię, i przez chwilę cała trójka chichotała rozbawiona ni mniej, ni więcej, tylko kilkoma wirującymi i grzechoczącymi, kolorowymi, plastikowymi sześcianikami.

– Ja bym się chyba przed niczym nie cofnął, byle tylko chronić Caitlin – wyznał Trafford, nie odrywając oczu od córeczki.

– No pewnie. Oboje byśmy się nie cofnęli – przytaknęła Chantorria.

Oto nadarzała się wyczekiwana sposobność do poruszenia tematu szczepień, ale Trafford się zawahał. Nie wątpił, że dla dobra ich dziecka Chantorria jest gotowa na wszystko, wiedział jednak, że mieszkanie w kamienicy uczyniło ją płochliwą i zahukaną. Niełatwo będzie ją nakłonić do herezji.

Nie wykorzystał tej sposobności. Uwagę Chantorrii znowu przyciągnął ekran, na którym Tinkerbelcia wciąż prezentowała swoją milczącą rozpacz. Z tymi ekranami można było dostać cholery: nawet po wyciszeniu dźwięku gapiły się z nich na człowieka czyjeś ciekawskie gały.

– Straciła dwoje dzieci – powiedziała Chantorria. – Biedna Tinkerbelcia będzie musiała zaczynać od początku, byle Miłość dała, żeby nie z tym sukinsynem Sabre'em.

Trafford i Chantorria, podobnie jak wszyscy mieszkańcy budynku, znali ze szczegółami burzliwe dzieje pożycia Tinkerbelci z jej agresywnym, nie zrównoważonym mężem Sa-

bre'em, bo para ta już nieraz obrzucała się inwektywami na wizji. Oboje byli niepoprawnymi ekstrawertykami, dumnymi ofiarami wszelkiego rodzaju dysfunkcji. Ich karczemne awantury i pieczętowane wyuzdanym seksem rozejmy zawsze leciały w sieci online i były potem ze swadą opisywane na Wspólnotowych Spowiedziach. Słysząc też ich było na żywo – każdy cios, każdy orgazm – przez cienkie ściany budynku.

Sabre był notorycznym dziwkarzem.

A Tinkerbelcia nałogową ćpunką.

Sabre wciąż próbował dobierać się do koleżanek Tinkerbelci.

Tinkerbelcia nigdy, w najmniejszym stopniu, nie dogodziła Sabre'owi.

Były też, rzecz jasna, liczne scenki godzenia się małżonków, w trakcie których spowiednik Bailey pouczał tę drącą ze sobą koty parę, że jedynie Pan i Miłość mogą wskazać im drogę do uczenia się na błędach i osiągnięcia dojrzałości. Potem, przy aplauzie grupy, Sabre brał Tinkerbelcię w objęcia i godził się z nią na podłodze przed konfesjonałem i przez pewien czas wszystko było między nimi dobrze.

– On i tak pójdzie do więzienia – wymruczał Trafford ani trochę niezainteresowany rozmową na temat Sabre'a.

– Naprawdę myślisz, że go wsadzą?

Sabre przebywał aktualnie w areszcie za wwieżenie furgonetką pospolitego ruszenia zakapiorów do muzułmańskiego getta i czekał na proces. Banda uprowadziła stamtąd dwóch nieletnich i załukła ich na śmierć kijami baseballowymi.

– Rok odsiadki ma jak w banku.

– Przecież ci dwaj podłożyli bombę w naszym centrum handlowym. Na pewno go uniewinnią.

– To nie dzieciaki, które zabił, podłożyły tę bombę w naszym centrum.

– Skąd wiesz?

– A wiem. Bo to był zamach samobójczy i gówniarze, którzy wysadzili centrum, wylecieli w powietrze razem z nim.

– No, to mam nadzieję, że Tinkerbelcia znajdzie sobie kogoś lepszego na następnego męża – westchnęła Chantorria.

– Po stracie KitKata będzie potrzebowała silnej podpory.

Chantorria po raz drugi nieświadomie podsunęła Traffordowi pretekst do poruszenia tematu, który tak bardzo chciał poruszyć.

I tym razem, niby od niechcenia, to zrobił.

– Poznałem dzisiaj jednego gościa – zaczął. – To znaczy, nie tyle poznałem, bo znam go od dawna z widzenia, z pracy, z tortów, no wiesz, i pączków. Ale dzisiaj pogadaliśmy sobie sam na sam. Podczas lunchu. Zaprosił mnie na falafele.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że powiedziałaś Tinkerbelci to na temat Honeymiłki! – wykrzyknęła nagle Chantorria. – Co cię napadło? Za taki komentarz zniszczą cię na blogach.

– Wkurzyło mnie, że tak obcesowo cię potraktowała, po tym, jak zapewniłaś, że jesteś z nią.

– Ona straciła dziecko!

– Nie chce mi się gadać o Tinkerbelci. Zacząłem o tym gościu...

– Jakim gościu?

– Tym, który zaprosił mnie na lunch. Nazywa się Cassius. Taki starszawy.

– I co?

– Odniosłem wrażenie... że mnie przejrzał.

– W jakim sensie przejrzał?

– No, że odgadł... że czasami... zdarza mi się coś zatajać.

Po raz drugi tego wieczoru Chantorria pobladła.

– A mówiłam ci, że źle wyjdiesz na tych swoich dziwactwach! – wysyczała. – Kto to widział mieć tajemnice przed ogółem? No bo po co? I do czego cię to doprowadziło?

– Do niczego mnie nie doprowadziło, kochanie – odparł

spokojnie Trafford. – Po prostu pomaga mi normalnie żyć. Tobie też się to zdarzało.

Trafford spojrział na kuchenną ławę, na której leżał stary palmpilot. Służył im do układania listy zakupów i podliczania domowych wydatków, ale Trafford wiedział, że Chantorria wykorzystuje go od czasu do czasu w charakterze notesu do zapisywania swoich przemyśleń i obserwacji, rzeczy, których nie kopiuje potem do swojego laptopa ani nie zamieszcza na swoim publicznym blogu, rzeczy, które potem tylko ona czyta i które pozostają wyłącznie do jej wiadomości. Niektóre z tych zapisków były rymowane. Bywało też, że Chantorria odczytywała je Traffordowi. Śmiali się wtedy albo płakali nad dziwacznością lub jawnym bezsensem spraw, które ona uznawała za warte odnotowania. Tamte dni dawno minęły. Teraz tylko siła młodej jeszcze miłości skłaniała czasami Chantorrię do dzielenia się z nim swoimi sekretami.

- Ale już się nie zdarza – fuknęła.
- Wiem – przyznał ze smutkiem Trafford.
- Poza tym nie obrażam niczym Stwórcy – ciągnęła Chantorria. – Bo co komu szkodzi jakiś wierszyk.
- Jeśli te wierszyki nikomu nie szkodzą, to dlaczego się z nimi kryjesz?
- Wcale się z nimi nie kryję! Tylko... tylko zapomniałam je umieścić na blogu. Nie jestem dziwaczką. Nie uważam siebie za kogoś specjalnego. A ty co? Zostałeś rozpracowany i nic dobrego z tego nie wyniknie. Oni już wiedzą, że masz swoje tajemnice.
- Cassius to żadni oni – zapewnił ją Trafford. – To po prostu znajomy z pracy i z jego strony nic nam nie zagraża.
- A skąd wiesz, że nie jest policjantem?
- Jaki policjant siedziałby latami w kącie biura tylko po to, żeby akurat mnie zdemaskować? – zachnął się Trafford. – No, chyba że jestem trochę bardziej godny zainteresowania,

niż mi się wydawało.

Poczuł się trochę zawstydzony, że cytuje odpowiedź Cassiusa na własne paranoiczne podejrzenie, ale bardziej logicznej i sensownej odpowiedzi sam by nie wymyślił. Chantorria przestraszyła się, że władze wzięły go na celownik, on drogą dedukcji doszedł, że to raczej mało prawdopodobne.

– Poza tym – podjął – Cassius ma do ukrycia coś więcej niż ja i ty razem wzięci. Gdyby policja miała się zainteresować kimś z naszej trójki, to właśnie nim.

– Tym gorzej. O czym z nim rozmawiałeś? Jest muzulmańskim terrorystą? Sodomitą? Co można mu zarzucić?

Trafford opowiedział Chantorrii, jak to Cassius wyznał mu, że jest szczepicielem, i zaproponował swoje usługi. Chantorria słuchała, nie przerywając, ale na jej twarzy malowała się groza.

Kiedy Trafford skończył, zażądała, żeby niezwłocznie doniósł na Cassiusa do Świątyni.

– Naprawdę myślisz, że powinienem? – spytał Trafford.

– Myślę – odparła scenicznym szeptem Chantorria – że jeśli on jest tym szcze... no, jednym z tych bezbożników, i jeśli go zdemaskują, a zdemaskują na pewno, a potem pokażą w Tubie, a to zrobią w pierwszej kolejności, a potem dotrą do nagrań wideo, na których jesz z nim falafele, to trudno ci się będzie wytłumaczyć, dlaczego od razu go nie zadenuncjowałeś.

– Moim zdaniem powinniśmy spojrzeć na to logicznie.

– Patrzę na to logicznie. Ty masz mnie chyba za skończoną idiotkę. Dawno to zauważyłam, a tymczasem sam jesteś skończonym idiotą. Logicznie rzecz biorąc, kiedy namierzą tego faceta, to logicznie rzecz biorąc, będą chcieli przesłuchać ludzi, z którymi się kontaktował. Czyli, między innymi, ciebie, Traffordzie, i co się wtedy, według ciebie, logicznie rzecz biorąc, stanie?

– Nie chodzi mi o siebie ani o ciebie, jeśli mam być szczerzy. Chodzi mi o Caitlin. Załóżmy, że ten człowiek naprawdę potrafi zapewnić naszej córeczce większe szanse na przeżycie.

– Nie wierzę.

– No to powiedzmy, że te szanse są jak jeden do stu. Poszłabyś na to?

– Nie wiem, o czym mówisz. Nie chcę o tym rozmawiać.

– Zastanów się, na miłość boską, Chantorrio! Dajmy na to, że szanse są nie większe niż jeden do stu. Czy nie warto zaryzykować, żeby zyskać choć taki cień nadziei, że nasza córeczka będzie dorastała w zdrowiu? Nawet szansa jeden na tysiąc jest lepsza niż żadna! Chantorrio, nie chcę powtórki z tego, przez co przeszedłem, kiedy umarła Phoenix Podfruwajka. Nie wiem, czy dałbym radę.

– Traffordzie, szczepielieli pałą na stosach.

– Tylko tych, którzy wpadają. On jest pewien, że jemu to nie grozi – odparował Trafford. – Że go nie przyważą.

– Oni widzą wszystko.

– Może tylko tak nam się wydaje. Może jednak nie wszystko.

– Musisz go zadenuncjować, Traffordzie.

– Ani myślę.

– Jest wrogiem wiary. Osłaniając go, ściągamy sobie na głowę nieszczęście.

– Moim zdaniem powinniśmy przedkładać dobro Caitlin nad własne.

– Oczywiście, że powinniśmy! Od samego początku tak robimy!

– W takim razie powinniśmy ją zaszczepić.

– To jakiś głupi żart?! – wybuchnęła Chantorria.

– Nic podobnego.

– No to przestań się tak durnowato uśmiechać! – wykrzy-

czała Traffordowi w twarz.

Trafford rzeczywiście się uśmiechał, i to z premedytacją. Tak doradził mu Cassius, argumentując, że dzięki temu nie będzie ściągał na siebie powszechnej uwagi. Rozluźnił mięśnie twarzy ze świadomością, że jeśli obserwuje ich teraz jakiś sieciowy podglądacz, to mało prawdopodobne, że skupia się na minie Chantorrii. Mieszkańcy tej termitiery częściej się kłócą, niż do siebie uśmiechają.

– Uważam, że powinniśmy poprosić tego człowieka o zaszczepienie Caitlin – powtórzył Trafford.

– Własnym uszom nie wierzę. Błagam cię, przyznaj, że nie mówisz tego poważnie.

– Według mnie... według mnie mamy obowiązek za wszelką cenę chronić naszą córeczkę.

– I patrzyłybyś spokojnie, jak zupełnie obcy człowiek kłuje ją zakazonymi igłami? Ja bym tego nie nazwała ochroną.

Chantorria podeszła do Caitlin Happymealki, wzięła ją na rękę i przytuliła jakby w obawie, że Trafford wyciągnie zaraz jakiś wielki szpikulec i zadźga nim niemowlę na stole do gier wideo. Caitlin wyczuła chyba strach matki, bo teraz obie patrzyły oskarżycielsko na Trafforda. Z fizycznego punktu widzenia Caitlin była o wiele bardziej córką Chantorrii niż swojego ojca; miała tę samą oliwkową karnację i ogromne czarne oczy. Teraz obie te pary oczu wlepione były w Trafforda i ten na moment poczuł się obco we własnej rodzinie.

– Moim zdaniem igły, których oni używają, nie są zakażone – powiedział cicho.

– Sam mówiłeś, że wstrzykują nimi tę samą truciznę, na którą rzekomo uodporniają dziecko! Traffordzie, oni tymi swoimi igłami sztucznie wywołują chorobę!

– Nie opowiadaj głupstw, Chantorrio. Przecież wiesz tak samo dobrze jak ja, na czym to polega – odparował Trafford zły, że dał się zepchnąć do defensywy.

- Wiem, na czarach.
- Mała dawka bakterii pobudza do działania system immunologiczny dziecka.
- I ty w to wierzysz? – spytała z niedowierzaniem Chantorria. – To voodoo, Traffordzie, czarna magia. To...
- Wiem tylko, że analizowałem dane z dziesięciu lat z okresu Sprzed Potopu.
- Z „małpiego okresu”.
- Nazywaj go jak chcesz, ale prawda jest taka, że nie umarło wtedy ani jedno dziecko.
- Nie wierzę. To niemożliwe. Miłość zabiera do siebie dzieci. I to się nie zmieni.
- A właśnie, że się zmieniło, Chantorrio! I to nie za sprawą Boga, lecz człowieka. Przed Potopem w wieku niemowlęcym nie umierało prawie żadne dziecko.
- Tak! Tak, Przed Potopem! To dlaczego Miłość pokarała Potopem tamtych ludzi? Za ich próżność! Za ich arogancję! Za powieści i za to, że umyślili sobie, iż pokrzyżują plany Pana, kłując swoje dzieci trującymi igłami jak czarownice!
- Nikt nie dowiódł, że potop był karą zesłaną przez rozgniewanego Boga na niepokornego człowieka. Tak ci tylko wmawiają.
- Nie da się zaprzeczyć, że potop był. Nie da się zaprzeczyć, że zalał połowę świata. Nie da się zaprzeczyć, że najbardziej dotknął muzułmańców. Kto, według ciebie, mógł go zesłać, jeśli nie Bóg? I po co, jeśli nie dla pokarania człowieka, który o nim zapomniał i się go wyparł?
- Jedno, co jest pewne, to globalne ocieplenie. Na świecie robi się coraz cieplej. Lód się topi, a poziom mórz i oceanów podnosi. Tyle tylko wiemy.
- I wiemy, że zasługujemy na tę karę.
- Traffordowi nie chciało się wierzyć, że ona naprawdę tak myśli. Wiedział, że jest inteligentna i ma swój rozum. Nie



wierzył, że traktuje poważnie ortodoksyjne nauki Świątyni. To tylko lęk przed posądzeniem o herezję kazał jej udawać taką samą dewotkę, jak te wszystkie Księżniczki Piczki i Barbielle.

W końcu tym nakłaniali ludzi do wiary – strachem.

– Postaraj się myśleć o Caitlin, nie o sobie – poprosił. – Chyba nie zaprzeczysz, że musimy na wszelkie sposoby powiększać szanse naszej córeczki na przeżycie. Na wszelkie.

– Nie chcę o tym rozmawiać. I nie będę.

I Chantorria zamilkła. Nie odzywając się już do siebie słowem, dokończyli posiłek, po czym Chantorria przewinęła Caitlin Happymealkę. Trafford zrezygnował z tradycyjnej wieczornej herbatki i udali się na spoczynek. Oboje byli niedospani. Caitlin Happymealka dawała im się we znaki przez większość nocy i zwykli kłaść się do łóżka, gdy tylko udało się im ją uśpić, żeby złapać choć odrobinę snu.

Ale nie dane im było zasnąć. Caitlin marudziła w dusznym pokoju jak każde niemowlę w budynku. Niektóre z nich były wyraźnie chore, kaszłały, kichały, i Trafford odnosił wrażenie, że wszystkie znajdują się w tym samym pokoju co on z Chantorrią.

Po mniej więcej półgodzinie Chantorria włączyła fonię ściennego wideoekranu.

– Nie możesz już bez tego żyć? – spytał z irytacją Trafford.

– Nie mogę słuchać, jak te biedne dzieci się męczą.

Krzyczały i wrzeszczały nie tylko dzieci. Wyglądało na to, że całe miasto jest jeszcze na nogach i pełnym głosem wyraża swoje emocje. Że nikt nie śpi, że wszyscy krzyczą i wrzeszczą, a to się kłócąc, a to kopulując. Tacy jak Chantorria, którzy nie krzyczeli ani nie wrzeszczeli, włączali fonię ściennych ekranów wideo, żeby zagłuszyć ten harmider. Ale to samo leciało na wszystkich kanałach, a na każdym filmiku zamieszczonym na My Tube krzyków i wrzasków było jeszcze więcej. Noc

rozbrzmiewała odgłosami seksu, przemocy policyjnych reality show, konkursami młodych i starych talentów, a w tym całym rejwachu królowało karaoke – ludzka kakofonia rozbrzmiewała od slumsowych przedmieść Reading, poprzez cały londyński archipelag, aż po wybrzeża Kensington na wschodzie.

Nazajutrz Trafford pracował w domu, a Chantorria wybierała się na trening do siłowni.

– Nie byłam tam już miesiąca. Ludzie zaczną gadać – powiedziała głośno na użytek kamery sieciowej. Siedziała na krawędzi umywalki i zaparta kolanami o przeciwległą ścianę smarowała nogi woskiem do depilacji.

– Spalisz trochę tłuszczu, dziewczyno – wymamrotała Barbiella z ustami pełnymi tortillowych chipsów. – Poszłabym z tobą, ale, jak ci wiadomo, jestem kobietą puszystą.

– Zrobię na twoje konto dodatkową serię ćwiczeń! – krzyknęła Chantorria, krzywiąc się z bólu, bo zdierała sobie właśnie warstwę zastygłego wosku z wewnętrznej strony ud.

– Rozerwiesz się, dziewczyno.

– Żebyś wiedziała, Barbiello. Bardzo lubię tam chodzić.

Trafford, który podsłuchiwał z kuchni, wiedział, że Chantorria kłamie. Wcale nie lubiła i nigdy nie polubi. Chantorria nie cierpiała siłowni. To była jedna z jej tajemnic, a fakt, że on o tym wiedział, był również jedną z jego tajemnic.

Większość kobiet wizyty w siłowni traktowała jak rozrywkę, bo siłownie siłowniami były tylko z nazwy. Ogromne, ufundowane przez Świątynię placówki, do których zobowiązane były uczęszczać po porodzie wszystkie kobiety, oferowały specjalistyczne masaże, łaźnie parowe, inspirujące semina-

ria, mnóstwo holistycznych „terapii” oraz podniosłych zbiorowych wyznań wiary, a owinięte w ręczniki klientki, biorące udział w tych zajęciach, zjadały w ich trakcie niebywałe ilości „zdrowotnych batoników” i wypijały litry „zdrowotnych napojów”. W rezultacie, ponieważ zajęcia w siłowniach sprostawały się głównie do oddawania się słodkiemu próżnowaniu i nieumiarkowanemu obżarstwu, kobiety wychodziły stamtąd zazwyczaj cięższe, niż weszły. Poza tym większość z nich po porodzie zachodziła ponownie w ciążę tak szybko, że i tak nie zdążyłyby odzyskać figury. Jakkolwiek by na to patrzeć, dobrze się jednak było wykazać dążeniem do dbałości o sylwetkę. Udawanie, że się ćwiczy, stanowiło ważny element rytuału samouwielbiania, a samouwielbienie było, rzecz jasna, równoznaczne z miłością do Boga.

Tylko że dla Chantorrii siłownia była izbą tortur. Chantoria nie miała w sobie asertywności, która pozwala czuć się swobodnie w każdym towarzystwie. Trafford wiedział, że okutana w ręcznik będzie siedziała z boku, dopóki w końcu nie każą jej poćwiczyć. Że spędzi cały ten dzień ze zgrają napakowanych, zdeklarowanych starych kawalerów i starych panien z wyboru, pedałując wytrwale na rozmaitych maszynach treningowych i nie robiąc sobie nawet przerwy, tak jak oni wszyscy, na wstrzyknięcie steroidu.

– Traffordzie! – zawołała z łazienki. – Będziesz mnie musiał dogolić. Nie widzę, ten obwisły brzuch mi zasłania.

Trafford bez słowa skierował się do łazienki. Po zajęciach w siłowni Chantoria będzie korzystała ze wspólnego pryszniaka, a nie do pomyślenia było, żeby pokazała się nago z choć jednym włoskiem na ciele. Owłosienie u kobiet nie było zakazane, ale budziło powszechne zgorszenie. Włosy na ciele uznawane były za świadectwo utraty czystości, a czymże była kobieta nieczysta? Nierządnicą albo jeszcze gorzej – lesbijką. Każda kobieta na tyle bezwstydną i nieszanującą samej siebie,

żeby nie usuwać owłosienia z broszki, którą darowała jej Miłość, była potępiana i zasługiwała na to.

Trafford w najgłębszych zakamarkach duszy, tam, gdzie przechowywał wszystkie swoje tajemnice, zastanawiał się, po co w ogóle Miłość, skoro tak ją mierzi owłosienie kobiecego ciała, pokarała nim kobiety. Czy nie ma lepszego sposobu na testowanie czystości kobiety i jej prawości niż zmuszanie biedaczki do czasochłonnej i mozolnej depilacji? I dlaczego, zastanawiał się jeszcze, skoro za naj ohydniejszą zbrodnię na świecie uważa się pedofilię, społeczeństwo zmusza dorosłe kobiety do przywracania swoim narządom płciowym wyglądu z okresu, kiedy były jeszcze małymi dziewczynkami? Poronnięte włosami wzgórki łonowe Trafford widział tylko raz, podczas szkolnej wycieczki do Muzeum Historii Naturalnej. Pięknie wyobrazone postaci kobiet tańczące pośród dinozaurów u zarania dziejów były niewinnymi dzikuskami, przedstawicielkami pierwszych ludzi, którzy nie zdawali sobie jeszcze sprawy, czego oczekuje od nich Pan i Miłość. Trafforda zafascynowała wtedy ta scena i do tej pory mu mnie przeszło. Tak naprawdę wyglądała naga kobieta. Jeśli Bóg cokolwiek zaprojektował, to właśnie to. A on co? Który to już raz ma skrobać brzytwą szczecinę porastającą żoniną broszkę, żeby ta upodobniła się do cipki dziesięciolatki? W głębi duszy pragnął widzieć w swojej żonie kobietę, a nie małą dziewczynkę, ale cóż poradzić. Jedyne heretyczki dopuszczały, by srom zarastał im włosami jak broda u mężczyzn. Tak więc Trafford wcisnął się do malutkiej łazienki, wpasował między umywalkę i ścianę, zanurkował pod uniesione nogi Chantorrii i wychynął spomiędzy nich z mydłem w jednej i brzytwą w drugiej ręce.

Chantorria zgrzytnęła zębami i z całych sił zacisnęła dłoń na krawędzi umywalki. Szwy po porodzie Caitlin Happymealki były wciąż niezagojone i czerwone.

– Opuśćmy to sobie – zaproponował Trafford. – Jeśli będziesz trzymała nogi razem, nikt niczego nie zauważy.

– Przecież wiesz, że nie mogę ryzykować – wyjęczała Chantorria. – Chyba nie muszę ci wyjaśniać, co spotyka nieskromną kobietę, zwłaszcza jeśli zostanie zdemaskowana przez inne kobiety. Zrób to.

Trafford przystąpił do pracy, bardzo się do niej przykładając. W końcu Chantorria, uznawszy, że wygląda już odpowiednio skromnie, naciągnęła stringi, włożyła sportowy biustonosz i tenisówki, zawiesiła wielką plastikową replikę swojego szczęśliwego kamienia talizmanu na fałdzie skóry pod pępkiem, wzięła na ręce Caitlin Happymealkę, którą zabierała ze sobą do siłowni, żeby ją tam o odpowiedniej porze nakarmić, i wyszła.

Trafford przez jakiś czas krzątał się jeszcze po mieszkaniu. Wyrzucił niedojedzone resztki śniadania, wypił szklankę fanty i w końcu zasiadł do laptopa. Ekran nie zdążył się jeszcze porządnie rozświetlić, kiedy pojawił się na nim IM od Barbielli.

*Owocnego dnia pracy, Traffordzie.*

*Tak, dziękuję, bez wątpienia będzie owocny,* odpisał Trafford, a potem odwrócił się i pomachał do ściennego ekranu.

Barbiella też mu pomachała i napisała: *Chwalmy Miłość.*

*Chwalmy Miłość w noc i we dnie,* odpisał Trafford z nadzieją, że to zakończy konwersację. Nie zakończyło.

*Karmela Magnum Moonbeam uprawia seks oralny z Lodowym Soplem spod 14c,* napisała Barbiella, kończąc to zdanie szeregiem symboli uśmiechniętej buźki. Trafford był ciekaw, czy Barbiella wysłała do Karmeli Magnum i Lodowego Sopła IM z informacją, że on i Chantorria od miesiący wcale nie uprawiają seksu, ani oralnego, ani żadnego innego. Podejrzywał, że to zrobiła. Chcąc nie chcąc, wystukał sieciowy adres lokalu 14c i zobaczył głowę Karmeli Magnum poruszającą się

rytmicznie w dół i w górę na wysokości krocza Lodowego Sopla.

– Zuch dziewczyna, co? – doleciał z głośników głos Barbielli. – Ale mu dobrze robi.

– Tak – mruknął Trafford. – Dobrze im. Ale ja naprawdę mam dzisiaj dużo roboty, Barbiello.

I to, jak się zaraz potem okazało, było błędem.

– Aaa, to przeprasz-szam – wycedziła urażona Barbiella.  
– Nie wiedziałam, że ci w czymś przeszkadzam, Traffordzie. Nie wyglądałeś mi na palącego się do pracy!

– Może nie wyglądałem, ale to dlatego... dlatego, że myślałem.

– Niektórzy z nas lubią sobie rano pogawędzić z sąsiadami, Traffordzie. Wiesz przecież, że stanowimy zżytą społeczność. Połączył nas ślepy los, a więc lepiej się integrować – Barbiella ze słowa na słowo podnosiła głos – a nie przemyślać o odcięciu się od ogółu. Dla naszego wspólnego dobra.

– No nie, naprawdę, Barbiello, nie chciałem...

– Nie obchodzi mnie, czego nie chciałeś. To bez znaczenia. Jeśli nie chcesz się integrować, Traffordzie, twoja strata. Ale mimo wszystko życzę ci dobrego dnia.

– Dziękuję, Barbiello. Zaglądaj do mnie, kiedy tylko przyjdzie ci ochota.

Trafford odwrócił się do ekranu i spróbował uśmiechnąć, ale ta góra tłuszczu już z nim skończyła.

– Z życiem, dziewczyno, z życiem! – krzyczała.

Trafford usłyszał zdyszany głos Karmeli Magnum Moonbeam wychwalającej smak nasienia Lodowego Sopla, po którego połknięciu podobno od razu poczuła się stuprocentową kobietą.

– Chwała Miłości, dziewczyno – zapiała Barbiella.

– Chwała Miłości – podchwyciła Karmela Magnum Moonbeam i zniesmaczony Trafford wyciszył fonię.

Zalogował się na stronie stat-rozu i zabrał do pracy. Od pewnego czasu wchodził w skład ogromnego zespołu do spraw informacji lokalizacyjnej, zajmującego się pisaniem programu, który określałby stopień fizycznej separacji między ludźmi. System satelitarnej ewidencji przemieszczeń istniał, naturalnie, od powstania samego KrajBanDanu. Zmiany miejsca pobytu każdego z mieszkańców kuli ziemskiej noszącego przy sobie komunikator były na bieżąco rejestrowane i przechowywane potem przez dwa pokolenia. Jeśli rząd, policja albo jakiś dziennikarz telewizyjny chcieli się dowiedzieć, gdzie dana osoba przebywała w danym dniu o danej godzinie do pięćdziesięciu lat wstecz, wystarczyło zwrócić się z tym zapytaniem do KrajBanDanu. Ale dane te nie obejmowały odległości dzielących w owym czasie jedną osobę od innych. KrajBanDan wiedział, gdzie był wówczas pan A, wiedział, gdzie była pani B i wiedział, gdzie każde z nich przebywało od dnia narodzin. Ale nie znał odległości, jaka ich akurat w danej chwili dzieliła. Na dzień dzisiejszy tę odległość można było oszacować jedynie za pomocą mapy i liniiki.

Stat-roz zauważył to niewybaczalne niedociągnięcie i podjął stosowne działania, by je wyeliminować. Zadanie było gigantyczne, wymagało napisania programu, który obliczałby i rejestrował względne oddalenie każdego obywatela kraju od wszystkich innych współobywateli, na bieżąco aktualizował te pomiary, jak również sięgał do archiwów KrajBanDanu i na podstawie przechowywanych tam niepełnych informacji odtwarzał względne położenie każdego w stosunku do każdego od czasu, kiedy satelitarny system kontroli przemieszczeń został oficjalnie wchłonięty przez KrajBanDan. Uzyskanie tych informacji umożliwiłoby określenie reguł rządzących zmianą miejsca pobytu osób, które się w ogóle nie znają. Czy danej osobie przeznaczone jest zetknąć się z jakąś grupą ludzi bardziej niż z inną? Czy, dajmy na to, z obserwacji dwojga



osobników (D i E), znajdujących się w danym momencie w identycznej odległości od osobnika F, można wysnuć wniosek, jakie będą potem odległości między D i F oraz E i F? A co równie ważne, gdzie będą się wtedy znajdowali osobnicy D i E? Czy ich oddalenie od F wpłynie w jakikolwiek sposób na relację między całą trójką?

Żywiono nadzieję, że tego rodzaju informacje przyczynią się wydatnie do rozpoznania ścieżek, jakimi chadza ślepy los, jaką rolę odgrywają przeznaczenie, przypadek, astro- i numerologia. Według Trafforda były to płonne nadzieje, bo nikt nigdy tych danych nie będzie przecież dogłębnie studiował.

Nie dane mu było jednak koncentrować się dłużej nad problemem. Po paru chwilach skupienie uleciało, co dopuszczały przepisy bezpieczeństwa i higieny pracy stworzone, jak sama nazwa wskazuje, dla dobra wszystkich zatrudnionych.

Nagle, ni z tego, ni z owego, Trafford wygoogował Sandrę Dee. Nie planował tego, zrobił to pod wpływem impulsu, no i miał ją teraz w Tubie w całej krasie, razem z blogiem, który prowadziła.

Czytał go z rosnącym niedowierzaniem. Mając w pamięci zuchwałość, z jaką Sandra Dee zmanifestowała w miejscu pracy swój indywidualizm, spodziewał się czegoś zupełnie innego, czegoś zadziornego, a to tutaj było zwyczajnym ble-ble-ble. Miało wszelkie cechy najgorszego rodzaju bezsensownej grafomańskiej paplaniny.

*Kolejny piękny poranek, Chwała Miłości... Czuję się bardzo podekscytowana, a jednocześnie taaak pozytywnie nastawiona do wszystkiego... W pracy było naprawdę wspaniale i ekscytujące, cóż za fantastyczny, czarujący zespół. Jestem taaaka szczęśliwa... Po prostu Wniebowzięta... Kazałam postawić sobie horoskop i z niego wynika, że wszystko się dla mnie układa jak najlepiej, bardzo pozytywnie, i że przede mną*

*mnóstwo miłych niespodzianek, tylko muszę się pilnować i trzymać język za zębami. Może jestem zbyt ufna, ale to już przypadek wszystkich Bliźniąt... Próbowałam grillowanego hamburgera z nowej limitowanej oferty Maca! Niebo w gębie. Uwniosił mnie... Poważnie... Zastanawiam się czasami, czy w poprzednim życiu nie byłam aby służką królowej Saby. Pewności nie mam, tak się tylko zastanawiam...*

Z początku Trafford był bardzo zawiedziony, ale po przeczytaniu kilku linijek tego beznadziejnego tekstu uzmysłowił sobie, że on i Sandra Dee mają ze sobą coś wspólnego.

Podobnie jak on, ona również miała swoje tajemnice.

Blog Sandry Dee, tak jak jej twarz, absolutnie niczego nie zdradzał, zawierał same banały pisane najwyraźniej dla zachowania pozorów. Trafford był przekonany, że dziewczyna, która bez drgnienia powieki wytrzymała spojrzenie Księżniczki Piczki, nie może być odmóżdżoną imbecylką, autorką tych wypocin. Wybrał polecenie „pokaż wszystkie wpisy”, a następnie, zupełnie odruchowo, skopiował na chybił trafił kilka zdań z jednego akapitu do wyszukiwarki. Komputer poinformował go natychmiast, że natrafił na setki identycznych co do słowa ustępów. Trafford z dreszczykiem podniecenia uświadomił sobie, że Sandra Dee nie zadawała sobie nawet trudu samodzielnego prowadzenia blogu – przepisywała po prostu *ad nauseam* wcześniejsze wpisy innych osób, zmieniając jedynie daty.

Następnie Trafford przeniósł do wyszukiwarki cały akapit i z rosnącym podnieceniem stwierdził, że Sandra Dee nie wstukiwała nawet tych wpisów własnoręcznie. Ściągała je po prostu w całości z Tube Space młodej kobiety o imieniu Przytulinka na swoją Tube Space.

Trafford był pod wrażeniem. Cóż za przebiegłość! Cóż za odwaga! Każdy miał przykazane zamieszczać w blogu swoje

przemyslenia i odczucia przynajmniej raz dziennie. Był to akt wiary, potwierdzenie, że jest się z siebie dumnym i że docenia się swoje znaczenie jako jednostki (a tym samym znaczenie Stwórcy). Tylko poprzez nieustającą otwartość i niczym nieskrępowaną wylewność człowiek mógł wypełniać swój obowiązek reprezentowania Boga na Ziemi.

Ale Sandra Dee nic sobie z tego nie robiła. Nie starała się nawet podkreślać swojego znaczenia jako jednostki ani dumi z siebie. Nie chciała, żeby ludzie wiedzieli, co robiła danego dnia ani, i to ważniejsze, co myślała.

Traffordowi z podziwu dech zapierało w piersiach. Stosując najprostszą ze sztuczek, Sandra Dee za jednym zamachem uchylała się od obmierzłego obowiązku codziennej spowiedzi oraz, przede wszystkim, zatajała swoje tajemnice. W blogu nie wolno było kłamać, a Trafford robił to przez cały czas i wiedział z doświadczenia, że w trakcie fabrykowania kłamstwa nieuchronnie wymyka się człowiekowi jakiś prawdziwy szczegół. Choćby nie wiadomo jak bardzo starał się zatrzeć wszelkie ślady, kłamstwo trzeba wystukać na klawiaturze, przedtem je sobie obmyślić, a tym samym pozostawić jakiś trop. Wyjście, które znalazła Sandra Dee, było tak eleganckie, tak pomysłowe, że Trafford nie mógł uwierzyć, iż sam wcześniej na coś podobnego nie wpadł. Z drugiej strony, kobieta ta była odważniejsza niż on. Wychodziła z założenia, że nikt nigdy tak naprawdę nie zagląda do blogów innych osób, no, chyba że autorami są znane, popularne osobistości, gwiazdy popkultury albo lokalni kacykowie, duszpasterze, ewentualnie bliscy sąsiedzi. Jeśli ktoś się nie wychylał, był przez ogół ignorowany, i tę sztuczkę opanowała najwyraźniej do perfekcji Sandra Dee.

Dokonawszy tego epokowego odkrycia, Trafford zajrzał z zainteresowaniem na Tube Space Sandry Dee. Tutaj musiała zachowywać większą ostrożność, w związku z czym bardziej

się odsłaniała. Trafford wiedział z doświadczenia, że duszpa-sterze śledzą historie wideo swoich owieczek i nikt, obojętne, na jakie sposoby starający się zachować anonimowość, nie jest w stanie zabronić ogółowi dostępu do swoich znaczących zdigitalizowanych danych. Sandra Dee zamieszczała tam więc, jak na szanującą się obywatelkę przystało, wybór osobistych, tudzież intymnych wideogramów.

Były wśród nich amatorskie zdjęcia z pierwszych przyjęć urodzinowych oraz z imprezy z okazji osiągnięcia wieku dojrzałego. Krwawe ujęcia z operacji wycięcia nastoletniej Sandrze wyrostka robaczkowego. Był tam też, a jakże, film z defloracji. Trafford spodziewał się w głębi duszy, że takiego czegoś u Sandry Dee nie obejrzy, ale się pomylił: żadna wchodząca w dorosłość kobieta nie mogła sobie pozwolić na postępowanie wbrew zwyczajowi i trzymanie w sekrecie swojej najdroższej, uświęconej, wzbogacającej życie, pochwalanej przez Boga chwili „jej utraty”.

Potem następowało zatrzęsienie sfilmowanych na wideo seksaktów demonstrujących, że Sandra Dee ma ikrę i jest otwarta, jak tego wymaga obyczaj, na licznych partnerów. A poza tym, jak każdy singiel i singielka prezentujący się w Tubie, uwielbia karaoke, wprost świata poza karaoke nie widzi.

W miarę przeglądania filmików początkowa euforia Trafforda stopniowo gasła. Czytając blog Sandry Dee, odniósł w pewnej chwili wrażenie, że szczęśliwym trafem znalazł pokrewną duszę, samotną buntowniczkę, która odważnie zaznacza swoją odrębność i zdecydowanie broni prawa do prywatności. Ale ten blog okazał się teraz miniprotestem w porównaniu z jej wideowyznaniami, w których zmuszana była do uległości w dowolnym tego słowa znaczeniu. Ogólnie rzecz biorąc, nie dało się powiedzieć, że jest wyzwolona bardziej niż on.

I naraz uwagę Trafforda przyciągnęły blizny. A właściwie ich brak.

Oglądał właśnie Sandrę Dee w trakcie aktu kopulacji. Były to nieostre, ziarniste ujęcia, przedstawiające jak zwykle głośny i perwersyjny seks. Taki, jakiego oczekuje się po tego rodzaju wspomnieniowej dokumentacji. Taki, który określa się powszechnie jako „zachwycający”. Taki, w którym partnerzy „nie mają żadnych zahamowań” i „idą na całość”. Sandra Dee klęczała okrakiem nad jakimś postępującym kochankiem na jedną noc, głowę miała spuszczoną, a jej ciało poruszało się jak tłok. Unosiła się i opadała miarowo, i z każdym takim pełnym zaangażowania ruchem jej piersi przemieszczały się w przeciwnym kierunku. Nie były rzecz jasna duże, Sandra Dee słyszeła ze swojej awersji do powiększania, ale obserwującemu je Traffordowi wydało się w pewnej chwili, że są dziwnie kopulaste jak na naturalne. Wiedział, że naturalne piersi przemieszczają się inaczej niż te chirurgicznie implantowane. Natomiast te, które obserwował, nie przelewały się bynajmniej w płynny, naturalny sposób – sprężynowały, ledwie zmieniając przy tym kształt, co sugerowało, że zostały powiększone.

Trafford nacisnął klawisz pauzy. Przesuwając nagranie do przodu półsekundowymi skokami, wyszukał moment, kiedy obie piersi osiągnęły najwyższy punkt ruchu jo-jo. Powiększył obraz. Nagranie nie było najlepszej jakości, światło przygaszone, ale to nie przeszkodziło mu wypatrzeć dwóch niewielkich blizn u nasady piersi Sandry Dee, niepodważalnego dowodu wszczepienia implantów. Czyżby Sandra Dee mimo wszystko powiększyła sobie piersi? Może właśnie to jest jej tajemnicą? Jeśli tak, to zdaniem Trafforda mało ekscytującą, o wiele mniej od jawnego przyjmowania postawy wyraźnie sprzecznej z oczekiwaniami Świątyni. Naraz coś go tknęło i zredukował powiększenie tak, że w kadrze pojawiła się talia Sandy Dee.

Czegoś tu brakowało. Nie było blizny po operacji wycięcia wyrostka robaczkowego. Rzekoma Sandra Dee, uprawiająca seks w wideopamiętniku, nie była tą samą osobą, co Sandra Dee pokazana w trakcie usuwania wyrostka. Trafford jeszcze bardziej zredukował powiększenie, żeby w kadrze ukazała się twarz dziewczyny. Niewiele jednak zobaczył: twarz pojawiała się, co prawda, ale tylko we fragmentach i na ułamki sekund, bo natychmiast zasłaniały ją włosy kołyszące się w rytm gwałtownych ruchów głowy, co praktycznie uniemożliwiało dokładne przyjrzenie się rysom. Trafford wrócił do filmów, które przed chwilą widział, i przejrzał je kolejno, zaczynając od ostatniego, a na pierwszym kończąc. Wszystkie były marnej jakości, trochę nieostre, niedoświetlone, wszystkim występującym w nich dziewczynom włosy zasłaniały częściowo twarz, a niektóre odwrócone były do kamery plecami. Ale tym razem Trafford utwierdził się w swoich podejrzeniach: nie ulegało wątpliwości, że dziewczyny się różnią. Nawet tatuaże miały różne. Co więcej, Trafford dochodził do przekonania, że żadna z nich nie jest Sandrą Dee. Puścił jeszcze raz film upamiętniający deflorację. To też nie była ona, chociaż ją przypominała. Popiskująca z bólu i wychwalająca Pana oraz Miłość nastolatka miała tę samą jasną karnację i z tego, co zdołał zaobserwować, podobne rysy twarzy, ale z pewnością nie była Sandrą Dee. Jeśli chodzi o filmy z dzieciństwa, Sandra Dee nie zwracała sobie specjalnie głowy wyszukiwaniem podobnych do niej dziewczynek, i tutaj wszystkie, czy to uchwycone w trakcie rozpakowywania prezentów, czy podczas zabawy, wyraźnie się między sobą różniły.

To było niewiarygodne, cudowne. Dziewczyna, na którą w biurze prawie nie zwracał uwagi (co z pewnością, teraz już wiedział, stanowiło część jej genialnego planu), zamieszczała w sieci same fałszywki. A więc, co o wiele ważniejsze, nie odkrywała niczego, co byłoby prawdą. Co do blogu, po prostu

kopiowała do niego kradzione zwierzenia innych osób mających obsesję na swoim punkcie, wycinając jedynie fragmenty dotyczące różnic fizycznych.

Dla Trafforda stało się jasne, że ta nadzwyczajna dziewczyna doszła do tego samego wniosku co Cassius – że najlepszym kamuflażem jest zuchwałość. Zakładała, że nikt się nią nie interesuje. Wszyscy zbyt interesowali się sobą; obsesja na własnym punkcie była mimo wszystko świadectwem pobożności. Gdyby ktoś – dajmy na to jej spowiednik – wygoogował ją albo wytubował, wystarczyłby jeden rzut oka, by stwierdzić, że postępuje zgodnie ze społecznymi oczekiwaniami, jedynie jakoś nagrań pozostawia wiele do życzenia.

Zamykając strony Sandry Dee (a ściślej strony pełne anonimowych postaci, pod które Sandra Dee się podszywała), Trafford wiedział jedno: Sandra Dee jest bezspornie najbardziej podniecającą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał. Oczywiście nic nikomu nie powie, a już na pewno nie jej. Ma w swoim życiu tajemnicę i on nie ma prawa w to ingerować. Poza tym nie chciał tego, bo wszystko by zepsuł.

Zachowa tę tajemnicę w tajemnicy.

To będzie jego tajemnica.

Trafford wystukał na komputerze słowo „poród” i wrzucił je na Googa. Po paru sekundach miał już listę milionów milionów pozytywnych wyników wyszukiwania. Dopisał „dziewczynka” i ta liczba spadła o połowę. Następnie wybrał na chybił trafił dziesięciotysięczną stronę Googa i przystąpił do przeglądania na niej tego, co znalazła wyszukiwarka. Już przy trzeciej próbie trafił na to, czego szukał: udręczoną, wykrzywioną twarz kobiety o podobnej do Chantorri karnacji, wydającej na świat dziewczynkę. Ściągnął to nagranie i przekopiował je na własną stronę Masz Twarz. Dokument zatytułował „Witaj na świecie, Caitlin Happymealko! Wideo z narodzin córeczki Trafforda i Chantorri Sewellów”.

Kiedy Chantorria wróciła z siłowni, powiedział jej, co zrobił. Nie zamierzał owijać w bawełnę, zaryzykował więc i wygłuszył przedtem ich monitor blokowej sieci wideo, mimo że było to społecznie akceptowalne dopiero po zmierzchu, a do zmierzchu zostało jeszcze sporo czasu.

Obawiał się, że Chantorria nie będzie zachwycona i faktycznie nie była.

– Wstawiłeś do naszego wideoblogu film z czyjogoś porodu? Porodu zupełnie obcej kobiety! Dlaczego?

– Bo nasz chciałem zachować tylko dla nas.

– Nie wolno zachowywać niczego tylko dla siebie, Traffordzie! Wpędzisz nas w nieziemskie kłopoty. Mogą nas nawet oskarżyć o działanie na szkodę Caitlin i nam ją odebrać.

– Jaką znowu szkodę?

– Caitlin ma niezbywalne prawo do promocji. Do bycia kochaną i podziwianą. A ty jej to prawo odbierasz.

– Odbieram czy nie odbieram, nikt nie będzie tego oglądał.

– Dlaczego los pokarał mnie takim odmieńcem?! – wrzasnęła Chantorria. – Ładuj natychmiast właściwe wideo. I to już!

– To nie byłoby roztropne – odparł Trafford. – Załadowanie fałszywego materiału to jedno, ale późniejsza jego wymia-



na to już zupełnie inna para kaloszy. Można to porównać z powrotem przestępcy na miejsce zbrodni. Przez takie coś ludzie zawsze w końcu wpadają.

– A więc wszyscy będą oglądali to dziecko przekonani, że widzą nasze, a ono wcale nie jest nasze! Albo weźmy moją broszkę. Ja nie chcę, żeby ludzie patrzyli na broszkę jakiejś baby i myśleli, że to moja. To nienaturalne.

– Powiedziałem, że nikt nie będzie tego oglądał. Nie rozumiesz? W tym właśnie rzecz. Moglibyśmy umieścić film z narodzin obojętne czyjego dziecka i nie miałoby to żadnego znaczenia, bo i tak nikt tego nie będzie oglądał. Spowiednik Bailey sprawdzi dla formalności, czy upubliczniliśmy wydarzenie, i na tym się skończy. Bo kto się nami interesuje? Nikt. Kto, prócz mnie i ciebie, będzie chciał oglądać narodziny Caitlin? Nikt. Niczym nie wyróżniamy się z tłumu, jesteśmy, a jakby nas w ogóle nie było. Czyż to nie wspaniałe? Czy nie czujesz się przez to odrobinę bardziej wolna? Bardziej wyzwolona?

To dobitne podsumowanie przez Trafforda ich społecznej pozycji wcale nie poprawiło Chantorrii humoru.

– Niczym się nie wyróżniamy? – powtórzyła, bardziej ze smutkiem niż gniewem w głosie.

– A co, wyróżniamy się?

– Tak! Każdy czymś się wyróżnia. Wszyscy jesteśmy wyjątkowi. Co do jednego.

– Gdyby wszyscy byli wyjątkowi, to wyjątkowość stałaby się czymś zupełnie zwyczajnym.

– I bardzo dobrze! Zwyczajni ludzie są wyjątkowi.

– Innymi słowy, wyjątkowość jest czymś najzupełniej zwyczajnym.

– Nie wiem, do czego zmierzasz! Wiem tylko, że jesteś naprawdę głupi i bezmyślny, a ze spowiednikiem Baileyem lepiej nie wdawać się w durne gierki. Odczuwanie potrzeby

prywatności to zboczenie, Traffordzie, dobrze o tym wiesz i wiesz, jak inkwizycja rozprawia się ze zbrojcami.

– Nikt nie będzie...

– A Barbiella?

– Barbiella ani myśli cieszyć się twoim szczęściem, Chantorrio. Jej żywiołem są tragedie innych. Może i na to zerknie, ale wątpię. Proszę cię, Chantorrio, zastanów się. Połowa mieszkańców naszego bloku wrzuca do sieci wszystko, co wydarzy się w ich życiu – kłótnie, akty kopulacji, narodziny, pogrzeby. Czy ktoś jest w stanie to wszystko śledzić?

– Nasz film pierwsza obejrzy moja mama.

– Już go widziała, przesłałaś jej kopię. Po co miałyby go teraz oglądać na Tubie?

– Ale to niewykluczone.

– Wykluczone.

– Jej znajomi mogą być zainteresowani.

– Chantorrio, teraz każdy jest zainteresowany tylko i wyłącznie sobą. Poza tym kogo obchodzi, czy znajomi twojej matki będą oglądali jakieś fałszywy film, czy nie?

– Mnie obchodzi!

– A mnie nie.

– To nie twoja vagina!

– Och, proszę cię.

– Czemu mnie pokarało takim odmieńcem?

– Przestań z tym odmieńcem. Ostatnio bez przerwy mnie tak nazywasz.

– Bo jesteś odmieńcem.

Trafford wzruszył ramionami i odwrócił się.

Nie mieli czasu dłużej ciągnąć tej dyskusji, ponieważ wieczorem wybierali się na koncert. Bilety przyszły pocztą elektroniczną poprzedniego wieczoru i chociaż oboje byli strasznie zmęczeni, nie mieli innego wyjścia, jak tylko włożyć wstążki i przepaski biodrowe oraz przygotować szarfę. Było nie do

pomyślenia, żeby szczęśliwiec, który wylosował e-bilet, nie pojawił się na megagigu Festiwalu Wiary. Postępek taki bez wątpienia pociągnąłby za sobą potępienie z ambony podczas najbliższej publicznej spowiedzi.

Koncert, podobnie jak inne liczne koncerty, odbywał się pod hasłem „Wielka Miłość żyje” i było to doniosłe wydarzenie zachwycające rozmachem, ambicjami oraz plejadą zaproszonych znakomitości. Ponadto nie był przeznaczony jedynie dla Londynu; transmitowano go na cały świat i miał zapoczątkować nowe myślenie ludzi o sobie samych, o biedzie, o środowisku oraz o stosunku do Boga i bliźnich. Po tym koncercie (i nagłośnieniu go przez media) nic nie będzie już takie samo.

Wieczór przesycony był atmosferą święta i podniosłości. Jakież to inspirujące żyć w świecie, gdzie „władza ludu” tyle znaczy, gdzie jeden koncert potrafi zmienić świat na lepsze, gdzie można poprawiać to, co z woli ludu wymaga naprawy. Wszyscy mieli świadomość, że gromadząc się na masowej imprezie, bawiąc, słuchając muzyki i opychając po dziurki w nosie jedzeniem na wynos, mogą wpływać na losy świata.

Krażyły pogłoski, że ten koncert będzie jeszcze wspanialszy i w budowę globalnego dobrobytu wniesie więcej niż poprzedni, sprzed tygodnia. Było to zadziwiające, niebywałe – zwłaszcza że ubiegłotygodniowy koncert uważano, przynajmniej do dzisiaj, za największy i najbardziej epokotwórczy Festiwal Wiary wszech czasów, zdecydowanie bijący na głowę ten sprzed dwóch tygodni.

Trafford, ściśnięty w ćwierćmilionowej masie zalewającej się potem ludzkości, przypuszczał w skrytości ducha, że przyszłotygodniowy koncert Festiwalu Wiary okaże się jeszcze wspanialszy i jeszcze bardziej znaczący od dzisiejszego, ale z Chantorrią wołał się tym podejrzeniem nie dzielić. Stanowiło jeszcze jeden jego niewinny sekret, który będzie hołu-

bił i zachowa wyłącznie dla siebie. Teraz, jak gdyby nigdy nic, darł się z innymi na całe gardło, witając przybyszów z tamtej strony Jeziora Londyńskiego, którzy wysypywali się właśnie z łodzi i rozpoczynali wspinaczkę pod wzgórze Wembley.

Przesłanie pulsujące na każdym miejskim ekranie i wyświetlaczu każdego wideokomunikatora nie mogło być bardziej treściwe. Nic dodać, nic ująć:

*I ty możesz zostać motorem zmian!*

*Wystarczy, żebyś ich chciał, a one nastąpią.*

Drobiąc mozolnie w ścisku kroczek za krockiem, pocąc się i postępując w wilgotnym, cuchnącym, malarycznym powietrzu, Trafford z Chantorrią wdreptali w końcu na stadion. Koncert już się oczywiście rozpoczął, jak zawsze. Trafford mógłby na palcach jednej ręki policzyć występy, które zdarzyło mu się oglądać od samego początku. Nie on jeden zresztą. Tylko tym najzarliwszym w wierze, którzy w ekstazie torowali sobie drogę łokciami, udawało się wysforować na czoło i zobaczyć początek czegokolwiek, a ponieważ byli to przeważnie ludzie postawni i najbardziej agresywni, to jeśli nawet ktoś przepchnął się do pierwszych rzędów i zajął miejsce za nimi, to i tak mało co widział.

– Możemy być ich motorem! – krzyczała ze sceny popularna gwiazda pop. – One nastąpią, bo chcemy, żeby nastąpiły! To zależy tylko od nas!

Aplauz był ogłuszający.

– Dzisiaj – podjęła gwiazda, kiedy ścichł – w tej chwili, tu i teraz. Mówimy NIE głodowi. Mówimy NIE biedzie. Mówimy naszym przywódcom, że już najwyższy czas, by usłyszeli głos ludu.

– Tak! Tak! Tak! – podchwycił lud i nad głowami wyrósł las rąk, a w każdej hamburger, hot dog albo pączek. – Oj, oj, oj! – wrzeszczeli, tupiąc nogami obutymi w tenisówki produkowane szmat drogi od Wembley i to, nomen omen, przez

ludzi klepiących tę właśnie biedę, do walki z którą nawoływał teraz swych przywódców tłum.

Przerwy w wezwaniach do naprawy świata wypełniała muzyka. Ludzie podskakiwali w rytm najpopularniejszych przebojów w wykonaniu najpopularniejszych zespołów. Tych muzycznych przerywników Trafford obawiał się najbardziej, ponieważ był zobowiązany wziąć w ich trakcie Chantorrię, chociaż na krótko, na barana. Stanowiło to ważny element rytuału Festiwalu Wiary. W określonym momencie dziewczyny siadały na ramionach swoich chłopców i prężąc dumnie biusty, unosiły w rozpostartych szeroko rękach przygotowane zawczasu szarfy. Oczywiście w większości przypadków na przeszkodzie stawały tusza kobiety bądź marna kondycja mężczyzny albo jedno i drugie. Zapobiegliwi organizatorzy z ramienia Świątyni przewidzieli to i dostarczali aluminiowe stelaże, coś w rodzaju składanej drabinki. Kobiety siadały na nich, a mężczyźni stawali poniżej. Naturalnie tych stelaży nie starczało nigdy dla wszystkich i Trafford, któremu ani razu nie udało się na taki załapać, był zdany, podobnie jak wielu innych, wyłącznie na siebie. Chantorria nie była szczególnie ciężka, ale dla Trafforda, niemogącego pochwalić się szczególnie tężyzną fizyczną, dźwiganie jej na barana choćby przez wieczność jednej piosenki, czyli niezbędne minimum wymagane od wiernych, stanowiło nie lada wyzwanie.

Po każdej piosence następowała wstawka słowna. Na scenę wbiegali prowadzący w towarzystwie gwiazdek estrady, o których nikt nigdy nie słyszał, i zagrzewali publiczność.

– Każdy może być motorem zmian! Biedzie, wojnom, narkotykom i nietolerancji można położyć kres! Wystarczy chcieć, a pozbędziemy się ich! Liczy się wola każdego z nas! Każda podróż zaczyna się od pierwszego kroku.

Wyświetlano też filmy o ludziach umierających na zalanych równinach Tamtego Świata, a znane gwiazdy estrady

zdawały chwytające za serce relacje z narkotykowego piekła, przez które przeszły, zanim nauczyły się siebie kochać.

Potem przyszedł czas na niespodziankę. Była to cudowna niespodzianka, niespodzianka, która wprawiła i tak już rozentuzjasmowany tłum w jeszcze większą ekstazę. Dziś wieczorem, jeśli lud sobie tego zażyczy, ustanowione zostanie nowe Prawo Wembley.

W ciszy, jaka na moment zapadła, opróżniono scenę z anonimowych chałturników, którzy się tam do tej pory produkowali, a ich miejsce zajęła starszyzna Świątyni. Każdą wspólnotę wpuszczoną na koncert reprezentował teraz na scenie jej spowiednik i na jednym z olbrzymich ekranów po obu stronach sceny, pośród innych nalanych czerwonych lic Trafford rozpoznał nalane czerwone oblicze ojca Bailey.

Zza kulis wychodzili kolejni starsi Świątyni – ewangeliści, uzdrowiciele, kaznodzieje oraz niedawno nawróceni grzesznicy – a na ostatku, witany przez wiwatujące w ekstazie tłumy, pośród fanfar i fajerwerków, pojawił się członek Rady Najwyższej, biskup Solomon Kentucky, Wielki Prorok diecezji londyńskiej.

Na prawo, które zamierzał dzisiaj ustanowić Solomon Kentucky (jeśli lud sobie tego zażyczy), czekano już od dawna. Było teraz potrzebne bardziej niż kiedykolwiek. Ludzie mieli z niego czerpać siłę niezbędną do umacniania się w wierze i godnego reprezentowania Pana oraz Miłości tu, na ziemi. Prawo to miało ich uczynić wartymi tego, co wycierpieli dla nich Dzieciątko Jezus i Diana, zapisane było od dawna w statucie duchowym kraju przewodniego leżącego po drugiej stronie Atlantyku i teraz nareszcie miało zostać zaprowadzone tutaj, w Wielkiej Anglii, w Wielkiej Szkocji, w Wielkiej Walii oraz za wodą, w Szmaragdowej Krainie, by natchnąć wiernych siłą i wytrwałością.

I tak Solomon Kentucky zamierzał ogłosić wszem wobec,

na cały kraj, że (jeśli lud sobie tego zażyczy) od teraz każda osoba będzie z mocy prawa i w myśl ustawy sławna.

– Tak jest! – ryknął Solomon Kentucky, rozdziawiając usta tak szeroko, że w blasku potężnych reflektorów zaślniła tańcząca mu w gardle flegma. – Od dzisiaj, jeśli tylko sobie tego zażyczycie, każdy z was może czuć się sławny! Z mocy prawa! W myśl ustawy! Literą Pisma Świętego i z woli bożej jesteście sławni! Koniec, kropka. Bez kitu. Żadnego bajerowania ani wpuszczania w maliny. Sławni. Krótko i węzłowato. Sławni. Nic dodać, nic ująć. Sławni. Ni mniej, ni więcej. Chcecie tego?

Ogłuszająca odpowiedź zgromadzonych wgniotła boleśnie bębunki w uszach Trafforda.

– Pytałem, CZY PRAGNIECIE BYĆ SŁAWNI! – ryk biskupa spowiednika wzbil się ponad wrzawę.

– Tak! Tak! Tak! – odpowiedziano mu litymi ścianami dźwięku.

– Zadałem proste, jednoznaczne pytanie, umiłowani! Chcę usłyszeć prostą, jednoznaczną odpowiedź. Żadnego krygowania się. Z przekonaniem. Tylko diabeł owija w bawelnę. Tylko szatan się waha. Lud boży WIERZY! Czy wy wierzycie? Czy wierzycie, że jest w was dosyć miłości, dosyć piękna, dosyć WIARY, byście poczuli się sławni?

I znowu ze stu pięćdziesięciu tysięcy gardzieli (w tym z gardzieli Trafforda) wydobył się wrzask potwierdzenia.

– No to jesteście SŁAWNI! – orzekł biskup spowiednik. – Z mocy prawa, a z prawem nie ma dyskusji. Tylko głupcy się w nią wdają. Każdy z was jest sławny. Sławny jest każdy wierny w tym mieście, w tym kraju! Czy się radujecie?

Tłumy się radowały i dały temu wyraz.

– Niech usłyszę wasze „tak”! – krzyknął Kentucky.

– Tak! – odkrzyknęli zgromadzeni.

– I niech usłyszę wasze „tak, tak”! – nie dawał za wygra-

ną Kentucky.

– Tak, tak! – ryknął tłum

– I niech usłyszcie wasze „tak, tak, tak”! – zażyczył sobie Kentucky.

– Tak, tak, tak! – padła entuzjastyczna odpowiedź.

– To widać – stwierdził Solomon Kentucky. – Widać, że się radujecie. Niech usłyszcie z waszych ust słowo „Miłość”!

.– Miłość! – wrzasnęli.

– Niech usłyszcie z waszych ust „Wiecznotrwała Miłość”!

– Wiecznotrwała Miłość! – wrzasnęli w odpowiedzi.

– Wiecz Miś!

– Wiecz Miś!

– Wiecz, wiecz, wiecz Miś!

– Wiecz, wiecz, wiecz Miś!

– No! – posumował Solomon Kentucky.

Teraz wyniesiono wielką księgę ustaw i ta najnowsza ustawa została do niej skrupulatnie wpisana.

*Każdy jest sławny. Na mocy prawa.*

Po tym żywiołowym i porywającym przerywniku nastąpiła emocjonalnie wyczerpująca kulminacja koncertu. Takie jak to zgromadzenie mogło się zakończyć tylko w jeden sposób, czyli złożeniem hołdu dzieciom, które odeszły, zbiorowym oplakiwaniem odrodzonych maleństw, noworodków, które umarły tutaj, na ziemi, ale z pewnością żyją w niebie.

Wśród szlochów i śpiewów ludzie zdzierali z siebie i tak już skąpy przyodziewek, rozbierając się do naga. Rwali sobie włosy z głów, walili się w piersi i padali na ziemię. Tulili się do siebie, całowali, tarzali w amoku wielkimi spoconymi kłębówiskami. Wiele par kopulowało, a niektórzy zaczęli przemawiać w obcych językach.

Krzyczeli, że zmiany są konieczne i oni ich dokonają. Dedykowali swoje życie Miłości, Jezusowi, dzieciom i sobie, deklarowali, że sprostają poważnym wyzwaniom, jakie los



złożył na ich barki.

Koncert skończył się tak, jak kończył się co tydzień. Gwiazdy i gwiazdki znowu wyległy na scenę, by wraz z politycznymi oraz duchowymi liderami odśpiewać *We Are the World*. W tym samym czasie na ekranach wyświetlane były buzie nieżyjących dzieci i dziesiątki tysięcy ludzi pełzających po ziemi niewidocznej pod porzuconymi opakowaniami po jedzeniu.

Trafford i Chantorria nie przyłączyli się do tej orgii. Trzymali się z boku wraz z tymi, którzy, choć nie szczędzili emocjonalnego wsparcia, nie potrafili się jakoś wprawić w stan ekstazy wystarczającej, by wyrażać swą wiarę poprzez uprawianie seksu z obcymi.

Na koniec, kiedy ucichły ostatnie akordy podkładu muzycznego i ostatni głos ze sceny kazał ludziom „wracać do domu i czynić zmiany”, Trafford usłyszał w pobliżu inny głos:

– Żałujcie za grzechy! Wy, którzy w imię Boga oddajecie się przyjemnościom, żałujcie za grzechy.

Wszyscy obejrzeni się i zobaczyli drobną postać w przepaście biodrowej. Mężczyzna stał na skrzynce i beształ z niej otaczających go ludzi.

– Jezus oczyścił Świątynię! – krzyczał, wymachując trzymany w ręku książką w zwykłej szarej oprawie, nieprzypominającą w niczym żadnego z poradników, z którymi Trafford miał na co dzień do czynienia. – Wygnał z niej chciwców, pasibrzuchów, cudzołożników i tych, którzy szukali tam jedynie cielesnych rozkoszy! On wierzył w skromność i obyczajność...

Był to chrześcislamista, człowiek kochający rzekomo Dzieciątko Jezus, ale czyniący to w skandaliczny, bezwstydnym, nieżyłociowy sposób przejęty od wyznawców antyboga islamu. Trafford słyszał o tej sekcie, ale nie uwierzyłby, że któryś z jej członków zdobędzie się na odwagę i publicznie ujawni,

zwłaszcza pośród tak pobudzonego emocjonalnie tłumu.

– Oj! – wrzasnął ktoś nad uchem Trafforda. – Ty pedziu niewyżyty! Odbieram twoje dziamdzianie jako pogrózkę! Przez ciebie czuję się nieswojo!

W jednej chwili gwar pojedynczych gniewnych komentarzy przeszedł w przeraźliwe zbiorowe wycie. Chrzescislamistę ściągnięto ze skrzynki, i gdyby nie interwencja policji, z pewnością zostałby w najlepszym przypadku dotkliwie poturbowany. A tak skończyło się na aresztowaniu za sianie nienawiści religijnej i nieposzanowanie woli większości, i policja go zabrała.

# 15

Tego wieczoru, po powrocie do domu i odebraniu Happy-mealki od blokowej opiekunki do dzieci, Trafford jeszcze raz podjął temat szczepiciela.

– Widziałas te buzie na ekranie? – zagadnął Chantorrię, układającą Caitlin do snu.

– Pewnie, że widziałam – mruknęła Chantorria.

– Chciałabyś zobaczyć wśród nich buzię Caitlin Happy-mealki?

Chantorria wyprostowała się i spojrzała na niego gniewnie.

– Wypluj te słowa! Wydałam ją na świat, jest częścią mojego ciała.

– Zatem chronienie jej przed najgorszym powinno leżeć ci na sercu.

– Tylko Pan może ją uchronić. Słyszałeś, żeby komuś udało się uniknąć tego, co mu pisane?

– No dobrze, skoro wszystko jest gdzieś tam zapisane, to co za różnica, jak postąpimy?

– Nie mędrkuj, Traffordzie. Tym właśnie zrażasz do siebie ludzi. Myślą, że masz się za mądrzejszego od nich.

Chantorria skończyła zabiegi przy dziecku i sama zaczęła szykować się do snu. Stara, mała, rozkładana kabina natryskowa dawno już się popsuła i służyła teraz za dodatkową szafkę na naczynia. Chantorria stała w miednicy i obmywała

się gąbką maczaną w małym zlewie przytwierdzonym śrubami do ściany w kącie sypialni. Podczas kąpieli puszczała zwykle na ekranie ściennym ujęcia wspaniałych wodospadów, ale tego wieczoru było inaczej.

– Nie wiem nawet, skąd masz pewność, że to okropieństwo podziła – powiedziała, pocierając się gąbką.

– Nie mam co do tego pewności. Oczywiście, że nie mam. Skąd miałbym mieć? – odparł ostrożnie Trafford. Była już czwarta nad ranem i bolała go głowa. – Ale kiedy się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że to możliwe, bardzo możliwe. Wydaje mi się nawet, że rozumiem, na czym rzecz polega, logikę całego zabiegu. To bardzo eleganckie.

– Eleganckie?

– Tak. W sensie intelektualnym.

– Traffordzie – syknęła Chantorria – mówimy o naszej córeczce. Mówimy o herezji! Co może mieć z tym wspólnego twój intelekt?

Trafford sięgnął po wideokomunikator i zaczął surfować po blokowej sieci wewnętrznej. Na ścianie pojawiały się obrazy przekazywane z kolejnych lokali w kamienicy. Większość lokatorów spała. Kilka małżeństw się kłóciło, dwie pary uprawiały seks, parę osób przypatrywało się ich wyczynom albo oglądało pomo, albo reality show w telewizji. Barbiella trwała, rzecz jasna, na swoim posterunku, ale zmorzona snem. Chrapała głośno z głową zwieszoną nad tulonym w przepastnych objęciach wiaderkiem pieczonych kurczaków.

– Pozwól, że cię o coś zapytam, Chantorrio – odezwał się Trafford, posypując cukrem brzegi dwóch szklanek i napełniając je kukurydzianym piwem Bud. – Czy próbowałaś kiedykolwiek o niczym nie wiedzieć?

– Co to za pytanie? Wiem tyle, co każdy.

– Czyli nic.

– Traffordzie, proszę cię, nie zaczynaj. Musimy iść spać.

Niedługo trzeba będzie nakarmić Caitlin

– Pozwól, że ujmę to inaczej: czy kiedykolwiek chciałaś coś zrozumieć?

– Idę spać.

– Pan stworzył niebo i ziemię. Pan stworzył nas. Pan czyni to, Pan chce tamtego. Nie wiemy jak ani dlaczego, nie musimy wiedzieć, tak już po prostu jest. Wyjaśnienia nie ma i nie będzie, to wszystko cud. Dzieci się rodzą, część z nich umiera – wola boża, nie mamy na nią wpływu. Nie uważasz, że do pewnego stopnia jest to... jest to...?

– No, jakie jest?

– Żałosne?

Cokolwiek spodziewała się usłyszeć od niego Chantorria, to na pewno nie to.

– Żałosne?

– No bo, po prostu... nie przejawiamy żadnej inicjatywy... zdajemy się we wszystkim na Boga. A tak w ogóle, to po co On zadał sobie trud i nas stworzył? Po to tylko, żebyśmy w Niego wierzyli, a po jakimś czasie umierali? Nie przyszło ci nigdy do głowy, że nie ma w tym większego sensu?

– Wolabym, żebyś nie mówił w ten sposób, Traffordzie. To bluźnierstwo. Naszą powinnością tu, na ziemi, jest kultywowanie wiary. Wiara to dawanie świadectwa istnienia czegoś większego i ważniejszego od nas, w czego istnienie nie wątpię. Co w tym żałosnego?

– A może mnie sama wiara nie wystarcza, może czegoś mi w życiu brakuje?

– Czegóż może brakować człowiekowi wierzącemu?

Trafford szukał właściwego słowa. Wiedział, że jest takie, słyszał je w rozmaitych kontekstach, a do tego kontekstu pasowało jak ulał.

– Celu – odparł.

– Celu? Czyż spłodzenie Caitlin HappyMealki, twojej có-

reczki, nie było dla ciebie celem? Czyż nie osiągnąłeś postawionego sobie celu, żeniąc się ze mną?

– Nie, nie takie doraźne cele mam na myśli. Mnie chodzi o cel w szerszym sensie. Chcę samodzielnie myśleć. Chcę na podstawie tych przemyśleń dochodzić do własnych wniosków, a nie przyjmować na wiarę to, w co każą mi wierzyć. Chcę zdjąć z Boga choćby cząstkę obowiązku troszczenia się o mnie.

– Traffordzie, nie wolno ci wypierać się Boga. Spalą cię na stosie! – wykrzyknęła Chantorria.

– Nie wypieram się Boga! – zaprzeczył pośpiesznie Trafford. Pomimo tych odważnych słów był jak najdalszy od dania ludziom pretekstu do uznania go za heretyka. – Według ciebie bez wyparcia się Boga nie można zyskać niezależności? Moim zdaniem każdy, nawet niezbyt rozgarnięty Bóg, oczekiwałby tego od swoich dzieci.

– Traffordzie!

– Czyż wiara jako taka nie byłaby prawdziwsza, gdyby dochodziło się do niej poprzez zadawanie pytań i rozwiewanie wątpliwości? Co jest warta ślepa wiara? Doprawdy, nietrudno twierdzić, że się wierzy, kiedy alternatywą jest, że spłoniesz żywcem na stosie. Ale czy to znaczy, że wierzysz naprawdę? Pamiętasz tego mężczyznę na koncercie, tego chrześcislami-stę? On naprawdę wierzył.

– O mało nie zatłukli go na śmierć, Traffordzie. Chcesz sprowadzić taki koniec na nas? No, chcesz? On był niespełna rozumu.

– Zgoda, nikt przy zdrowych zmysłach na takie coś by się nie poważył. Oddać życie za wiarę. Ty byś tego nie zrobiła. Wiara jest dla nas tym, w cokolwiek każą nam wierzyć. Jeśli spowiednik Bailey mówi nam, że nalewka na wiśniach to krew Diany, wierzymy w to bez zastrzeżeń. Ale ten mężczyzna z koncertu...

– Którego o mało nie zabito...

– ...ten mężczyzna uwierzył, nie słuchając, co mu mówią. To wiara z głębi serca. Pomyślał i postanowił działać zgodnie z wnioskami, jakie wyciągnął. Ja też bym tak chciał.

– Zostać pobitym na śmierć?

– Ty mnie w ogóle nie słuchasz! Pytam, czy nie byłoby cudownie działać niezależnie. Samodzielnie myśleć. Podejmować własne decyzje i konsekwentnie wprowadzać je w życie. Czy nie czułabyś się wtedy lepiej?

– Skąd mam wiedzieć? Czy ktoś już tak robił?

– Wróćmy do tego szczepienia. Nie rozumiesz?! Przyjrzałem się dostępnym mi dowodom i wyciągnąłem wnioski.

– Jakim dowodom?

– Istniała kiedyś nauka zajmująca się ochroną dzieci przed chorobami wieku dziecięcego...

– Lepiej nie kończ!

– A właśnie, że dokończę. Oczywiście nie wiem wszystkiego. To nie jest wiara! To nie coś, w co mogę wierzyć bez zastrzeżeń. To wniosek, i tyle, przypuszczenie oparte na dowodzie, którym są statystyki umieralności z piętnastego roku Przed Potopem. Doszedłem do niezależnego wniosku. Czyż to nie ekscytujące?

– Nie będę truć mojego dziecka, bo tobie zachciało się ekscytować myślami.

– Chantorrio – powiedział łagodnie Trafford, podnosząc głos tylko na tyle, by usłyszała go w odgłosach nocy. – Jesteś inteligentną kobietą. Wiem to, przeżyliśmy już ze sobą prawie dwa lata, a małżeństwo może przetrwać tak długo, tylko jeśli dwoje ludzi naprawdę zna się i szanuje.

– Śpijmy, Traffordzie.

– Gdyby Caitlin Happymealka umarła, na co ma statystycznie pięćdziesiąt procent szans...

– Zamknij się!

– Gdyby umarła – ciągnął Trafford – to naprawdę wie-

rzysz, że w tej samej chwili odrodziłyby się w jakimś przyjemniejszym, lepszym miejscu?

Chantorria uniosła się na łokciu i twardo spojrzała Traffordowi w oczy.

– Tak – powiedziała stanowczo. – Wierzę w to głęboko.

– To dlaczego nie chcesz, żeby umarła?

– Co za beznadziejnie głupie pytanie. Śpij.

– Daj spokój, Chantorrio. To pytanie wcale nie jest głupie, mało tego, aż się prosi, żeby je zadać. Co jest warte nasze życie? Nic. Jak ci minął dzień? Gównianie. Spędziłaś go na siłowni, udając kogoś, kim nie jesteś, bo boisz się, że ludzie się zorientują, jaka jesteś naprawdę. Wiedziemy gówniane życie w gównianym mieście, walcząc na łokcie o miejsce z milionami obesranych ludzi. Dlaczego chcesz, żeby Caitlin Happymealka też tak wegetowała, skoro wiesz, że w niebie miałyby o niebo lepiej?

Na twarzy Chantorrii oburzenie mieszało się ze smutkiem. Nawet nie próbowała odmawiać Traffordowi racji.

– Bo bym za nią tęskniła – odparła ze łzami w oczach.

Trafford pokręcił głową.

– Jasne, że byś tęskniła, ale nie jesteś przecież taką egoistką. Zrobiłabyś wszystko, żeby zapewnić naszej malutkiej szczęśliwszy los, nawet pozwoliła odejść. Prawda jest taka, Chantorrio, że w głębi serca nie do końca wierzysz, że Caitlin trafiłaby po śmierci prosto w objęcia Diany. Dobrze wiesz, że wszystkie te zdjęcia i malunki na murach Centrum Wiary nijak mają się do rzeczywistości. Dzieci umierają codziennie i niemożliwe, żeby wszystkie trafiły w objęcia Diany, musiałyby być ośmiornicą. Wiesz, że niebo nie może być pełne anielsko pięknych ludzi, bo większość ludzi umiera w niemowlęcym albo starszym wieku. Już prędzej dałbym wiarę, że niebo zapełniają wrzeszczące bachory i tłuste rozlazłe staruchy.

– Tego nie należy rozumieć dosłownie! Spowiednik cią-



gle to powtarza.

– A dlaczego nie należy? Wszystko inne każą nam rozumieć dosłownie. Historię stworzenia, dzień Sądu Ostatecznego, astrologię, mówienie obcymi językami, cuda, tarot, piekło, aniołowie. Według spowiednika Bailey'a to wszystko jest realne. Dlaczego niebo miałoby nie być? A skoro nie jest realne, to czym jest?

– Miłością.

– Jak myślisz, co się stanie z Caitlin Happymealką, kiedy umrze, co statystycznie...

– Cicho! Przestań wygadywać takie bzdury!

– Nie wiesz, prawda?! I dlatego boisz się, że umrze! Rozsądek zmusza cię do obawy o jej życie. Gdybyś naprawdę wierzyła, nie mogłabyś się doczekać, kiedy umrze, bo w niebie jest lepiej. Ale rozsądek każe ci podejrzewać, że ona po śmierci może nigdzie nie pójść, a więc lepiej dla niej, żeby pozostała przy życiu. I my możemy ją ocalić! Cholera, rozumiem, na czym polega ten proces! Organizm jest wyposażony w system odpornościowy, wszyscy o tym wiemy. Nawet Świątynia to przyznaje. Powiadają, że właśnie za pośrednictwem systemu odpornościowego Bóg zsyła zarazę, by ukarać sodomitów. Szczepienie uaktywnia system odpornościowy. To... to logiczne.

– Ależ, Traffordzie, klucz bezbronne dzieci zakażonymi igłami... To w moim odczuciu nie w porządku.

– Otóż to. Nie w porządku w twoim odczuciu. Musisz się zdecydować, Chantorrio. Musisz dokonać wyboru pomiędzy odczuciami a zdrowym rozsądkiem.

W tym momencie Caitlin Happymealkę obudził głód i zaczęła płakać.

– Dosyć mam tej rozmowy – powiedziała zdecydowanie Chantorria.

# 16

Przez kolejne dni Trafford do znudzenia próbował wytłumaczyć Chantorrii, że zaszczepienie Caitlin Happymealki jest ich obowiązkiem. Wynikło z tego kilka karczemnych awantur, ale nie zdołał jej przekonać, tak więc, kiedy nadszedł następny dzień fiz-ności, postanowił zapoczątkować ów proces bez jej zgody.

Cały w skowronkach, niemal szczęśliwy, dołączył do tłumów kłębiących się na ulicy przed wejściem do stacji metra. Nawet wiadomość o samobójczym zamachu bombowym na lokalną stację pomp, co pociągało za sobą kilka godzin spóźnienia, nie do końca popsła mu humor. Nie podkopywał mu nastroju ogromny owłosiony kałdun napierający na niego od tyłu ani owłosiona obficie szpara między dwoma tłustymi półdupkami, do których był dociskany. Ani pieczony kureczak konsumowany kilka cali po prawej, ani burger pożerany łapczywie po lewej. Ani „duf duf– duf duf z niezliczonych słuchawek, ani wiadomości lecące na okrągło z każdego plastikowego wiaderka z kawą. Tego poranka nie był w stanie wytrącić Trafforda z równowagi nikt z tych tysięcy ludzi, żadna z miliona rzeczy, które zazwyczaj przyprawiały go o gęsią skórkę, wyciskały pot na czoło i sprawiały, że szybciej biło serce przepelnione skondensowaną nienawiścią. Ponieważ był to poranek, kiedy, obojętne, czym to grozi, rozpocznie

starania o zdrowie i pomyślność dla swojej córeczki Caitlin Happymealki.

Ale był również inny powód tego, że Trafford czuł się tego poranka taki podniecony i uwznioślony, powód niemający nic wspólnego z ratowaniem córki. Był mianowicie zakochany.

Oczywiście zakochany już był. Kochał swoją pierwszą dziewczynę, kochał pierwszą żonę i bez dwóch zdań kochał Chantorrię. Kochał ją bez pamięci w czasach, kiedy się jeszcze śmiała, kiedy miała własne zdanie i kiedy jej ciemne oczy błyszczały uczuciem i radością życia. Kochał ją nadal jakby z rozpedu, z obowiązku, jako matkę swojej córki, i za to, jaka była, zanim ją zmienił strach. Ale ta nowa miłość była inna.

Była dziwna, upajająca i egzotyczna. Niepodobna do żadnej z dotychczas przeżywanych. Nie była silniejsza od miłości do Chantorrii, ale inna, inna w tym sensie, że o kobiecie, w której wyczuł bratnią duszę, nie wiedział absolutnie nic.

Trafford nie wiedział, w jakim wieku jest Sandra Dee, czy ma dzieci, czy była kiedykolwiek zamężna. Nie znał jej znaku zodiaku ani szczęśliwego kamienia, nie wiedział, jakie jest jej ulubione danie ani co powie Bogu, gdy Go spotka. Nie wiedział, co wprawia ją w zakłopotanie, w czym gustuje, a czego z całej duszy nie cierpi. Nie wiedział, jak najchętniej spędza dzień, co najczęściej porabia wieczorami ani jaka pozycja seksualna najbardziej ją podnieca. Nie wiedział, jaki jest jej ulubiony kolor ani której drużynie piłkarskiej kibicuje. Nie znał też powodów, dla których ona kocha i szanuje siebie, nie wiedział, za co codziennie dziękuje Miłości. Wszystkie te informacje były ogólnie dostępne, wyszczególnione jak należy na stronie Masz Twarz Sandry Dee. Były tam, ale Trafford wiedział, że to wszystko kłamstwa, przeniesione na jej stronę wycinki z grafomańskiego bełkotu innych użytkowników sieci, skompilowane z fragmentów zaczerpniętych z niezliczonych, prawie identycznych stron. O Sandrze Dee wiedział

tylko jedno: ta kobieta ma sekrety. Innymi słowy, wiedział, że nic nie wie. Dosłownie każdy szczegół na swój temat, czy to znaczący, czy błaży, Sandra Dee zachowywała dla siebie. Świadomość tego podniecała Trafforda niezmiernie, bo nie było nic wspanialszego, odważniejszego, oryginalniejszego, prawdziwie niebezpiecznie erotycznego niż mieć sekrety.

Trafford nie wiedział nawet, jak wygląda ciało Sandry Dee. Nie do wiary, że w świecie, w którym ubiór spełnia funkcję praktycznie symboliczną i mało co zakrywa, tej kobiecie udało się jakoś nie odsłonić dotąd większej części powierzchni swej skóry. Trafford wiedział nieporównywalnie więcej o wdziękach Księżniczki Piczki, Kahlui i każdej innej kobiety z biura albo ze swojej z kamienicy. Trafford wiedział o wiele więcej o ciałach ludzi z tłumu, z którym szturmował wejście na stację metra. Zewsząd otaczały go nagie biusty, brzuchy i zadki. Obyczaj nie dopuszczał jedynie obnażania w miejscach publicznych genitaliów, ale prezentowanie ich w całej okazałości na osobistych stronach internetowych było jak najbardziej dopuszczalne. Jednak Sandra Dee ani razu nie odsłoniła w biurze piersi. Nawet brzuch rzadko pokazywała. Dopiero teraz Trafford uświadomił sobie z niedowierzaniem, że nigdy nie widział jej pępka! Prawie na pewno była jedyną ze znanych mu kobiet, której pępka nigdy nie widział. A przecież nawet ciała małych dziewczynek wystawiano powszechnie na widok publiczny. W społeczeństwie żyjącym w ciągłym strachu przed pedofilami matki wybierały dla swoich małych córeczek prowokujący seksualnie styl ubierania, któremu same hołdowały. Trafford dostrzegął tę jedną z dziwnych niekonsekwencji, ale zachowywał to dla siebie.

Za to Sandra Dee nawet w najbardziej upalne dni nie pojawiała się w biurze w samym tylko topie i stringach. Wołała przewiewne bluzeczki oraz spódniczki sięgające niekiedy do kolan. Takie nieokazywanie dumy z własnego ciała było złe

widziane i uważane za dowód braku samoposzanowania oraz szczerzej wiary. Ale Sandra Dee nic sobie z tego nie robiła, miała gdzieś konwenanse. Nie dawała się sprowokować, nawet kiedy Księżniczka Piczka wytykała jej, że nie jest kobieca i ubiera się bez gustu. Trafford słyszał, jak raz na podobny zarzut Sandra Dee odparła, że zakrywa więcej ciała, niż to przyjęte, bo ma jasną karnację, przez co jej skóra jest wrażliwa i wystawiona na działanie promieni słonecznych pokrywa się szybko piegami. Poza tym długie przebywanie na słońcu grozi zachorowaniem na raka. Słyszając to, Księżniczka Piczka zazgrzytała zębami. Hebanowa opalenizna była teraz szczytem mody wśród białych kobiet uważających raka za ryzyko, które warto podjąć, byle przypodobać się Panu.

Tak czy owak, pomimo nacisków ze strony zwolenników półnagości, Sandra Dee nadal nie odsłaniała swoich wdzięków i dla Trafforda była to postawa niezmiernie podniecająca. Potajemnie kochał tajemnice. Czy mogło istnieć coś bardziej pociągającego? Bardziej pachnącego zakazanym owocem? Bardziej ocierającego się o perfekcję?

W biurze, gdy Trafford tam dotarł, panowała atmosfera festynu. Z sufitu zwisały serpentyny, na każdym stanowisku komputerowym z pojemników na przybory piśmienne sterczały gotowe do podpalenia sztuczne ognie i przyjęciowe kapiszony. Księżniczka Piczka podłączała swój transparent z ułożonym z migających diod sloganem „Chwała Miłości” do opraw oświetleniowych, z których zwisały już flagi wszystkich Narodów Szczerzej Wiary.

- Co dziś świętujemy? – spytał niewinnie Trafford.
- Co świętujemy? – zachnęła się Księżniczka Piczka. – Dobre sobie! Ufff! A jak myślisz?
- Hmm... no, nie wiem.
- Jesteśmy sławni, i to świętujemy! Od urodzenia chcieliśmy być sławni i nareszcie jesteśmy! Wszyscy jesteśmy sław-

ni i dzisiaj spotykamy się w tym gronie po raz pierwszy od dnia, w którym to ogłoszono. Nie uważasz, że takie wydarzenie warte jest uczczenia?

Od Festiwalu Wiary, kiedy to ustanowiono nowe Prawo Wembley dotyczące sławy, upłynął już tydzień i Trafford prawie o tym zapomniał. Nową ustawę przyjęto z entuzjazmem. Naród wyległ na ulice, żeby zmanifestować swoją radość, puby pękały w szwach. Burdy trwały do późnych godzin nocnych. Bandy sławnych teraz ludzi polowały na zbrojców i wszczywały regularne bitwy z interweniującą policją.

Ale to działo się przed tygodniem. A życie toczyło się dalej; kolejne zamachy bombowe, kolejne rozruchy, kolejne zaciekle ataki na siły pokojowe za granicą. Sława prawie wszystkim zdążyła już spowszednieć, prawie wszystkim, ale nie Księżniczce Piczce. Bo i chwila była naprawdę wiekopomna. Gdyby chociaż jeden z pracowników biura z dnia na dzień stał się sławny, wyjaśniła, byłby to powód do świętowania, a więc o ile większy powód mamy do tego teraz, kiedy staliśmy się sławni wszyscy.

Zagrała muzyka i Księżniczka Piczka poprowadziła karaoke, a potem przyszła kolej na tańce. Z początku Księżniczka odpuszczała tym bardziej wstydlivym, którzy podpierając ściany albo przycupnąwszy na biurkach, uśmiechali się nerwowo z udawanym entuzjazmem. Płasała w najlepsze ze swoimi akolitami na uprzątniętym z biurowych sprzętów środku sali. Ale, co było do przewidzenia, szybko zirytował ją brak powszechnego ducha zabawy i zaczęła poganiać tych, którzy się jeszcze do niej nie włączyli.

– No, dalej! Coście tacy niemrawi? – zawołała groźnie, kołyszając w takt piosenki ogromnymi, prawie nagimi, wypchanymi silikonem piersiami. – Mieliśmy się bawić!

Pracownicy biura z ociąganiem wychodzili jeden po dru-

gim na zaimprovizowany parkiet, by podświadomie papugować, jak kto potrafi, ekstrawaganckie, niby to erotyczne wygibasy Księżniczki Piczki i jej przydupasów. Trafford zauważył, że Cassius posłuchał jako jeden z pierwszych, nie od razu jednak, bo to mogłoby wzbudzić podejrzenia Księżniczki Piczki, ale i nie za późno, żeby nie narazić się na jej gniew. Według Trafforda bardzo przekonująco udawał, że świetnie się bawi. Człowiek skrywający taką jak on tajemnicę musiał mieć opanowaną do perfekcji sztukę wtapiania się w otoczenie. Trafford i Sandra Dee dołączyli do tańczących jako ostatni. Sandra Dee nigdy nie próbowała przypodobać się Księżniczce Piczce i, o dziwo, swoją postawą zdobyła sobie u tej ostatniej coś w rodzaju niechętnego respektu. W normalnych okolicznościach Trafford dołączyłby wcześniej, ale zainspirowała go odwaga Sandry Dee. Razem, ale osobno opierali się brutalnej socjalnej presji, dopóki Księżniczka Piczka nie zarządziła tworzenia wężyka i dalszy proces stał się niemożliwy.

I tak ćwierć setki z hakiem starszych analityków wydziału statystyki rozwodnictwa, zajmującego północno-zachodni narożnik 71, piętra gmachu Krajowego Banku Danych, utworzyło wężyk i pod przewodem Księżniczki Piczki ruszyło, wierzgając i zarzucając biodrami, między biurka, by celebrować swoją sławę. Niektórzy próbowali sprawiać wrażenie zatraconych bez pamięci w tańcu. Inni uśmiechali się, ale przez zaciśnięte zęby. Sandra Dee należała do tej nielicznej garstki, która nie silła się nawet na uśmiech.

Trafford był chyba jedynym, którego wijący się wężyk naprawdę upajał do zwrotu głowy. A to dlatego, że udało mu się zająć miejsce za Sandrą Dee. Przed oczami miał podrygującą szopę jej gęstych, pszenicznoblond włosów, a przez cienki materiał bawełnianej sukienki wyczuwał dłońmi jej talię. Chyba nigdy jeszcze nie doświadczał podobnego podniecenia.

Tak zazdrośnie ukrywała swe wdzięki, a on ich teraz niemal dotykał. Od tego, co należało wyłącznie do niej, dzieliła go tylko cieniutka warstwa ciepłej, wilgotnej bawełny. Miał w dłoniach żywą, oddychającą tajemnicę, dotykał jej intymnych miejsc, bo ona cała była jedną wielką intymnością. Czegóż więcej trzeba do pełnego erotycznego spełnienia? Jeszcze włos bliżej i zaczęłyby się rozwiewać tajemnica, to, co czyniło ją w jego oczach tak piękną.

Kiedy taniec dobiegł końca, Sandra Dee nie odwróciła się, by zamienić nim słówko albo przynajmniej uśmiechnąć. Odeszła, nie oglądając się nawet przez ramię. Trafford specjalnie się tym nie przejął. To jej tajemniczość wielbił. Był zakochany we wszystkim, czego o niej nie wie. Odwracając się i szukając wzrokiem wolnego biurka, był przekonany, że gdyby teraz do niego podeszła i zaproponowała wspólną wizytę w toalecie, co od czasu do czasu praktykowały biurowe parki, stanowczo by odmówił. Żaden stosunek seksualny nie mógł się równać z tym tajemniczym, urojonym, który mógł przeżywać w wyobraźni i o którym ona nic nie wiedziała. Żadne żywe ciało nie mogło dorównać erotyzmem temu skrywanemu, nietykalnemu, niepoznawalnemu.



– Może wyskoczmy na lunch? – zagadnął Trafford Cassiusa.

Cassius podniósł wzrok i Trafford się uśmiechnął. Z niecierpliwością czekał od rana na ten moment, chociaż zdawał sobie sprawę, czym grozi rozmowa na temat, który zamierzał poruszyć. Biuro zaczęło mu się nagle jawić jako archiwum tajemnic, podniecające miejsce, w którym tak naprawdę jest jedynie troje ludzi: on, Cassius i Sandra Dee. Reszta współpracowników nie była dla niego bardziej realna niż harujący na ekranach ich komputerów spikselowani bohaterowie gier, którymi zabijali czas w długie dni bezcelowej pracy.

– Z miłą chęcią – odparł Cassius.

– Chwała Miłości – powiedział Trafford.

– Najwyższy czas – ucieszył się Cassius. Trafford, na którego przypadała kolej wyboru lokalu, zabrał Cassiusa do McDonalda.

– Świątujemy coś? – spytał Cassius.

McDonald's był najstarszą i najbardziej renomowaną ze wszystkich sieci zbiorowego żywienia, od których roiło się w każdym centrum handlowym i w każdej dzielnicy handlowej. Założony na długo Przed Potopem, jako jedna z nielicznych instytucji z tamtego okresu przetrwał do Ery Wiary. To sprawiało, że miał sobie tylko właściwy styl i był postrzegany jako

wybijający się ponad inne, klasyczny i niepowtarzalny. Całkowita nagość była niedozwolona, tutaj najchętniej urządzano chrzciny, okolicznościowe uroczystości i wesela.

– Tak. Owszem, świętujemy – odparł Trafford, kiedy dopchali wózki z daniami do stolika, który właśnie się zwolnił. – Świętujemy dzień, w którym zaczynam odwracać się od Świątyni.

– Coś takiego – mruknął Cassius, uprzątając stolik z resztek jedzenia, pustych kartoników i zasmarkanych chusteczek higienicznych. – A jak sobie konkretnie wyobrażasz realizację tego ambitnego zobowiązania? – spytał. Zawsze wysławiał się jak guru z wideogier z gatunku kung-fu, ale Trafford wątpił, czy to z nich zaczerpnął swój styl.

– Zdecydowałem się na wprowadzenie w czyn tego, o czym rozmawialiśmy – odparł Trafford.

Powiedział to głośno, zdecydowanie, już teraz odczuwając pierwsze zwiastuny wyzwolenia. Jeszcze jedna tajemnica do skrywania, jeszcze jeden akt buntu, tym razem takiego kalibru, że może nawet zaowocować pozbawieniem Świątyni jeszcze jednej duszyczki.

Mina Cassiusa się nie zmieniła. Wciąż się uśmiechając, odpakował resztę kartoników z jedzeniem i nadgryzł burgera. Uśmiech znikł na chwilę z jego twarzy, ale szybko przywołał go z powrotem i ścierając z brody lepki, słodki majonez, spytał:

– Czy twoja żona wyraża zgodę? – A zaraz potem wymamrotał rozdrażniony: – Teraz sypią cukier nawet do tego zakichanego majonezu.

– Nie, Chantorria jest temu przeciwna – odparł Trafford. – Ale nie będę się na nią oglądał.

– Zdajesz sobie sprawę, że w razie wpadki zostaniesz ukamienowany albo spalony na stosie? – spytał Cassius.

– Straciłem już jedno dziecko. Nie wyobrażam sobie

większego bólu.

– Łatwo powiedzieć, ale wyobraź sobie płomienie liżące twoje stopy. Gdybyś na tym etapie ponoszenia kary mógł ocalić siebie, poświęcając coś, co najbardziej kochasz, nie zrobiłbyś tego?

– Może... ale na szczęście nie muszę na razie dokonywać takiego wyboru. W tej chwili rozsadza mnie odwaga.

Przez jakiś czas przeżywali w milczeniu, a wokół nich setki głosów wymieniały uwagi o jedzeniu, plotkowały i komentowały ostatnie rozporządzenia Świątyni.

– Zrobisz to zatem? – spytał w końcu Trafford. – Zaszczepisz moją córeczkę?

– Oczywiście.

– Nawet jeśli moja żona się na to nie zgadza?

– Gdybym tylko mógł, zaszczepiłbym dziecko wbrew woli obojga rodziców, tak samo jak próbowałbym ratować je przed ojcem, który przykłada mu nóż do gardła. Tu nie są ważni rodzice, tu chodzi o dobro dzieci. Moim obowiązkiem jest je chronić. Mówiłem ci już, że nakazuje mi to moja wiara.

– Czy szczepiciele wierzą w Boga?

– Niektórzy tak, niektórzy nie. To nie jest wymagane. Zapewniam cię jednak, że nikt z nas nie wierzy w Boga takiego, jakim przedstawia Go ludziom Świątynia: w Boga mściwego, o morderczych zapędach, nieznośnie donkiszotowskiego i nielogicznego, który ma jakoby czas i skłonność do zaglądania w umysły wszystkich i każdego z osobna, i wysłuchiwania ich modlitw, a jednak zabija i okalecza, kogo popadnie.

Ich rozmowę zagłuszyła nagle głośna muzyka. Przy sąsiednich stolikach rozsiadali się uczestnicy bardzo licznego i hałaśliwego przyjęcia urodzinowego, narzucając całej restauracji swoją wizję dobrej zabawy. Przy akompaniamencie pohukiwań i radosnych pisków przed gośćmi stawiano wielkie pojemniki lodów z bakaliami i rozdawano torby przyjęciowe z

kilogramami słodyczy. Interaktywne baloniki wyśpiewywały *Sto lat z okazji pięćdziesiątych urodzin, Gwiazdździarzu*, kiedy się je traściło, a na wielkoformatowym ekranie odtwarzano głośnie, nagrane na wideo życzenia dla solenizanta od tych, którzy nie mogli osobiście wziąć udziału w przyjęciu.

– Jak to zrobimy?! – wrzasnął Trafford do Cassiusa siedzącego niecałe pół metra od niego.

– Hm, to zależy, jaką szczepionką aktualnie dysponuję i kiedy! – odwrzasnął Cassius. Traffordowi wydało się dziwne, że tak niebezpieczną rozmowę prowadzą podniesionymi głosami, z drugiej strony nie było praktycznie możliwości, żeby ktoś ich podsłuchał. – Dzieci zabija wiele chorób – ciągnął Cassius. – Jeden zastrzyk nie uodporni ich na wszystkie. Ale lepsze to niż nic.

– Skąd bierzecie szczepionki?

W tym momencie natężenie hałasu drastycznie spadło.

Trafford miał szczęście. Gdyby rozpoczął swoje pytanie ułamek sekundy później, wyrzesałaby słowo „szczepionki” we względnej ciszy, jaka zaległa, i liczo wie, co mogłoby z tego wyniknąć.

Ta względna cisza była zasługą kierownika sali, który poprosił grupę świętującą czyjeś pięćdziesiąte urodziny, czy nie mogłaby, z łaski swojej, spuścić trochę z tonu, bo przy sąsiednim stole odbywa się właśnie stypa. Imprezowicze z początku odmówili, argumentując, że zapłacili za jedzenie, że znają swoje prawa i jak każdy mogą robić, co im się podoba i gdzie im się podoba. Kiedy jednak kierownik powiedział, że to stypa po zmarłym dziecku, zgodzili się, acz niechętnie, zachowywać nieco ciszej.

Jak było do przewidzenia, hałas znowu zaczął narastać, by po pewnym czasie osiągnąć poprzedni poziom, ale Trafford z Cassiusem mogli chociaż przez krótką chwilę rozmawiać bez zdzierania gardeł.

– Istnieje cała sieć – powiedział Cassius, odpowiadając na pytanie Trafforda. – Część jest wytwarzana w domowych laboratoriach tutaj, w Londynie, albo na prowincji. Część przemyca się z zagranicy. Północnoeuropejscy członkowie Sprzymierzenia Wiary są od nas trochę liberalniej si w poglądach na te sprawy. W Skandynawii szczepienia jeszcze piętnaście lat temu były zupełnie legalne, ale naciski ze strony Wielkiego Sprzymierzeńca położyły temu kres. Bo widzisz, brak wiary oznacza brak parasola militarnego, a w sytuacji, kiedy ponad połowie populacji świata potop wymył grunt spod nóg i ci, co zostali na wodzie, bardzo chcą tu przywiosłować i zamieszkać z nami, bardzo jest potrzebny taki militarny parasol, nieprawdaż? No, może trafniejsze byłoby tu określenie „militarne kalosze”.

I znowu musieli przerwać rozmowę, bo jakiś zwalisty i bogato wytatuowany imprezowicz z przyjęcia urodzinowego, cofając się, wpadł na ich stolik. Stolik był przyśrubowany do podłogi, ale mimo to zadygotał pod ciężarem wielkiego dupska. Tłuste, prawie gołe pośladki rozplaszczyły się na plastikowym blacie niczym dwie przyssawki i dotknęły kartoników z mlecznymi koktajlami Trafforda i Cassiusa. Facet próbował zmieścić w kadrze osobistego wideokomunikatora wszystkich gości, a oni nagrywali tę scenę na swoich telefonach. Pomijając konsumpcję, było to chyba główne zajęcie grupy. Zupełnie jakby przyjęcie zorganizowano tylko po to, żeby jego uczestnicy mogli się nawzajem filmować.

Trafford i Cassius zamilkli. Nie zwrócili uwagi intruzowi, który wtargnął na ich teren i siedział teraz praktycznie na ich posiłkach. W Londynie z dnia na dzień robiło się coraz ciśnień, wszyscy chodzili podminowani i społeczeństwo podzieliło się na dwa obozy – tych, którzy szukają, i tych, którzy starają się jak mogą nikogo nie sprowokować. Trafford, jak każdy, kto preferował spokój, już dawno zauważył, że ci

najbardziej wrażliwi na punkcie swojego prawa do robienia, co chcą, pierwsi uważają się za znieważonych, kiedy ktoś zwraca im uwagę, że naruszają jego prawo do spokojnego zjedzenia posiłku. Było pewne jak to, że Słońce krąży wokół Ziemi, że jakakolwiek uwaga pod adresem mężczyzny, który siedzi teraz na ich stoliku, wywoła tylko słuszny gniew tego ostatniego, posądzenie o brak szacunku i prawdopodobnie rękoczynny. Trafford i Cassius, rozumiejąc się w tym względzie bez słów, postanowili zatem poczekać, aż indywiduum samo sobie pójdzie.

Ale ci ze skłonnością do prowokowania rzadko akceptują taką postawę i intruz ich milczenie odebrał jako zniewagę.

– Nie pasuje wam może, że tu siedzę? – spytał wyzywająco, próbując tak wykręcić górną część tułowia, żeby ich widzieć.

– Ależ skąd – zaprzeczył pośpiesznie Cassius. – Niech pan sobie siedzi.

– Bo jak nie pasuje, to, jak chcecie, możemy to zaraz załatwić. Chyba wiecie jak?

– Zapewniam pana, że nie mamy nic przeciwko temu. Jest pan na przyjęciu, niech się pan bawi.

– Ja tylko kręcę to cholerne wideo – mruknął facet.

Chyba zaczął sobie zdawać sprawę, że nie trafił na skorych do bitki, ale wciąż nie rezygnował.

– Naturalnie. Proszę dalej kręcić. Niech się pan nie krępuje – zapewnił go Cassius. – Przesuniemy się, żeby to panu ułatwić.

– Dobra. Cieszę się, żeśmy to ustalili – powiedział mężczyzna, odwracając się, żeby kontynuować uwiecznianie swoich przyjaciół w trakcie zabawy.

Cassius i Trafford z niecierpliwością czekali, aż skończy i sobie pójdzie. Nie dało się kontynuować jakiegokolwiek rozmowy, mając przed sobą czyjeś pośladki. Pozostawało im

tylko siedzieć i śledzić strużki potu ściekające głęboką rozpadliną na plecach, mijające kość ogonową, znikające w rozstępie między pośladkami, pojawiające się znowu na blacie stolika (po przesączeniu się przez malutkie atlasowe slipki) i tworzące rozlewającą się kałużę podmywającą kartoniki z jedzeniem.

W końcu, przy akompaniamencie straszliwego trzeszczenia przekrzywiającego się stolika, mężczyzna dźwignął się na nogi, by wrócić do swojego towarzystwa. Na odchodnym pierdnął donośnie ku zachwytowi swoich kumpli.

– Oj, przepraszam, wysnęło mi się – powiedział z ironią.

Trafford i Cassius uśmiechnęli się przez zaciśnięte zęby. Wychodząc teraz z restauracji albo zmieniając stolik, mogliby znowu ściągnąć na siebie posądzenie o brak szacunku. Mimo wszystko wiatry ma każdy, a żadne prawo nie zabrania puszczania bąków.

Przykra woń szybko się rozwiała i Cassius z Traffordem mogli podjąć przerwana rozmowę o życiu i śmierci, rozmowę mogącą uratować życie córeczce Trafforda, a jego i Cassiusa tego życia kosztować.

– Kto robi szczepionki? – spytał Trafford.

– Chemicy. Ludzie, którzy potajemnie studiują zakazane dziedziny nauki.

– O ile mi wiadomo, cała nauka jest zakazana – zauważył Trafford.

– To źle ci wiadomo. Oczywiście, że nie cała. Nauce zawdzięczamy, że działa jeszcze wszystko to, co pozostało z kraju. Pracują pompy wypompowujące wodę, która zalewa linie metra, jeżdżą pociągi i autobusy. Działają maszyny do pakowania i konserwowania żywności, kuchenki mikrofalowe i lodówki.

– Aha, rozumiem, mówisz o gnozie.

– Nie, nie mówię o gnozie – prychnął gniewnie Cassius. –

Gnoza to próba łączenia rozumu z wiarą. Nauka zaś opiera się na faktach. Świątynia nazywa naukę „gnozą”, kiedy naucza tych jej okrucich, których potrzebuje do własnych celów. Ale tak naprawdę ucząją tego, co się ostało po czymś nazywanym niegdyś nauką.

– Gnoza, nauka? – mruknął Trafford. – Czy to nie wszystko jedno? To tylko słowa.

– Owszem słowa, ale znaczące zupełnie coś innego. Gnoza jest subiektywna. Nauka obiektywna. Nie dostrzegasz różnicy? Nauka nie ma nic wspólnego z wiarą ani odczuciami. Nauka bierze pod uwagę tylko to, co można ustalić w drodze obserwacji i dedukcji, czego można dowieść.

– Tak, tak, jasna sprawa, już rozumiem – Trafford z ożywieniem pokiwał głową.

Był zafascynowany, mało tego, wniebowzięty. To, co mówił Cassius, pokrywało się co do joty z tym, co jemu już dawno chodziło po głowie i o czym nie miał dotąd z kim podyskutować.

– Sęk w tym – ciągnął Cassius – że Świątynia i ten chodzący na jej pasku rząd nie mogą się obejść bez nauki. Twierdzą, że pogardzają wszystkim, co zostało odkryte i wynalezione Przed Potopem, ale tak naprawdę są od tego całkowicie uzależnieni. Operacje chirurgiczne, do którym poddawania się zmuszają kobiety, fizyka pozwalająca utrzymać w powietrzu to, co zostało z lotnictwa i nakierowywać pociski, którymi ostrzeliwują migrujących niewiernych, chemikalia, dzięki którym rośnie i daje obfite plony to jedzone przez nas potem śmierdzące paskudztwo, a ponad wszystko mikrotechnologia, która w każdej sekundzie dnia dostarcza to, co nazywają informacją, wszystkim i wszędzie. Wszystko to jest owocem pracy tej samej inteligentnej cywilizacji, którą potępiają i każą nienawidzić, tej samej cywilizacji, która wynalazła szczepionki i wysłała człowieka na Księżyc...



– Naprawdę wierzysz, że człowiek chodził kiedyś po Księżycu? – wpadł mu w słowo Trafford z podnieceniem, ale i z powątpiewaniem w głosie.

Zdaniem Świątyni tak zwane lądowania na Księżycu były oszustwem, najbardziej wyrafinowanym ze wszystkich kłamstw i mitów ery Przed Potopem. Stanowiły starannie wyreżyserowaną sztukę zrealizowaną w studiu telewizyjnym, dopracowaną w najdrobniejszych szczegółach intrygę mającą dowiedzieć, że człowiek jest zmyślniejszy od Boga.

– Lądowania na Księżycu naprawdę miały miejsce – powiedział zdecydowanie Cassius.

– Trudno w to uwierzyć – mruknął Trafford sceptycznie.  
– Spacerowanie po Księżycu? Lot w kosmos?

– Trudno uwierzyć, powiadasz?! Naprawdę tak myślisz? Popatrz na tego tam idiotę, tego, co puścił nam w nos bąka i tak go to ubawiło. Trzyma w łapsku urządzenie, które potrafi rejestrować wiernie dźwięk i obraz i przesyłać je natychmiast Internetem w dowolny zakątek planety. Nie do wiary, prawda? Ja powiem: najtańszy dziecięcy wideokomunikator zawiera technologię po tysiackroć bardziej skomplikowaną od tej, która umożliwiła ludziom lot na Księżyc. Żeby wylądować na Księżycu, wystarczyło znać zasady balistyki i umiejętnie wykorzystać siłę grawitacji.

Traffordowi oczy wyszły z orbit. Słyszał z ust Cassiusa słowa kłócące się z całym jego światopoglądem.

– Przecież siła grawitacji przyciąga obiekty do Ziemi – zaprotestował niepewnie. – Jakim sposobem może pomóc w dostaniu się na Księżyc?

– Grawitacja – Cassius z trudem ukrywał zniecierpliwienie – jest siłą, która przyciąga wszystko do wszystkiego. Ziemia nie ma monopolu na grawitację i dlatego nie stanowi centrum wszechświata.

– Myślisz, że naprawdę nie stanowi?

– To oczywiste. Nie ma czegoś takiego jak centrum wszechświata. Ziemia, podobnie jak wszystko inne, co istnieje, jest zawieszona w czasie i przestrzeni, a jej położenie względem innych ciał niebieskich określa grawitacja obiektów, które ją otaczają.

– Chciałbym wiedzieć to co ty – westchnął cicho Trafford, pełen podziwu dla swobody i pewności siebie, z jakimi Cassius głosił takie herezje. – Chciałbym, żebyś mi to wszystko wyjaśnił.

– Wyjaśnić się nie da, tak samo jak nie da się przekonać nikogo do prawdziwej wiary. W odróżnieniu od Świątyni, która zna tylko argument siły, my z założenia stawiamy na siłę argumentów. Jeśli nie potrafię kogoś przekonać do tego, co wiem racjonalnymi metodami, to moja wiedza jest nic niewarta.

– Czy to zasada szczepicieli?

Należę do szerszej wspólnoty. Wszyscy jesteśmy wyznawcami... rozumu.

Pomimo zaduchu panującego w restauracji Trafforda przeszedł zimny dreszcz. Rozum. Właśnie odwołując się do rozumu, próbował przekonać Chantorrię, że rozsądnie byłoby zaszczepić Caitlin Happymealkę.

– Ja... ja też chciałbym się poświęcić rozumowi – wyznał.

– Traffordzie, jeszcze przed chwilą nie mieściło ci się w głowie, że wierzę w lądowanie ludzi na Księżycu.

– To było przed chwilą! Zmieniłem zdanie. Uwierzę w to. Już wierzę!

– Nas, Humanistów, nie interesuje, w co wierzysz. Nas interesuje, ile rozumiesz.

– To pomóż mi zrozumieć. Chcę zrozumieć. Chcę zostać tym... no, tym...

– Humanistą.

– O właśnie. Humanistą. Nie wiem, co to oznacza, ale

chę.

– Dlaczego?

– Bo to przecież niemożliwe, żeby życie wyglądało tak, jak wygląda. Musi mieć w sobie coś jeszcze i wiem, że tego czegoś próżno szukać na zewnątrz, w tym strasznym dusznym gnieździe podtopionych mrówek, które nazywamy miastem, a więc musi to tkwić gdzieś w środku, w nas. Chcę poznawać nowe światy, a wiem, że znaleźć je mogę tylko w mojej głowie.

– Zobaczą, może jeszcze o tym porozmawiamy. Na razie musimy zadbać o dobro Caitlin Happymealki.

– Jakimi lekami aktualnie dysponujesz? – chciał wiedzieć Trafford.

– Leki nie są moją specjalnością. Dziedzina nauki, którą się param, to profilaktyka, nie leczenie. Specjalizuję się w szczepionkach. Rozumiesz różnicę?

– Tak. Oczywiście, że rozumiem.

– To dobrze, Traffordzie, bo słowa są ważne. Jasność myślenia. Logika. Precyzja. A przede wszystkim zrozumienie. Jeśli słowa nic dla ciebie nie znaczą, niczego nie zrozumiesz.

– Tak, tak, rozumiem, o co chodzi. No, dobrze, zatem jakimi szczepionkami teraz dysponujesz?

– Masz szczęście. Moja kapituła wiary jest obecnie dobrze zaopatrzona. Mogę uodpornić twoje dziecko na krosty, suchy kaszel, śmiertelne dreszcze, ropiejące wrzody i szczękościsk, czyli, jak to dawniej nazywano, na odrę, koklusz, zapalenie opon mózgowych, ospę i tężec.

– Kiedy możemy to zrobić?

– Kiedy tylko przyniesiesz mi dziecko.

Chantorria była Traffordowi niezmiernie wdzięczna, że ten zaproponował, iż zajmie się przez kilka godzin dzieckiem. Była taka załatana. W najbliższą sobotę Tinkerbelcia wychodziła za mąż i cały blok żył przygotowaniami.

Śluby były w życiu wspólnoty bardzo ważnym, jeśli nie najważniejszym wydarzeniem. Świątynia do niczego nie przykładała takiej wagi jak do sakramentu małżeństwa.

– Uroczyste proklamowanie związku mężczyzny z kobietą – grzmiał na każdym spotkaniu spowiednik Bailey – z którego zrodzić się mogą dzieci i który jest zacznym nowej rodziny, leży na sercu miłującego pokój, bogobojnego społeczeństwa.

Małżeństwa były dobrze widziane. Rozumiało się więc samo przez się, że im więcej ktoś ich zawiera, tym jest lepszy, pobożniejszy i bardziej wypełniony miłością.

Dawno minęły czasy, kiedy przywódcy duchowi narodu, w swej słabości i ignorancji opacznie rozumieli, czego Pan i Miłość oczekują od wielkiej instytucji małżeństwa. Zakładano wtedy, że słowa wypowiedziane przez Jezusa podczas zaślubin w Kanie Galilejskiej zalecają pozostawanie na zawsze w raz zawartym związku małżeńskim. Teraz wiadomo było, że w rzeczywistości Jezus kładł nacisk na samą wagę zawierania małżeństwa.

– Jezus nie celebrował małżeństwa zawieranego w Kanie  
– zapewniał spowiednik Bailey swoje zgromadzenie. – On celebrował sam ślub.

Liczył się tylko ślub, ten szczególny moment, kiedy kobieta i mężczyzna w imię Miłości Pana ofiarują sobie nawzajem swoje ciała i dusze. Było to wydarzenie, którego powtarzania (dla dobra społeczeństwa) nigdy nie jest za wiele.

– Wiara nie zasługuje na miano wiary, jeśli jest przyziemna i małoduszna – wyjaśniał spowiednik Bailey. – Co Panu po miłości, która tak się wypaliła, że trzeba ją wciąż podsycać, by całkiem nie wygasła? To nie jest żadna miłość! To przyzwyczajenie! Nie człapcie przez życie, zadowolając się ochłapami. Życie macie tylko jedno. Drugiego nie dostaniecie! Korzystajcie z niego! Czerpcie pełnymi garściami! Biercie, co chcecie! Zasługujecie na więcej! Na więcej wszystkiego! Na więcej namiętności! Więcej uniesień! Więcej ekstazy. Więcej jedzenia, więcej picia! Na więcej dóbr materialnych! Na więcej seksu! Korzystajcie z tego, bo jest wasze! Pławcie się w tym w imię Miłości. Czy może być coś wspanialszego od ślubu? Czy może być coś wspanialszego od spożywania pokarmów, raczenia się winem i oddawaniu rozkoszom cielesnym? To dary od Boga! Na weselu, które następuje po ślubie, macie tych trzech darów pod dostatkiem i konsumujecie je, przestrzegając surowo naszych duchowych ślubów. Czyż jest w tym coś zdrożnego?

Obsesja społeczeństwa na punkcie ślubów stanowiła, zdaniem Trafforda, jeszcze jedną frustrującą sprzeczność, którą zmuszony był utrzymywać w tajemnicy.

Dla niego oczywiste było, że emocjonalna energia wyzwolana podczas ślubu wynika z niezachwianej pewności, iż zawierane małżeństwo trwać będzie wiecznie. Uroczystość udana była tylko wtedy, gdy każdy z zebranych potrafił sobie wmówić, że to ślub raz na zawsze, ukoronowanie wielkiej

miłości, scementowanie związku dwojga ludzi zapisanego dosłownie w niebie. Każda pieśń, każda przemowa, każda łza i każda przysięga dedykowana była niepowtarzalnej specyfice tego dnia i jedynemu w swoim rodzaju związkowi dwojga ludzi, mającemu trwać przez całe życie – chociaż każda z osób uczestniczących w ceremonii, nie wyłączając panny młodej i pana młodego, dobrze wiedziała, że związek ten z pewnością nie przetrwa dłużej niż dwa, góra trzy lata.

– Sabre'a nigdy tak naprawdę nie darzyłam uczuciem – zapewniała swoje liczne drużny Tinkerbelcia. – Supernovego też nie, ani Lowelasa. Wszystkie moje dotychczasowe małżeństwa były kompletnym nieporozumieniem. Lexus jest jedynym mężczyzną, którego szczerze kocham.

Wszyscy lokatorzy bloku byli zachwyceni postawą Tinkerbelci, pełni niewypowiedzianego podziwu dla hartu ducha, z jakim stawiała czoło przeciwnościom losu. Po rozstaniu z Sabre'em nie załamała się, nie poddała, a strata Gucciego KitKata wiele ją nauczyła i uczyniła jeszcze lepszą, jeszcze silniejszą.

– Często rozmawiam z Bogiem – informowała tłumy znanych, którzy wpadli do niej do mieszkania, oraz wielu innych czytających jej blog – i On nie może wyjść z podziwu, jaka jestem piękna.

Przyglądając się Tinkerbelci na ściennym ekranie, Trafford mimowolnie zadawał sobie pytanie, na ile autentyczne może być jej nowo odnalezione szczęście. Straciła dziecko przed zaledwie kilkoma miesiącami i on zwyczajnie nie wierzył, że nad takim czymś można tak szybko przejść do porządku dziennego. Patrząc w jej spikselowane oczy, kiedy ssąc alko-pigułkę opowiadała sieciowej braci, jaka to jest teraz szczęśliwa, widział tylko smutek. Może mu się wydawało, może przenosił na Tinkerbelcię pustkę, jaką sam odczuwał każdego dnia, wspominając Phoenix Podfruwajkę, ale wątpił w to.

Podejrzewał, że Tinkerbelcia gra, tak jak to ma w zwyczaju, gra z całą premedytacją, bo uważa, że tak trzeba.

– A najlepsze ze wszystkiego jest to – oznajmiła ze ściany Tinkerbelcia – że wiem, po prostu wiem, że mój malutki Gucci KitKat patrzy z góry i już kocha swojego nowego tatusia. Przypuszczam, że to Gucci KitKat w jakiś sposób odnalazł Lexusa i go do mnie przyprowadził.

Naprawdę w to wierzy? Z jakiego dowodu mogła wysnuć tę niebywałą hipotezę? Cassius na pewno by o to zapytał. On, Trafford, też powinien, ale, rzecz jasna, tego nie zrobił. Podobnie jak wszyscy zapewnił Tinkerbelcię, że powrót jej zmarłego synka na ziemię po to, by zaprowadzić ją do pubu, gdzie poznała lokalnego deratyzatora Lexusa, jest najprawdopodobniejszym wyjaśnieniem nagłej odmiany jej losu na lepsze.

– A seks jest nadzwyczajny – oznajmiała po raz tysięczny swojemu małemu światkowi Tinkerbelcia. – Lex wie, jak dogodzić kobiecie. Robimy wszystko. Pewnie to zobaczycie! Jejku! Jaka ze mnie szczęściara.

Chantorria pomagała przy ozdabianiu sukni. Zgłosiła się na ochotnika do ręcznego przypinania do trenu tysięcy mrugających, wielokolorowych światełek. Tinkerbelcia, jak każda panna młoda, chciała mieć suknię, jakiej ludzkie oko nie widziało, i do jej konstrukcji zużyto całych dziesięć metrów plastikowej folii.

– Za Sabre'a wychodziłam w kremowej – powiedziała – ale tym razem, dzięki Lexusowi, mogę iść w białej, bo on opłacił operację odtworzenia błony dziewiczej i znowu będę nietknięta. Ale przez czterdzieści osiem godzin przed ślubem będziemy się musieli wstrzymywać z tymi sprawami. Czyż to nie romantyczne?

Chantorria, podobnie jak każda lokatorka kamienicy poniżej pięćdziesiątki, była druhną. Trafford nie miał wątpliwości,

że Chantorrię poproszono, by nabić frekwencję. Tinkerbelcia była w ich małej społeczności bardzo popularna, i to obligowało ją do okazałego ślubu. Oczywiście miał być powóz z tronami dla nowożeńców – tradycyjne ślubne akcesoria – ale prawdziwą rangę takiego wydarzenia określała liczba identycznie ubranych kobiet, które zdołała zgromadzić wokół siebie panna młoda. Na potrzeby tego wielkiego dnia Chantorria zaliczona została do grona najbliższych przyjaciółek Tinkerbelci i była z tego powodu bardzo zadowolona. Zdaniem Chantorrii był to poziom publicznej akceptacji, który zapewniał jej ochronę przed ewentualnymi prześladowaniami. Trafford się z tym nie zgadzał, bo wiedział, że lojalność jest cieniutka jak papier i że nikt nie jest bezpieczny, jeśli tłuszczą zagnie na niego parol.

Przecież ludzie jeszcze bardziej od ślubów uwielbiali palenie na stosie.



Trafford zostawił Chantorrię w mieszkaniu ze zszywaczem i tysiącami migoczących lampek, a sam z Caitlin Happymealką na rękach pomaszerował na przystanek autobusowy. Nadjeżdżały kolejne autobusy, ale były tak nabite pasażerami, że nawet się nie zatrzymywały. Któryś wreszcie się zatrzymał i wepchnęli się do środka. Dojechali nim do Heathrow Central. Lotnisko Heathrow miało teraz tylko jeden terminal. Kiedyś było ich siedem, ale w miarę stopniowego kurczenia się światowych zasobów ropy kolejne wyłączano z użytku i przebudowywano na apartamentowce. W sąsiedztwie wzniesiono również muzeum lotnictwa i tam właśnie Trafford umówił się z Cassiusem.

Mieli wpaść na siebie niby to przypadkiem – koledzy z pracy, których ścieżki się przecięły. Trafford miał przedstawić Cassiusowi swoje dziecko i wdać się w krótką pogawędkę, Po której obaj postanowią stanąć w kolejce do kina.

Po blisko dwóch godzinach przesuwania się noga za nogą, podczas których Trafford tulił Caitlin Happymealkę, a ta zaśmiewała się i chichotała jak to ona, dobrnęli w końcu do wejścia do pogrążonej w ciemnościach sali kinowej. Tutaj Trafford, zgodnie z instrukcjami, jakie dostał wcześniej od Cassiusa, dał Caitlin butelkę rozrobionego z wodą mleka w proszku doprawionego dawką antyhistaminy. Kiedy zajmowa-

li swoje miejsca, Caitlin już spała, przegapiła więc dodatek wyświetlany przed każdym seansem, czyli dziesięciominutowy filmik propagandowy zatytułowany *Globalne ocieplenie: wierutne kłamstwo*.

„To nie Ce-O-dwa jest odpowiedzialny za potop, jaki nawiedził naszą planetę”, perorował tonem nieznośnym sprzeciwu narrator. „Zesłał go na nas Bóg”.

Film był o tym, jak człowiek w swej próżności aż się prosił o zagładę, przerzucając skutki słusznego gniewu bożego wywołanego deprawacją człowieka na działanie czegoś, co nazywał gazami cieplarnianymi.

Trafford, zgodnie z instrukcjami Cassiusa, trzymał Caitlin Happymealkę na kolanach i w tym momencie wyczuł, jak szczepiciel szuka po ciemku nóżki małej. Zmienił nieco pozycję, by ułatwić Cassiusowi zadanie. Kącikiem oka widział, jak Cassius, namacawszy tłusciutkie udko Caitlin, wbija w nie igłę.

– Trzymaj ją teraz mocno! – szepnął Cassius, bo obudzone bólem maleństwo zaczęło płakać.

„Najprostsze wyjaśnienie nam nie wystarczyło”, ciągnął podniosłym tonem narrator. „A czyż ono nie nasuwało się samo? Człowiek się zdeprawował i Bóg go za to karze. Przecież to oczywiste. Ale nie, tak zwani naukowcy zamierchłej bezbożnej ery mieli na ten temat odmienne zdanie. Twierdzili, że potopy biorą się z lodu polarnego topniejącego pod wpływem promieni słonecznych, które nagrzewają ziemię, a tej oddanie nagromadzonego ciepła utrudniają spaliny silników napędzanych ropą. Prawda była, jak ślepy gadał o kolorach. Ja w każdym razie w to nie wierzę”.

Trafford posłuchał i Cassius wcisnął bez pośpiechu tłoczek strzykawki.

– Ząbkuje, biedactwo? – spytał już głośno Cassius, cofając rękę.

– Tak, chyba tak – odparł Trafford. – Wyjdę z nią.  
Cassius pomógł Traffordowi wstać z małą z fotela.

– Miło było cię spotkać – powiedział.

Kiedy podawali sobie ręce, Trafford poczuł, że szczepiciel wciska mu coś w dłoń.

– Do następnego razu – rzucił Cassius.

Wracając metrem do domu, Trafford, poczuwszy się bezpiecznie, zerknął na to, co dostał na pożegnanie. Była to zmięta w kulkę karteczka. Rozprostował ją. Pod adresem, godziną i datą widniał na niej dopisek: *Przyłóż się do nas. Tak nakazuje rozsądek.*

## 20

W domu Trafford zastał Chantorrię wciąż zaplątaną w metry białego plastiku.

– Dziewczyny miały mi pomagać – wyjaśniła – ale Tinkerbelcia potrzebuje teraz towarzystwa. Przelewa na nas wszystkie swoje emocje, więc robię to sama, a one dotrzymują Tinkerce towarzystwa.

Trafford zerknął na ścienny ekran. W małym pokoiku Tinkerbelci zebrał się z tuzin młodych kobiet z kamienicy. Wszystkie sączyły alkonapoje, chrupały chipsy i zajadały czekoladki.

– Ona naprawdę potrzebuje teraz swoich koleżanek – doleciał z kąta głos Barbielli. – Koleżanki i czekoladki to najlepsze przyjaciółki dziewczyny.

– Tak, to prawda, Barbiello. Ona naprawdę potrzebuje koleżanek – przyznała Chantorria. Palce miała czerwone i pokłute od zmagania się ze sztywnym plastikiem. – Wszystkie staramy się, jak potrafimy, wspierać Tinkerbelcię.

– Widzę. Kochane z was dziewczyny, każda na swój sposób – zgodziła się z nią Barbiella. – Tinkcia ma szczęście, że trafił jej się taki doborowy zespół.

– Przecież to moja najlepsza koleżanka i w ogóle... nas wszystkich... – Chantorria zająknęła się i Trafford poczuł się paskudnie, słysząc uległość i nerwowość w głosie żony. Wie-

dział, że pokornie akceptuje swoją niską pozycję w społecznej hierarchii z obawy, że nie będzie miała żadnej. Nachylił się nad stolikiem do gier wideo i pocałował ją.

Wyczuwając chyba jego współczucie, Chantorria z nową energią powróciła do pracy nad suknią ślubną. Przez resztę wieczoru, skupiona na przytwierdzaniu migających lampek do plastikowej folii, niewiele mówiła.

Od czasu do czasu przyszła panna młoda zaglądała do nich łaskawie poprzez sieć wewnątrzblokową, żeby zobaczyć, co z suknią.

– Złota rączka z ciebie, skarbie. – Tinkerbelcia była już chyba porządnie wstawiona, bo język jej się plątał. – Nie wiem, co ja bym bez ciebie zrobiła. Jesteś cudowna. Mówię ci, dziewczyno, cudowna jesteś. Skrzydeł mi dodajesz.

Trafford widział za Tinkerbelcia gromadę zaśmiewających się i piszczących kobiet. Ani chybi dostarczono właśnie pizzę i zaczynało się karaoke.

– Muszę już kończyć, skarbie – rzuciła Tinkerbelcia. – Zaraz moja piosenka. Kochana jesteś, malutka.

Liczne towarzystwo psiapsiółek wprost cudownie wpływało na samopoczucie Tinkerbelci. Dokazywała w najlepsze i kiedy Chantorria odłożyła w końcu zszywacz i zaczęła szykować się do snu, zabawa, na którą nie została zaproszona, zdawała się dopiero rozkręcać.

Trafford przez część wieczoru zajmował się tym, czym co wieczór od kilku tygodni: siedział przed komputerem i sprawdzał, co dzisiaj nakłamała Sandra Dee w swoim blogu. Ogarnięty skrywaną obsesją desperacko szukał czegokolwiek, co mogłoby go z nią łączyć, i chociaż wiedział, że wszystko, co o sobie wypisuje jest plagiatem, miał nadzieję, że studiując wnikliwie te kalki, zdoła wreszcie znaleźć w nich coś prawdziwego, co pomoże mu zgłębić jej tajemnicę.

Sandra Dee często kopiowała do swojego blogu urywki

blogów bezdzietnych kobiet, w których zwierzały się, jak bardzo chcą mieć potomstwo. Najwyraźniej Sandra Dee też była bezdzietna i nigdy nie kopiowała treści stojących w sprzeczności do swojej rzeczywistej sytuacji. Ale co naprawdę myśli o bezdzietności? Trafforda zastanawiało, czy fakt, że wybierała do skopiowania te, a nie inne fragmenty blogów, znaczy, że rzeczywiście pragnie mieć dzieci, czy jest to tylko gra pod publiczność. Czyżby nie miała dzieci z wyboru?

Doszedł do wniosku, że tak właśnie jest. Nie mając na to żadnego dowodu, uznał, że Sandra Dee dzieci mieć nie chce. Czy w związku z tym stosuje środki antykoncepcyjne? Kondomy i spiralki były zabronione, ale łatwo dostępne, tak samo jak pigułki, z tym że te ostatnie tylko dla bogatych. Świątynia przymykała oko na ten akurat występ, zwłaszcza jeśli dopuszczały się go kobiety wielodzietne. Ale w przypadku kobiety bezdzietnej, która z całą premedytacją unika zajścia w ciążę, było to karygodne i gdyby zostało wykryte, na pewno zakuto by taką w dyby i wybatóżono. Mało tego, po odbyciu takiej oficjalnej kary mogła się jeszcze spodziewać, że dodatkowo, już nieoficjalnie, padnie ofiarą gwałtu.

Jeśli stosowała środki antykoncepcyjne, to na pewno za wiedzą swojego ewentualnego partnera, który to pochwalał i też był gotów ponieść zasłużoną karę. Albo partnerki! Świątynia uznawała oczywiście seks saficki za grzeszną żądzę ladcowniczą diabła (wyjątkiem były seks gry uprawiane ku uciechu mężczyzn) i jeśli Sandra Dee gustowała w tego rodzaju praktykach, to nic dziwnego, że ukrywa się ze swoimi preferencjami za cienką kurtyną cyberszalbierstw. Zamieszczane przez nią wideodzienniki, w których sugerowała, że jest zwolenniczką „bezpruderyjnego” i „ostrego” seksu, nie były wcale autentyczne. Ściągała je z sieci ze stron obcych osób. Czy wybór tych, a nie innych nagrań wskazywał, czego naprawdę oczekuje w łóżku? A może na odwrót? Naprawdę pragnęła, by

brało ją brutalnie dwóch, a czasami nawet trzech potężnie zbudowanych mężczyzn jednocześnie, co można było często oglądać na jej wideo? A może był to podwójny blef mający jeszcze lepiej chronić jej prywatność? Czyżby tak naprawdę wolała łagodność, czułość, a może nawet pieszczotę innej kobiety?

Istniała jeszcze możliwość, że Sandra Dee żyje w celibacie. Świątynia akceptowała taką postawę, jeśli tylko była szczerą i konsekwentną. Świątynia traktowała przychylnie kobiety całkowicie wyrzekające się seksu, jeśli było to podyktowane głęboką wiarą w samoumartwienie, chociaż wolała, żeby kobiety takie realizowały swoje powołanie w zgromadzeniach zakonnych.

– Co oglądasz? – Głos Chantorrii wyrwał Trafforda z zadumy.

– A nic... nic specjalnego... tak sobie surfuję – wybąkał pośpiesznie. – Po blogach i dziennikach... Staram się integrować z otoczeniem. Sama mnie do tego namawiasz. Co nam zaleca spowiednik?

– Sandra Dee – odczytała Chantorria z winiety strony, nachylając się nad ramieniem Trafforda. – Wygląda na niezłą zbereżnicę.

Trafnie to określiła, zważywszy, co działo się na ekranie. Głowa jakiejś dziewczyny o włosach przypominających kolorem włosy Sandry Dee poruszała się energicznie jak kozłowana piłka to w górę, to w dół.

– Owszem. To jedna taka dziewczyna z pracy. Prosiła mnie, żebym odwiedził jej stronę. Wszyscy wciąż proszą, żeby zajrzeć na ich strony. Nie do wiary, jak niektórzy są z nich dumni.

- No i zaglądasz – zauważyła Chantorria.
- Zaglądam.
- Co wieczór.

Nastąpiła chwila niezręcznego milczenia.

– Sprawdzasz moją historię? – spytał Trafford jak gdyby nigdy nic, wychodząc z wideo Sandry Dee.

– A to zabronione?

– No nie.

– A ty dlaczego podpatrujesz zawsze tę Sandrę Dee. Jej tyłeczek ci leży czy co? Wygląda na to, że umie nim pracować. Nie wiedziałam, że znajdujesz upodobanie w tego typu dziewczynkach. I w kształtnych ciałach. Naturalnie u bezdzietnych suk ładne ciało to norma, prawda?

Nie uległa wątpliwości, że Chantorria czytała również jakieś fragmenty blogu Sandry Dee.

– Staram się nabijać, jak mogę, swój czas ekranowy, Chantorrio – powiedział Trafford, siląc się na spokój. – Żeby nie zostać uznanym za cudaka. Sama powiedziałaś, żebym nie cudował, kazałaś mi poświęcać więcej czasu na podglądactwo.

– Tak, ale nie wciąż jednej i tej samej laski. Masz je podglądać całymi tabunami.

– I tak byłoby lepiej?

– Jasna sprawa, że by było!

– No dobrze, będę pamiętał! – warknął Trafford i tłumiąc gniew, zatrzaskał wieko laptopa.

Przez chwilę milczeli – on pochylony nad wyłączonym komputerem, ona stojąca za jego plecami.

Pierwsza przerwała tę niezręczną ciszę Chantorria.

– No, spójrz na mnie, na litość boską, co tak siedzisz? – prychnęła.

Trafford obejrzał się i stwierdził, że Chantorria ma na sobie tak zwaną pełną bielkę. Określenie to pochodziło od archaicznego słowa „bielizna” i oznaczało strój mający podniecić seksualnie partnera. Był wyłącznie atrybutem kobiet. Męskiego odpowiednika pełnej bielki nie było, ponieważ od mężczyzny nie wymagało się podniecania partnerek, za to oni sami,



na widok swojej pani w bielce, mieli się obowiązkowo podniecać.

Każda kobieta wkładająca pełną bielkę, zwłaszcza gdy związek się rozpadał, zyskiwała silną pozycję moralną. Zdaniem uzdrowicieli i doradców starała się w ten sposób podsycać na nowo ogień namiętności i dodać pieprzu do życia seksualnego, i jej mężczyzna powinien na to reagować niekłamanym zachwytem.

Chantorria miała na sobie klasyczny, zalecany przez Świętynię dla kobiet wiary, biel-zestaw składający się z czarnych pięciocalowych szpilek, jadalnych stringów o smaku czekolady oraz skórzanego stanika bez miseczek.

– Byłam w Wyuzdanej Seksoholiczce – wyjaśniła.

Tak nazywała się jedna z wszechobecnych sieci sklepów z damską bielizną i seksualnymi gadżetami, stanowiących jedyną poważną konkurencję dla fast foodów w walce o ilościową dominację na terenie centrów handlowych.

– Od narodzin Caitlin Happymealki właściwie nie poszliśmy na całość – dodała.

– Wiem – mruknął Trafford.

– Ludzie zaczną gadać.

– Ludzie zawsze gadają. Będą gadali, obojętne, co będziemy robili.

– To znaczy, że mnie nie weźmiesz? – spytała żałośnie Chantorria.

Trafford przyjrzał się żonie. Nadal darzył ją uczuciem. To nie jej wina, że się boi i podlizuje. On też się boi i podlizuje. Z drugiej strony drażnił go jej strój. Skoro dobrze wie, że on nie gustuje w seksie oralnym, to po kie licho zakryła sobie waginę czekoladą? W lodówce leżał cały kilogram czekolady i żadna z tabliczek nie miała smaku waginy. Jego rozdrażnienie potęgował fakt, że Chantorria najwyraźniej czuła się idiotycznie. Nawet w najnamiętniejszych, wczesnych dniach znajomości

nigdy nie lubowała się w erotycznych gadżetach i kostiumach. Wtedy, rzecz jasna, nie miało to żadnego znaczenia, ich życie seksualne było tak pełne i aktywne, że kamienica jakoś nie zwróciła uwagi, że Chantorria tak naprawdę wstydzi się swojego ciała. Kochali się nago, ale pod kołdrą, a mundurki pielęgniarskie i różowe puszyste kajdanki, które dostała w prezencie zaręczynowym, leżały nieużywane w szufladzie. Teraz Chantorria bez wątpienia poczuła, że dla formalności trzeba się poświęcić i również dla Trafforda nie ulegało wątpliwości, że robi to z ogromną niechęcią. Popatrywała na niego z góry bardziej wyzywająco i buntowniczo niż zalotnie i chociaż drżała, Trafford wiedział, że to zakłopotanie, nie namiętność. Serce mu się do niej wyrывało, ale jednocześnie był zły, że widzi jej rozdarcie tak okrutnie obnażone.

– Chcesz, żebym cię wziął, bo jesteś spragniona seksu, czy tylko dlatego, żeby ludzie nie zaczęli gadać? – spytał.

– Z obu powodów, oczywiście.

Ale Trafford dobrze wiedział, który z tych powodów przeważa. Żywiołowy i spontaniczny apetyt na seks z naturalną gotowością do „wyzbycia się wszelkich hamulców” uważany był za zdrowy przejaw pobożności u każdej szanującej się kobiety. Od kobiety oczekiwano, że „tego chce” i chce w tym iść „na całość”. Oczekiwano również od niej wyzwalania w partnerze dzikiej żądz i zaspokajania jej, bo przecież wiadomo, że niewyżyty mężczyzna, jak to mężczyzna, będzie szukał „dopieszczenia” gdzie indziej. Kobieta zaszufładowana jako „oziębła” mogła mieć trudnościami ze znalezieniem kolejnego męża po odejściu tego aktualnego, co było tylko kwestią czasu. Wywierana na młode kobiety presja, by pozostawały w nieustannej gotowości seksualnej, była ogromna i Trafford wiedział, że jeśli wspólnota zauważy, że nie bierze Chantorrii odpowiednio często, to biedactwo zostanie najprawdopodobniej przez resztę życia napiętnowana. Stąd jej pomysł podbiel-

kowania go, obrania publicznie taktyki, która przerzuci piłkę na jego połowę.

Jakby na potwierdzenie tego wniosku w myśli Trafforda wdarł się głos Barbielli:

– Boże, co moje oczy widzą! Czyż ona nie wygląda zjawiskowo?! Boże, dziewczyno, ślinka leci na sam twój widok!

Trafford spojrział na ścianę. Barbiella, z nadgryzionym kuzym udkiem w każdej ręce i szerokim uśmiechem na zatłuszczonych ustach, kiwała z aprobatą głową.

– Hej, dziewczyno! – krzyknęła. – Spójrzcie na Chantorrię. To ci dopiero laska!

Babiniec z wycinka ściennego ekranu nastrojonego na mieszkanie Tinkerbelci przerwał libację i spojrział.

– Tak trzymać! – rozległy się wrzaski. – Jesteś tego warta, dziewczyno. No, Traffordzie, na co czekasz? Przecież ona jest taka napalona. Gotowa na wszystko. Bierz ją!

Chantorria uśmiechała się wstydliwie zażenowana tym gremialnym aplauzem, chociaż na pewno wiedziała, że to tylko utarty wśród kobiet zwyczaj żywiołowego dopingowania tej, która w wiadomych celach przywdziała pełną bielkę.

Trafforda zalała krew. Najchętniej puściłby do ściany sochystą wiązkę. Och, zerwać stamtąd te roześmiane gęby i rozdeptać jedną po drugiej. Jak śmiały się tu wtarabaniać! Jak śmiały włączyć w paradę i dekoncentrować jego żonę próbującą go podniecić!

Nic, ma się rozumieć, nie powiedział. Jakie pretensje do świata może mieć mężczyzna, który widzi swoją żonę w najseksowniejszym ze strojów? Czyż nie powinien pękać z dumy? Czyż nie powinien być dumny, że ona jest dumna? Czyż nie jest piękna? Co z nim? Czy któreś z nich ma coś do ukrycia?

Trafford zacisnął pięści i z trudem zapanował nad gniewem.

– O kurde – wydusił w końcu. – Tak, moja połowiczka rzeczywiście wygląda rewelacyjnie.

– Jak jej teraz nie weźmiesz, tygrysku – wymamrotała Barbiella z ustami pełnymi pieczonego kurczaka – toś kiej.

– Uff, wezmę ci ja ją, wezmę! – wymruczał Trafford. – Niech mi tylko która spróbuje w tym przeszkodzić.

Tinkerbelcia z psiapsiółkami przyjęła te słowa pohukiwaniem i okrzykami zachęty.

– No, to zostawiam was na tę okoliczność samych – oznajmiła Barbiella.

Ale Trafford, wyłączając fonię wewnątrzblokowej sieci, dobrze wiedział, że Barbiella bynajmniej nie zostawi ich na tę okoliczność samych. Będzie podglądała, żeby potem rozgłosić w całej kamienicy, że Trafford nie posiadał Chantorrii, chociaż ta kusila go pełną bielką. Że „mają problemy”. Że ona jest oziębła, a on impotent. Że ich związek to żalсна parodia, w której nie ma prawdziwego seksu, o takim na całość nie wspominając.

– Będę musiał udawać – szepnęła Chantorrii do ucha, kiedy przechodzili do sypialni. – Za duża presja.

– Wszystko mi jedno. Byle wyglądało przekonująco – odszepnęła Chantorria przerażona, że dozna publicznego upokorzenia jako kobieta, która nawet w szpilkach, stringach i bezmiseszkowym staniku nie zdołała podniecić swojego mężczyzny.

I tak, na użytek sąsiadów, Trafford i Chantorria odegrali pantomimę stosunku płciowego, w trakcie którego Trafford, skonsumowawszy szybko i na odczepnego czekoladowe stringi żony, leżał między jej nogami, wykonując pozorowane ruchy frykcyjne zwiotczającym penitem, ona zaś pojękiwała w udawanej ekstazie.

Po skończonym przedstawieniu pożegnali Barbiellę.

– Tak trzymać, dzieci – powiedziała Barbiella, otwierając

butelkę gazowanego napoju. – Ależ ja wam zazdroszczę. Szkoda, żeście mnie nie widzieli dzisiaj rano. Ale byłam napalona!

Barbiella jako kobieta pokaźnej tuszy była wyłączona spod społecznej presji na fantastyczne życie seksualne. Trafford zastanawiał się po cichu, jak wyglądało to jej napalenie. Jak w ogóle można się napalić w tych dusznych króliczych norkach, w których mieszkają? Czy inni też udają przed kamerami? Jaki procent seksu zamieszczanego we wspólnotowej sieci wewnętrznej to w rzeczywistości zwyczajna pantomima? Społeczna presja na przejawianie obsesji na punkcie seksu była wszechobecna. Każda reklama, każda piosenka, każde reality show ociekały seksem. Czasami Trafford odnosił wrażenie, że z wyjątkiem niektórych programów informacyjnych telewizja nie nadaje niczego, co nie byłoby związane z seksem. Każdy komentarz, każda dyskusja, każda publicystyka zakładały, że widz może się znajdować tylko w jednej z dwóch sytuacji – albo „ma na to ochotę”, albo „jest właśnie w trakcie” – a jeśli się w żadnej z nich nie znajduje, to coś z nim nie tak. Trafford wiedział, że to bzdura. Lubił seks jak każdy, ale przecież ludzie muszą się zajmować dziećmi, zarabiać na utrzymanie, tłuc robactwo, rozwiązywać swoje problemy. Jak pogodzić to wszystko z nieustającą gotowością do seksu? A kto zrobi pranie?

Czy to możliwe, że wszyscy kłamią? Czy to możliwe, żeby wszyscy swoją seksualność demonstrowali tylko na pokaz, a nieoficjalnie żyli zupełnie inaczej? Jeśli tak, to wszyscy byli heretykami – i Tinkerbelcia, i Barbiella, i Sabre, i Lexus – wszyscy, co do jednego. Wrogami Świątyni. Trafford uświadomił sobie, że gdyby zarządzić powszechną spowiedź i zmusić wszystkich do wyznania prawdy, wybuchłaby rewolucja. Przez chwilę widział oczyma wyobraźni, jak apeluje do kamery o zdrowy rozsądek: „PUKNIJCIE SIĘ W CZOŁO! –

wrzeszczał w myślach. – Czy naprawdę, do kurwy nędzy, jesteście tak ekstatycznie szczęśliwi? Czy nie tęsknicie od czasu do czasu za odrobiną spokoju. Odrobiną ciszy? Odrobiną prywatności?”

Trafford wstał i przeszedł do kuchni. Przez kilka minut stał nad łóżeczkiem Caitlin Happymealki, wpatrując się w śpiącą córeczkę. Rzęsy miała długie i ciemne jak matka. Ciekawe, czy któregoś dnia z tego malutkiego, szczęśliwego teraz dzi-  
dziusia wyprana zostanie, jak z Chantorrii, cała radość życia, czy też znajdzie w sobie siłę i nie podda się systemowi, i uczyni tarczę ze swoich tajemnic? Odwrócił się w końcu, podszedł do stołu i usiadł przed komputerem. Sandra Dee zdążyła już uaktualnić swoje kłamstwa; była bardzo sumienna, jeśli chodzi o uwiarygodnianie przykrywki, pod którą żyła. Znalazł nowy film ze stosunkiem seksualnym, nieostre zdjęcia kobiety śpiewającej w pubie karaoke oraz nowy blog recenzujący osobę wprowadzoną ostatnio do popularnego reality show. *Ona wygląda mi na ostatnią dzidirę, czytał. Ale trzeba przyznać, że babka wie, czego chce, i już jestem jej fanką.* Trafford przepuścił ten tekst przez przeglądarkę i szybko się okazało, że autorką jest kobieta o imieniu Vosene mieszkająca na wyspach South Downs.

Caitlin Happymealka zaczęła płakać. Chantorria wstała, żeby ją nakarmić.

– Co tam u twojej flamy? – zapytała sarkastycznie, rozsuwając zasłonkę z nanizanych na sznurki paciorków, wiszącą w drzwiach między sypialnią a jadalnią.

– To żadna moja flama – odburknął Trafford – tylko koleżanka z pracy, którą nie wiedzieć czemu prześladują.

– Akurat – mruknęła Chantorria, przystawiła sobie Caitlin do piersi i wróciła do łóżka.

Odprowadzając wzrokiem swoje dziecko w objęciach żony, Trafford poczuł przyptyw dumy. Kazał małą zaszczepić.

Zrobił to z własnej, nieprzymuszonej woli, na przekór Świątyni. Zapoczątkował swoją prywatną rewolucję.

Pod adresem w Finchley, który Trafford dostał od Cassiusa, mieściła się księgarnia wysyłkowa. Traffordowi niełatwo się było tam dostać, bo najpierw musiał przeprowić się z rowerem przez Jezioro Londyńskie, a po zejściu na ląd na nabrzeżu Paddington pokonać wiele mil chybottliwymi pomostami na palach i cuchnącymi, błotnistymi, podtopionymi uliczkami zalanych przez żywioł dzielnic Kensal Green i Kilburn. Podniecony, a zarazem z duszą na ramieniu, to pedałował, to brodząc po kolana w wodzie, prowadził rower za kierownicę.

Jeśli prawidłowo odgadł intencje Cassiusa, ten zamierzał wprowadzić go dzisiaj do tajnego stowarzyszenia Humanistów, ludzi, z którymi miał nadzieję doświadczyć intelektualnego wyzwolenia, o czym przed tygodniem nawet mu się nie śniło. Z drugiej strony, przystając do heretyków, obierał kurs na zderzenie z inkwizycją. Na domiar złego musiał w tym celu zapuścić się do tej szczególnie zapowietrzanej części miasta. Była to posępna, zakazana okolica, gdzie za środek płatniczy służyła zdatna do picia woda, a na każdym moście gangi młodocianych pobierały nielegalnie myto. Gdzie każdy przewoźnik z promu wiosłował z gotowym do strzału karabinem między kolanami i nawet patroly policji oraz inkwizycji poruszały się tylko w większych grupach, z rzadka opuszczając



łodzie. Zbydlęcona, zgorzkniała miejscowa ludność żyła w permanentnym stanie wojny z napływającą podklasą imigrantów. Obie społeczności walczyły ze sobą o ochłapy spływające kanałami.

Trafford szedł szybko. Ta ponura okolica i świadomość tajności misji szarpały mu nerwy. Każdy napotykanym przechodzień wyglądał na agenta Świątyni, każda przeciekająca krypa na policyjną motorówkę. W tonie żebraków domagających się nachalnie jałmużny słyszał wyraźnie: „Wiem, dokąd zaprzta-lasz, frajerze. Kopsaj szmal albo cię podkabluję”.

Trafford beszał się w duchu za swoją słabość i bojaźliwość. Sandra Dee, myślał, gdyby szła obok mnie, nie uskaki-wałaby przed byle cieniem i nie wpadała w panikę na widok wyniszczonych, wzbudzających litość żebraków. Mijałaby ich z podniesionym czołem, tak jak z podniesionym czołem znosi-ła przytyki tej suki Księżniczki Piczki. Trafford poczuł przy-pływ odwagi. Sandra Dee nie okazywała strachu i on też nie będzie. Niech ta tajemnicza osoba, którą w skrytości ducha darzył uczuciem, wie, że nie wypadł sroce spod ogona.

Brodząc tam i z powrotem to po kostki, to po kolana w wodzie zalanymi bocznymi i w większości wyludnionymi uliczkami na południe od targowiska Nag's Head, Trafford odnalazł w końcu adres, którego szukał. Budynek, na którego frontonie wisiał szyld: „Książki i broszury. Kupno i sprzedaż”, stał przy zapuszczonej, wznoszącej się tarasowo ulicy i wy-głądał jakby trochę przyzwoiciej od tych, które do tej pory mijał. Wspiął się po prowizorycznych schodkach do okna na pierwszym piętrze i wszedł przez nie do małego, skąpo oświe-tlonego sklepiku.

Księgarnie wysyłkowe przechodziły od kilku lat coś w ro-dzaju odrodzenia. Książki i broszury, którymi handlowały, zamawiano niegdyś poprzez sieć, ale wraz z upadkiem usług kurierskich i podnoszącym się stale poziomem wody do łask

wrócił system nazywany „sprzedażą bezpośrednią” i księgarnie wysyłkowe powróciły do biznesu. Ta zawałona była od podłogi po sufit pozycjami z dziedziny religii i wiary oraz poradnikami, które niektórzy nadal woleli mieć w rękę, niż ściągać za każdym razem z sieci. Gdzie tylko spojrzeć, słynni hipnotyzerzy, uzdrowiciele, piosenkarze pop, astrologowie i duchowni polecali swoje wypunktowane krok po kroku programy gwarantujące rozwój osobowości. Tysiące tysięcy książek, a wszystkie podsuwały czytelnikowi rady, jak stać się silnym, bogatym, wpływowym i przebojowym. Trafford widział dużo takich książek, ludzie nagminnie je czytali. Najwyraźniej każdy chciał stać się silny, bogaty, wpływowy i przebojowy. Zastanawiające, że pomimo mnogości tych wszystkich poradników i ich popularności Trafford nigdy nie spotkał kogoś spoza hierarchów Świątyni, kto naprawdę jest silny, bogaty, wpływowy i przebojowy. Była to jeszcze jedna ze sprzeczności, które Trafford wychwytał, ale na ten temat nie dyskutował.

Wziął na chybił trafił jedną z książek, cienki tomik obiecujący, że nauczy czytelnika, jak odnaleźć w sobie Boga i wykorzystać Go do zdobycia partnera seksualnego z wyższych sfer. Kiedy przeglądał spis treści, podszedł do niego kierownik księgarni, niski człowieczek w okularach, w których przypominał sowę. Takich grubych szkieł Trafford jeszcze nie widział.

- Szuka pan czegoś konkretnego? – spytał kierownik.
- Nie, miałem się tu z kimś spotkać – odparł Trafford.
- A miał się pan spotkać z tą osobą z jakiegoś konkretnego powodu? – dociekał mężczyzna.

Trafford zrozumiał aluzję.

- Tak, tak, jak najbardziej. Z rozsądku.
- Skoro tak, to myślę, że dojdzie do tego spotkania.

Mężczyzna poprowadził Trafforda na zaplecze, a stamtąd

schodami do piwnicy, która w myśl wszelkich praw powinna być zalana, ale nie była. Panował w niej nieprzenikniony mrok i zanim oczy Trafforda zdążyły przywyknąć do ciemności, usłyszał znajomy głos Cassiusa:

- Witaj, Traffordzie.
- To ty, Cassiusie? Gdzie jesteś?

Cassius wychynął z głębokiego cienia.

– Witaj – powtórzył. – Jesteś gotów do przekroczenia Rubikonu?

- A co to jest ten Rubikon?
- Rzeka.
- Jaka rzeka?
- W czasach starożytnego Rzymu Juliusz Cezar, nic sobie robiąc z prawa, konwencji i przesądów, przekroczył ją ze swą armią. Kiedy to zrobił, nie było już dla niego odwrotu. Ty stoisz teraz przed takim wyborem. Przekroczysz swój Rubikon?

Trafford słyszał o cesarze, wiedział, że to imperator z odległej przeszłości.

– Nie znam się na rzekach – powiedział – ale jeśli to ma być wbrew prawu, konwencjom i przesądom, to przekroczę każdą, którą mi wskażesz.

– Mam nadzieję – mruknął Cassius. – Musimy bardzo uważać, kogo przyjmujemy w nasze szeregi.

– W moim przypadku nie ma obawy. Jestem przekonany, że wierzę w to, w co wy wierzycie.

Cassius ściągnął brwi.

– Prawo wstępu tutaj, Traffordzie, zdobywa się nie wiarą, lecz zrozumieniem.

- Zrozumieniem czego?
- Zrozumieniem, że z czasem wszystko można zrozumieć. Nie nachodzą cię żadne wątpliwości, kiedy twój spowiednik prawi o Miłości, która wymyka się wszelkiemu zro-

zumieniu?

– Oczywiście, że nachodzą.

– A ja tę tezę z miejsca odrzucam. Nie wierzę, że we wszechświecie istnieje cokolwiek, czego nie dałoby się zrozumieć. Jeśli czegoś nie rozumiemy, to tylko dlatego, że w ogóle jeszcze mało rozumiemy. Niektórzy – większość – wypełniają tę lukę Bogiem. Ja i moi przyjaciele pragniemy ją wypełnić wiedzą.

– Mówisz o innych szczepicielach?

– Nie każdy z bywających tutaj jest szczepicielem, ale większość szczepieli to Humanisci. Powiedziałeś, że chcesz do nas dołączyć.

– Chcę, chcę.

– Zdajesz sobie sprawę, że w razie schwymania czeka cię kara śmierci, a jeśli nas zdradzisz, my cię zabijemy? To Rubikon.

Trafforda to nie odstraszało, całe życie czekał na tę chwilę.

– Jestem świadomy ryzyka, a was nigdy nie zdradzę.

– Wiesz, kto to Humanista?

– Nie bardzo. Może troszeczkę.

– To skąd u ciebie pewność, że chcesz nim zostać?

– Bo mówiłeś o wiedzy i zrozumieniu, a tego pragnę najbardziej na świecie.

– A wiesz, czym jest wiedza? Rozumiesz, co to zrozumienie?

– Wiem i rozumiem tylko jedno: że wszystko, co wpajała mi dotąd Świątynia i wszystko, w co udawałem, że wierzę, to kłamstwo. Poza tym jestem zupełnym ignorantem. Kimkolwiek jesteście, chcę być jednym z was. Jestem zagubiony. Jestem osamotniony. Wszystkie swoje przemyślenia muszę utrzymywać w tajemnicy. Wszystkim, w co oficjalnie wierzę, pogardzam. Wolałbym już być psem niż człowiekiem: zwierzęta nic nie wiedzą, ale o tym nie wiedzą. Ja wiem. Jestem

świadomy swojej ignorancji. Świadomy bezcelowej banalności swojej egzystencji. To przekleństwo mieć rozum, z którego zabraniają korzystać. To przekleństwo mieć inteligencję, jeśli zmuszają człowieka do ukrywania jej przez całe życie pod płaszczkiem bezdennej głupoty. Jeśli ze swoimi przyjaciółmi potraficie oświecić mroki mojego życia, to zostanę Humanistą i Humanistą umrę.

– Obyś nie wypowiedział tego w złą godzinę – westchnął Cassius. – Chodź za mną.

Odwrócił się do ściany, w której, jak się po chwili okazało, znajdowały się sekretne drzwi. Kiedy się otwierały, Trafforda uderzył dziwny zapach, no, może nie tyle zapach, ile tekstura powietrza. Było suche. Nigdy dotąd nie oddychał całkowicie suchym powietrzem. Nad miastem unosiła się bezustannie zawiesina pary wodnej i przy każdym wdechu wciągało się w płuca kolejną porcję wilgoci. To powietrze miało zupełnie inną jakość: na pewno nie można go było nazwać świeżym – pachniało kurzem i wiekowością. Ale było suche.

Pomieszczenie, podobnie jak powietrze, było niezwykle. Zostało najwyraźniej starannie wygłuszone, bo sekretne drzwi, zamykając się, odcięły wszelkie odgłosy miasta. Trafford znalazł się w wielkiej sali, która powstała w wyniku wyburzenia ścian piwnic trzech sąsiednich domów. Nawet partery okolicznych budynków stały w głębokiej po kostki wodzie, stanowiąc siedlisko szczurów i wylęgarnię komarów, ewenementem były zatem niezatopione, zdadne do zagospodarowania podziemia. Miejsce to musiało zostać w taki czy inny sposób skutecznie uszczelnione i Trafford zauważył, że powietrze zawdzięczało swą jakość zainstalowanemu na suficie odwilżaczowi.

Prócz Trafforda i Cassiusa w pomieszczeniu przebywało jeszcze pół tuzina osób obojga płci. Siedzieli wokół małego stolika, na którym stały imbryk z herbatą, butelka wina i jakieś

niewymyślne ciasteczka nieznanego Traffordowi rodzaju. Reszta sali zavalona była książkami. Starymi, bardzo starymi książkami. Ludzie przy stoliku byli tak pogrążeni w lekturze, że prawie nie zauważyli wchodzącego Cassiusa. Każde siedziało z nosem w książce, od czasu do czasu sięgając na ślepo po filiżankę z herbatą lub kieliszek z winem.

– To jedna z naszych czytelni – wyjaśnił szeptem Cassius.

Przez chwilę Trafford nie rozumiał, dlaczego Cassius szepcze. Potem domyślił się, że nie chce przeszkadzać ludziom przy stoliku, którzy byli bardzo skoncentrowani.

Poczuł dreszczyk emocji. Nie widział jeszcze skoncentrowanego człowieka.

Na żadnym wideoekranie obraz nie pozostawał taki sam przez dłużej niż kilka sekund i żadna rozmowa nie skupiała się dłużej na jednym temacie. Mimo wszystko ważnym aspektem wiary było między innymi mówienie tego, co akurat ślina na język przyniosła, a im głośniejsze, tym lepiej. Koncentrować się nie było potrzeby: Bóg i tak wszystko wiedział, a Świątynia wszystko podpowiadała. Po jaki gwint się koncentrować?

Ale tutaj, w tej osobliwej sali, koncentracja był niemal namacalna. Cicha, skupiona koncentracja. W tej chwili Trafford niczego tak nie pragnął, jak przysiąść się do ludzi przy stoliku.

Czekało nawet na niego wolne krzesło.

– Oto książki, które zgromadziliśmy i nadal gromadzimy – wyjaśnił Cassius. – Po potopie, kiedy kraj zaczął pogrążyć się w mroku ignorancji, zaczęli je zbierać pierwsi Nowi Humanieści. Naturalnie większość książek przepadła. Wiele zbutwiało i rozsypało się w proch, inne, w miarę jak wiara brała górę nad rozumem, mielono, by pozyskać pulpę na broszury, albo używano na podpałkę, ewentualnie w charakterze papieru toaletowego. Ale część ocaliliśmy i nadal to czytamy. Wciąż można je znaleźć wklonowane w szczeliny murów albo płynące rynsztokami. Dasz wiarę, że sam kiedyś,

porządkując kurnik, znalazłem Platona, Ajschylosa i Arystotelesa?

Trafford nigdy nie słyszał o Platonie, Ajschylosie i o Arystotelesie.

– Pozyskujemy je, gdzie i jak się da – ciągnął Cassius. – Oczyszczamy, suszymy, konserwujemy, a nade wszystko czytamy. Takie postawiliśmy przed sobą zadanie: chłonąć i szukać zrozumienia w wiedzy oraz literaturze przeszłości.

– Skanujecie je? Digitalizujecie?

– Nie. Tylko papier jest bezpieczny. Władze obawiają się rozpowszechniania w sieci wywrotowych treści. Przekonaliśmy się na własnej skórze, że bez przerwy sprawdzają kluczowe słowa i frazy. Och, jakieś pojedyncze opowiadanie czy wiersz mogą się przez pewien czas ostać niewykryte, wątpię, żeby przeciętny policjant albo starszy Świątyni potrafił odróżnić sonet Szekspira od wypocin pierwszego lepszego grafomana. Istnieją jednak pewne kluczowe zwroty, nazwiska i dziedziny wiedzy, które są bez ustanku kontrolowane. I tak się składa, że to te same zwroty, nazwiska i dziedziny, które każdy Humanista zobowiązany jest znać i rozumieć. Chodzi głównie o Darwina i ewolucję, teoria ewolucji bowiem to kredo samego jądra ruchu oporu, ale są też tysiące innych – Galileusz, Kopernik, gazy cieplarniane, Tom Paine i jego *Prawa człowieka*, Big Bang, czyli Wielki Wybuch, George Bernard Shaw, Izaak Newton...

Cassiusowi przerwało głośnie chrząknięcie. Trafford obejrzał się i stwierdził, że jeden z czytelników przy stoliku odebrał oczy od książki i patrzy na nich karcąco. W ferworze wymieniania najbardziej inspirujących go nazwisk i tematów (o których Trafford, nie licząc Darwina, pierwsze słyszał) Cassius podniósł głos, zakłócając tym samym ciszę.

– Przepraszam – szepnął Cassius i kontynuował: – Niemal wszystko, co umieścilibyśmy w sieci, zostałyby przez władze

wyłowione i po nitce do kłębka doprowadziło do nas. Internet miał upowszechniać wiedzę, a w rezultacie ją pogrzebał. Najpierw pod nawałem ignorancji, lenistwa, bigoterii, ciemnogrodu i plugastwa, potem pod ciężarem policyjnej inwigilacji. Teraz, jak wiesz, cyberprzestrzeń wykorzystywana jest wyłącznie do propagowania reklam, plotek i pornografii. No i, rzecz jasna, tropienia niepokornych. Tylko papier jest bezpieczny. Kluczem są książki. Do książki nie da się zajrzeć na odległość, trzeba ją wziąć do ręki, trzeba przeczytać.

– I tym się właśnie zajmujecie? Czytaniem książek?

– Studiujemy. Organizujemy również tajne seminaria i wykłady. Każde z nas jest intelektualnym rewolucjonistą. Samym swoim istnieniem rzucamy wyzwanie siłom ślepej wiary i ignorancji. Mozolnie odtwarzamy ze strzępów wiedzy przeszłości, dzieje przeszłości i wyobraźnię przeszłości.

– Wyobraźnię przeszłości?

– To, co działo się w wyobraźni ludzi przeszłości. Literaturę, powieści, wspaniałe historie spisane w erze, kiedy ludzki umysł mógł chadzać swobodnie własnymi ścieżkami...

Trafford z trudem panował nad rosnącym podnieceniem. Oto znalazł się wśród autentycznych heretyków, bojowników o wolność myśli. Miał wrażenie, że całe życie, aż do tej chwili, upływało mu w ciemnym pokoju i dopiero teraz ktoś zapalił światło.

– Czy mógłbym coś przeczytać? – spytał.

Wolne krzesło zapraszało. Stosy książek kusily.

– Ależ naturalnie. Po to się tu zbieramy – powiedział wesoło Cassius. – Musisz zacząć od zapoznania się z podstawami dorobku naukowego i kulturowego ludzkości. Potem, kiedy się już z tym uporasz, twoim obowiązkiem jako Humanisty będzie wyjść do współobywateli z misją krzewienia wśród nich tej wiedzy nawet z narażeniem życia.

Cassius wręczył Traffordowi starą wystrzępioną książkę.



– Od tej pozycji wszyscy zaczynamy – wyjaśnił. – Wiesz tytuł? *Dziecięcy przewodnik po cudownym świecie nauki i przyrody*. Wydano go ponad sto lat temu z przeznaczeniem dla małych dzieci. Prawie wszystko, o czym tu przeczytasz, wyda ci się bardzo skomplikowane i całkowicie nowe. Oczywiście większość środowiska naturalnego, o którym tu mowa, dawno już pochłonęły wody potopu, ale opisy budowy Ziemi oraz jej położenia w naszej galaktyce nadal są jak najbardziej aktualne. Kiedy przyswoisz sobie i opanujesz wiadomości zawarte w tej książce, a następnie opowiesz mi w miarę składnie, co przeczytałeś, przejdziemy do poważniejszych tekstów.

Trafford zajął miejsce i przystąpił do lektury. Z początku szło mu bardzo opornie. Tekst był tak pełen informacji, że Trafford dziwił się, jak można pisać o czymś tak rozwlekle.

Cassius, wyczuwając chyba, że ma trudności, podszedł i nalał mu lampkę wina.

– Nie zniechęcaj się – szepnął. – Twój wzrok zaraz przywyknie.

I ku zdumieniu Trafforda rzeczywiście szybko przywykł. Pożerał oczami stronę po stronie, chłonąc każde słowo, pławiąc się w luksusie wyglądu przez okno zrozumienia, rozświetlania mroków swojej ignorancji.

Po dwóch godzinach, w ciągu których Trafford prawie nie odrywał oczu od książki, Cassius zwrócił mu uwagę, że ma daleko do domu i powinien się już zbierać. Zanim Trafford zdążył okazać rozczarowanie, Cassius pokazał mu pustą okładkę poradnika zatytułowanego *Twoje nowe ja: dwanaście kroków do wewnętrznego spełnienia i sukcesu materialnego*. Wyjął Traffordowi z rąk książkę, którą ten czytał, i wsunął ją w rzeczony okładki.

– Podstęp prosty, ale skuteczny – wyjaśnił. – Nadrabiaj miną. Jak już mówiłem, uwagę ściągniesz na siebie najprędzej, starając się jej na siebie nie ściągać.

Potem Cassius wziął z półki inną książkę. Na okładce widniał mężczyzna z fajką, a tytuł brzmiał *Przygody Sherlocka Holmesa*.

– To na deser – szepnął, wsuwając ją w okładki podręcznika gwarantującego lepszy seks i zrzucenie brzuszka poprzez pozytywne myślenie. – Odnieś je za tydzień i powiedz, jak wrażenia.

Okazało się, że tydzień to stanowczo za długo. Trafford pochłonął obie książki, które dostał od Cassiusa – i tę o nauce, i tę z opowiadaniem – już następnego wieczoru. Próbował nawet czytać, wracając na rowerze z biblioteki na przystań promową nad Jeziorem Londyńskim, ale dał za wygraną, bo groziło to wywrotką i utonięciem w mulistych wodach Kilburn High Road. Był zachwycony *Sherlockiem Holmesem*. Nigdy dotąd nie spotkał się z narracją z prawdziwego zdarzenia, z opowieściami, które, w odróżnieniu od podobnych jedna do drugiej bezmyślnych komputerowych strzelanek z ich cykliczną destrukcją cyfrowych wrogów, mają początek, rozwinięcie i logiczne zakończenie. Uczył się szybko i wystarczyło kilka wizyt w bibliotece, by Cassius uznał, że dojrzał już do zmierzenia się z dziełem *O powstawaniu gatunków* Darwina.

– To kultowy tekst Humanisty – wyjaśnił. – Nie ma dla nas ważniejszego, nie ma też niczego bardziej przez Świątynię znieawidzonego.

– Bo zaprzecza istnieniu Boga? – spytał Trafford.

– Nie. Wcale temu nie zaprzecza, chociaż na pewno stawia pod znakiem zapytania istnienie owego dziwnego bóstwa zwanego Panem i Miłością, które rzekomo reprezentuje tu, na ziemi, twój spowiednik. Książka ta nie neguje istnienia Stworzyciela i nie było to bynajmniej zamiarem Darwina. Ona

dowodzi ponad wszelką wątpliwość, że człowiek, chociaż został stworzony, nie pojawił się pewnego poranka tysiące lat temu w pełni ukształtowany wraz z innymi stworzeniami.

Cassius dał również Traffordowi książkę pod tytułem *Duma i uprzedzenie*.

– Napisała to bardzo ceniona niegdyś autorka – wyjaśnił.  
– Przeczytaj i zadaj sobie pytanie, jak to się stało, że fascynujące złożone rytuały ludzkich zalotów mogły zostać zredukowane do krótkiej gry wstępnej poprzedzającej seks, uchodzący obecnie za kwintesencję związku dwojga ludzi.

Cassius zapakował obie książki w okładkę plotkarskiego czasopisma, na której redakcja obiecywała, że wywlecze na światło dzienne wszystkie pryszcze i cały cellulit, które sławne osoby tak skrzętnie ukrywają.

– Pamiętaj – powiedział Cassius, stojąc pod sklepem, do wsiadającego na rower Trafforda – Darwin jest kluczem. Ewolucja naszą jedyną nadzieją.

Z tygodnia na tydzień Trafford coraz więcej czasu poświęcał lekturze, nic więc dziwnego, że oddalali się z Chantorrią od siebie. Niewiele rozmawiali i poza seksualną pantomimą, którą musieli od czasu do czasu odstawiać na użytek sąsiadów, nie było już między nimi żadnej bliskości.

Za to narastające napięcie nie była odpowiedzialna tylko nagła fascynacja Trafforda książkami ani fakt, że myślami wciąż był gdzie indziej. Trafford wiedział, że Chantorria, od kiedy został przez nią przyłapany na czytaniu blogu Sandry Dee, podejrzewa go o romans. I w pewnym, ale tylko w pewnym sensie miała rację, bo jedynym, co mogło go jeszcze oderwać od zachłannego poszerzania wiedzy z dziedziny historii, nauki i literatury, była obsesja na punkcie tajemnic Sandry Dee.

Trafford i Chantorria pogodzili się już z myślą, że ich małżeństwo w sposób naturalny dobiega kresu. Nie mieli się

czego wstydić: wytrzymali ze sobą dwa lata, a więc dostatecznie długo, i Świątynia powinna zaaprobować ich rozwód. Wcześniej jednak mieli przed sobą obowiązkowe publiczne opisywanie swoich emocji i odczuć, bo żaden związek nie mógł się rozpaść po cichu. Każdy szczegół małżeństwa, każdy powód rozstania trzeba było wyniszczyć na publicznej spowiedzi i spotkać się z aplauzem wiernych albo zostać przez nich wybuczany. Wszystko to było na bieżąco dostępne w sieci na użytek takich osób, jak Barbiella, które nie mogły osobiście przystąpić do spowiedzi. Potem społeczność prosiła o logowanie się i zamieszczanie swoich opinii na temat małżeństwa z możliwością ocenienia go stosowną liczbą gwiazdek od jednej do pięciu.

Pewnego dnia Trafford i Chantorria uznali, że pora odwiedzić spowiednika Baileya i zapytać, czy w ich przypadku warunki wystąpienia o rozwód zostały już oficjalnie spełnione, a jeśli tak, to czy mogą się wstrzymać jeszcze tydzień ze spowiedzią, podczas której przedstawią publicznie patologiczną naturę swojego związku. Potem pokornie poproszą, żeby spowiednik, w ustalonym trybie, po przeanalizowaniu wszystkich za i przeciw, łaskawie udzielił im rozwodu.

Spowiednik Bailey przyjął ich w przestronnym przepychu swojej plebanii, na którą zaadaptował duży pub, i miał go teraz wyłącznie dla siebie, swoich żon i służby. Spowiednik wyraził (jak to było przyjęte) głębokie zasmucenie zbliżającym się rozpadem tak udanego małżeństwa, przy czym nie krył, że trzyma stronę Chantorrii. Nie próbował nawet ukrywać, że Chantorria go pociąga, i nie mógł się nadziwić, że Traffordowi przejadł się seks z tak atrakcyjną kobietą, obdarzoną takim imponującym, naturalnym biustem.

– Ty, Traffordzie, jesteś chyba drętwy od pasa w dół – zauważył kąśliwie duchowny. – Barbiella, wasza blokowa moderatorka, poinformowała mnie oczywiście, dobrzy ludzie,

że macie problem, i przesłała mi również na Tubie wypis ze skarg Chantorrii, że ją zaniedbujesz.

Spowiednik nacisnął klawisz i na jego ściennym ekranie pojawiła się Chantorria stojąca za Traffordem w szpilkach, bezmieszkowym staniku i czekoladowych stringach.

– Sama słodycz. Samo piękno i czystość – wymruczał spowiednik Bailey, oblizując mięsiste, błyszczące wargi. – Seksowna jesteś, Chantorrio, i jak mniemam, niedługo będziesz czekała na amatora.

– Dziękuję, spowiedniku Bailey – bąknęła Chantorria, rumieniąc się – bardzo miło mi to słyszeć.

– Nie przesadzam. Wspomnisz moje słowa. Znajdzie się bez liku gorącokrwistych chłopców wiary z dobrych rodzin, chętnych uszczknąć twojej wspaniałej świętej dupci. Co tu ukrywać, sam w imię Miłości rzuciłbym teraz okiem na twój biust.

Chantorria bez słowa rozpięła stanik i stanęła przed spowiednikiem.

– Tyś chyba zmysły postradał, Traffordzie – wykrztusił Bailey, nasyciwszy oczy. – Ale zawsze podejrzewaliśmy cię o pewne odchylenia.

Spowiednik zanotował sobie następnie termin posługi i wprowadził do porządku mszy uzgodniony z Traffordem i Chantorrią rodzaj patologii:

*On, zamiast mnie brać, woli czytać na Tubie dzienniki innych dziewcząt.*

Trafford był Chantorrii niezmiernie wdzięczny, że wzięła na siebie rolę strony poszkodowanej. Jemu nie przychodziło do głowy nic, co mógłby jej zarzucić, nie mówiąc już o podaniu racjonalnego powodu zakończenia ich małżeństwa. Nie mógłby przecież przyznać, że jest zakochany w kimś innym, ponieważ ta miłość była skrywana, a tym samym grzeszna. Nie miało to zresztą żadnego znaczenia: wystarczyło, że

niedowartościowane czuje się jedno z partnerów, a zresztą w szczególności współżycia takich jak oni, mało znaczących par, nikt nie będzie się zagłębiał. Spowiednik Bailey zakończył papierkową robotę i pożegnał ich.

W następną niedzielę Trafford i Chantorria udali się jak zwykle do lokalnego centrum młodzieżowego, gdzie odbywały się publiczne spowiedzi. Byli trochę oboje markotni, doskwierala im świadomość, że po raz ostatni uczestniczą w spowiedzi jako małżeństwo.

Zajęli miejsca i Trafford, rozglądając się ukradkiem po salce, stwierdził, że zanosi się na bardzo pracowity wieczór. Spowiednik będzie się musiał streszczać, żeby ze wszystkim zdążyć. Traffordowi ulżyło, bo przy tak napiętym programie cała impreza potraktowana zostanie przez prowadzącego skrótowo, w związku z czym na niego i Chantorrię mało kto zwróci uwagę.

Przed nimi swoje żale miały wylewać publicznie trzy pary. Żadna nie przyszła tu w sprawie rozwodu, lecz po radę w nadziei, że znajdzie się taka na kłopoty, jakie ich dopadły. Trafford znał wszystkie trzy pary: byli to miejscowi celebryci, ludzie uwielbiający się spowiadać, upajający się dramatyzmem, jaki się z tym wiązał, oraz rozgłosem jaki im to przynosiło w całej parafii. Przeczytał trzy zamieszczone w programie oświadczenia:

*On nie znosi mojej mamusi, czego nie mogę mu wybaczyć, bo przecież się z nią przespał, z moją siostrą zresztą też, tylko że to ona go uwiiodła.*

*Moja tarocistka mówi, że on jest złym człowiekiem, ale ja go kocham. Mam od niego odejść? Komu bardziej powinienam ufać? Mężowi czy uzdrowicielce?*

*Ona nie chce mi dawać od tyłu i muszę kłamać kiedy kole-*

*dzy się chwałą, ile razy robili to analnie. Czy ona nie jest czasem oziębła?*

Zgromadzenie rozkrzyczało się i rozłupało, kiedy spowiednik Bailey wszedł na podwyższenie, żeby przed poproszeniem do siebie pierwszej zwaśnionej rodziny oficjalnie otworzyć sesję wyznaniową.

– No dobrze, mnóstwo pracy przed nami – zagaił. – Na początek pytanie: jak byście się czuły, dziewczęta, gdyby wasz mąż uprawiał seks z waszą matką, a na dodatek z waszą siostrą? Tak, tak, dobrze usłyszałyście! Miałybyście pretensję do niego czy raczej do matki i siostry? A może do siebie? Walczyłybyście o zatrzymanie swojego pupila w waszym kochającym się stadle, czy raczej uznałybyście go za marnotrawnego koguta i pozwoliły odejść? Posłuchajmy, jak jedna z rodzin radzi sobie z tym problemem. Madonnatello, Anielski Zachwycie, Niebiańsko Waleczne Serce i ty, Ninjo, chodźcie tu, proszę, i spójrzcie w oczy swojej współnocie!

Wiwaty, pohukiwania i okrzyki przybrały na sile, gdy cztery strony wyznania patologii wkroczyły arogancko na podwyższenie i na przemian, to szczerząc w uśmiechu zęby do zgromadzenia, to strojąc miny do siebie, zajęły miejsca.

– Starczy! – krzyknął spowiednik Bailey. – Madonnatello, co ci leży na wątrobie? Co takiego niedobrego się dzieje? Może potrafimy zaradzić temu tu i teraz.

Madonnatella wstała i spojrzała na mężczyznę siedzącego na drugim końcu rzędka krzesel. Jej nalaną twarz, zdeformowaną zbyt licznymi kuracjami upiększającymi i implantami, wykrzywił grymas wściekłości.

– Mieszkamy w małym lokalu, rozumiecie? – zaczęła Madonnatella tonem sugerującym, że zaraz wybuchnie. – A moja mama, kiedy rzucił ją mój ostatni ojczym, przeniosła się do nas, rozumiecie? Nie sprzeciwiałam się temu, bo bardzo ją



kocham i pod wieczór mam w niej najlepszą przyjaciółkę, rozumiecie, chociaż to suka. Tak czy inaczej, pewnego dnia wracam z zakupów, rozumiecie? A on, rozumiecie...! Tak, ty, Ninjo! Dobrze wiesz, o kim mówię.

Ninja i pozostałe dwie kobiety na podwyższeniu wyrażali już swoje oburzenie i niedowierzanie zapalczywym kręceniem głowami, chociaż Madonnatella o nic ich jeszcze nie oskarżyła.

– Tak, o tobie, Ninjo. I nie kręć tak łbem, bo dobrze wiesz, że to zrobiłeś. Chędożył na kanapie moją siostrę, rozumiecie? A kiedy powiedziałam, że tak nie można, że jestem zażenowana i przerażona jego postępowaniem, odpysknał, że przed chwilą przeleciał moją mamusię!

Zbiorowe buczenie, jakim zgromadzeni skomentowali to wyznanie, było ogłuszające. Tymczasem Ninja, Anielski Zachwyt – siostra – i Niebiańsko Waleczne Serce – matka – nadal kręcili głowami i wykonywali pod adresem zgromadzonych prowokacyjne gesty.

Spowiednik Bailey zwrócił się do Ninji:

– Czy to prawda, Ninjo? – spytał. – Czy uprawiałeś na rodzinnej kanapie seks z matką, a potem z siostrą swojej żony, kiedy żona była na zakupach?

– Ona wiecznie jest na zakupach – zaprotestował Ninja, wygrażając Madonnatelli umięśnioną, bogato wytatuowaną prawicą.

– Wcale nie tak często bywam na zakupach – odcięła się Madonnatella, pokazując mu zaciśniętą wymownie pięść.

– Zadałem ci pytanie, Ninjo – przypomniał stanowczo spowiednik Bailey. – Czy przeleciałeś na rodzinnej kanapie swoją teściową, a zaraz potem szwagierkę?

– No, może i przeleciałem – burknął Ninja. – Idealem nie jestem, przyznaję, ale co się stało, to się nie odstanie, a zresztą wielkie mi rzeczy, myślałby kto. Madonnatella powinna wziąć

się w garść i przejść nad tym do porządku dziennego.

Anielski Zachwyt i Niebiańsko Waleczne Serce pokiwały ochoczo głowami.

– Anielski Zachwycie – zwrócił się do siostry powódki spowiednik Bailey, usiłując przekrzyczeć buczenie i gwizdy, którymi zebrani zareagowali na słowa Ninji. – Użyczyłaś mężowi siostry kawałka swojej wspaniałej dupencji. Czy nie czujesz się z tego powodu zdeprawowaną, podstępną, nic niewartą, odpychającą dziwką?

Anielski Zachwyt zerwała się z krzesła z takim wigorem, że rozkołysały się jej wytatuowane piersi, i wyzywająco spojrzała z góry na rozemocjonowany tłum.

– Tak, tak, czuję się! Jestem dziwką, zadowoleni? Wiem, że jestem... ale jestem dziwką seksowną, tyle mam do powiedzenia!

To śmiałe oświadczenie spotkało się z okrzykami aprobaty dla jej niepokornej postawy, na co Anielski Zachwyt odwróciła się tyłem do widowni, zarzuciła kusząco pupą i odtańczyła coś tam we własnej choreografii.

– A jeśli moja siostrunia nie potrafi podtrzymać zainteresowania męża swoją osobą – podjęła – to ja mam wszelkie prawo wziąć sprawy w swoje ręce i zrobić mu dobrze. On jest w te klocki fantastyczny i kocham go nad życie. Naprawdę rozumie potrzeby kobiety i jest bardzo wrażliwy i czuły, i w ogóle, i wszystko robimy razem, a on mówi, że takiej jak ja jeszcze nie miał i nigdy z żadną czegoś takiego nie przeżywał.

Tą żywiołową mową obrończą Anielski Zachwyt zaskarbiła sobie sympatię sali i opinia publiczna zaczęła się zwracać przeciwko Madonnatelli.

– Tak. Dobre to było. Trafia do przekonania! – zakrzyknął spowiednik Bailey. – Ludziom podoba się twoja duma, Anielski Zachwycie, podoba im się twoja zadziorność. Tylko co z mamusią? Ona nie zabierała jeszcze głosu. No nic, Anielski

Zachwycie, ostatnie pytanie. Czy uprawianie seksu z własnym zięciem nie stanowi największej zdrady każdej matki wobec córki, którą wydała ze swego łona?

– Staralam się nie dopuścić do rozpadu rodziny – zaprotestowała Niebiańsko Waleczne Serce. – Gdybyśmy z Anielskim Zachwytem nie dawały Ninji tego, czego mu trzeba, poszedłby sobie gdzie indziej. Zatrzymywałyśmy go w rodzinie. Po mojemu pomagałyśmy Madonnatelli.

Ten argument wywołał głośny aplauz. A Ninja klaskał najzapamiętalej i kiwał ochoczo głową, starając się chyba zrobić na zebranych wrażenie, że to on jest stroną poszkodowaną.

– Rozumiem cię, Niebiańsko Waleczne Serce! – zawołał spowiednik Bailey. – Rodzina jest najważniejsza. Grunt to rodzina. W oczach Pana nie ma nic bardziej świętego niż rodzina. Świątynia nie może zakazać mężczyźnie zgłębiania wdzięków swojej szwagierki czy teściowej, zapewniam was jednak, że na oczach Pana i Miłości dzieją się rzeczy po sto-kroć gorsze. Powiadam ci zatem, Madonnatello, wina leży po twojej stronie, bo gdyby Ninja był zadowolony z zespolenia z tobą, nie szukałby pociechy u twojej siostry i matki. Powiadam zatem, uściśnijcie się, weźcie w garść, puśćcie urazy w niepamięć i zaprowadźcie ład w swoim gniazdku.

Tak pouczona Madonnatella zapewniła spowiednika, że nie tylko zaprowadzi ład w swoim gniazdku, ale zabierze się do tego natychmiast. Ściągnęła biustonosz, zdecydowanym krokiem podeszła do Ninji i potrząsnęła mu przed nosem olbrzymimi piersiami.

– No co, mogą być?! – wrzasnęła. – Już ja ci pokażę, co to prawdziwy seks. W porównaniu ze mną Anielski Zachwyt wyda ci się soplem lodu, uschniętym patykiem.

Sympatia zebranych znowu zmieniała adresatkę i ów pokaz pewności siebie zaskarbił Madonnatelli zwycięstwo. Zdopin-gowany wiwatami i tupaniem Ninja zerwał się z krzesła,

wyładował rozsadzającą go energię, boksując serią prostych i sierpowych powietrze, po czym padł w objęcia żony i oświadczył, że nie spojrzy już nawet na inne członkinie jej rodziny.

Następne dwa wyznania miały podobnie histeryczny przebieg. Olbrzymie zainteresowanie kongregacji wzbudził konflikt między osobistymi odczuciami zrozpaczonej kobiety a usilnym naleganiem jej tarocistki, żeby odeszła od mężczyzny, którego kocha. Po dłuższych deliberacjach spowiednik Bailey orzekł, że kobieta musi się zastosować do rady swojej duchowej przewodniczki. Mimo wszystko nie sposób ignorować zrządeń losu, a planety i gwiazdy (stworzone wszak przez Miłość) najwyraźniej prowadzą kobietę ku nowym horyzontom, gdzie nie ma miejsca dla jej aktualnego ukochanego. Na koniec spowiednik Bailey wyraził przekonanie, że tuż za rogiem czeka na nią nowa miłość.

Następnie poprosił do siebie małżeństwo, które przeżywało poważny kryzys, bo żona odmawiała mężowi stosunków analnych. Mąż nie tylko był z tego powodu sfrustrowany, ale również tracił twarz w pubie, gdzie naśmiewali się z niego koledzy twierdząc, że ich partnerki są gotowe na wszystko.

Temat ten wywołał na sali ożywioną dyskusję. Jedni brali stronę męża, inni deklarowali zrozumienie dla żony. Wiele kobiet i paru mężczyzn było zdania, że skoro kobieta ma opory przed dawaniem od tyłu, to nie należy jej do tego zmuszać. Sporo osób twierdziło, że ponieważ praktyki takie nie mogą w żaden sposób doprowadzić do poczęcia, to oddawanie się im powinno być kwestią gustu. Wybuczano męża, gdy ten napomknął, że brak zainteresowania sdomią może wskazywać na oziębłość płciową. Z drugiej strony spora część sali twierdziła, że żona powinna po prostu zacisnąć zęby, przestać biadolić i od czasu do czasu zrobić mężowi tę przyjemność, skoro tak mu na tym zależy. Wiadomo przecież nie od dziś, że czego mężczyzna nie może dostać w domu, tego szuka gdzie

indziej, a świat roi się od pozbawionych skrupułów suk, które tylko czekają na okazję, by ukraść kobiecie męża. Spowiednik Bailey ogłosił w końcu, że rozważywszy dogłębnie podzielone opinie zgromadzenia, uznaje racje żony.

– Kształtna dupcia to dar, którym kobieta może dysponować wedle własnego uznania – zaintonował uroczyście. – I ta kongregacja nie jest władna orzekać, że jest inaczej.

Traffordowi pękała głowa. Zaduch i smród potu na sali zwał z nóg, a rozbudzone emocje i histeryczne wrzaski zebranych raniły mu uszy niczym artyleryjskie salwy. Właśnie zadawał sobie w duchu pytanie, jak długo jeszcze zdoła to wytrzymać, kiedy spowiednik Bailey poprosił na podwyższenie Chantorrię i jego.

– Trafford przestał dawać Chantorrii to, czego każda szanująca się kobieta ma prawo oczekiwać od męża – zagaił spowiednik, wywołując falę pogardliwego buczenia – a co więcej, okazuje się, że podnieca go perwersyjne czytanie blogów i oglądanie wideodzienników innych kobiet!

Spowiednik Bailey starał się, by zabrzmiało to sensacyjnie, ale zebrani dobrze znali te chwytły. Wstęp do każdego wyznania musiał być taki, by wzbudzić ogólne zainteresowanie. Trafforda i Chantorrii nie dało się nazwać parą ze świecznika. Byli zupełnie nieznani poza murami bloku, w którym mieszkali, a i tam mało kto zwracał na nich uwagę. Teraz, konserwatywnie ubrani i wyraźnie skrępowani faktem, że taksuje ich mnóstwo par oczu, też nie dawali nadziei na dobrą rozrywkę. Sala lubiła takich, którzy przystępują do wyznań butni, pewni siebie, zadziorni, bo to gwarantowało setny ubaw, a nijakość Trafforda i Chantorrii bardzo widownię rozczarowywała.

– No, co z wami! – huknął spowiednik Bailey, kiedy dreptali ze spuszczonej oczyma do krzesel. – Głowy do góry! Nie w smak wam wylewać swoje żale przed kongregacją, której jesteście członkami?

– Ależ skąd, oczywiście, że w smak – zapewnił pośpiesznie Trafford, siadając.

– No, to zaczynajmy! – Bailey zwrócił się do Chantorrii:  
– Powiedz nam, Chantorrio, dlaczego, twoim zdaniem, wasze małżeństwo wisi na włosku?

– Coraz bardziej się od siebie oddalamy – odparła Chantorria. – Mam przeczucie, że to już koniec.

Tego rodzaju wyznanie nie mogło rozruszać publiki.

– A jak to jest z tym jego perwersyjnym śledzeniem blogów i wideodzienników innych dziewcząt? – drażył spowiednik Bailey, chcąc chyba dodać nieco pieprzu do tego ble-ble. – Czy nie jest ci przykro, że bardziej niż ty pociągają go inne dziewczęta? Nie drażni cię ten stan rzeczy? Nie czujesz się zagrożona?

– Żeby to się tylko sprowadzało do surfowania po stronach, spowiedniku – westchnęła Chantorria. – Ale on wciąż podgląda jedną i tę samą dziewczynę o nazwisku...

I w momencie, kiedy Chantorria wymieniała nazwisko swojej domniemanej rywalki, Trafford wypatrzył jego właścicielkę. Była na sali. Sandra Dee.

Nie do wiary! A więc należy do jego kongregacji! I wiedział już, dlaczego do tej pory jej nie zauważył. Po raz pierwszy od lat brał udział w ceremonii wyznań, o ile pamiętał, pierwszy raz stał na podwyższeniu i ogarniał z niego wzrokiem całą salę. Zwykle nie oglądał twarzy swoich współwyznawców, tylko ich potylice. Ale teraz widział twarze i ona tam była, siedziała ściśnięta w jednym z ostatnich rzędów. Ściśnięta, ale najwyraźniej sama. A dlaczego przyciągnęła jego wzrok? Wyróżniała się z tłumu. Nie wrzeszczała jak inni, nie wymachiwała pięściami. Nie zrywała się z miejsca i nie robiła wściekłych min, po prostu siedziała sama. Nieruchoma postać pośród rozgorączkowanej cizby, twarz spokojna, może nawet bez wyrazu. Niczego nie zdradzająca.

– ...Sandra Dee – dokończyła Chantorria.

Teraz twarz Sandry Dee ożyła. Dotarło do niej, że cyberinwigiluje ją kolega z pracy. Wyglądała na zaszokowaną, ale Trafford wyczuwał również strach.

– Co to za jedna, ta Sandra Dee, Traffordzie? – zagrział spowiednik Bailey. – Czy to z jej powodu nie interesujesz się już swoją żoną?

Sandra Dee, zaczerwieniona po cebulki włosów, wlepiała wzrok w Trafforda. W pewnym momencie ich oczy się spotkały, ale ona, zamiast uciec, spojrzeniem, jak się tego spodziewał, przewiercała go dalej, a było w tym spojrzeniu nie-me, gniewne oskarżenie. Ona robi wszystko, żeby zachować prywatność, a ten tutaj wywleka jej nazwisko na publicznej spowiedzi.

Mało tego, wywleka je w związku z rozwodem. W końcu to Trafford odwrócił wzrok. Poczucie winy i wyrzuty sumienia nie pozwalały mu patrzeć jej dłużej w oczy.

– Nie! – krzyknął. – Nic z tych rzeczy! Ja jej wcale nie znam. Na ten blog natrafiłem zupełnie przypadkiem, to był taki strzał w ciemno, który... który mnie zaciekawił.

Trafford i Sandra Dee mogli sobie uważać tę konfrontację za burzliwą, ale w opinii zgromadzenia nie było się czym ekscytować. Ludzie żądni byli rozdzierania szat, wyuzdanego seksu, krwi nawet. A tu jakieś tam podglądanie jakiejś tam dziewczyny, z którą gość nawet się nie przespał. Spowiednik Bailey wyczuł nastrój kongregacji i uznał, że pora zakończyć ceremonię. Wręczył małżonkom świadectwo zgłoszenia zamiaru rozwodu i wyprosił oboje z podwyższenia.

Wracając przez salę na swoje miejsce, Trafford starał się nie patrzeć tam, gdzie siedziała Sandra Dee, ale był pewien, że ona odprowadza go wzrokiem. Czuł prawie, jak jej rozplamione oczy wypalają w nim dziury.

– No, już po wszystkim – westchnęła z ulgą Chantorria,

kiedy siadali.

Ale Trafford podejrzewał, że jest w błędzie, że to się dopiero zaczyna.



Epidemia odry plus wybuchła nagle i zbierała szokująco obfite żniwo. Epidemie były zawsze. Pan i Miłość, jak głosił często spowiednik Bailey, nie lubi się cackać, nie ma na to czasu.

– Cierpliwości to On ma aż nadto – pouczał spowiednik członków kongregacji – ale jak się już wnerwi, to klękajcie, narody. Niektórzy zwą to dopustem bożym i jest to „oczywista oczywistość”, ale ja wolę w tym upatrywać przejawów surowej miłości.

Byli też tacy, którzy uważali, że rosnącą zjadliwość epidemii powodują inne czynniki, takie jak: karygodne nadużywanie antybiotyków, wołająca o pomstę do nieba dieta, obniżające się standardy higieny osobistej i pogarszająca się w subtropikalnym teraz klimacie jakość wody. Poglądy owe poddawano pod dyskusję w co poważniejszych programach telewizyjnych i na rozmaitych poświęconych zdrowiu forach internetowych. Ale nigdzie nie zasugerowano nawet, że czynniki te mogą nie zależeć od Boga. Wspominano jedynie, że grzeszny człowiek zechciałby może rozważyć spożywanie w ramach pokuty większej ilości owoców i warzyw oraz odstawienie antybiotyków, które nadal przepisywano na byle dolegliwość.

Prawda zaś była taka, że śmiertelność w wyniku wszystkich najczęściej występujących chorób rośnie z każdą nową

epidemią i odra albo odra plus, jak ją teraz nazywano, nie była od tej reguły wyjątkiem. Wirus bez przerwy ewoluował i za każdym razem, kiedy dawał o sobie znać, był bardziej złośliwy i niebezpieczny niż poprzednio.

Tak samo było ze świnką plus, kokluszem plus, zapaleniem opon mózgowych plus oraz innymi chorobami wieku dziecięcego. Ogólnie rzecz biorąc, pogarszanie się stanu zdrowia społeczeństwa najbardziej dawało się odczuć w przedszkolnej grupie wiekowej. Zupełnie dotąd niegroźne niemowlęce infekcje coraz częściej prowadziły teraz do zgonu. Za to osobnicy, którym udało się szczęśliwie przebrnąć ogniową próbę tych kilku pierwszych lat życia, jakoś lepiej radzili sobie potem w walce z chorobami atakującymi dorosłych. Cytując spowiednika Bailey'a, ci, którzy zostali wybrani, by przeżyć, są z pewnością sprawiedliwi, silni i uprzywilejowani w oczach Pana. Albo, powtarzając za portalami sieciowymi poświęconymi zdrowiu, w wyniku styczności z wirusem stali się nań odporni (co, ma się rozumieć, od początku do końca zaaranżował w swej mądrości Pan). Ale nieświadome niczego niemowlęta nie zdążyły jeszcze nauczyć się tego, czym jest sprawiedliwość, ani uodpornić na wirusy, w związku z czym w dziecięcych łóżeczkach i w żłobkach trwa nieprzerwana walka na śmierć i życie.

Pewnego ranka, zasiadając do śniadania, Trafford i Chantoria dowiedzieli się, że w ich bloku pojawiła się odra plus. Komentarze do obwieszczenia płynęły jeszcze ze ściennego ekranu w kuchni, kiedy przez cienkie ściany Inspiration Towers dobiegł szloch pierwszej matki. Nowy szczep wirusa odry plus został zidentyfikowany i wiadomość rozniosła się po ich małej społeczności z gwałtownością huraganu, odciskając się na każdym kaszlnięciu, każdym kichnięciu, każdym oddechu. Władze wyznaczały już strefę kwarantanny wokół pół tuzina wieżowców składających się na ich osiedle.

Chantorria spojrzała na Trafforda przerażona i zrozpaczona. Przed takim czymś drżał każdy rodzic: zostać odcięty od świata, uwięzionym w siedlisku zarazy. Władze nie wypuszczą stąd nikogo, dopóki epidemia nie dokona dzieła i nie wygaśnie.

– Caitlin nie wygląda na chorą! – zawyła. – Muszą nas wypuścić, póki jeszcze tego nie złapała.

– Marzenie świętej głowy – mruknął Trafford. – Przepisy zabraniają.

Wiedział, co mówi: wszyscy słyszeli o odchodzących od zmysłów rodzicach, którzy próbowali forsować z dziećmi na rękach ogrodzenia okalające strefę kwarantanny. Nikomu się to, jak dotąd, nie udało. Policja wołała strzelać niż dopuścić do rozprzestrzenienia się zarazy.

– Ale jej nic nie jest! – upierała się płacząco Chantorria.

– To prawda, nie jest.

– Muszą nas wypuścić!

– Wybij to sobie z głowy, Chantorrio – powiedział spokojnie Trafford. – Jesteśmy objęci kwarantanną. Ale mniejsza z tym, mała wyjdzie z tego bez szwanku.

Chantorria słuchała go jednym uchem. Nałożyła już na buzię Caitlin Happymealki maskę popsikaną odświeżaczem powietrza i uszczelniała wilgotną szmatą szparę pod drzwiami wejściowymi, żeby nie przedostawało się tamtędy morowe powietrze.

– Chantorrio – powtórzył Trafford – powiedziałem przecież, że moim zdaniem nic jej nie będzie.

Żona posłała mu gniewne spojrzenie.

– Twoim zdaniem! Twoim zdaniem! – krzyknęła. – Co tu, do jasnej cholery, ma do rzeczy twoje zdanie? Tylko modlitwa nam pozostaje!

– Sądzisz, że oni wszyscy się nie modlą, Chantorrio? W każdym pokoju tego bloku modlą się teraz do tego samego

Boga, który według nich zesłał na nas tę zarazę.

Chantorria roniła łzy bezsilnej paniki.

– Musimy coś zrobić! – wyła. – Pomóż mi uszczelnić okna... albo skocz do sklepu po odświeżacz... albo weź się zwyczajnie zamknij i czytaj sobie dalej te swoje instrukcje! Cokolwiek. Musimy coś zrobić. Nie możemy czekać z założonymi rękami, aż ona umrze.

– Nie umrze – zapewnił ją Trafford. – Bo widzisz, Chantorrio, ja już coś w tym względzie przedsięwziąłem.

Chantorria spojrzała na niego z budzącą się w oczach nadzieją.

– Chcesz powiedzieć...

– Tak. Zaszczepiłem Caitlin.

Po kilku godzinach w całym bloku rozlegał się już szloch zrozpaczonych matek dzieci, które zaczynały gorączkować. Te raczkujące i starsze miały więcej sił, by gorączkę wypocić, ale u wszystkich najmłodszych choroba postępowała szybko. To znaczy u wszystkich, z wyjątkiem Caitlin Happymealki. W każdym budynku osiedla matki patrzyły bezradnie, jak oczy ich niemowląt robią się coraz bardziej czerwone, a gardziółka coraz bardziej bołą. Dopóki objawy przypominały te występujące przy przeziębieniu albo grypie, była jeszcze nadzieja, wątpliwa, ale była. Każde z rodziców wmawiało sobie, że ich dziecko tylko się przeziębilo i jakimś cudem przetrwa pomór, który dotknął wspólnotę. Ale z pojawieniem się wysypki ludzie zdawali sobie sprawę, że ich nadzieja była płonna i pozostaje im tylko modlitwa. Wysypka pojawiała się najpierw wokół uszu i szybko rozprzestrzeniała na całe ciało, krosty stawały się coraz większe i liczniejsze, by w końcu utworzyć litą skorupę, która wysysała życie z zainfekowanych istotek, a temperatura rosła i rosła. Zawodzenie matek, które już to u swoich pociech zaobserwowały, cichło z wolna, przechodząc w pełną smutku ciszę, w jakiej rodzice oczekiwali nad łóżecz-

kiem tego, co nieuniknione. Epidemia uderzyła z taką gwałtownością i bezwzględnością, że prawie wszystkie dzieci rozchorowały się jednocześnie, przez co zsynchronizowany był również niemy ból otepiałych matek. W Dniu Umierania, jak nazywano teraz te dni, kiedy odchodziło malutkie pokolenie, w całym osiedlu zaległa straszna cisza, która trwała od zachodu do zachodu słońca.

Kiedy miesiąc po wybuchu epidemii lokalny wydział zdrowia zniósł w końcu kwarantannę, stwierdzono, że w osiedlu Inspiration Towers z dzieci poniżej jednego roku życia przetrwało tylko jedno jedyne.

Caitlin Happymealka.

Małej, zupełnie nieświadomej rozgrywającego się wokół dramatu, choroba się nie miała i kiedy z bloków wynoszono małe trumienki, ona dokazywała w najlepsze w swoim łóżeczku.

W następstwie cudownego ocalenia Caitlin w Chantorrii zaszła zmiana. Miesiąc, który rodzina przewetowała uziemiona w mieszkaniu, słuchając niosących się korytarzami krzyków umierających w cierpieniu niemowląt, głęboko Chantorrią wstrząsnął. Nieprzespane noce spędzone przy Caitlin – bo wzdragała się robić sobie nadzieję, że akt herezji, którego dopuścił się Trafford, rzeczywiście coś da – także pozostawiły swoje piętno. Chantorria chodziła teraz zamyślona i, ku zdziwieniu Trafforda, chociaż zdawała sobie sprawę, co ocaliło córeczkę, bardziej uduchowiona.

Kiedy wybuchła epidemia, od finalizacji rozwodu dzieliło ich zaledwie kilka dni, ale w paradę wszedł okres kwarantanny, a teraz Chantorria zmieniła zdanie. Już nie chciała się rozwodzić.

– Dokonałeś cudu – powiedziała tego wieczoru, gdy władze oficjalnie ogłosiły, że epidemia się skończyła – i kocham cię.

– Nie dokonałem żadnego cudu – odparł Trafford. – Cuda nie dadzą się racjonalnie wyjaśnić. Dobrze wiesz, dlaczego Caitlin przeżyła. Został pobudzony i dostrojony do walki z epidemią jej system odpornościowy.

– Wszystko jedno, jak to się stało, dla mnie to cud – obstawała przy swoim Chantorria – i myślę, że to znak.

– Jaki znak?

– Caitlin przeżyła, bo nie chce, żebyśmy się rozstawali.

Trafford wytrzeszczył oczy.

– Chyba nie mówisz poważnie. – Tylko ten frazes przyszedł mu do głowy.

– Jak najpoważniej. Została z nami, bo chce nam pomóc w odbudowaniu małżeństwa.

– Chantorrio, Caitlin nie ma nawet roczku. Ona nie „chce” niczego poza pieścotami.

Trafford był przerażony kierunkiem, w którym dryfuje umysł Chantorrii. Jak to możliwe, że coś, co powinno otworzyć jej oczy na zakłamanie, w jakim przyszło im żyć, jeszcze bardziej ją w nie wpędza?

– Nasza córeczka żyje dzisiaj tylko dzięki nauce, którą rozwinął człowiek – stwierdził stanowczo. – To, że przetrwała, nie ma nic wspólnego z tym, czy chce, żebyśmy nadal Mi razem.

– Ale ja i tak nie chcę rozwodu. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Nie po tym, przez co przeszliśmy.

Ale Trafford chciał rozwodu. Pragnął wolności, swobody czytania i uczenia się. To stało się teraz jego pasją. Każda chwila spędzona w realnym świecie na przedzieraniu się przez przyziemne czynności codziennego życia była dlań chwilą straconą dla poszukiwania wiedzy, chłonięcia jej i puszczania wodzy wyobraźni.

Pragnął prywatności, warunków sprzyjających skupieniu myśli. Miałby to wszystko, gdyby rozstali się z Chantorrią.

Ona, z uwagi na dziecko, zatrzymałaby mieszkanie, on poszukiwałby sobie jakiegoś kąta gdzie indziej. Większość mężczyzn byłaby taką perspektywą przerażona; niedostatek bazy lokalowej od niepamiętnych czasów dawał się wszystkim we znaki i samotni mężczyźni lądowali zazwyczaj w noclegowniach, a o wielkim szczęściu mogli mówić ci, którym udało się załatwić sobie stałe miejsce w przytułku dla bezdomnych. W kategoriach komfortu fizycznego byłby to dla Trafforda ogromny cios: rodzinne mieszkanka były na pewno ciasne i zawilgocone, zaszczurzone i niezdrowe, ale przy klitkach z kartonowo-gipsowych ścianek w przytułkach albo zatłoczonych do granic możliwości noclegowniach mogły uchodzić za pałace. Jednak Trafford nie pragnął komfortu dla ciała, jemu chodziło o komfort dla umysłu i duszy. Po prostu chciał być sam. Zadowoliliby się zapluskwioną pryczą w noclegowni, byle tylko odciąć się od świata zewnętrznego i dostrajając swój wideokomunikator do jakiejś stacji nadającej spokojną, niewpadającą w ucho muzyczkę z gatunku New Age, zanurzyć się w ogromnym, niezbadanym wszechświecie historii, nauki i literatury.

Poza tym był zakochany w Sandrze Dee.

Od tamtej wieczornej publicznej spowiedzi, na której Chantorria w wyznaniu rozwodowym wymieniła ją z imienia i nazwiska, Trafford powstrzymywał się od odwiedzania strony Sandry Dee. Nie przestawał jednak myśleć ani o niej, ani o tym, jak w trakcie ostatniej fiz-ności wyraźnie wściekła unikała jego wzroku, co tylko potęgowało jego fascynację jej osobą. Widział ją w bohaterkach wszystkich powieści, jakie Cassius dawał mu do czytania. Sandrą Dee była Elizabeth Bennet, Sandrą Dee była Cathy od Hatchcliffa, Sandrą Dee były Anna Karenina, Julia i Ofelia. Podobne do niej stawały się nawet kobiety, o których czytał w książkach historycznych: Maria Curie, odkrywczym promieniotwórczego radu, Emily Pan-

khurst, twórczyni ruchu sufrażystek, Elżbieta I... wszystkie one miały dla niego twarz Sandry Dee.

– A mnie się wydaje, że powinniśmy doprowadzić do końca to, cośmy zaczęli – powiedział Trafford do Chantorrii. – Przecież publicznie to ogłosiliśmy i w ogóle.

– To niczego nie zmienia – ciągnęła niezrażona Chantorria. – Niektóre pary rozstają się, żeby po dwóch tygodniach zejść się z powrotem.

– My do takich nie należymy. My wywiązujemy się z raz podjętych zobowiązań.

– Już mnie nie kochasz? – spytała Chantorria ze łzami w oczach.

– Chantorrio, zaplanowaliśmy ten rozwód za obopólną zgodą. Ty też mnie już nie kochasz.

– Ale przez te ostatnie tygodnie znowu byliśmy tak blisko.

– To ze strachu, że nasza córeczka umrze.

– Myślałam... myślałam... że jest w tym coś więcej.

I popłynęły łzy. Chantorria płakała i płakała, i Trafford, chcąc nie chcąc, zaczął ją pocieszać.

– Nie płacz – powiedział, obejmując ją i przytulając. – Poczekajmy kilka dni, może wszystko się jakoś ułoży.

– Caitlin nas potrzebuje – wyszlochała Chantorria. – Ona chce, żebyśmy byli ze sobą.



Życie w Inspiration Towers zmieniło się teraz dla Trafforda i Chantorrii dramatycznie. Trafford obawiał się, że szczęśliwe dla nich zakończenie epidemii odry wzbudzi zawiść u innych rodziców ze wspólnoty i bardzo mu ulżyło, gdy stało się dokładnie na odwrót. Jego i Chantorrię zaczęto nagle podziwiać jako tych szczególnie umiłowanych przez Pana.

A to za sprawą spowiednika Baileya, który na pierwszej cotygodniowej spowiedzi po zniesieniu kwarantanny wspomniął z ambony o cudownym ocaleniu Caitlin Happymealki.

– Jak wszyscy wiecie – powiedział – osiedle Inspiration Towers doświadczyło ostatnio dopustu bożego. Ale Pan, w swej mądrości, wybrał jedną małą dziewczynkę i ją ocalił. Śpieszę was zapewnić, że żyją w niej teraz nadal wszystkie zmarłe dzieci. Wzywam wszystkie pogrążone w żałobie mamusie i tatusiów z Inspiration Towers, by na widok Caitlin Happymealki wypatrywali w niej iskiereki tego, co odeszło, ale z czym znowu się spotkają. Któż zna powody, jakimi kierowała się Miłość, pozostawiając nam właśnie Caitlin Happymealkę, ale moim zdaniem były to jakieś wyższe cele, które są dla nas tajemnicą.

Tu Bailey wskazał palcem Chantorrię i Trafforda.

– Opiekuj się nią, Chantorrio, chroń ją, Traffordzie, bo zaprawdę powiadam wam, że ona jest błogosławiona, a i wy

jesteście błogosławieni, skoro spłodziliście takie dziecko. A więc nie opowiadajcie nam więcej o rozwodzie! – dorzucił. – Wasze dziecko ocalało za sprawą Pana i Miłości. Pan miał w tym jakiś cel. On kocha waszą rodzinę. Wierzy w nią. Wracajcie w zgodzie do domu. Tańczcie, jakby nikt was nie widział, śpiewajcie, jakby nikt was nie słyszał, i kochajcie się, jakby to był wasz pierwszy raz.

I tak, ni stąd, ni zowąd Trafford i Chantorria stali się w swoim bloku bardzo popularni. Babiniec, który wcześniej traktował Chantorrię z lekceważeniem, teraz dobijał się do jej drzwi. Każdy, kogo spowiednik Bailey raczył wymienić z ambony, natychmiast stawał się dla społeczności ważną figurą i należało go traktować z należyty szacunkiem.

Tinkerbelcia prawie teraz od nich nie wychodziła i ogłaszała na swoim wideoblogu, że Chantorria jest jej najlepszą przyjaciółką.

– Chcesz, żeby Lexus zakasał rękawy i nareperował ci ten prysznic? Wiem, że Trafford, daj mu, Boże, zdrowie, nie ma do tego smykałki, a dla Lexusa to pestka.

Tinkerbelcia nie przegapiła okazji, żeby wziąć na ręce i przytulić Caitlin Happymealkę. Powtarzała przy tym w kółko, że bliskość Caitlin wynagradza jej w jakimś stopniu utratę KitKata.

– Jestem przekonana, że Gucci KitKat i Caitlin Happy-mealka stworzyliby najlepszą z najlepszych par – powiedziała kiedyś, ocierając łzy. A potem spytała z naciskiem: – Czy Caitlin ma już matkę chrzestną?

– Tylko Barbiellę – przyznała z pewnym zakłopotaniem Chantorria. Barbiella była matką chrzestną wszystkich dzieci w bloku, a więc na dobrą sprawę nie było się czym chwalić. Chantorria, gdyby tylko chciała, mogła prawdopodobnie bardziej się postarać; większość kobiet nie miałyby nic przeciwko temu, żeby zostać matką chrzestną, bo oprócz upicia się

na chrzcinach rola ta nie wiązała się z żadnymi specjalnymi obowiązkami ani odpowiedzialnością. Kiedy jednak Caitlin Happymealka przyszła na świat, Chantorrii zabrakło odwagi, by którejś to zaproponować, bo obawiała się odmowy. Nawet teraz krępowała się poprosić o to wprost.

– Znaczy, może ty... zgodziłabyś się? – wydukała.

– O mój Boże! – wrzasnęła Tinkerbelcia. – O Boże jedyny, byłabym zaszczycona! Musimy ją ochrzcić!

– Ale ona została już ochrzczona...

– Zrobimy to jeszcze raz! Ale tym razem jak należy! Wielkie przyjęcie! Skrzykujemy wszystkie dziewczyny i bierzemy się, kurwa, do roboty.

Tinkerbelcia nie rzucała słów na wiatr i zorganizowana została wielka uroczystość, podczas której wszystkie kobiety z bloku ustawiały się w kolejce, by dostąpić zaszczytu zostania matką chrześną i przytulenia ostatniego ocalałego dziecka na osiedlu, niewątpliwie w nadziei, że w wyniku tego trochę szczęścia czy może łaski boskiej spłynie także na nie i Miłość uchroni również dzieci, które zamierzały jeszcze urodzić.

Chantorria starała się, jak mogła, nie okazywać przesadnej egzaltacji swoim nowym statusem – przecież epidemia skończyła się zaledwie kilka tygodni temu i cały blok pogrążony był jeszcze w żałobie – ale przy tylu odwiedzinach i zalewie prezentów w postaci tortów i czekolady trudno jej było ukryć, jaka jest wniebowzięta. Organizowaniem jej życia towarzyskiego zajęła się Barbiella, a czyniła to z całą powagą pobłażliwej matki starającej się zaprowadzić jakiś ład w rozkładzie dnia swojej roztrzepanej córki.

– O jedenastej przychodzi na kawę Aksamitny Sekret, ale musisz się jej pozbyć przed dwunastą, bo Tinks i Płonący Rubin zabierają cię na lunch do samego McDonalda, a więc Caitlin będzie mogła tam zjeść swojego pierwszego McFlurra.

Dni upływały Chantorrii na przyjmowaniu niekończącego

się strumienia gości. Każda wizyta wiązała się z konsumpcją domowych wypieków i czekolady, popijanych zwykle dużymi ilościami musującego wina, no i żadna nie obyła się bez przytulania ich cudownej córeczki, którą Pan i Miłość postanowił ocalić.

Taki stan rzeczy bardzo Traffordowi odpowiadał. Chantoria była wcześniej dość męcząca z tym swoim nadskakiwaniem i nieodstępowaniem go na krok. Teraz czas miała tak wypełniony, że Trafford przez sporą część dnia mógł sobie spokojnie siedzieć i czytać. Zauważono to oczywiście, ale na szczęście uznano, że zabrał się na poważnie do studiowania poradników samodoskonalenia, na szczęście, bo lektura takich pozycji była godna pochwały, a poza tym stanowiła dowód, że Bóg ma specjalne plany wobec niego i jego rodziny.

– Mówię wam, że on się przygotowuje – orzekła Barbiella. – Przygotowuje do wypełnienia zadania postawionego przed nim przez Miłość.

Kolejnego dnia fiz-ności Trafford, wysiadając rano z biurowej windy z głową pełną jak zwykle myśli o Sandrze Dee, stwierdził, że dzisiaj nie on jeden o niej myśli. Zza swojego biurka wychodziła właśnie Księżniczka Piczka. Nieustająca i źle skrywana niechęć, którą ta biurwa żywiła do Sandry Dee, nie od dziś szukała ujścia i teraz wyglądało na to, że Księżniczka Piczka znalazła wreszcie pretekst do konfrontacji.

– Sandro Dee – zaczęła, podchodząc do dawno upatrzonej ofiary i zatrzymując się niebezpiecznie blisko. – Zauważyłam, że przestałaś uiszczać składki na fundusz tortu i pączków.

– Tak, przestałam – przyznała Sandra Dee, nie odrywając oczu od komputera.

– Ej! Do ciebie mówię – warknęła Księżniczka Piczka.

– Wiem. I odpowiedziałam. Jesteśmy w pracy. Płacą nam za przetwarzanie informacji, a nie za pogaduszki o pączkach.

– Lekceważysz mnie?

– Próbuję się skupić na pracy.

Trafford rozejrzał się po biurze. Jak zwykle podzieliło się na obóz Księżniczki Piczki, który pilnie nastawiał ucha, spodziewając się niezłej rozróby, i tych, którzy spuścili głowy, a najchętniej schowaliby się pod biurka. Ci ostatni, chociaż zżymali się wewnętrznie na tę scenkę, byli bardzo zadowoleni, że to nie do nich przyczepiła się wydziałowa kapo.

– Dlaczego nie wrzucasz do słoika pieniędzy na tort i pączki?

– Bo nie jadłam tortu ani pączków. Nigdy nie jadłam, ale przez długi czas, z grzeczności, wrzucałam pieniądze. Zapłaciłam za niejeden zjedzony przez ciebie tort i pączek, ale teraz zdecydowałam, że dosyć tego.

– Nie chcesz trzymać z nami sztamy? Nie chcesz utożsamiać się z zespołem?

– Nie wydaje mi się, żeby zmuszanie każdego do składania się na coś, czym w zasadzie opychacie się potem tylko ty i twoja paczka, znaczyło, że tworzymy zespół, Księżniczko Piczko.

Trafford nie wierzył własnym uszom. Nikt dotąd nie śmiał podważyć autorytetu Księżniczki Piczki. Był to wypadek bez precedensu i rzeczniczkę zespołu na moment zatkało. Przez krótką chwilę, podczas której Sandra Dee jak gdyby nigdy nie wklepywała dane do komputera, panowała cisza. Potem Księżniczka Piczka odzyskała głos.

– Uważasz się za lepszą ode mnie, tak? – zapytała.

– Nie.

– A właśnie, że tak. Myślisz, że jesteś ode mnie lepsza.

– Jeśli mam być szczerą, to wcale o tobie nie myślę.

– Jesteś rasistką?

Trafforda zmroziło. To był bardzo poważny zarzut i przenosił konfrontację na zupełnie inną płaszczyznę.

– Nie, nie jestem.

– Bo, jak ci pewnie wiadomo, masz w mojej osobie przedstawicielkę rasy mieszanej.

– To bez znaczenia, skoro dyskutujemy o twoim funduszu na zakup tortu i pączków, do którego ja nie chcę się dokładać.

– Twierdzisz, że rasa, jaką reprezentuję, nic dla ciebie nie znaczy?

– W tym przypadku nic.

– No i właśnie o tym przypadku mowa! – zatriumfowała Księżniczka Piczka.

Trafford od początku wiedział, że Sandra Dee, choćby nie wiem jak się starała, nie wygra na słowa z Księżniczką Piczka. Sprzeczką z nią zaczynała żyć własnym życiem i cokolwiek powie Sandra Dee, zostanie przez Księżniczkę Piczkę tak przeinaczone, żeby wspierało tezę, której prawdziwości chce dowieść.

– Nie podoba ci się może, że jestem w ćwierci Irlandką, w ćwierci Chorwatką, trochę Konwalijką i w jednej szesnastej Afrokaraibobrytyjką? – szła za ciosem Księżniczka Piczka. – Bo ja jestem dumna z tego, kim jestem.

– Och, doprawdy, nie obchodzi mnie, czym jesteś.

Słowa te wywołały u popleczników kapo szmer oburzenia. Księżniczka Piczka wyszczególniła swoich przodków i jedyną akceptowaną społecznie reakcją na to powinno być zerwanie się z miejsca i wykrzyczenie na całe gardło, jak bardzo kocha się i szanuje wszystkie z wymienionych grup rasowych i narodowych. Sandra Dee powinna zapewnić Księżniczkę Piczkę, że jest zauroczona Irlandczykami, Chorwatami, Kornwalijczykami i Afrokaraibobrytyjczykami. Jej obojętność na dumę Księżniczki Piczki ze swoich korzeni była bez dwóch zdań szokująca.

– To jawny, totalny RASIZM! – wrzasnęła Księżniczka Piczka. – Własnym uszom nie wierzę! Nie wierzę własnym uszom, że to powiedziałaś.

– A co ja takiego powiedziałam?

– Powiedziałaś, że nie obchodzą cię Irlandczycy, Chorwaci, Kornwalijczycy i Afrokaraibobrytyjczycy! Tak powiedziałaś! Twoje własne słowa! Tobie potrzebny specjalista, trzeba cię reedukować! Musisz przejść od początku proces dorastania, kobieto, bo coś z tobą nie tak.

– Powiedziałam tylko, że nic mnie nie obchodzisz.

– No właśnie, a ja jestem po trochu nimi wszystkimi, a gdy ktoś mówi, że coś go tam nie obchodzi, to znaczy, że nie ma dla tego czegoś szacunku, a więc kiedy mówisz, że ja nie cię nie obchodzę, to tak, jakbyś powiedziała, że nie szanujesz ras, z których się wywodzę, i ja obsmaruję cię za to jako rasistkę w blogu! Złożę skargę do trybunału!

Była to bardzo poważna pogróżka. Oficjalnie zakładowe trybunały miały świadczyć usługi „arbitrażowe” i „ugodowe” dla pracowników, którzy czuli się poniżani albo zagrożeni zachowaniem kolegów. W praktyce były to samozwańcze sądy jawnie manipulowane przez biurowych piniaczy, którzy za ich pośrednictwem załatwiali prywatne porachunki i torowali sobie drogę do awansu. Podczas tych parodii procesów faworyci Świętyni mogli zniszczyć, kogo tylko chcieli. Wystarczyło oskarżenie o społecznie niedopuszczalną postawę. Przeciwko każdemu mógł w każdej chwili zostać wysunięty zarzut rasizmu albo seksizmu i taka osoba zmuszona była stanąć przed owym trybunałem, zazwyczaj nie rozumiejąc, czego od niej chcą. Zarzutów tych nie dawało się w żaden sposób odeprzeć, bo przez lata słowa nabrały tak szerokiej i swobodnej gamy znaczeń, że niemal przestały znaczyć cokolwiek. A tymczasem autentyczna dyskryminacja rasowa i molestowanie seksualne kwitły w najlepsze, niezagrożone tymi procesami, i często za sprawą tych samych ludzi, którzy twierdzili, że padają ich ofiarami.

Trafford uznał, że najwyższa pora to przerwać. Gdyby Księżniczka Piczka dotrzymała słowa i naprawdę wniosła skargę do trybunału, to według wszelkiego prawdopodobieństwa byłoby po Sandrze Dee. Bez trudu znalazłaby świadków upokorzenia, jakiego rzekomo doznała, a najłagodniejszą karą za rasistowską uwagę byłyby dla Sandry Dee kurs reedukacji. Niewykluczone też, że wyrzucono by ją z pracy.

– Księżniczko Piczko – odezwał się Trafford, wstając. –



Szanuję cię ogromnie i szczerze przyklaskuję twojej dumie z tego, kim jesteś oraz skąd się wywodzisz. Jesteś silną kobietą o irlandzkich, chorwackich, kornwalijskich i afrokaraimobrytyjskich korzeniach, cud natury, nie przymierzając. Zarzucając jednak rasizm Sandrze Dee, ździebko przeholowałaś, kochanieńka, i radziłbym ci wziąć na wstrzymanie.

Księżniczka Piczka obróciła się na pięcie do Trafforda, gotowa do frontalnego kontrataku. Miała już na końcu języka ciętą ripostę, ale w ostatniej chwili się powstrzymała. Jeszcze kilka tygodni temu wdeptałaby go za takie coś w ziemię. Była w ich miejscu pracy królową ula i nikt nie ważyłby się powiedzieć, że ździebko przeholowała ani żeby wzięła na wstrzymanie. Bluznęłaby stekiem inwektyw, które Traffordowi poszłyby w pięty, nikt by się więcej do niego nie odezwał, a niewykluczone, że oberwałby od niezidentyfikowanych osobników w jakimś ciemnym kącie. Ale teraz było inaczej. Trafford nie był już irytującym szaraczkiem, którym można, jeśli ogół sobie tego życzy, do woli pomiatać oraz oskarżać o sadystyczne skłonności albo inne zbrodnie. Był teraz faworytem Świątyni. Został wymieniony z ambony przez swojego spowiednika jako wybrany do wyższych celów przez Pana i Miłość. Jego dziecko, jako jedyne spośród rówieśników z całego osiedla, przeżyło świętą plagę. Ublizając teraz Traffordowi, Księżniczka Piczka ubliżyłaby woli Świątyni, mało tego, ubliżyła woli Pana i przypłaciła to natychmiastową utratą całego tak mozolnie budowanego autorytetu. Od tej chwili sama stałaby się bezbronną ofiarą podatną na ataki wszystkich tych, którzy teraz tak się jej bali. A były ich krocie.

– No tak... jasna sprawa – wybąkała Księżniczka Piczka.  
– Gdzie jej tam do rasistki, prawda? Ja tylko pytałam o fundusz tortowy.

– O ile mi wiadomo, składki na ten fundusz są dobrowolne? – spytał Trafford.

- Naturalnie. Żadnego przymusu nie ma.
- A zatem niech ci, którzy chcą do niego należeć, składają się i pałaszują przysmaki, które za ich pieniądze kupujesz, a ci, którzy nie płacą, niech patrzą i przelękają ślinkę.
- Ich sprawa.
- W takim razie nie obraż się, ale ja dołączam do tych ostatnich – oznajmił Trafford.
- Twój wybór – mruknęła Księżniczka Piczka i wróciła ze skarbonką za swoje biurko, gdzie ostentacyjnie zjadła pączka. Nikt więcej nie skorzystał z nadarzającej się okazji do wycofania się z funduszu; równowaga sił w biurze nieco się może zmieniła, ale tylko dla Trafforda. Dla większości nadal nie do pomyslenia było zadzierać z Księżniczką Piczką.

Atmosfera w biurze powoli wracała do normy. Trafford zerkał często w stronę Sandry Dee, żeby nawiązać z nią kontakt wzrokowy, ale bez skutku, nawet na niego nie spojrzała. Przechwycił za to uśmiech Cassiusa, który ten mu posłał, i ponownie przemknęło mu przez myśl, że w tym biurze pracują chyba tylko trzy realne, z krwi i kości, istoty ludzkie. On, Cassius i Sandra Dee. Nie, niemożliwe, żeby nie było więcej takich. Realna była przypuszczalnie Kahlua i podejrzewał jeszcze kilka osób o skrywanie elementów indywidualności, ale pewności nie miał. Zdaniem Trafforda wyznacznikiem człowieczeństwa było skrywanie sekretów, a nic nie wiedział o sekretach tych podejrzanych.

I naraz coś sobie uświadomił i przeszedł go dreszczyk podniecenia. Uśmiechnął się, wspominając, jak Barbiella zasugerowała, że Pan ma dla niego jakieś zadanie. Już wiedział, co to za zadanie.

## 26

– Nie ma mowy – warknął gniewnie Cassius. – Nie wolno nam poszerzać naszego programu rekrutacji. To wbrew zasadom.

– Sam powiedziałeś, że obowiązkiem każdego Humanisty jest praca misyjna, krzewienie wiedzy.

– Do naszych obowiązków należy również unikanie wpadki i związanego z nią ryzyka zdekonspirowania całej sieci, wydania jej na pastwę tej przeklętej inkwizycji.

– Sieci?! Wolne żarty. To kpina, nie sieć, zwyczajny klubik dyskusyjny! Sam powiedziałeś, że w całym tym cholerycznym kraju wyznaniowym jest was zaledwie kilka setek. Chcesz, żeby dzieci, które uratowałeś jako szczepiciel, doroślały w tym samym, co my, zasranym świecie? A co z dziećmi ich dzieci? I następnymi pokoleniami?

– Nie możemy wszczynać rewolucji, Traffordzie.

– A to niby czemu? Dlaczego nie możemy? Rewolucja jest nam potrzebna.

Stali naprzeciwko siebie w przedpokoju biblioteki Finchley i mierzyli się wzrokiem.

– Nie, Traffordzie, nam potrzebna ewolucja! – sprostował Cassius. – Potrzebni nam ludzie trzeźwo myślący, a nie w gorącej wodzie kąpani popędliwcy. Do czego tak ci się pali? Wzywając mnie tutaj, powiedziałeś, że to sprawa niecierpiąca

zwłoki. Jeśli tylko po to ściągałeś mnie z jeziora, to widzę, że traciłem czas.

– To jest pilne – nie ustępował Trafford. – Liczy się każda sekunda. Trzydzieści cholernych lat czekałem, żeby cię spotkać. Żeby trafić do tej biblioteki. Prawie pół życia zmarnowanego! Przewiegotowanego w ignorancji i, co więcej, w otępiającej nudzie. Jak nudno żyć w świecie, gdzie jedyną ideą jest wiara, a jedyną rozrywką seks i plotkowanie. Bardzo dobrze wiesz, że zanim cię poznałem, jakieś tam poczucie indywidualności mogłem zachowywać tylko poprzez skrywanie przed innymi mało istotnych tajemnic! Zupełna beznadzieja. Robić zapasy z uczuć jak szczur z odpadków. Wciąż patrzeć w siebie, zamiast poszerzać swoje horyzonty. W dniu, w którym zostałem Humanistą, narodziłem się na nowo. Przedtem mój umysł był *in utero*, świadomością embrionalną. Na szansę, którą dostałem – tu Trafford podniósł głos – czekają miliony mnie podobnych!

– Nikt nie powiedział, że się nie doczekają – mruknął Cassius i pomimo poirytowania, uśmiechnął się, ujęty pasją Trafforda. – Ale nas obowiązują zasady. Surowe zasady. Każdy nowo przyjęty członek dopiero po co najmniej roku nabywa praw do proponowania swoich kandydatów...

– Po roku! – zachnął się Trafford.

– ...a i to czynić musi z najdalej posuniętą rozwagą i ostrożnością. Jeśli podzielisz się swoją tajemnicą z niewłaściwą osobą, zostaniesz zadenuncjowany i prawie na pewno zmuszony torturami do zadenuncjowania całej reszty.

– „Rozwaga”! „Ostrożność”! – powtórzył z przekąsem Trafford. – Tym sposobem przez tysiąc lat będziecie się nosili z waszym kagankiem oświaty.

– Lepsze to niż doprowadzić do zdmuchnięcia go na zawsze.

– Ty mnie zwerbowałeś. Skąd mogłeś wiedzieć, że cię nie

sypnę?

– Pozwoliłeś mi zaszcześcić swoje dziecko, Traffordzie. A tym samym podłożyłeś się i nie mogłeś już nikogo zadenuncjować, choćbyś chciał.

– To nie macie już lepszego sposobu na krzewienie wiedzy? Szukacie dzieciatych, którzy dadzą się namówić na zaszczepienie swojego potomstwa?

– Jeśli wymyśliłeś coś lepszego, to cały zamieniam się w słuch.

– Przecież to, jak pragnę zdrowia, proste jak drut. Że też od razu nie przyszło mi to do głowy. I dlatego właśnie to takie pilne: za dużo już czasu zostało zmarnowane!

– No dobrze, ale na czym on polega? Ten twój lepszy sposób?

– Na szukaniu ludzi, którzy mają swoje tajemnice! – wykrzyknął Trafford z podnieceniem w oczach. – Tak właśnie znalazłeś mnie. Domyśliłeś się, że coś ukrywam.

– Pracujemy w tym samym biurze. Mogłem cię obserwować.

– W tym właśnie rzecz, nie rozumiesz? Jako pracownicy KrajBanDanu możemy obserwować każdego! Mamy dostęp do niezwykle skomplikowanego programu profilowania osobowości, który, jeśli wprowadzić do niego odpowiednio dobrane pytania, powinien bezbłędnie wytypować podobnych nam ludzi.

Cassius, wyraźnie zainteresowany, zmrużył oczy.

– Mów dalej – mruknął.

– Musimy zacząć od przyjrzenia się baczniej samym sobie – ciągnął Trafford – oraz innym Humanistom. Musimy zidentyfikować wspólne dla nas wszystkich odruchy, cechy charakteru i podejmowane decyzje. Odpowiedzieć sobie na pytanie, czy nie łączy nas aby to, że robimy taką czy inną rzecz w określony sposób, w określonym czasie i w określo-

nym miejscu? Kiedy uda nam się zbudować model, który uznamy za opisujący nas wszystkich i dla wszystkich wspólny, przepuszczę go przez stat-roz i poszukam odpowiedników spełniających jego parametry. Bylebyśmy tylko opracowali profil naszej grupy, a na jego podstawie znajdziemy takich jak my.

Cassius rozważał przez chwilę tę propozycję.

– Warte zastanowienia, przyznaję – odezwał się w końcu.  
– Naprawdę sądzisz, że twoje machinacje w stat-rozie pozostaną niewykryte?

– A czemu miałyby zostać? Moim zadaniem jest wydawanie komputerowi bzdurnych poleceń, i to będzie jeszcze jedno z nich. Nawet nie muszę się z tym kryć.

– No dobrze – zdecydował Cassius i pomimo że starał się zachować spokój i kamienną twarz, widać było, że jest podniecony. – Zastanowię się jeszcze i naradzę z kim trzeba. Ale to jest myśl, Traffordzie.

– Oczywiście, że jest. Ale podejmę się wprowadzania jej w życie tylko pod jednym warunkiem.

Cassius momentalnie spowaźniał.

– Jeśli jesteś lojalnym Humanistą – wycedził – to nie powinienem stawiać żadnych warunków.

– Jestem lojalnym Humanistą, ale go postawię. Chcę zwerbować pewną dziewczynę. Wiem, że powinienem odczekać rok, ale ja chcę zwerbować ją już teraz.

Cassius długo i uważnie przyglądał się Traffordowi.

– To ta z pracy? Sandra Dee?

Trafford starał się nie dać po sobie poznać, jak jest zaskoczony.

– Skąd... skąd to przypuszczenie?

– Obserwuję ludzi. Dobrze o tym wiesz, Traffordzie, i nie chce mi się wierzyć, że masz na myśli naszą czarującą Księżniczkę Piczkę. Nie mylę się?

- Nie. Właśnie Sandrę Dee chcę zwerbować.
- Skąd wiesz, czy można jej zaufać?
- Bo ona jest taka jak ja, ma swoje tajemnice.
- Jeśli to odkryłeś, to nie jest najlepsza w ich skrywaniu, prawda?

- Nie, to nie fair. Odkryłem je, bo ich szukałem... wygoogwałem ją.

- Dlaczego?

- Bo mnie... zafascynowała. Bo uznałem ją za atrakcyjną. Kiedy jednak przeczytałem jej blog i obejrzałem filmy, uświadomiłem sobie, że nie ona jest ich autorką. Ściągnęła je ze stron innych ludzi. Jest naprawdę o wiele, wiele lepsza ode mnie, od nas wszystkich, w skrywaniu tajemnic. My jesteśmy zmuszeni kryć się z tym, co robimy i kim jesteśmy, a ona znalazła metodę, dzięki której nie zdradza niczego o sobie, a więc w rezultacie nie ma się z czym kryć.

Cassius zastanawiał się przez chwilę.

- No dobrze – powiedział w końcu. – Podejmij próbę zwerbowania tej dziewczyny.

- Dziękuję.

- Na początek jedna, góra dwie książki – dorzucił Cassius. – Mów, że sam je znalazłeś, przypadkowo, w śmietniku albo w rynsztoku. Nie wspominaj słówkiem o nas ani o naszej bibliotece. Jeśli dziewczyna zareaguje prawidłowo na to, co od ciebie dostanie, „znajdź” kolejną książkę, potem jeszcze jedną i tak dalej, dopóki nie będziesz całkowicie przekonany, że jej wyobraźnia jest już na tyle rozbudzona, iż nie ma odwrotu. Wtedy przyjdź do nas i dopiero kiedy wyrazimy zgodę, będziesz mógł jej powiedzieć o naszym ruchu i przyprowadzić tutaj, do biblioteki, żeby sama wybierała sobie książki. Zrozumiałeś?

Trafford zapewnił Cassiusa, że zrozumiał.

- Obiecujesz przestrzegać tych warunków?

– Tak. Ściśle.

– Cieszę się. Radziłbym ci starannie dobierać książki, które będziesz jej na początek podsuwał. Wiesz z własnego doświadczenia, że pierwsze podejście do czytania czegokolwiek, co ma jakąś wartość, stanowi wielkie wyzwanie. Nie przygotowuje się nas od małego do długotrwałej koncentracji i uwagę czytelnika muszą przykuć pierwsze akapity. Uprzedzam cię z góry, że drugiej szansy nie dostaniesz. Każdy zabierający się do czytania któregoś ze starych tekstów podejmuje ogromne ryzyko i musisz zadbać o to, żeby ten pierwszy tekst był dla niej na tyle wciągający, by nie mogła się od niego oderwać.

– Dziękuję za radę. Będę miał to na uwadze.



Trafford z wielkim przekonaniem zapewniał Cassiusa, że Sandra Dee jest idealną kandydatką na Humanistkę, ale tak naprawdę na kolejną fiz-ność szedł z duszą na ramieniu. Właściwie to zamienił z nią dotąd zaledwie kilka słów. I co, ma teraz ni z tego, ni z owego podejść i zaproponować, żeby przekabaciła się na heretyczkę? Fakt, kiedy na poprzedniej fiz-ności doszło do konfrontacji w temacie funduszu pączkowego, stanął w jej obronie, ale nie doczekał się od niej wtedy żadnego znaku, że jest mu wdzięczna albo że docenia jego interwencję. Nie ulegało też wątpliwości, że nadal jest na niego zła za to, że za jego sprawą jej nazwisko wymienione zostało podczas publicznej spowiedzi.

Przez cały dzień Trafford starał się nawiązać z Sandrą Dee kontakt wzrokowy, czekał na odpowiedni moment, żeby z nią porozmawiać, na próżno. Miał jeszcze nadzieję, że po zakończeniu pracy dorwie ją w windzie, ale wyszła wcześniej i ta ewentualność też spaliła na panewce. W końcu to Sandra Dee go zaczepiła. Kiedy po wyjściu z biura przeciskał się zatłoczoną ulicą w kierunku stacji metra, usłyszał za sobą:

– Mam ci podziękować? – To był głos Sandry Dee. – O to chodzi?

Mówiła głośno, żeby przebić się ze swoim pytaniem przez dobiegającą zewsząd kakofonię tysięcy osobistych wideoko-

munikatorów. Niektórzy ich właściciele używali słuchawek, niektórzy nie, wychodząc pewnie z założenia, że należy propagować swe muzyczne gusta w jak najszerszym kręgu przypadkowych odbiorców. W połączeniu z tym, co przesączało się ze słuchawek, powstawał straszny rejwach, w którym nawet prywatne rozmowy trzeba było prowadzić, krzycząc.

– Za przyjdzie mi w sukurs w awanturze z Piczką? Nowy faworyt Świątyni śpieszy z odsieczą biurowej nieudacznicy? O to chodzi? – ciągnęła Sandra Dee. – To przyjmij do wiadomości, że sama potrafię się bronić. – Zrównała się z nim i chociaż spojrział na nią, nadal patrzyła gdzieś na wprost, zupełnie jakby nie mówiła do niego, lecz sama do siebie.

– Wiem, wiem, zauważyłem, że potrafisz – powiedział ugodowo, chociaż nie ulegało wątpliwości, że jej buńczuczność to zwyczajne nadrabianie miną. Nie potrafiła się bronić. Przed biurowym polowaniem na czarownice, przed tą watahą, która zwierając szeregi, osaczała upatrzoną ofiarę, nie było obrony. Nękanie zaczynało żyć własnym życiem i kiedy już się zaczęło, nie było sposobu, by je powstrzymać. Agresorzy, podjudzeni najbzdurniejszą choćby kalumnią, szybko nabierali wiary w słuszność swoich racji i nie spoczęli dopóty, dopóki nie zagryźli ofiary.

– Mam już po dziurki w nosie tej cholernej Księżniczki Piczki – ciągnął Trafford. – Stanę po stronie wszystko jedno kogo, byleby ją zirytować.

– Dlaczego twoja żona wymieniła mnie na publicznej spowiedzi? – Sandra Dee zmieniła znienacka temat, przebijając wreszcie mur, jaki wyrósł między nimi w dniu, kiedy Trafford i Chantorria zapoczątkowali procedowanie swojego rozwodu.

– Bo... – Trafford zająknął się, uświadamiając sobie, że nie wymyśli żadnej wykrętnej odpowiedzi, że musi powiedzieć prawdę – ...tak jak powiedziała, wytubowałem cię i

czytałem twój blog. Przyłapała mnie na tym.

– No i co z tego? Przecież wszyscy mężczyźni szukają w sieci pieprznych kawałków. Czyż nie tego się od was wszystkich oczekuje?

– Tak, ale ja... bo ja... ja wytubowywałem tylko ciebie. Nikogo więcej.

Znajdowali się teraz w samym środku tłumu posuwającego się noga za nogą w kierunku otwierających się i zamykających na przemian bramek metra. Jedna zbita ludzka masa, zgrzana, spocona i zła. Niespełna dziesięć cali na lewo od twarzy Trafforda konsumowana była z pochrząkiwaniem i mlaskaniem połówka pieczonego kurczaka; widział kątem oka trzymane oburącz, charakterystyczne czerwono-białe wiaderko, w którym właściciel zanurzał twarz, pożywiając się w marszu jak koń obrokiem z worka.

Kurczak po lewej, byczy, spocony, czerwony kark przed nim, z tyłu brzuszysko napierające na plecy, ale z prawej jakby ciągnęło rozkosznym chłodkiem. Trafford zdawał sobie sprawę, że to pewnie tylko złudzenie, przecież Sandra Dee, jako istota ludzka, nie może nie odczuwać tej lepkiej, obezwładniającej, pulsującej owadzim bzycczeniem duchoty, która opatula wszystkich niczym grubym wełnianym kocem. Musi się pocić, zgrzana tak samo jak reszta, a jednak emanowała z niej jakaś świeżość. I ilekroć ich ramiona się zetknęły, co w rozkołebanym tłumie było nie do uniknięcia, odczuwał na skórze przyjemny chłód.

– Przeglądałeś tylko moje filmy? – spytała.

– Tak – przyznał. – Ale przestałem... po tym, po tym, co moja żona powiedziała na spowiedzi.

– Wiem, że przestałeś. Zaczęłam sprawdzać listę odwiedzających moją stronę i nie natrafiłam na ciebie. Dlaczego przestałeś?

– Bo... odniosłem wrażenie, że jesteś na mnie zła.

– Zła? Dziewczyna miałyby się złościć na faceta, który ją podgląda? Wręcz przeciwnie, czuję się dowartościowana, duma mnie rozpiesza. – Jej słowa, niby poprawne towarzysko, ociekały gniewnym sarkazmem. – Mężczyzna lubi patrzeć, jak uprawiam seks. I co z tego? Gdzie tu powód do dąsów? Czyż nie tego oczekuje ode mnie Świątynia? Czyż nie pragnie tego każda dziewczyna? Być przez cały czas obserwowaną? Wzbudzać pożądanie i kosmate myśli?

– Bo...

Trafford zająknął się. Znał odpowiedź. Ona również. Ale czy ona zdawała sobie sprawę, że on tę odpowiedź zna?

– ...bo dziewczyny uprawiające seks w twoim wideo-dzienniku nie są tobą.

No, wyrzucił to z siebie. Z ciężkim sercem wyznał, że zna jej tajemnicę. Ale w końcu trzeba to było zrobić.

– Coś takiego – mruknęła, siłąc się na spokój i swobodny ton. – Ciekawa byłam, czy zauważyłeś. To nie było trudne do wykrycia fałszerstwo, jeśli ktoś się przyłożył.

Trafford milczał. Mężczyzna po lewej, uporawszy się z kurczakiem, zatrzymał się, zaczekał, aż poprzedzająca go osoba oddrepcze od niego kawałek, i kiedy powstały odstęp już na to pozwalał, upuścił na ziemię kubek z niedojedzonymi, przyciągającymi szczury resztkami.

– Jesteś policjantem? – spytała Sandra Dee.

– Boże uchovej! – zachnął się Trafford. – Skądże znowu!

– To może agentem Świątyni?

– Też mi coś!

– To dlaczego interesuje cię dziewczyna, która łamie prawo, ryzykując prowadzeniem fałszywego blogu?

– Byłem... zafascynowany. Bo widzisz, ja również cenię sobie... prywatność.

– To dlaczego ściągnąłeś na siebie uwagę, broniąc mnie przed Księżniczką Piczką? Niedobrze mieć w niej wroga,

nawet jeśli chwilowo jesteś uprzywilejowany.

Odpowiedź, która wyrwała się Traffordowi, zaskoczyła go niewiele mniej niż Sandrę Dee.

– Bo... wydaje mi się, że się w tobie zakochałem.

Naprawdę nie zdawał sobie sprawy, że chce to powiedzieć. Aż do tej chwili. Owszem, był nią zafascynowany, miał nawet obsesję na jej punkcie, ale teraz po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że to miłość. I bez zwłoki wyznał ją obiektowi swego uczucia. Pociemniało mu w oczach, kiedy dotarło do niego co zrobił.

– Nie wygaduj głupstw – warknęła. – Nic, ale to nic o mnie nie wiesz.

– Fakt. Dobrze o to zadbałaś. Nikt nic o tobie nie wie. Podejrzewam, że właśnie tym przyciągnęłaś moją uwagę.

Dało jej to chyba do myślenia i przez kilka minut dreptali w tłumie, nie odzywając się do siebie. Zbliżyli się do szerokich bramek, które to się otwierały, to zamykały. Z głośników płynęły chrypliwe upomnienia, żeby ci z końca kolejki przestali napierać na tych przed sobą, bo to i tak nic nie da.

– Porozmawiajmy, ale może w jakichś bardziej kameralnych warunkach? – zaproponowała w końcu.

– Z miłą chęcią – podchwycił. – Gdzie?

– Idź za mną.

Wycofanie się z tłumu szturmującego wejście na stację metra nie wchodziło teraz w grę. Przeciskanie się pod prąd tej ludzkiej rzeki zajęłoby im co najmniej godzinę. Zeszli więc na straszliwie zatłoczony, duszny peron.

– Będziemy musieli przejechać jeden przystanek – wysapała Sandra Dee.

Kiedy nadjechał pociąg, zrobił się taki młyn, że niemal zostali rozdzieleni. Ludzka masa jak zwykle rzuciła się do walki o miejsca, wpychając z powrotem do wagonów tych, którzy chcieli wysiąść.

Po kilku minutach spędzonych w zawieszonym jak melasa zaduchu dojechali do następnego przystanku i bitwa rozgorzała na nowo. Rozpaczliwie torując sobie łokciami drogę przez tłum wsiadających, cudem zdołali wydostać się z wagonu, w nie mniejszym ścisku wspięli się zaśmieconymi, od dawna nieczynnymi schodami ruchomymi na powierzchnię i tu wreszcie mogli odetchnąć pełną piersią.

– Teraz dokąd? – spytał zdyszany Trafford.

– Nad jezioro – odparła Sandra Dee. – Mam tam łódkę.

– Coś takiego! – Trafford nie wierzył własnym uszom.

Był pod wrażeniem. – To ci dopiero. Skąd na nią miałaś?

W tym niemal zatopionym mieście własna łódź była wielkim luksusem. Składany ekran plazmowy o powierzchni dwudziestu stóp kwadratowych miał każdy, ale na łódź wiosłową stać było tylko człowieka naprawdę zamożnego.

– Na wszystko są sposoby – odparła tajemniczo Sandra Dee.

Doszli nad brzeg jeziora przy Notting Hill. Przed Potopem rozpościerało się tutaj osiedle Hammersmith, teraz w ogromnej marinie, która nad nim powstała, do wierzchołków rdzewiejących słupów latarni ulicznych cumowało tysiące prywatnych łodzi.

– Skąd masz na opłaty portowe, że o łodzi nie wspomnę? – spytał Trafford, kiedy szli pływającym molo wijącym się między wystającymi spod wody czubkami kominów.

– Nie mam dzieci na utrzymaniu – wyjaśniła – ani kochanka lesera. Wszystko, co zarobię, jest moje. A zresztą, to tylko taki mój niewinny kaprys.

Trafford nie drażył tematu, chociaż nie miał wątpliwości, że to tylko część prawdy, zakładając oczywiście, że to w ogóle prawda. Bez względu na wymienione przez Sandrę Dee okoliczności niełatwo byłoby opłacić miejsce w marinie z pensji starszej analityczki KrajBanDanu. Może trafił się jej jakiś

spadek?, przemknęło mu przez myśl.

– No, jesteśmy – oznajmiła Sandra Dee.

Zatrzymała się przed jedną z wielu niemal identycznych, małych, bezkabinowych łodzi z aluminiowym kadłubem i krótkim masztem. Weszli na pokład, Sandra Dee odcumowała i po paru minutach lawirowali między szczytami zapadających się dachów Maida Vale.

– Najchętniej dożyłabym swoich dni w samotności na tej łódce – odezwała się Sandra Dee. – Nienawidzę ludzi. To znaczy, nienawidzę większości. A nienawidzę wszystkich, gdy zbiorą się w tłum.

Trafford nie odzywał się przez pewien czas. Przepelniało go takie szczęście, że pragnął, by ta chwila trwała wiecznie, a na dodatek bał się, że jeśli cokolwiek powie, może się to nie spodobać tej niezwyklej kobiecie, zawróci łódź, przycumuje do nabrzeża i każe mu wysiadać ze swojego małego rajy.

– Och, jak przyjemnie – westchnął wreszcie.

Mówił szczerze. Tak przyjemnie nie było mu jeszcze nigdy w życiu. Sam w takim towarzystwie, z dala od tłumu. Rozejrzał się i stwierdził, że od najbliższej łodzi dzieli ich ponad dwadzieścia metrów. Nie przypominał sobie, żeby w całym swoim dotychczasowym życiu znalazł się chociaż raz w odległości aż dwudziestu metrów od innej istoty ludzkiej. Cudowna była ta samotność. Z tym że naturalnie nie był sam: owo odosobnienie dzieliła z nim Sandra Dee i to też było cudowne.

Była taka piękna i silna. Ciepła bryza wypełniła żagiel, który wciągała na maszt, i jednocześnie wydeła jej szmizjerkę, odsłaniając do samego uda zgrabne nogi.

– No więc, jakim sposobem odkryłeś moją tajemnicę? – spytała w końcu Sandra Dee.

– Właściwie to przypadkiem. Pamiętasz, jak pewnego dnia Księżniczka Piczka zarzuciła ci w pracy, że nie powięk-

szylaś sobie dotąd piersi implantami? Tego samego dnia wieczorem wytubowałem cię i prawie od razu rzuciło mi się w oczy, że nic z tego, co zamieszczasz w swoim blogu, nie jest prawdziwe.

– A dlaczego mnie wytubowałeś?

– Bo wydałaś mi się intrygująca. I poczułem... że coś nas łączy. Obserwując cię, nabrałem podejrzeń, że nie mówisz o sobie wszystkiego, że na przekór ortodoksji Świątyni próbujesz zachować jakąś namiastkę prywatności. Okazało się, że miałem rację, chociaż nie przypuszczałem, że posuniesz się aż tak daleko.

– Prywatność jest nielegalna.

– Wiem.

– Przyłapałeś mnie na przestępstwie.

– Tak.

– I nie reagowałeś, dopóki twoja żona się nie wściekła i nie wyzaliła publicznie przed całą naszą społecznością, na spowiedzi, i teraz każdy żuk i żaba może ze zwyczajnej ciekawości zajrzeć na moją stronę i odkryć to co ty.

– Wiem. Sprowadziłem na ciebie zagrożenie, przepraszam.

Sandra Dee wyszarpnęła niespodziewanie spod zwoju liny żeglarski nóż. Było to niemile kojarzące się narzędzie o wypolerowanym ostrzu rzucającym w promieniach słońca złowrogię zajączki.

– Mogłabym cię teraz zabić – powiedziała. – Rzucić się na ciebie, zadźgać tym nożem i sprawa byłaby załatwiona. Nikt by niczego nie zauważył, a nawet gdyby, to by się nie przejął. Jeszcze jeden trup w jeziorze i wszystkie moje tajemnice są bezpieczne.

– Twoje tajemnice są bezpieczne – zapewnił gorliwie Trafford. – Wiem tylko tyle, że je masz. Nic poza tym.

– I co z tego? Inkwizycji nie interesuje, jakie tajemnice



skrywasz, dla niej ważne jest to, że w ogóle je masz. – Sandra Dee sprawdziła kciukiem ostrze. – Skrywanie tajemnic jest przestępstwem. Przestępstwem jest prywatność. Miałam szczęście, że nie wpadłam przez twoją głupią ciekawość, ale kto wie? Możesz mnie jeszcze wydać.

– Nie wydám.

– Kto cię tam wie?

– Nigdy bym cię nie wydał. Kocham cię. Kocham twoje tajemnice. Wolałbym umrzeć, niż donieść, że je masz.

– Kochasz moje tajemnice? Co one cię mogą obchodzić?

Nadal bawiła się nożem, ale już się uśmiechała i ten uśmiech dodał Traffordowi odwagi. Coś w ruchu, jakim założyła nogę na nogę, w tym, jak na niego patrzyła, nawet w tym, jak trzymała nóż, ośmieliło go i skłoniło do wyznania tego, z czym od jakiegoś czasu się krył.

– Dzięki tobie odkryłem, że nie ma nic bardziej podniecającego niż tajemnica. Nie ma nic bardziej erotycznego. Tajemnicą jest dla mnie twoje ciało, zamieszkująca je niewidzialna seksualna dusza, i dlatego tak go pragnę. Nie chcę niczego więcej. Płonę z pożądania.

Odniosł wrażenie, że straciła na chwilę pewność siebie. Nawet trochę się zarumieniła. Zauważył to, pomimo że twarz posmarowaną miała kremem z filtrem. Po chwili jej wargi rozciągnął powoli wymuszony uśmiech. Odłożyła nóż, odchyliła się do tyłu i przeciągnęła, jakby rozkoszując się słońcem palącym obnażoną skórę jej ramion i nóg.

– Te działające na wyobraźnię sformułowania, Traffordzie: „niewidzialna seksualna dusza”, „cały płonę z pożądania”, mogą zawrócić dziewczynie w głowie.

Trafford milczał. Wolał sycić oczy jej widokiem. Leniwie i z gracją wyprężyła się, wspierając na łokciach. Rozprostowała nogi, lekki wietrzyk owinął jej szmizjerkę wokół ciała, uwy puklając smukłe, proporcjonalne kształty.

– Chcesz mnie teraz? – spytała niemal nonszalancko. – Chcesz, żebym odkryła przed tobą moje tajemnice?

Trafford przełknął z trudem. Nagle zaschło mu w ustach.

– Chcesz, żebym zdjęła sukienkę, jak się tego oczekuje od dziewcząt? – ciągnęła, a jej bosa stopa sunęła po dnie łódki w jego stronę. – Chcesz, żebym powiedziała, jak lubię „to robić”? Co mnie podnieca, co rozbudza i sprawia, że robię się mokra?

– Niczego bardziej nie pragnę – wykrztusił i szybko dodał: – Ale nie chcę.

– Nie?

– Nie, nie chcę cię osiąść.

– Dlaczego?

– Bo gdybym to uczynił, czar by prysł, sekret wyszedłby na jaw, tajemnica została odkryta, a tego bym nie zniósł. Taki nudny ten nasz świat, wszystko na wierzchu, wszystko „wspólne” i „dumnie” wystawiane na widok publiczny. Teraz już wiem, że nie ma niczego bardziej podniecającego niż niepełna wiedza. Nic nie może się równać intensywnością z pragnieniem ujżenia cię naga, z tym bólem, chucią... Nigdy dotąd nie odczuwałem aż tak intensywnie, że żyję, i chcę, żeby ta chwila trwała wiecznie.

– Widzisz mnie teraz oczyma wyobraźni naga?

– Tak, oczywiście, i wyobrażam sobie, że ja też jestem nagi.

Sandra Dee uśmiechnęła się i bijąca od niej na co dzień aura chłodnej obojętności gdzieś się ulotniła.

– No i jak? – spytała.

– Idealnie. Piękniej być nie może. Wyobraź sobie tylko! Perfekcja. Piękno. Kiedy ostatnio natknęłaś się na nie w tym beznadziejnym świecie? A ja na zawołanie potrafię je sobie wyobrazić! Niewiarygodne. Wprawiać się w zachwyt samą myślą! Fikcyjnymi obrazami podsuwanymi przez umysł!

Nawet nie przypuszczałem, że można doznawać takich uniesień.

– Przestań, Traffordzie – przerwała mu i zdumiony zauważył, że pąsowieje. – Nie o to mi chodziło.

– A o co?

Jej policzki przybrały kolor piwonii. Odwróciła na chwilę wzrok, wyraźnie unikając spojrzenia mu w oczy.

– Pytałam, co myślisz w tej chwili – powiedziała cicho, prawie szeptem. – Chcę, żebyś mi powiedział.

– Siedzisz prosto – zaczął Trafford i ku jego zaskoczeniu te słowa bez trudu przeszły mu przez gardło. – Rozpiąłem już górne guziki twojej sukienki, pocałunkami zsuwam ci ją z ramion, teraz opada, odsłaniając piersi. Patrzysz na mnie z uśmiechem, potem rozchylasz wargi i widzę twoje białe zęby.

– Naprawdę? – Sandra Dee rozchyliła wargi. – I co dalej?

– Wspólnie odpinamy resztę guzików.

– Wspólnie? – zachichotała. – I jak nam to idzie?

Znowu patrzyła mu prosto w oczy, ale teraz w jej spojrzeniu była łagodność, której Trafford wcześniej nie widział.

– Ty rozpinasz pierwsze dwa – uściślił – po czym naprowadzasz moją dłoń na swoje kolana, dając tym do zrozumienia, że mam rozpiąć resztę.

– A potem?

– Potem rozchylam sukienkę do końca, a ona zsuwa się po twoich rękach i opada na ławkę jak płatki kwiatu. Siedzisz na niej, twoja jasna skóra połyskuje w słońcu. Bieliznę masz całkiem zwyczajną – wybrałaś taką dla własnej wygody, nie małpując żadnych propagowanych w sieci pornograficznych wzorców.

– Rozumiem, jestem więc dziewczyną, która potrafi samodzielnie myśleć, tak? Miło to słyszeć. Bardzo miło.

– Jesteś kobietą, która wie swoje. Ubierasz się tak, jak tobie odpowiada, a nie, żeby przypodobać się mężczyznom.

– Pochlebca – mruknęła. – Założę się, że mówisz to wszystkim dziewczynom. No dobrze, siedzę tutaj, na ławeczce, w zwyczajnym staniku i majtkach. Co dalej?

– Przykładam dłoń do twojego brzucha, tuż nad gumką majtek, pod pępkiem. Czuję, jak oddychasz. Pochylasz się i widzę wzgórki twoich piersi wypełniających biustonosz, rowek między nimi. Ściągasz mi przez głowę koszulę.

Sandra Dee poprawiła się na ławeczce i pochyliła nieco, wsuwając ręce między uda.

– I co widzę? – spytała.

– A jak myślisz? – odpowiedział pytaniem na pytanie Trafford.

– Wyglądasz... całkiem całkiem – mruknęła Sandra Dee.  
– Co teraz?

– Dotykam twoich pleców, sunę palcami w górę kręgosłupa, natrafiam na klamerkę stanika, rozpinam ją bez trudu i stanik opada. Twoje obnażone piersi są jędrne i naturalne, od jasnej skóry odcinają się sutki blad różowe jak nie całkiem jeszcze dojrzałe truskawki w śmietanie. Odchylasz się do tyłu. Nogi masz lekko rozchylone. Widzę sprężynki piaskowych włosków wystające po obu stronach spod cienkich bawełnianych majtek.

Sandra Dee znów się zaczerwieniła. Zawstydzenie pokryła śmiechem.

– Skąd się tam wzięły? Dziwne, prawda?

– Unosisz nogi i zsuwasz majtki. Następny sekret odkryty! Łono masz porośnięte gęstymi, naturalnymi włosami, a nie idiotyczną podgoloną szczecinę. Nie jest też całkiem łyse i zaczerwienione po brutalnej depilacji woskiem. Zwyczajne miękkie, kobiece włosy...

Sandra Dee otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale Trafford ją powstrzymał.

– Nie mów mi, czy zgadłem, czy się pomyliłem! Nie chcę

tego wiedzieć. A zresztą zgadłem, bo Sandra Dee, którą opisuję, jest moja, jest wytworem mojej wyobraźni.

– Podoba mi się – powiedziała cicho.

– Klęczę przed tobą, klęczę między twoimi nogami i patrzę. Chłonę każdy szczegół. Unoszę głowę, spoglądam ci w oczy, a ty wytrzymujesz mój wzrok. Patrzysz na mnie prawie wyzywająco, powieka ci nawet nie drgnie, a potem uśmiechasz się, słodko, ach, jak słodko. Pochylasz się znowu do przodu; twoje piersi zwisają pod własnym ciężarem, są idealnie ukształtowane, nie ocierają się o siebie. Widzę cienkie zmarszczki tworzące się na twoim brzuchu, kiedy się ku mnie nachylasz; nikiel w nich do połowy pępek. Rozpinasz mi szorty, ja wstaję, ściągam je, a wtedy ty go chwytasz i...

– Dosyć! – przerwała mu drżącym głosem.

– Mam przerwać?

– Tak. Nie róbmy tego dzisiaj. – Wpatrywała się w niego intensywnie i Traffordowi wydało się, że dostrzega w jej jasnoszarych oczach smutek. Pewny nie był, bo zaraz roześmiała się i dodała: – Nie wypada przecież, żeby dziewczyna szła na całość już na pierwszej randce.

Trafford też się roześmiał. Ubawiło go, że tak powiedziała. Fraza „iść na całość na pierwszej randce” ukuta została w bardzo odległej przeszłości. Teraz ludzie używali jej tylko w ironicznym znaczeniu, bo teraz wszyscy szli na całość na każdej randce. A czemu by nie? Jeśli coś wzbudzało pożądanie, to należało owo pożądanie zaspokoić jak najszybciej i powtarzać to jak najczęściej. Trafford był zachwycony, że po raz drugi łamiał konwencję. Nawet w tym wyimaginowanym zbliżeniu nie naśladowali tłumu. Na dodatek ona mówiła o pierwszej randce, a więc może szykują się następne.

– Chcesz powiedzieć... – zaczął z wahaniem – że mogliśmy się jeszcze kiedyś umówić?

– Tak. Chciałabym tego, było rozrywkowo, a ja rzadko

miewam okazje do miłego spędzenia czasu. Miałaś rację. Popuszczanie wodzy wyobraźni może być... podniecające.

Siedzieli w dryfującej po jeziorze łódce. Sandra Dee kupiła piwo w sklepiku na terenie mariny i chociaż zdążyło się już zrobić ciepło, sączyli je z lubością, słuchając plusku fal muskających burty łódki i obserwując słońce zachodzące za sterczące z wody kominny.

– Czy twoja żona, z którą zamierzasz się rozwieść, nie będzie się zastanawiała, gdzie przepadłeś? – spytała Sandra Dee. – Nie powinieneś do niej zadzwonić?

– Często wychodzę. Ona nie ma nic przeciwko. Od kiedy została królową pszczół naszego bloku, nie ma czasu się nudzić. Kobiety przychodzą wziąć na ręce i przytulić naszą córeczkę w nadziei, że dzięki temu przejdzie na nie łaska Miłości.

– Musi jej być bardzo przyjemnie.

– Jest w siódmym niebie. A dla mnie to żalosne. Zabobonne idiotki.

Sandra Dee rozejrzała się nerwowo. Nieroztropnie było wygłaszać takie sądy, nawet w rozmowie z osobą, która przyznała, że również najwyżej ceni sobie prywatność.

– Hamuj się, Traffordzie – mruknęła. – Nie powinieneś tak mówić.

– Wszystko mi jedno. Tak właśnie myślę. To głupie zabobonne klempy.

– Nie wierzysz, że twoje dziecko ocaliła opatrność boża?

– Na ziemi rodzą się miliony dzieci. Za granicą, w Dru-gim Świecie, umiera ich nawet więcej niż w krajach wiary. Czy jakkolwiek Bóg, jeśli istnieje, byłby w stanie pochylać się nad losem każdego z osobna? A zresztą, jaki miałyby za-mysł w tym, żeby zabijać wszystkie, oszczędzając tylko jedno? Przecież nie ma w tym żadnej logiki.

– Więc co według ciebie sprawiło, że nie zabrała jej epi-

demia odry?

Trafford zastanowił się nad odpowiedzią.

– Wiem, ale nie powiem – odparł w końcu.

– Jeszcze jedna tajemnica?

– Tak.

– Rozumiem – powiedziała Sandra Dee i jednym tchem dorzuciła: – A więc kazałeś ją zaszcześcić.

Trafforda zatkało. Teraz to on rozejrzał się nerwowo.

– Nie chcę... nie chcę ściągać na ciebie zagrożenia rozmowami o takich rzeczach – wykrztusił.

– Bez obawy. Twoja tajemnica jest moją tajemnicą.

I znowu zamilkli, ale teraz było to milczenie, które zapada czasem między przyjaciółmi. Takie niebezpieczne wyznania z obu stron rodziły swoistą więź.

– Wyjaw mi jeszcze jakąś – odezwała się wreszcie Sandra Dee.

– Tajemnicę?

– Tak, najlepiej jakąś podniecającą.

Traffordowi przemknęło przez myśl, że oto nadarza się sposobność, która może się już nie powtórzyć.

– Zgoda, wyjawię.

– A będzie ekscytująca?

– Nawet bardzo.

Sandra Dee czekała, a Trafford zastanawiał się, jak by tu najlepiej wyłuszczyć to, co chciał jej powiedzieć od chwili, gdy wchodząc do biura, stwierdził, że wyżywa się na niej Księżniczka Piczka.

– Mam klucz do drzwi – zaczął powoli – drzwi, które prowadzą do innego świata. Innego wszechświata. A prawdę powiedziawszy, do tysiąca innych wszechświatów.

– Ojej! – Zrobiła wielkie oczy. – To ci dopiero tajemnica.

– Mogę, kiedy tylko zechcę, przechodzić przez te drzwi, zostawiając za sobą straszne, upiorne miasto, w którym żyje-

my. Potrafię sprawić, że w jednej chwili znika Księżniczka Piczka; potrafię sprawić, że z mojego mieszkania wynosi się nasza moderatorka czatów; potrafię sprawić, że znikają tłumy pocących się, obżerających, bekających indywiduów. Potrafię wyciszyć stacje inforozrywkowe, potrafię odesłać w niebyt załganych, robiących nam bajzel w głowie polityków i dziennikarzy, odciąć się od nadawanych na żywo programów politycznych i gołych par pieprzających się na ekranach na każdej ścianie. Potrafię zapomnieć o bombach i o wojnach prowadzonych w imię pokoju, o Świątyni i wszystkich jej bzdurnych, nielogicznych Prawach Wembley. Potrafię uciec od tego wszystkiego. To jest moja tajemnica. To właśnie potrafię, Sandro Dee. Potrafię sprawić, że wszystko to znika.

– A jak to robisz? – spytała z zapartym tchem. – Powiedz.

– No cóż – zaczął Trafford – przed chwilą powiedziałaś, że puszczenie wodzy wyobraźni jest podniecające.

– Owszem.

– To jest właśnie ten klucz. Otwierane nim drzwi do ucieczki przed tym ludzkim wytworem, który nazywamy „rzeczywistością”, wiodą przez umysł, przez rozum i wyobraźnię. Odkryłem istnienie... książek.

– Książek? – Sandra Dee nie kryła rozczarowania. – Książki są do dupy.

– Nie mówię o tych, które masz na myśli – zapewnił ją Trafford.

Sięgnął do plastikowej reklamówki i wyjął z niej egzemplarz *Feng Foodie*, popularnego poradnika dowodzącego, że zdrowie wewnętrzne i duchowość można sobie zapewnić poprzez dostosowanie rodzaju posiłku do sposobu jego konsumowania. To, czy rozwijamy się duchowo, czy nie, zależało ponoć od takich niuansów jak to, czy posiłek serwowany jest w kartonie, czy na talerzu oraz czy zagryzamy burgera frytkami, czy też spożywamy go osobno.



– Chyba żartujesz – prychnęła Sandra Dee, spoglądając z pogardą na tytuł.

Trafford wyjął z okładek poradnika wystrzępiony kieszonkowy egzemplarz *Wichrowych wzgórz*.

– To cudowna historia – powiedział – napisana wiele lat temu. Sam ją dla ciebie wybrałem, żebyś przeczytała, jeśli masz ochotę. Zapewniam cię, że pogrążając się w jej lekturze, zapomnisz o otaczającym cię świecie. Przeniesiesz się do tego, który jest tu opisywany: do świata autentycznych namiętności, miłości po grób, skomplikowanych emocji i przestrzeni, niezmiernych przestrzeni. Będziesz spacerowała po omiatanych wiatrem wrzosowiskach, a zimny deszcz będzie ci rosił twarz. Uskrzydłona dusza. Dusza samotna. Zagubiona pośród wrzosowisk tajemnic, zatracona w miłości.

Sandra Dee wzięła od Trafforda książkę.

– Jeśli mnie z nią złapią, to mogę mieć tylko nadzieję, że poprzestaną na zakuciu mnie w dyby. I chłostaniu po piętach.

– Zapewniam cię, że warto zaryzykować.

– Skąd ją masz?

– Hmm... znalazłem. Mogę znaleźć więcej podobnych, jeśli chcesz. Pożyczyć ci ją?

– Tak, poproszę.

Słońce prawie już zaszło i ucichła bryza. Sandra Dee opuściła żagiel i powiosłowali do miejsca zakotwiczenia łodzi.

– Było cudownie, Traffordzie – powiedziała, kiedy się rozstawali. – Nie pamiętam, kiedy tak dobrze mi się z kimś rozmawiało, jak dzisiaj z tobą.

– Ja też sobie nie przypominam – odparł Trafford.

– No i, ma się rozumieć – dodała Sandra Dee, cmoknąwszy go w policzek – seks był wspaniały.

Cassius prowadził Trafforda pod górę Hampstead Hill w kierunku Jack Straw's Castle. Trafford nigdy jeszcze nie zapuszczał się w te rejony londyńskiego archipelagu. Było to osiedle bogatych zamieszkane przez starszyznę Świątyni, wyższych urzędników administracji państwowej i prominentnych biznesmenów, ogrodzona enklawa, której pilnowali uzbrojeni po zęby strażnicy.

– Idziemy do Connora Newbury'ego – poinformował Trafforda Cassius, kiedy skręcali w uliczkę bliźniaczych domów, każdy z osobnym ogrodem, co oznaczało, że ich właściciele są nieprzeciętnie zamożni. Trafford wiedział o Connorze Newburym wszystko: popularny gospodarz telewizyjnych i sieciowych czat-show, do przesady elegancki i układny, może nawet zadzierający trochę nosa, słynący z odważnego krytykowania starszych Świątyni, chociaż w zasadzie ta krytyka ograniczała się głównie do ich gustu w doborze biżuterii i obwodu brzuchów.

– Jest jednym z nas, gdybyś nie wiedział – wyjaśnił Cassius, gdy zbliżali się do posesji.

Wpuszczono ich i wprowadzono do wielkiego salonu. Trafford pierwszy raz widział tak duży i tak urządzony pokój. Na ścianach zamiast plazmowych ekranów wisiały statyczne obrazy, do których stworzenia użyto chyba tylko i wyłącznie

farby. Dywan był gruby i puszysty, a sprzęty wyglądały na bardzo wiekowe: głębokie, obite skórą fotele, ogromna, zarzucona ozdobnymi poduszkami kanapa i stylowe małe stoliczki. Dwa fotele były zajęte. Connora Newbury'ego nie trzeba było nikomu przedstawiać. Miał na sobie ekstrawagancki, purpurowy męski biustonosz i obcisłe srebrne rajtuzy. Chłodził sobie plecy pod mruczącym rozkosznie klimatyzatorem i palił gigantyczne cygaro.

– Ooo! – huknął sławny człowiek. – A kogóż to nasze piękne oczy widzą! Cassius i nasz nowy geniusz komputerowy. Cześć wam i czołem. Newbury jestem, do usług, ale ty na pewno sam się już zorientowałeś, kogo przed sobą masz, prawda, Traffordzie?! Tych dwoje to profesor Rozkwitka Taylor... – sympatyczna z wyglądu, starsza kobieta w obszernym kaftanie z roztargnieniem skinęła Traffordowi głową – ...i Billy Macallan...

– Daruj se, stary – mruknął Macallan, potężny drab z ogoloną głową i włochatymi, wytatuowanymi ramionami, przypominający bardziej zapaśnika wolnej amerykanki niż mola książkowego.

– Nasza czwórka tworzy Senat Humanistów – podjął Newbury – którego ja jestem prezesem, ponieważ mój dom najbardziej nadaje się do odbywania posiedzeń!

Trafford wymienił uściski dłoni z profesorem Taylor i Macallanem. Do Newbury'ego, który pomachał mu protekcjonalnie ręką, nie próbował nawet podejść.

– No dobra – ciągnął Newbury – przejdźmy teraz do skopania jakiegoś intelektualnego tyłka! Obecny tu Cassius mówi, że podobnież twoim zdaniem my, skromni rewolucjoniści, myślimy zbyt zachowawczo.

Trafforda poczęstowano drinkiem i poproszono o ponowne zreferowanie pomysłu, nad którego rozwinięciem od przedstawienia go w embrionalnej formie Cassiusowi pracował.

– Wiecie państwo zapewne, że pracuję w Krajowym Banku Danych na stanowisku programisty systemów w dziale stat-  
roz – zaczął Trafford.

– Moje wyrazy współczucia – powiedział Newbury. – Ale kicha.

– Stat-roz to skrót od statystyki rozwodnictwa – ciągnął Trafford, puszczając ten wtręt mimo uszu. – Naszym zadaniem jest wyznaczanie związków między ludźmi, rejestrowanie wszystkiego, co ich łączy w każdym możliwym sensie oraz pod każdym kątem i względem. Potęga programu przeraża wszelkie wyobrażenia, można go przyrównać do podwajania liczby ziaren pszenicy na każdym kolejnym polu szachownicy, z tą różnicą, że nasza szachownica jest wielkości boiska piłkarskiego. Uwzględniamy każdą, ale to każdą zmienną, od koloru włosów i najczęściej wybieranych płatków śniadaniowych poczynając, a na liczbie przejazdów danej osoby autobusem lub metrem kończąc, a następnie zestawiamy to ze wszystkimi innymi informacjami przechowywanymi w pamięci masowej.

– I na to idą pieniądze z naszych podatków – wtrącił Connor Newbury, niezdolny zapomnieć o roli prowadzącego cowieczorny program telewizyjny. – Ludzie, policzcie sobie!

– Proponuję Cassiusowi – ciągnął niezrażony tą uwagą Trafford – żeby Humanisci wytypowali zestaw cech charakterystycznych, które mamy wspólne i które, po załadowaniu do komputera stat-rozu, pozwolą nam wyselekcjonować osoby naszego pokroju. Po ich wyselekcjonowaniu będziemy się mogli z nimi skontaktować.

– A jakim sposobem? – spytała profesor Taylor.

– Stworzymy zabezpieczony przed wirusami e-mail, który na początku zaintryguje naszych wybrańców, potem zacznie ich edukować, a następnie pouczy, jak organizować się w grupy.

– Nielicha robota, koleś – zauważył Billy Macallan.  
– Bo i Świątynia jest nielichym przeciwnikiem – odparł Trafford.

– Brawo! Celna uwaga – pochwalił Newbury. – Dobra. Zaczniemy od tych personalnych koordynat. Tak się składa, że uważam siebie za jedyne w swoim rodzaju... W przeciwieństwie do ciebie, Traffordzie, to nie ulega wątpliwości, ale również do każdego z obecnych w tym pokoju. Co, twoim zdaniem, mógłbym mieć wspólnego z resztą z was?

– Nie wiem, czy obecny tu Cassius wam to powtórzył – odparł Trafford – ale moim zdaniem kluczem są tajemnice. Uważam, że w każdym, u kogo stwierdzimy tęsknotę za odrobiną prywatności, można z dużą dozą prawdopodobieństwa upatrywać odpowiedniego kandydata na Humanistę.

– Według mnie brzmi rozsądnie – wtrąciła profesor Taylor.

– A według mnie nie – oznajmił Newbury. – Nie wszyscy jesteśmy takimi introwertycznymi szarymi myszkami jak ty, Rozkwitko! Ja jestem postacią publiczną i nie wyobrażam sobie, żeby mogło być inaczej. Jestem urodzonym ekstrawertykiem i każdy dzień upływa mi na dawaniu temu świadectwa.

– Ale zauważyłem, że nie masz w tym pokoju ekranów plazmowych – powiedział Trafford.

– Fakt, nie mam – przyznał Newbury. – Ale z nami, sławnymi ludźmi, jest inaczej. Oczy wszystkich są przez cały czas zwrócone na mnie. Mam chyba prawo zejść od czasu do czasu z widoku, prawda?

– Z całym szacunkiem, ale mnóstwo ludzi tak by chciało – zaoponował Trafford. – Każdy jest przez cały czas obserwowany przez każdego i nie trzeba być sławnym, żeby w tych warunkach poczuć potrzebę prywatności. Ja sam zostałem jakiś czas temu zbesztany przez mojego spowiednika za to, że ociągam się z upublicznieniem filmu z narodzin mojej córecz-

ki. To mało ważne, czy ktoś jest ekstra- czy introwertykiem. Ja skupiałbym się na ludziach, którzy nie sądzą, że potrzeba prywatności jest przejawem zбочenia, wprost przeciwnie, skłonni są uważać, że to cnota.

– Niech ci będzie – westchnął Newbury. – Jeśli zaakceptujemy ten projekt, to jak proponujesz wyszukiwać takie osoby?

– Nasz gość właśnie do tego zmierza, Connorze – odezwał się trochę zirytowany Cassius.

– Moim zdaniem – podjął szybko Trafford – na początek odrzucić trzeba wszystkich tych, którzy produkują się w sieci dzień w dzień przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Będę musiał napisać program wyszukujący osoby próbujące robić sobie przerwy, pod jakimś tam pretekstem schodzić na pewien czas z widoku. Program powinien również uwzględniać drugą stronę tego medalu, czyli czas, jaki poświęcają ludzie na podglądanie innych. Powinniśmy skoncentrować się na osobach, które wypracowują tylko społecznie akceptowalne minimum surfowania po swojej osiedlowej sieci.

– A to dlaczego? – spytał Newbury.

– Bo podejrzewam, że okazywanie zainteresowania czymś innym niż samo gapienie się w ekran i ploteczki wskazywałoby na potencjalnie chłonny umysł.

– Niegłupie – mruknął Billy Macallan.

– Okazywanie zainteresowania czym? – spytał Newbury.

– Wszystko jedno – odparł Trafford. – Pielęgnowaniem roślin doniczkowych. Pieczeniem ciasteczek. Budowaniem modeli z zapalek i kapsli...

– Ogrodnictwo? Domowe wypieki? – Connor Newbury parsknął śmiechem. – Modelarstwo? Koń by się uśmieł!

– Ja buduję modele – odezwał się urażonym tonem Macallan.

Cassius był coraz bardziej zły.

– To chyba nie w porządku oczekiwać od Trafforda, że wymyśli nam tutaj, na poczekaniu, idealny szablon, Connorze – warknął. – Każda nowa reguła stwarza natychmiast tysiące wyjątków. Trafford stara się wypracować wzorec cech charakterologicznych na tyle niewinny, żeby na odpowiadającą mu osobę nie ściągnąć uwagi Świątyni, a jednocześnie, żeby osoba ta potrafiła odkryć w sobie poczucie własnej odrębności. A tak nawiasem mówiąc, uważam, że dobrym kryterium mogłaby być niechęć do brania udziału w grupowych przytulankach.

Wszyscy, prócz Newbury'ego, pokiwali głowami.

– Zgoda – podchwycił Trafford. – Sam nie cierpię grulanek i na ile to możliwe, wymiguję się od nich. Obecnie większość biur posiada komunalną tablicę informacyjną i zazwyczaj moderator w swoim codziennym blogu zamieszcza raport z grulanek, a między innymi, tak jest przynajmniej w moim biurze, listę obecności. Można by było przeskanować te blogi i wyłuskać ludzi, którzy często bywają nieobecni.

– O kurka wodna! – zakrzyknął Newbury. Był wyraźnie pod wrażeniem. – Całe nasze szczęście, że nie wysługujesz się inkwizycji.

– Druga sprawa, którą chciałbym wziąć pod uwagę, to zaangażowanie duchowe – Trafford kuł żelazo, póki gorące. – Wydaje mi się na przykład czymś oczywistym, że im więcej dowodów ślepej wiary wykazuje publicznie dana osoba, tym mniej jest skłonna do kwestionowania ustanowionego przez Świątynię status quo. Jeśli więc stwierdzimy, że dana osoba nie pasuje do naszego profilu, bo nagminnie używa w swoich blogach i w komunikatorach sieciowych słów związanych z wiarą i przesądami w rodzaju „tarot”, „układ gwiazd”, „medium” albo „reinkarnacja”, będziemy ją mogli śmiało wyeliminować.

– Nie chcę nic mówić, ale w takim przypadku odpada

większość moich fanów – mruknął Newbury.

– Odrzucić należałoby również tych, którzy po kilka razy dziennie przystępują do spowiedzi – zaproponowała profesor Taylor. – To chorzy ludzie, którzy nie potrafią żyć bez wywnętrzania się. I mówcie sobie, co chcecie, ale według mnie częste używanie słów „proszę” i „dziękuję” może wskazywać na rewolucyjnego ducha.

– A według mnie, Rozkwitko – wtrącił Newbury – przyjęcie twoich kryteriów grozi, że wybierzemy samych nudziarzy.

– O przepraszam, kultury nigdy za wiele – zachnęła się profesor.

– Podsumujmy – odezwał się Cassius. – Trafford zamierza napisać program, który będzie wyszukiwał osoby przejawiające tęsknotę za prywatnością, unikające strzępienia po próżnicy języka, mające jakieś nietypowe zainteresowania i awersję do grupowych przytulaneek, sporadycznie używające słów związanych z wiarą, ograniczające do niezbędnego minimum chodzenie do spowiedzi i kulturalne.

– Dobrze – powiedział Newbury – to początek. Założmy, że nasz młody przyjaciel sporządził listę osób pasujących do tego trochę przynębiającego profilu. Co dalej?

– Naturalnie nawiązujemy z nimi kontakt – odparł Trafford. – Dajemy do zrozumienia, że nie są osamotnieni. Rozpoczynamy budowę zakonspirowanej społeczności. Sieci ludzi, którzy chcą myśleć samodzielnie.

– Co im mówimy? Przecież wysłanie samego e-maila o treści: *Cześć, my też nie lubimy Świątyni*, nie ma większego sensu.

– Przede wszystkim – odezwał się Cassius – powinniśmy im przesłać zwięzłe omówienie teorii ewolucji. Ewolucja jest kluczem, to idea, której Świątynia obawia się najbardziej.

– No właśnie – mruknęła Taylor. – Czy nie będzie z tym



kłopotu? Jeśli zaczniemy otwarcie uprawiać w sieci ewolucyjną propagandę, to wyszukiwarka inkwizycji od razu nas namierzy.

– Nie będziemy niczego „otwarcie uprawiali” – wyjaśnił Trafford. – Będziemy wysyłali zabezpieczone e-maile na konkretne adresy, a ja zapewnię bezpieczne adresy, z których będziemy je wysyłali. Namierzenie kogoś z nas będzie niemożliwe, nawet jeśli te teksty zostaną przechwycone. Ale prawdopodobieństwo ich przechwycenia moim zdaniem praktycznie nie istnieje. Przecież nikt nie ma nas na oku. Policja monitoruje sieć pod kątem nieprawomyślnych stron i buntowniczych czat-roomów, ale nie czyta e-maili ludzi, wobec których nie toczy się żadne postępowanie. Zresztą, jak dobrze wiemy, większość e-maili to i tak spam.

– No właśnie – podchwycił Billy Macallan. – Jak chcesz skusić ferajnę, do której próbujemy dotrzeć, żeby otwierała te niewiadomego pochodzenia e-maile, nie mówiąc już o ich czytaniu? Ja osobiście spuszczałem z wodą dziewięćdziesiąt pięć procent całego tego gówna, którym jestem dzień w dzień bombardowany.

– Dużo o tym myślałem – przyznał Trafford. – Wszystko jest zawarte w ramce tytułowej, prawda? Musimy tam wstawić linijkę tekstu, która ich zaintryguje, zaciekawi. Może: *Czy potrafisz dochować tajemnicy?*

Dwa miesiące po tym, jak epidemia odry plus zebrała w osiedlu Inspiration Towers śmiertelne żniwo, wybuchła nowa zaraza. Lokalne władze naturalnie się jej spodziewały: warunki sprzyjające inkubacji jednego wirusa umożliwiały zazwyczaj rozwojowi wielu innych. Upał, wilgoć, problemy z odprowadzaniem ścieków i zaopatrzeniem w zdatną do picia wodę – wszystko to przybliżało wymierzenie drugiej transzy „kary bożej”. Po odrze przyszedł czas na świnkę. Zaczynało się znowu od kaszlu i kichania i znów na rodziców małych dzieci padł blady strach, bo choroba miała niespotykane dotąd ostry przebieg. Ludzie pamiętali, że jeszcze nie tak dawno na świnkę nikt nie umierał, była to pospolita choroba wieku dziecięcego, nieprzyjemna, ale w sumie niegroźna. Jednak wirus z każdym kolejnym atakiem mutował, aż w końcu stał się zabójczy. Z nowym impetem powróciło gorączkowanie połączone z bólami głowy i gardła oraz charakterystycznymi obrzękami węzłów przyusznych. I znowu z budynków małego osiedla Trafforda i Chantorrii zaczęto wynosić małe białe trumienki. Większość osesków zabrała epidemia odry, więc teraz przyszła kolej na raczkujące berbecie i kilkuletnie dzieci.

A Caitlin Happy-mealka, mało że nie chorowała – zdawała się wprost kwitnąć. Nie kasłała, nie miała gorączki, nie puchły jej węzły chłonne. Teraz nie było już żadnych wątpliwości, że

to cud, że Miłość upodobała sobie to właśnie dziecko, i Chantorria płała się w niepodważalnej sławie błogosławionej.

Matki przynosiły swoje chore maluchy do mieszkania Trafforda i Chantorrii z cichą nadzieją, że kontakt z Caitlin Happymealka je ocali. Trafford dziwił się z początku Chantorrii, że wpuszcza za próg te zdesperowane, żalosne kobiety. Co innego robić wszystko, żeby przetrwać zarazę, a zupełnie co innego kusić niepotrzebnie los, narażając małą na infekcję, która może się wdać w wyniku tych odwiedzin. Był dumny i zbudowany postawą Chantorrii, upatrywał w tym dowodu, iż uznała szczepienia za fakt naukowy, za proces, na którym można polegać. Jakże się rozczarował, stwierdzając, że jest wprost przeciwnie. Chantorria zaczęła się dystansować od niezaprzeczalnej prawdy o szczepieniach. Epidemie pociągały za sobą tyle ofiar i ocalenie Caitlin Happymealki było w związku z tym tak niewiarygodne, że Chantorrii nie mieściło się po prostu w głowie, iż coś tak cudownego można przypisywać zwykłemu ukłuciu. Dla niej był to cud nad cuda, którego ludzki umysł nie jest w stanie ogarnąć. Uwiedziona podziwem zazdroścnic, które ją teraz otaczały, upojona duserami spowiednika Bailey'a i ponad wszystko wdzięczna za oszczędzenie jej dziecka, Chantorria dochodziła szybko do przekonania, że wszystko to dzieje się za sprawą Pana i Miłości.

Trafford był tym przerażony i zniesmaczony. O ironio! Zbawienne skutki szczepienia, zamiast dać Chantorrii do myślenia, wpędzały ją w dewocję.

– Nasze dziecko przeżyło dzięki naukowemu procesowi!  
– wykrzyczał gniewnie przy jednej z niewielu okazji, kiedy udało mu się nakłonić żonę do wyciszenia fonii w domowym sieciowizorze. – Zawdzięczamy to intelektualnej działalności człowieka. To żadna tajemnica, żaden cud, po prostu suche, niepodważalne fakty.

– Nie – obstawała przy swoim Chantorria. – Nie wierzę.

Widziałeś, co się dzieje z innymi dziećmi? Ból, wysypka, gorączka, opuchlizna? One wszystkie umierają, Traffordzie. Jak jedno ukłucie mogłoby uchronić przed takim czymś nasze małeństwo? Tak jak mówi spowiednik Bailey, zawdzięczamy to jedynie Panu i Miłości.

– Spowiednik Bailey nie wie, że Caitlin została zaszczepiona! Ty wiesz! Co więcej, podejrzewam, że spowiednika Baileya interesujesz chyba bardziej ty niż Caitlin.

– Och, nie wygaduj głupstw, Traffordzie! – fuknęła Chantorria, czerwieniąc się. – Dobrze sobie. Taka ważna osoba jak spowiednik nie ma się kim interesować, tylko mną!

Ale Trafford wiedział, co mówi. Nie uległo wątpliwości, że Chantorria wpadła spowiednikowi Baileyowi w oko, tyle że jego umizgi zawoalowane były zawsze celebracją cudu ocalenia Caitlin Happymealki. Każdego tygodnia na spowiedzi, w obecności coraz to liczniejszego grona pogrążonych w żałobie matek, prosił do siebie na podwyższenie Chantorrię z Caitlin. Ignorując Trafforda, całował Chantorrię i unosił nad głowę Caitlin Happymealkę jako żywy dowód głębszego boskiego zamysłu.

– Pan zostawia nam to jedno jedyne dziecię – grzmiał – na znak, że jest jeszcze nadzieja! Nie opuścił nas. Nie zostawił swojej owczarni na pastwę losu, nie umył swoich świętych rąk, choć powinien, bośmy sobie na to zasłużyli. Nadal jest z nami! Caitlin Happymealka, którą macie tu przed sobą, to żywy dowód, że miłość, jaką Stwórca obdarza swoje owieczki, wciąż żyje! Podobnie jak żyją wszystkie dzieci! Tak, one wciąż żyją! Żyją w niebie i żyją tutaj, w tym dzieciątku!

Wierni jęczeli, wyli, w ekstazie wyrzucali w górę ręce i kiedy Chantorria z Caitlin wracała na swoje miejsce, matki starały się dotknąć jednej bądź drugiej.

W miarę jak druga epidemia zbierała zniwo, ta mała społeczność zaczynała upatrywać w Chantorrii chodzącą ikonę,

bez mała świętą. Krążyły już pogłoski o pomniejszych cudach, które można jej było przypisać. Ludzie licytowali się opowieściami o uczynności Chantorrii i otaczającej ją aurze dobroci, każdy chciał się pochwalić, że on również stał w odbitej aurze Miłości.

– Promieniuje z niej jakaś jasność – opowiadała wzruszona Tinkerbelcia – taki rodzaj poświaty. Duchowość może, rozumiecie? Jasno się wyrażam? Strasznie bolała mnie głowa i poszłam do Chantorrii na herbatkę... nie, wcale nie dlatego, że jest święta, nic z tych rzeczy, to po prostu moja koleżanka... i ból przeszedł mi jak ręką odjął! Mówię wam. Uwolniła mnie od niego! Naprawdę, i to tylko samym siedzeniem obok mnie! Nie zalewam, nic z tych rzeczy, uleczyła mnie z bólu głowy.

Podobnych relacji o niezwykłych zdarzeniach było bez liku. Posilek spożywany w obecności Chantorrii lepiej smakował, rany szybciej się goiły, skóra stawała się jakby gładsza, elastyczniejsza i mniej podatna na zmarszczki. Powiększały się biusty.

– Przysięgłam, że nosiłam rozmiar C, a teraz ledwo się mieszczę w podwójne D! Macie wyobrażenie? Niebywałe!

Cała wspólnota wydeptywała ścieżkę do mieszkania Trafforda i Chantorrii, żeby popatrzeć na święte dziecię i pobyć trochę w obecności jego świętej matki. Sam spowiednik Bailey wpadał regularnie i podczas tych odwiedzin często przykładął dłonie do piersi Chantorrii, by namacać wypełniającą je Miłość.

Trafford usuwał się w cień, niezmiernie rad, że nikt nie zwraca na niego uwagi. Ubolewał, że żonie próżność tak zamąciła w głowie, a z drugiej strony cieszył się, że został wyeliminowany z jej otoczenia. Chantorria już go nie potrzebowała. Mało tego, wyraźnie nie życzyła sobie, żeby pętał jej się pod nogami. Naturalnie, od kiedy stali się parą wybraną, nie myślała już o rozwodzie, ale była zadowolona, że Trafford

nie wchodzi jej w paradę, a ona może się bez przeszkód pławić w blasku Miłości. Miała teraz tylu przyjaciół, a spowiednik Bailey był wobec niej taki szarmancki. Obecność Trafforda zdawała się ją irytować. Trafford podejrzewał, że jego widok działa jej na nerwy, bo przypomina o grzesznej tajemnicy, o której usilnie stara się zapomnieć.

Trafford miał zatem mnóstwo czasu tylko dla siebie i bardzo dobrze się składało, bo i pracy było przed nim co niemiara. Im więcej myślał o planie, który przedstawił Cassiusowi i Senatowi, tym bardziej wydawał mu się on ekscytujący. Na dokładkę całe przedsięwzięcie będzie opłacane przez rząd! To jeszcze jedno podniecające, przewrotne piękno tej idei. Zresztą na pierwszym etapie i tak będzie zajmował się tym, co robił na co dzień dla stat-rozu: ustanawianiem związków przyczynowo-skutkowych, konstruowaniem najzupełniej legalnych programów przeszukujących, czyli dokładnie tym, co od lat należało do jego obowiązków. Jedyna różnica polegała na tym, że w odróżnieniu od dotychczasowej beznadziejnej bezcelowości tej pracy teraz nabierze ona wreszcie epokowego znaczenia. Stawał się żołnierzem wydającym bitwę Świątyni, rewolucjonistą wszczynającym duchowe powstanie.

I tak każdego dnia Trafford brał swój przenośny komputer, zostawiał Chantorrię z jej przyjaciółmi, alkodrinkami, ciasteczkami i czekoladą, wychodził na klatkę schodową bloku i zabierał się do pracy.

Wprowadził do wyszukiwarki hasło „skłonność do bezwiednego gryzmolenia” i ku swemu zaskoczeniu stwierdził, że bezwiedne gryzmolenie nie było dotąd w stat-rozie w ogóle uwzględniane. Na ekranie pojawił się baner Świątyni, a pod nim hologram pięści triumfalnie boksującej powietrze. Komputer powiadamiał w ten sposób Trafforda, że wytyczył oto nowy kierunek poszukiwań, za co wraz z wypłatą otrzyma premię pieniężną tudzież butelkę musującego wina.

Trafford wiedział, że potężny komputer główny KrajBan-Danu pracuje już pełną parą. Najpierw podejmie próbę wyliczenia szeregu wizualnych wyzwalaczy odpowiadających definicji gryzmolenia podawanej przez jego słownik. Potem skonsultuje się z policyjnym programem języka ciała, nad którym pracowali psychologowie starający się sformalizować cechy wizualne wskazujące na skłonność do aspołecznych zachowań. Na koniec, na podstawie tak skonstruowanego profilu, przystąpi do przeszukiwania trylionów trylionów godzin filmów przechowywanych w sieciowych i telewizyjnych filmotekach, wyłuskując z ujęć całej uwiecznionej tam populacji te przedstawiające osobników rysujących machinalnie esy-floresy.

*Tylko słowa, żadnych obrazków, szlaczków ani figur, wklepał Trafford do laptopa, a po chwili zastanowienia dopisał: Całe zdania.*

Potem przypomniało mu się, jak Chantorria jeszcze przed swoim religijnym przebudzeniem wystukiwała na swoim małym kuchennym palmtopie rymowane wierszyki. *Praca w edytorze tekstu bez umieszczania rezultatu w sieci, napisał, a następnie uściślił: Wydawanie komendy „zapamiętaj”, ale polecenia „wyslij” już nie.*

I znów nagrodzony został świątynnym banerem oraz bokującą powietrze pięścią. Nikt jeszcze nie zlecił stat-rozowi wyszukania osób, które coś tam piszą, ale nie przesyłają potem do sieci tego, co napisali. To już druga premia i druga butelka musującego wina. Trafford wybiegł myślami do najbliższego spotkania z Sandrą Dee i wyobraził sobie, jak razem obie opróżniają.

Od kiedy zaczął pożyczać Sandrze Dee książki, widywał się z nią dość regularnie. Okazało się, że zgodnie z jego przypuszczeniami dziewczyna ma dociekliwy, chłonny umysł, i teraz co kilka dni umawiali się w marinie pod Notting Hill,

skąd wypływali jej małą łódką na jezioro. Tam rozmawiali o historii i fizyce, geografii i astronomii, o podróżowaniu na odległość miliardów lat świetlnych, na sam kraniec czasu, byle dalej od mętnych wód Jeziora Londyńskiego.

Kiedyś poszli do wspaniałego Muzeum Stworzenia, gdzie eksponowano skamieliny dowodzące, że pierwszy potop naprawdę miał miejsce. Studiowali uważnie tabliczki informacyjne, z których można się było dowiedzieć, jak to dawni archeolodzy odkrywali odciski w kamieniu szkielety ryb na szczytach gór, co dowodziło niezbicie, że niegdyś wodami, po których żeglował Noe, zalana była cała ziemia. Czytając to, Trafford i Sandra Dee wymieniali dyskretne uśmiechy. Oboje na tyle już liźnęli tajemnej wiedzy, by wiedzieć, że w rzeczywistości górskie szczyty, gdzie odkrywano skamieliny, to niedysyjsze morskie dno, które wypiętrzyło się z czasem wskutek ruchów tektonicznych. Naturalnie Sandra Dee zorientowała się szybko, że Trafford książek, które jej pożyczka, wcale nie „znajduje w rynsztokach”, i zażądała wyjaśnienia, skąd naprawdę je bierze.

– Te dwie skończyłam dwa dni temu – poskarżyła się, oddając mu *Jane Eyre* oraz *Synów i kochanków* – i od tamtej pory nie mam co czytać. Dlaczego zawsze muszę się z tobą spotykać, żeby dostać książkę?

– Nie lubisz się ze mną spotykać?

– Też coś! – parsknęła i dodała ze śmiechem: – Nie z każdym z facetów, z którymi się spotykam, można uprawiać seks w wyobraźni.

Sandra Dee rzeczywiście sprawiała wrażenie zadowolonej, że razem eksplorują świat fantazji i rozmawiają o seksie tyle samo, co o przeczytanych książkach. Zawsze zdawała się z lubością słuchać wytworów erotycznej wyobraźni Trafforda, a czasem nawet dorzucała coś sama od siebie. Niemniej Trafford wyczuwał, że z jej strony nie jest to szczere, i podejrze-



wał, że w skrytości ducha uważa go za offermę.

Z czasem, co było do przewidzenia, pierwsza fascynacja tajemnicą, która wydawała się Traffordowi z początku taka poetycka, przeminęła i sam sobie zaczynał wydawać się śmieszny. Pomimo tego, co wygadywał, przejadło mu się już fantazjowanie na temat seksu i coraz bardziej pożądał ciała Sandry Dee jako takiego. Niestety, kiedy napomknął, że może by tak już zostawili królestwo wyobraźni i przeszli do konkre-tów, odmówiła.

– Nie psuj wszystkiego – poprosiła. – To taki uroczy pomysł. Żaden mężczyzna nie prosił mnie jeszcze, żebym uprawiała z nim seks w wyobraźni.

– A nie możemy nadal robić tego najpierw w wyobraźni, a zaraz potem konkretyzować?

– Słowo „konkretyzować” nie brzmi nawet w połowie tak romantycznie, jak „wyobrażać sobie”.

– A więc jestem dla ciebie tylko dostarczycielem książek?  
– spytał zgaszony.

– Ależ skąd. Dobrze wiesz, jak cię lubię i jak uwielbiam nasze rozmowy. Dobrze się między nami układa, a to się zmienia, kiedy ludzie zaczynają uprawiać seks.

– Z nami by tak nie było.

– Traffordie – pogroziła mu palcem – wszystko podlega zmianie. Dziwne, tyle czytasz, a zupełnie jakbyś nie znał się na ludziach.

– Znam się na tyle, by wiedzieć, że gdybym ci zdradził, skąd biorę książki, nie chciałabyś się już ze mną spotykać.

– Będziesz musiał jednak zaryzykować, bo ja chcę się tego dowiedzieć i nie dam ci spokoju, dopóki mi nie powiesz.

Trafford od początku wiedział, że ten dzień w końcu nadejdzie. Do diabła z Cassiusem. I z tymi jego cholernymi znajomkami. Książki nie są ich własnością, dostęp do wiedzy powinien być powszechny. A on jest zakochany po uszy w

Sandrze Dee i nie ma zamiaru dłużej jej oszukiwać.

– Zaczęło się od tego, że kazałem zaszczyć Caitlin Happymealę – zaczął, a potem opowiedział jej, w jaki sposób został Humanistą.

– Boże mój! – wykrzyknęła Sandra Dee. – To oni mają prawdziwą bibliotekę!?

– No... jest takie jedno pomieszczenie o kontrolowanej atmosferze, pełne starych książek.

– Jednym słowem, biblioteka. Nie do wiary, że ci ludzie są tak dobrze zorganizowani.

– Są, ale na niewielką skalę. Nie wydaje mi się, żeby było ich zbyt wielu.

– To znaczy, że prowadzicie działalność wywrotową?

– Jacy tam z nas wywrotowcy. Po prostu dyskutujemy we własnym gronie. A i to nie o działalności wywrotowej, lecz o potędze rozumu.

– W kraju, gdzie wiara zapisana jest w konstytucji, to jest właśnie czysta działalność wywrotowa.

– Skoro tak, to widać jestem wywrotowcem – przyznał Trafford.

– Chcę się do was przyłączyć – oznajmiła z przekonaniem Sandra Dee.

– Jeszcze za wcześnie.

– Nie, nie rozumiesz. Ja chcę już.

– Nie da rady. Istnieją pewne zasady. Łamię je właśnie, mówiąc ci o nas. Mam przykazane zarzekać się, że znajduję te książki w piwnicach, na strychach czy gdzie tam jeszcze. Przyjęcie kogoś nowego wymaga czasu. Muszą go sprawdzić, prześwietlić. Chcą mieć całkowitą pewność, że nowa osoba jest godna zaufania.

– Mnie można zaufać.

– Wiem. Oczywiście.

– To porozmawiaj z nimi. Wstaw się za mną.

- Już próbowałem. Dzięki temu masz dostęp do książek.
- To spróbuj jeszcze raz. Mam już dwadzieścia osiem lat i nigdy nie chodziłam do szkoły. W każdym razie nie do takiej, gdzie uczą czegokolwiek, czego warto się uczyć. Muszą mnie przyjąć. Chcę z wami dyskutować w tej bibliotece. Chcę sama wybierać sobie książki.
- Obawiam się, że będziesz się musiała uzbroić w cierpliwość.
- Nie chcę czekać. Chcę się uczyć. Zostało mi niewiele życia i muszę chociaż zacząć.
- Trafford, unikając jej wzroku, nadal się wahał.
- A gdybym się z tobą przespała? – zapytała Sandra Dee. Wiedziała, że Trafford o niczym bardziej nie marzy.
- Nie – odparł po dłuższej chwili milczenia. – Kocham cię. Nie potrafiłbym zmuszać cię szantażem do seksu za wiedzę.
- Miło mi to słyszeć, Traffordzie, bo i tak bym tego nie zrobiła. Przez całe życie unikałam seksu na siłę i zapewniam cię, że ani myślę teraz tego zmieniać. Jeśli nie wstawisz się za mną u swoich znajomych, będę cię śledziła, dopóki się nie dowiem, gdzie jest wasza biblioteka, a wtedy sama do niej wparuję.
- Zabijają cię. Humanisci Humanistami, ale to przecież ruch oporu.
- Niełatwo będzie mnie zabić, Traffordzie.
- Nie wątpił. Sandra Dee była twardą zawodniczką, chyba o wiele twardszą od niego.
- No dobrze – westchnął. – Porozmawiam z nimi.
- Dzisiaj?
- Nie. Spotykamy się tylko we wcześniej ustalonych terminach. Ścisłe przestrzegają tej zasady. Będę mógł z nimi porozmawiać dopiero w przyszłym tygodniu.
- Trzymam cię za słowo.

Sandra Dee odchyliła się na plastikowe poduszki ławeczki i uśmiechnęła. Była w tej samej bawełnianej szmizjerce, co podczas ich pierwszej przejażdżki łódką po jeziorze, i tak jak wtedy lekka bryza oblepiła cienkim materiałem jej ciało.

– No, z książkami na dzisiaj skończyliśmy, a mamy jeszcze do zagospodarowania resztę popołudnia. Co proponujesz?

Trafford nic nie powiedział, ale żywił gorącą nadzieję, że Sandra Dee ma na myśli to samo co on, modlił się o to.

– Zabawny z siebie chłopiec – wymruczała.

Nigdy wcześniej nie nazwała go chłopcem i chociaż był od niej sporo starszy, poczuł się tym mile polectany.

– A... z siebie... piękna dziewczyna – wydukał łamiącym się głosem.

Sandra Dee zaczęła powoli rozpinać sukienkę.

# 30

Trafford wywiązał się ze swojej obietnicy tydzień później.

Odwiedził bibliotekę, żeby zdać sprawozdanie z postępu prac nad swoim programem stat-rozu. Skończywszy, zwrócił się do Cassiusa ze specjalną prośbą o przyjęcie Sandry Dee do ich grona.

– Sam wiesz, że można jej zaufać – argumentował. – Skrywa więcej tajemnic niż którekolwiek z nas.

– Być może – odparł Cassius – ale ja mam co do niej zastrzeżenia. Jest za bardzo impulsywna. Zwraca na siebie uwagę.

– Bo ma godność.

– Dochodziło do scysji z jej udziałem.

– Tak, bo odmawia powiększenia sobie piersi i nie chce płacić za pączki Księżniczki Piczki. I za to ma zostać ukarana?

– Wystrzegamy się osób, które zwracają na siebie uwagę.

– Ona tego nie robi. To Księżniczka Piczka się na nią uwzięła. Gdyby nie to, ty też nie zwróciłbyś na nią uwagi.

– Ale Księżniczka Piczka zwróciła.

– To nie jej wina.

– Na pierwszy rzut oka widać, że jesteś w tej dziewczynie zakochany – stwierdził Cassius.

– A co... co to ma do rzeczy?

– A ma, głupcze, ma. Jeśli ją kochasz, będziesz ją stawiał

wyżej od lojalności wobec nas.

– Niby co miałyby mnie do tego skłonić? Ona myśli tak samo jak ja i chce tylko do nas dołączyć, nic więcej.

– Nie sądzisz, że miłość zakłada ci klapki na oczy i może przeszkadzać w wydaniu rzetelnej opinii? Czy według ciebie postąpiłbym rozsądnie, akceptując w tak poważnej sprawie rekomendację człowieka zaślepionego być może emocjami?

– Tak, bo ja kocham nie tyle ją samą, ile te jej cechy, które czynią z niej idealną kandydatkę. Jej siłę, jej pasję, jej charakter, jej... tajemnice.

Cassius zamyślił się na dłuższą chwilę, po czym podjął decyzję:

– No dobrze, masz moją zgodę. Tyle jej już zresztą powiedziałeś, a ona, jak twierdzisz, zagroziła, że będzie cię śledziła i w końcu tak czy tak do nas trafi. Możesz przyprować swoją przyjaciółkę do biblioteki.

– A mogę dzisiaj?

– Dzisiaj?

– Ona czeka na mój telefon – wyjaśnił Trafford, wyciągając wideokomunikator. – Siedzi jak na szpilkach. Nie zdziwiłbym się nawet, gdyby obgryzała z nerwów paznokcie. Przez całe życie była samotna i zagubiona. O dołączeniu do nas mówi jak o ponownych narodzinach. I pod wieloma względami tak jest.

Cassius się uśmiechnął.

– Cóż, co masz zrobić jutro, zrób dziś. Dzwon.

Trafford wybrał numer i obwieścił Sandrze Dee, że załatwił jej wstęp do biblioteki. Kiedy zaczynał tłumaczyć, jak tam trafić, połączenie zostało przerwane.

– Cholera, przerwało – mruknął i kiedy przystępował do ponownego wybierania numeru, do pokoju wpadł mężczyzna w grubych okularach, którego w duchu nazywał Puchaczem.

Był bardzo zdenerwowany.

– W sklepie jest młoda kobieta, która twierdzi, że jest znajomą Trafforda – wyrzucił z siebie. – Twierdzi, że jest z nim tutaj umówiona.

– Bo jest – mruknął Cassius. – Wprowadź ją, proszę.

Puchacz posłał Cassiusowi spojrzenie pełne dezaprobaty, ale wykonał polecenie.

Po chwili Sandra Dee była już w bibliotece.

– A ja i tak cię śledziłam – powiedziała. – Mogę sobie wybrać jakąś książkę?

Po powrocie do domu Trafford zastał tam jak zwykle tłum nowych znajomków Chantorrii.

– No, jest nareszcie! – zawołała Barbiella ze swojego miejsca na ścianie. – Nasz supergwiazdor osiedla Inspiration Towers.

– Co ty, u diabła, bredzisz, Barbiello? – burknął Trafford. Jednym z plusów wynikających z niedawnego wyniesienia na piedestał jako ojca aniołka było to, że nie musiał się już przybliżać Barbielli. Role się odwróciły i teraz to ona jemu musiała się podlizywać.

– Takie wyróżnienie. Coś niebywałego, rewelacyjnego – odparła Barbiella, nie zwracając uwagi na jego agresywny ton i szczebiocząc tak, jakby między nimi wszystko układało się śpiewająco, jakby byli najlepszymi przyjaciółmi, pokrewnymi duszami, współczłonkami jakiegoś magicznego stowarzyszenia.

– Powiedz mu, Chantorrio.

Chantorria, trzymająca na jednym ręku Caitlin Happy-mealkę, a w drugim kieliszek wina, z trudem panowała nad podnieceniem.

– Dopiero co było o nas w wiadomościach, skarbie! Masz pojęcie? My! W telewizji!

– Bomba, nie? – zapiszczała Tinkerbelcia. – Wszyscy zo-



staniemy gwiazdami... To znaczy, na początek ty i Chantorria nimi zostanieie, ale naród na pewno zacznie teraz na wyprzódki oglądać w sieci wszystko, co was dotyczy, i ilekroć któreś z nas będzie w pobliżu i znajdzie się w kadrze, też będzie oglądane!

Tinkerbelcia odwróciła się do kamery i zaczęła machać, piszcząc przy tym jak najęta. Wszystkie dziewczyny poszły za jej przykładem.

– Naturalnie, że ludzie was zobaczą, Tinks, a ty jesteś taka telegeniczna, że założę się, iż w mig zrobisz karierę – zapewniła ją wylewnie Chantorria. – I mam nadzieję, że nie przestaniesz mnie wtedy odwiedzać, kotku.

– Skądże znowu, skarbie – zachnęła się Tinkerbelcia. – Jesteśmy przecież jak siostry.

– Dlaczego dali nas w wiadomościach? – zapytał gniewnie Trafford.

– A jak myślisz? – odpowiedziała pytaniem na pytanie Chantorria.

– Usłyszeli o Caitlin Happymealce – wyjaśniła Tinkerbelcia, nalewając wino do kieliszków – i spodobała im się ta historia. Chantorria też im się, oczywiście, spodobała. Gorąca krew!

– Oj, daj spokój! – zaprotestowała bez przekonania Chantorria.

– Dziewczyno, nie udawaj, że nie wiesz. To ujęcie, w którym uwodzisz bielizną Trafforda, rajcuje jak nie wiem co!

– Wykorzystali materiał z naszej strony? – spytał Trafford. – Pokazali w wiadomościach, jak Chantorria uwodzi mnie bielizną?

– No pewnie, że to pokazali! Między innymi, zresztą. Bo prześwietili całe wasze małżeństwo. A co, według ciebie, mieli wykorzystać? Piałabym z zachwytem, gdyby moją stronę pokazali w wiadomościach!

Zawtórowały jej ochoczo wszystkie dziewczyny.

– To nie do uwierzenia, Traffordzie – ciągnęła Tinkerbelcia. – Nie dociera do ciebie? Jesteś w wiadomościach, wszyscy cię oglądają!

– Ale...

Trafford w porę ugryzł się w język. Chciał powiedzieć, że nie chce być w wiadomościach, że nie chce, by go wszyscy oglądali. Ale nie mógł tego powiedzieć, bo wyszedłby na nieprzystosowanego dziwaka. Kto w tych czasach nie chce być oglądany? Jak można tego nie chcieć? Trafford zdał sobie sprawę, że musi zacisnąć zęby i robić dobrą minę do złej gry. Jego pozycja społeczna była teraz wyższa niż kiedyś, ale nie aż tak wysoka, by go chronić, jeśli wyjdzie na jaw, że od ekshibicjonizmu bardziej ceni sobie prywatność. Nie było większej obelgi dla dewizy Świątyni.

– Ale co? – warknęła Chantorria, wyraźnie nieprzygotowana na to, żeby mąż swoimi dziwactwami zepsuł jej ten dzień.

– Ale... ale jestem zaskoczony. Mile zaskoczony, oczywiście – wybąkał Trafford, siłąc się na uśmiech.

– Popatrz sobie – powiedziała Tinkerbelcia. – Puszczają to na okrągło na kanale inforozrywkowym.

Nacisnęła klawisz i na ściennym ekranie pojawiło się osiedle Inspiration Towers, a z głośników popłynął uduchowiony głos lektora:

– Co jakiś czas zdarza się coś cudownego, żeby przypomnieć nam wszystkim, dlaczego wierzymy...

Potem puszczono trzyminutowy materiał o cudownym małżeństwie z Inspiration Towers, które jako jedyne z dzieci poniżej dwóch lat z tego osiedla przeżyło epidemie odry plus i świnki plus. Ścieżka dźwiękowa ilustrowana była licznymi fotografiami ściągniętymi ze strony Trafforda i Chantorrii, między innymi zdjęciem Chantorrii w czekoladowych strin-

gach i biustonozu bez miseczek. To ostatnie wywołało rzecz jasna aplauz obecnych w pokoju dziewcząt.

– Widzisz, Traffordzie, niektórzy wiedzą, co jest seksowne – zauważyła oschle Chantorria.

Trafford roześmiał się z przymusem, jakby usłyszał kiepski dowcip.

„Mała Caitlin Happymealka, ciągnął lektor, stała się maskotką całej wspólnoty. Symbolizuje miłość, jaką żywi Miłość do wszystkich swoich zmarłych dzieci”.

Gdy materiał dobiegł końca i dziewczyny zapiszczały, że chcą to obejrzeć jeszcze raz, na ekranie pojawiła się twarz spowiednika Baileya.

Chantorria zerwała się, jakby siedziała na sprężynie, wyłączyła wiadomości i wyciszyła inne kanały wyświetlane na ściennym ekranie. Kiedy duchowy przewodnik wpadał na sieciowy czat, trzeba mu było bezzwłocznie oddać głos.

– Chantorrio – zagaił spowiednik Bailey z zadowoloną, podnieconą niemal miną, która jednak nie była w stanie przysłonić emanującej z niego jak zwykle pompatycznej władczości. – No i ciebie też to chyba dotyczy, Traffordzie – dodał po chwili z ociąganiem, jakby zaskoczony obecnością Trafforda. – Mam przyjemność zaprosić was na dzisiejszy wieczór na plebanię.

W pokoju, od samego początku cyberodwiedzin spowiednika panowała stosowna, niczym niezmacona cisza, którą teraz zakłócił przyciszony gwarek i stłumione okrzyki dziewcząt. Osobiste zaproszenie do osobistej rezydencji duchowego przewodnika było nie lada zaszczytem.

– Ależ oczywiście, spowiedniku Bailey – wyjąkał Trafford. – O której mamy się zjawić?

– Ty o ósmej, Traffordzie, i to co do minuty – wywarczał z ekranu spowiednik Bailey i przeniósł wzrok na Chantorrię. – Ty, Chantorrio, możesz przyjść nieco wcześniej. Twoja obec-

ność... działa na mnie kojąco. Poczytamy wspólnie proroków, porozmawiamy o wierze, pochylimy się nad boskimi tajemnicami Miłości.

Gwarek ścichł. Trafford wlepił oczy w ekran, a zarumieniona Chantorria odwróciła wzrok. Tinkerbelcia i jedna z dwóch pozostałych dziewcząt też uciekły spojrzeniami, jakby w obawie, że ich twarze mogą zdradzić, co sobie pomyślały. Spowiednik mógłby się obrazić.

– Może o szóstej, Chantorrio? – zapytał spowiednik Bailey z obleśnym uśmiechem.

– Tak, oczywiście, spowiedniku. O której tylko sobie życzysz – zapewnił Trafford.

– A ty o ósmej, Traffordzie. I doradzam punktualność, bo... – spowiednik Bailey zawiesił na moment głos dla przydania dramatyzmu swojej rewelacji – ...goszczę dziś również Solomona Kentucky'ego, Wielkiego Proroka Miłości i biskupa spowiednika diecezji Jeziora Londyńskiego.

Złożywszy to naprawdę rewelacyjne oświadczenie, spowiednik Bailey zakończył swoje wirtualne odwiedziny i znikł z ekranu.

W pokoju jeszcze przez chwilę panowała względna cisza, po czym wypełniła go nieopisana wrzawa. Darła się wniebogłosy Barbiella. Darła się Tinkerbelcia z dziewczynami, darła się Chantorria, no i naturalnie rozdarła się przestraszona Caitlin Happymealka. I zanosilo się, że te wrzaski potrwają jeszcze przez jakiś czas, bo sam fakt, że spowiednik zwraca się teraz otwarcie do Chantorrii o udzielenie mu duchowego wsparcia, był wystarczającym po temu powodem. Dla kobiety ekscytujący był sam przywilej pocieszania i kojenia skolatanych nerwów przez duchowego przewodnika, ale że do tego siedzibę ich spowiednika i ich parafię miał nawiedzić sam Wielki Prorok Miłości i biskup spowiednik, i że Chantorria z Traffordem mieli go poznać osobiście, po prostu nie mieściło

się w głowie. Żaden starszy Świątyni tej rangi nie zaszczylił dotąd obecnością ich wspólnoty.

Po chwili, kiedy manifestowany podskakiwaniem pod sufit i dzikimi okrzykami entuzjazm wreszcie opadł, Tinkerbelcia przejęła inicjatywę i zaczęła wydawać polecenia. Nie było czasu do stracenia. Skoro Chantorria, zanim dostąpi zaszczytu spotkania z Wielkim Prorokiem Miłości, ma czytać ze spowiednikiem święte księgi i dyskutować o naturze wiary, trzeba jej zrobić perfekcyjny pedicure i idealną depilację.

– Za mną, młoda damo – zakomenderowała zdecydowanie Tinkerbelcia. – Pierwszy raz się zdarza, że dziewczyna z naszego bloku zostaje zaproszona na duchowe spotkanie z naszym spowiednikiem i jeszcze tego by brakowało, żeby twoje wypryski i zajady popsuły opinię całemu budynkowi. – Tinkerbelcia słynęła w okolicy jako niezrównana samorodna kosmetyczka. Jeszcze kilka miesięcy temu przez myśl by jej nie przeszło, żeby trwonić swe talenty na taką szarą myszkę jak Chantorria. Teraz wszystko się zmieniło i rozpiszczane dziewczęta wybiegły z mieszkania, żeby kontynuować imprezowanie u Tinkerbelci, kiedy ta będzie doprowadzała do porządku krocze Chantorrii.

Trafford stwierdził nagle, że został sam z Caitlin Happy-mealką, no i, rzecz jasna, z Barbiellą.

– No, Traffordzie – odezwała się moderatorka – wygląda na to, że zostałeś porzucony z dzieckiem na rękę.

– Tak, na to wygląda – przyznał Trafford, sprawdzając, czy Caitlin Happymealka ma suchą pieluszkę.

– Nie obrazisz się, jeśli dołączę do dziewcząt? – spytała Barbiellą, otwierając napój o smaku mandarynkowym.

– Nie, nie. Skądże znowu. Baw się dobrze.

Głos Barbielli ścichł i ta odwróciła głowę, skupiając wzrok na innym ekranie, na którym rozkręcała się zapewne impreza u Tinkerbelci. Trafford przewinął córeczkę i nalał sobie

szkłankę wielowocowego alkodrinka. Tyle się wydarzyło w tak krótkim czasie.

Był w wiadomościach!

Co powie na to Cassius, znany ze swojej awersji do ludzi, którzy zwracają na siebie uwagę? Na szczęście o Traffordzie specjalnie w tym materiale nie wspomniano, pokazywano głównie matkę i córeczkę. Niemniej było w nim jedno bardzo wieloznaczne ujęcie, w którym on, Trafford, czyta, a spiker komentuje z emfazą, jaki to z niego przykładowy ojciec, wzorowa głowa rodziny, zawsze pochłonięty lekturą takiego czy innego poradnika samodoskonalenia. Trafford oglądał to ujęcie z zapartym tchem i duszą na ramieniu, bo w każdej chwili mogło wyjść na jaw, że nie czyta wcale broszury pod tytułem, dajmy na to, *Zdrowie i szmal: jak super wyglądać i tłuc kasę*, tylko *Obcego Alberta Camusa*. Lepiej nie myśleć, czym by się to skończyło: przydybany w wiadomościach na czytaniu powieści egzystencjalisty. Gdyby prawda ujrzała światło dzienne, konsekwencje byłyby niewyobrażalne, ale na pewno straszne.

Trafford wiedział, co powie Cassius. Pierwsza zasada ruchu Humanistów brzmiała wszakże: nie ściągać na siebie uwagi. Ale z drugiej strony Cassius powtarzał zawsze, że najciemniej jest pod latarnią, a gdzie mogło być ciemniej niż pod latarnią w postaci wiadomości kanału inforozrywkowego, których na dodatek jest się mimowolną gwiazdą? Pozycja faworyta Świątyni też robiła swoje. Korzystając z jednego i drugiego, będzie mógł stawać w obronie Sandry Dee w pracy, wprowadzić ją do ruchu i kto wie, ile jeszcze dobrego uczynić.

Ta refleksja (i jeszcze jeden alkodrink) przypomniła mu znowu spowiednika Baileya i jego wyraźne zainteresowanie Chantorrią. Wzburzył się, a nawet wkurzył. Nie, nie był zazdrosny, a przynajmniej w jego mniemaniu nie była to zazdrość. Kochał przecież teraz Sandrę Dee i w normalnych

okolicznościach byłoby mu jak najbardziej na rękę, żeby Chantorrią zainteresował się ktoś inny. Był zły na Bailey'a, że ten ni z tego, ni z owego ją uderzał w konkury do Chantorrii, bo to było takie kretyńskie. Najwyraźniej Bailey zaczął pożądać Chantorrii, bo uwierzył w jej świętość, w to, że jest wybraną przez Boga, błogosławioną kobietą, matką cudownego aniołka. Starszyzna Świątyni od zawsze rezerwowała najsmaczniejsze kąski dla siebie i zwykle kaskami tymi były kobiety z okolicy (dla tych, którzy nie ślubowali celibatu). Bailey napastował Chantorrię, ponieważ uważał, że mu się ona należy.

Z tych rozważań wyrwał Trafforda powrót Chantorrii od Tinkerbelci. Był akurat w połowie trzeciego drinka, ale alkohol nie poprawiał mu jakoś humoru. Chantorria miała na sobie dziewiczo biały stanik i stringi od kompletu, które, jak wyjaśniła, dostała w prezencie od dziewczyn na pamiątkę tego, że pokazali ją w wiadomościach.

– Ładne, prawda? – powiedziała, sięgając po torebkę. – Bardzo, ale to bardzo gustowne. Moim zdaniem jak znalazł na audycję u spowiednika.

– Chantorrio – warknął gniewnie Trafford – on interesuje się tobą tylko z powodu Caitlin. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

– No i co z tego? – prychnęła Chantorria. – Jestem matką cudownego aniołka, nic dziwnego, że wzbudzam zainteresowanie mojego spowiednika.

Trafford przesunął się dyskretnie, żeby wyciszyć fonię sieciowizora.

– Caitlin HappyMealka nie jest żadnym cudownym aniołkiem – syknął.

– A właśnie, że jest! Przeżyła, prawda? Czyż to nie cud? Czy nie dostrzegasz cudu w tym, że nasze dzieciątko jako jedyne przetrwało obie plagi?

- Epidemie.
- Plagi. Nasze dzieciątko żyje. Wiemy tylko tyle i obojętne, jak na to spojrzymy, to cud.
- Chantorrio, wiesz przecież doskonale, że...
- Wiem, że ścieżki Boga są niezbadane, Traffordzie – wpadła mu w słowo Chantorria. – Kto stworzył to... no, to coś, co podobno jej zaaplikowałeś? Bóg.
- Ludzie to stworzyli, Chantorrio. Ludzie wykorzystujący swój intelekt do...
- A kto stworzył ludzi? Kto obdarzył ich intelektem?
- A kto stworzył tego twojego cudotwórczego Boga? Jakiś inny Bóg, potężniejszy? A kto stworzył tego potężniejszego?

– Nie będę dłużej w ten sposób dyskutowała – ucięła Chantorria, włączając fonię. – Jedno jest pewne: spłynęło na nas błogosławieństwo. Jesteśmy najszcześniejszą rodziną w całym Londynie. Ty tłumaczysz sobie to błogosławieństwo po swojemu, ja po swojemu, ale nie da się zaprzeczyć, że to błogosławieństwo, a błogosławieństwa pochodzą od Boga. Czy aż tak trudno to zrozumieć? Zresztą, co tu jest do rozumienia? Do zobaczenia na plebanii. Tylko nie waz się spóźnić.

Chantorria z małą torebeczką pod pachą potruchtała do drzwi. Na nogach miała szpilki, które Trafford też widział po raz pierwszy. Pewnie jeszcze jeden prezent od Tinkerbelci. Odprowadził żonę wzrokiem. Kiedy patrzyło się na nią od tyłu, wydawała się prawie zupełnie naga. Jedyne skrawki odzienia były wążutki pasek stanika i trójkącik koronki wynurzący się spomiędzy pośladków.

– Nie powiesz pa, pa swojemu cudownemu aniołkowi? – zapytał z przekąsem.

Chantorria odwróciła się i jeszcze raz na niego spojrzała.

– No wiesz, Traffordzie, chyba zazdrość przez ciebie przemawia. – Podtruchtała do łóżeczka Caitlin Happymealki.



– Na razie, aniołku. A tatusiem się nie przejmuj. On sam jest ostatnio gościem w domu, nie rozumiem więc, w czym teraz widzi problem.

I wyszła, zostawiając Trafforda z trudnym pytaniem, jaki jest właściwie jego problem. Czuł się okropnie. Był zaprzysięgłym Humanistą, a wychodziło na to, że robi, co może, by wnieść doniosły wkład w „uwiarygadnianie” owych niezbadanych ścieżek Boga.

Szczepiąc Caitlin Happymealkę, uczynił najświetlejszą rzecz w swoim życiu i bardzo go dołowało, że teraz ludzie nachalnie przypisują jej ocalenie Bogu. A w dwójnasób dołujące było, że wierzyła w to jego własna żona, która знаła przecież prawdę. No i robiło się coraz gorzej. Traffordowi nigdy nie przyszłoby do głowy, że pokażą ich w wiadomościach, a fakt, że spowiednik Bailey nawiązuje z Chantorrią łączność duchową, mógł tylko pogorszyć sprawę. Faworyzowanie przez spowiednika Świątyni jeszcze bardziej utwierdzi ludzi w przekonaniu, że Chantorria jest błogosławiona, a Caitlin przeżyła w wyniku boskiej interwencji. Cóż za ironia losu. Oto, kierując się zdrowym rozsądkiem, postąpił wbrew prawu i niechcący doprowadził do umocnienia się religijnego przesądu.

Trafford z nową energią zasiadł do komputera. Program wyszukujący był już prawie na ukończeniu. Jeszcze kilka dni i będzie mógł wydać wyszukiwarce stat-rozu polecenie stworzenia wirtualnej sieci potencjalnych rewolucjonistów. Najchętniej już teraz przystąpiłby do rozsyłania korespondencji do członków tej anonimowej wspólnoty. Cassius obiecał dostarczyć wstępniak, którym, jak uzgodniono, miał być krótki ilustrowany artykuł o teorii ewolucji. Drugi materiał miał traktować o samym potopie, wyjaśniać, że podniesienie się poziomu mórz było w rzeczywistości wynikiem bezmyślnej eksploatacji paliw kopalnych i że reagując w porę, można było

temu zapobiec.

Trafford chciał, żeby te pakiety korespondencji generowały się same w automatycznym procesie wysyłkowym i były wyzwalane pojedynczym hasłem, które, raz wydane, uruchamiałoby lawinę wyrotowego spamu niedającego się powstrzymać nawet wtedy, gdyby ludzie, którzy ją wywołali, zostali namierzeni i zatrzymani. Każda przesyłka miałaby tytuł zachęcający adresata do przeczytania jej zawartości. Nad tymi tytułami Trafford również pracował, wspomagany przez Cassiusa i innych. Traffordowi najbardziej podobał się ten zaproponowany przez Connora Newbury'ego:

*Skoro Bóg jest taki mądry, to dlaczego powierza takim palantom kierowanie swoją Świątynią? Spojrzałeś kiedyś krytycznym okiem na swojego spowiednika?*

Trafford się uśmiechnął. Gdyby dostał e-maila z takim tytułem, na pewno by go otworzył.

*Nie jesteś osamotniony w tęsknocie za samotnością!* – to była propozycja Cassiusa. Tak samo: *Czy przyszło ci kiedy na myśl, żeby pomyśleć na własny rachunek?*

Traffordowi prócz tytułu *Czy potrafisz dochować tajemnicy?* nie przyszedł dotąd do głowy żaden inny, ale teraz wklepał do komputera słowo „Darwin”.

Pracując nad programem, zastanawiał się, jak należy pokierować tą wirtualną wspólnotą, gdyby naprawdę udało mu się ją stworzyć. Mimo wszystko zachęcić ludzi do myślenia na własny rachunek to jedno, ale gdyby wszyscy poprzestawali na myśleniu i nie podejmowali żadnych działań, Świątynia nie miałaby się czego obawiać. Zdaniem Trafforda samo myślenie nie wystarczało, pogardzał wybraną przez Humanistów formą protestu sprowadzającą się tylko do tego, że istnieją. Trzeba robić coś konkretnego. Rewolucje w głowie to zaledwie początek.

Potrzebny był jakiś znak, znak tajemny. Najlepiej pojedyn-

cze słowo, coś, po czym wolnomyśliciele mogliby się rozpoznawać. Słowo, które mówi wszystko.

I Traffordowi przychodziło do głowy tylko jedno: „Darwin”.

Bo „Darwin” to nie tylko słowo. To wezwanie do chwyceńia za broń. Proste polecenie wypełnienia z grzęzawiska i stania się złożonym organizmem, stworzeniem zdolnym do samodzielnego myślenia.

No dobrze, ale słowo „Darwin” aż ociekało heretycznymi konotacjami. Raczej nie można by go użyć w otwartym tekście, samo w sobie nie nadawało się na znak.

Trafford rozbił je odruchowo na sylaby. „Dar win”.

„Dar win”. Coś mu zaświtało. Słyszał to gdzieś w jakimś kontekście...

„Niech usłyszę »Darz Bóg«!... Niech usłyszę »Darz Bóg« i daruj nam winy!... Niech usłyszę »Dar win!«”.

Jeden z tysięcy skrótowych okrzyków, które na chwałę swojego Boga ukuła Świątynia, był rozbitym na sylaby słowem, którego najbardziej się obawiała.

„Dar win”. To będzie jego hasło. To będzie kod uruchamiający program, a jednocześnie termin występujący w każdej korespondencji. Termin, który pozwoli każdemu adresatowi dowodzić swojej wiary, bo zapytany może twierdzić, że to po prostu skrót od „Daruj Nam Winy”.

Dar win. Nieźle to brzmiało.

Trafford nie mógł się doczekać, kiedy powie Cassiusowi.

*Pokaż słowa „Dar win” – napisał. – Po nich powinienś zostać rozpoznany.*

Punktualnie o ósmej wieczorem Trafford z Happymealką na ręku stawił się w rezydencji spowiednika Bailey'a i został wprowadzony przez służącego do tego samego luksusowo urządzonego pokoju, w którym nie tak dawno omawiali z Chantorrią warunki odwołanego rozwodu. Chantorria już tam oczywiście była. Siedziała na stołeczku u stóp Bailey'a i czytała na głos z otwartej księgi, wielkiego, oprawnego w skórę, wysadzanego klejnotami tomiszczą zatytułowanego *Opowieści biblijne oraz inne inspirujące pisma*.

Trafford odniósł wrażenie, że jest spłoniona.

Spowiednik uniósł rękę na znak, że Trafford ma czekać w progu i nie przeszkadzać, dopóki lektura nie dobiegnie końca. I tak Trafford stał w milczeniu, podczas gdy jego żona kończyła czytanie jakiegoś grafomańskiego belkotu, który polecono jej odczytać, a spowiednik Bailey siedział z zamkniętymi oczyma i wzniosłą miną. Głaskał Chantorrię po głowie.

*Miłość jest miłością i miłością jest Pan, którego zwiemy Miłością* – czytała Chantorria z powagą i w najgłębszym skupieniu. – *Bez Pana, który jest Miłością, nie ma miłości, a ponieważ mamy miłość, mamy też Pana, który jest Miłością, Pan bowiem i Miłość to nieśmiertelna i nierozdzielna jedność. Tak jest teraz, było na początku i będzie po wsze czasy. Pan i Miłość jest dobry i miłosierny, a ktokolwiek śmie w to wątpić,*

*zostanie strącony z powierzchni ziemi w czeluści i całą wieczność cierpieć będzie piekielne męki. Tako rzecze Pan.*

– Dziękuję ci, dziecko – powiedział spowiednik Bailey do zamykającej księgę Chantorrii. – Piękne to było. Słuchanie słodkiego głosu prawomyślnej kobiety głoszącej prawdę Pana jest jak balsam dla mojej skołatanej, znużonej duszy.

– Jestem zaszczycona, że mogłam ci ulżyć, święty spowiedniku.

Dopiero teraz spowiednik Bailey spojrzął na Trafforda.

– Usiądź obok żony – polecił. – Biskup spowiednik jest człowiekiem zorganizowanym. Nie do pomyślenia, żeby się spóźnił.

I faktycznie, ledwo Trafford zdążył zająć wskazane miejsce obok zarumienionej, uśmiechającej się nerwowo Chantorrii, kiedy donośne łomotanie pastorałem w drzwi frontowe obwieściło przybycie tego wielkiego człowieka. W sieni się zakotłowało – to przejęta służba witała uniżenie dostojnego gościa – i po chwili do salonu wkroczył Solomon Kentucky we własnej osobie i w asyście czterech potężnych ochroniarzy.

– Przybyłem! – obwieścił, zupełnie, jakby był składającym wizytę Panem, a nie jednym z jego starszych przedstawicieli na ziemi.

Spowiednik Bailey, Trafford i Chantorria padli na kolana.

– Mój dom ani ja nie jesteśmy godni, biskupie spowiedniku... – wyjąkał spowiednik Bailey.

– A żebyś, Baileyu, wiedział, żebyś wiedział – przyznał biskup spowiednik i zarechotał rubasznie. – Ale gdy się dobrze zastanowić, to żaden z nas w oczach Pana nie jest tego do końca godzien, a wszak wszyscy mamy nadzieję, że nadejdzie taki dzień, kiedy staniemy przed nim nadzy. Gdybym odwiedzał jedynie tych, którzy są tego godni, miałbym pierońsko wąski krąg znajomych! Ha! Ha! Ha! Mam rację? Oczywiście, że mam. Ucałuj moje pierścienie.

Podał spowiednikowi Baileyowi do ucałowania wielką, miękką, tłustą prawą dłoń. Na każdym palcu, z kciukiem włącznie, skrzyły się wielkie pierścienie. Spowiednik Bailey podpełzł do niego na kolanach i z nabożnością ucałował każdy. Potem wielki człowiek przełożył mrugający neonowy pastorał do drugiej ręki i podstawił mu pod nos drugi zestaw ozdobionych klejnotami palców do adoracji. Traffordowi i Chantorrii obecność takiej znakomitości odjęła oczywiście mowę.

– A więc to jest ta rodzina! – zagrział Solomon Kentucky. – Poznałbym ich wśród tysiąca innych rodzin! Jest z nim łaska pańska. Wyczuwam Miłość.

– Alleluja! – krzyknął spowiednik Bailey.

– Alleluja! – powtórzyła za nim jak echo Chantorria.

– Wstań, dziecko – zwrócił się do niej Solomon Kentucky. – Weź swoje anielskie maleństwo i wstań. Nie lękaj się.

Chantorria wzięła Happymealkę od Trafforda i stanęła przed biskupem spowiednikiem. Trafford z niesmakiem zauważył, że minę ma uduchowioną i tylko czekał, kiedy zacznie mówić obcymi językami.

– Zostałaś, dziecko, pobłogosławiona z łaski Pana i Miłości – zaintonował Solomon Kentucky – który w swej mądrości wyznaczył ci zadanie do wykonania. Tobie i twojej rodzinie! Niech usłyszę, jak mówisz: „tak”!

– Tak! – powiedziała Chantorria.

Trafford nie miał pewności, czy biskup spowiednik pije również do niego. Po chwili zastanowienia uznał, że bezpieczniej będzie się nie odzywać, nie ściągać na siebie uwagi. Zresztą Solomon Kentucky i tak zdawał się traktować go jak powietrze. Interesowały go tylko matka i dziecko. Oddał pastorał do potrzymania jednemu z ochroniarzy i przyłożył dłoń do czoł Caitlin i Chantorrii.

– Czuję! – krzyknął. – Czuję! Wyczuwam błogosławień-

stwo Miłości! To dzieciątko naprawdę jest święte. A jego matka błogosławiona. Niech usłyszę, jak mówisz: „racja”!

– Racja! – krzyknęła Chantorria.

– Racja! – pisał za nią Trafford kopnięty przez spowiednika Bailey.

– To dzieciątko zainspiruje wiernych! – ciągnął Solomon Kentucky. – Nacierpieli się ostatnio co niemiara. Wielu straciło jedno, dwoje albo i więcej dzieci! Wierni oczekują znaku. Lud potrzebuje symbolu! Prawi, miłościobojni mężczyźni i kobiety tego wielkiego kraju wiary potrzebują nadziei! Niech usłyszę, jak mówicie: „W górę serca”!

– W górę serca! – krzyknęli Chantorria i Trafford.

– W górę, w górę, w górę... serca! – krzyknął Kentucky.

– W górę, w górę, w górę... serca! – powtórzyli za nim jak echo Chantorria i Trafford.

– To oto dzieciątko, malutka Caitlin Happymealka, będzie tym znakiem. Tym symbolem. Tą nadzieją! W imię Pana i Miłości. Stwórcy wszystkiego i nie tylko. W imię jego świętej matki Marii i jego świętej córki Diany. W imię Jezusa, Abrahama, Elvisa i Mojżesza. W imię dwudziestu ośmiu apostołów ewangelii i Piętnastu Filarów Wiary. W imię gwiazd, które nas prowadzą, i liczb, które przepowiadają nam to, co tylko on może wiedzieć i co dla nas zasnute jest mgłą tajemnicy. W imię wszystkich proroków i starszych Świętyń. W imię tego małego dzieciątka imieniem Caitlin Happymealka. Niech tak się stanie. Amen!

– Amen! – wrzasnął spowiednik Bailey.

– Amen! – krzyknęli Chantorria i Trafford. Chantorrią wstrząsały już dreszcze i drgawki ekstazy, jej wargi drżały. Solomon Kentucky, dla odmiany, odrzucił ewangeliczną pozę i zażądał krzesła, na którym mógłby usiąść, by przejść do interesów.

– Jak wicie – powiedział, odbierając od służącego

szklanę słodkiej cherry i eklera w czekoladowej polewie – ostatnie epidemie były szczególnie zabójcze i przysporzyły ludziom strasznych cierpień. Zdziesiątkowały nie tylko waszą wspólnotę, chociaż nie przeczę, że takich plag, jakie nawiedziły tę właśnie dzielnicę, najstarsi ludzie nie pamiętają. Mała Caitlin Happymealka jest, jak widzimy, bardzo telegeniczna, i nie uszło uwagi Rady Świątyni, że szczęśliwe ocalenie, które zawdzięcza niebiosom, już dawno poruszyło czułą strunę w sercach wiernych tej parafii, a od kiedy pokazano ją dzisiaj w wiadomościach kanału inforozrywkowego, reakcja owa obejmuje coraz szersze kręgi społeczeństwa. Ludzie są spragnieni dobrych wieści i mają je teraz pod postacią Caitlin Happymealki. Jest ślicznym małym stworzonkiem, na obecnej tutaj Chantorrii też przyjemnie zawiesić oko, a dla poprawienia nastrojów nie ma to jak dorodna, obdarowana szczerze przez naturę mamusia i udana dzidzia. Nasi ludzie od PR-u od dawna szukali takiej kombinacji, żeby zapoczątkować post-plagową kampanię odreagowywania, i po zbadaniu sporej grupki dzieci, które przeżyły, wybraliśmy Caitlin Happymealkę na naszą Twarz Nadziei. Postanowiliśmy uczynić to dziecko sztandarowym symbolem nieskończonego miłosierdzia Pana. – Kentucky sięgnął po następne ciastko, po czym dodał uroczyście: – Wasza niebiańska pociecha stanie się wielką, ale to wielka gwiazdą.

Tu biskup spowiednik pstryknął palcami i jeden z jego ponurych, milkliwych ochroniarzy wetknął fajkę masowej pamięci w gniazdo komputera spowiednika Baileya. Ekranem popłynął strumień reklam firmowanych buzią Caitlin.

– To dopiero pierwsze przymiarki – zastrzegł Solomon Kentucky – ale niedługo dostaniecie do zaaprobowania gotowy projekt i myślę, że się wam spodoba.

Na wideoplakatach Caitlin Happymealka uśmiechała się, gaworzyła, chichotała, a hasło nad nią zapewniało: „Cuda się



zdarzają”.

– To hasło przewodnie, na które stawiamy – mówił Solomon Kentucky. – „Cuda się zdarzają”. Niezłe, co? Zwięzłe, jasno i na temat. Chcemy przez to powiedzieć ludziom: „Nie rozpaczajcie. Jeśli Pan ocalił to dziecko, to ocalił je wszystkie. Tak, ocalił wszystkie, zabierając je do siebie”.

– Czy nie ma tu aby nielogiczności? – wyrwało się Traffordowi, zanim zdążył ugryźć się w język. Spowiednik Bailey spiorunował go wściekłym spojrzeniem.

– Biskup spowiednik teraz mówi – wywarczał przez zaciśnięte zęby.

– Nie, nie – Solomon Kentucky uciszył Baileya gestem ręki – to ojciec. Wysłuchajmy go. Widzisz tu nielogiczność, młody człowieku? Jaką?

– No bo kto został w końcu ocalony? – zaczął drżącym z przejęcia głosem Trafford. – Nasza córeczka, bo nie umarła, czy wszystkie te zmarłe dzieci, bo umarli i poszły do nieba?

Solomon Kentucky ściągnął brwi. Myślał.

– Nie ma tu żadnej sprzeczności – zawyrokował po chwili. – W ślicznych ślipkach Caitlin Happymealki wszyscy rodzice tych dzieci, które są teraz w niebiesiech, zobaczą oczka swoich pociech i przekonają się, że Pan otacza je miłością.

– Aha... – bąknął Trafford. – Rozumiem.

– Dzieciątko to – ciągnął biskup spowiednik – będzie gwiazdą przewodnią wielkiej postplagowej kampanii medialnej. Zanieś hasło „Cuda się zdarzają” do każdego mieszkania, do każdego miejsca pracy w tym kraju. Rozpowszechni się wideoplakaty, spoty reklamowe, piosenki zajmujące czołowe miejsca na listach przebojów, a nade wszystko cała wasza rodzina wystąpi w charakterze gości honorowych na Wembleyowskim Koncercie Wiary.

– O Boże – wykrztusiła Chantorria. – My! Na Koncercie

Wiary! Boże jedyny.

Spowiednik Bailey spojrział na nią karcąco, bo to nie było miejsce na takie zachwyty, ale Solomon Kentucky skwitował ten wyskok pobłażliwym uśmiechem.

– Tak, moje dziecko. Tak. Ty i twoja rodzina będziecie głównym punktem wielkiego nabożeństwa, które zamierza odprawić Świątynia dla upamiętnienia przejścia tych dwóch wielkich plag. Zamierzamy zaprosić na Wembley tylu pogrążonych w żałobie rodziców, ilu się zmieści: sto dwadzieścia pięć tysięcy biletów rozprowadzonych zostanie w drodze loterii. Po nabożeństwie odbędzie się festyn dziękczynny, podczas którego wyrażona zostanie wdzięczność Panu nie tylko za wniebowzięcie ich dzieci, ale również za to, że miłosierna Miłość pozostawiła wśród żywych Caitlin Happymealkę, by każdy mógł w niej widzieć własne dziecko. Cudownym ocaleniem Caitlin radować się będzie ludność całego kraju, oglądając to wiekopomne wydarzenie na żywo za pośrednictwem sieci i wideołączy, a to pomoże narodowi otrząsnąć się z szoku i natchnie każdego nadzieją. Wy troje stać będziecie na scenie w otoczeniu starszych Świątyni i najprominentniejszych osobistości, dziękując za Caitlin tudzież za czysty, żywy, namacalny dowód, że cuda się zdarzają.

Chantorria łkała ze szczęścia. Spowiednik Bailey otoczył ją ramieniem. Oboje ignorowali Trafforda.

– Twoje dziecko – zakończył Solomon Kentucky, odbierając od ochroniarza swój pastorał – stanie się gwiazdą przewodnią! Mesjaszem wiary! Światelkiem w tunelu zagubienia. Caitlin Happymealka przywróci ludziom nadzieję!

– Och, dzięki ci, biskupie spowiedniku – wyszlochała Chantonna. – Dzięki, po stokroć dzięki.

Trafford nic nie powiedział. Myślał.

Kampania, którą zapowiadał Solomon Kentucky, ruszyła niemal natychmiast. Świątynia prawidłowo rozpoznała nastroje panujące wśród kongregacji i doszła do wniosku, że trzeba niezwłocznie podjąć działania mające na celu podsuniecie przygnębionej owczarni właściwej emocjonalnej reakcji. Koszmar, jakim były dla narodu dwie następujące jedna po drugiej okrutne plagi, spowodował głęboką traumę. Ludzie przywykli już do bólu oplakiwania zmarłych dzieci, ale każdy kolejny pomór zdawał się powiększać zasięg, przybierać na sile i naród ogarniała tępa trwoga, która mogła łatwo przeistoczyć się w bezsilny gniew. Tego, że ludzie zwątpią i odrzucą wiarę, nie należało się raczej obawiać – twarda ręka Świątyni oraz strach przed inkwizycją były zbyt silne, żeby mogło do tego dojść. Niemniej śmierć każdego dziecka pozostawiała małe pęknięcie w pancerzu ślepej akceptacji duchowego status quo i właśnie te pęknięcia zamierzała zalutować Świątynia hasłem „Cuda się zdarzają”.

Pieśniami, koncertami, festynami, biegami okolicznościowymi i niekończącymi się mszami celebrowano pamięć zmarłych dzieci, a jednocześnie zachęcano do patrzenia z nadzieją w przyszłość, przyszłość uosabianą, a jakże, przez niewinnie wyretuszowany wizerunek uśmiechniętej, rozchichotanej Caitlin Happymealki. Świątynia znała się na rzeczy i upo-

rzeczywe wbijanie ludziom do głów, że Bóg ukochał szczególnie to właśnie dziecko, odniosło pożądany skutek, odsuwając w cień pytanie, w jakim celu uśmiercił tyle innych. Zapewne wielu rodziców pytało w skrytości Miłość, dlaczego to ich dziecko nie zostało wybrane do ocalenia, ale nawet jeśli chodziło im to po głowach, nie mówili tego głośno, bo buzia Caitlin natychmiast stała się symbolem przyszłego zbawienia i nikt kwestionowaniem tego nie chciał się narażać na gniew Świątyni, a co gorsza – Miłości.

Wy tłumaczenie było proste: Pan zesłał plagi, ponieważ się rozeźlił, ale Pan oszczędził Caitlin Happymealkę, bo jest tak miłosierny i łagodny, że do rany przyłożył.

– Czego tu nie rozumieć?! – grzmiał z ambony spowiednik Bailey.

Rosnąca sława uczyniła z Chantorrii kobietę nawiedzoną. Wcieliła się bez reszty w rolę matki cudownego dzieciątka, bo wmówiła sobie, że tak jest w istocie. W mieszkaniu, które zajmowała z Traffordem, nie odbywały się już imprezy. Chantorria uznała, że jako madonna, która wydała na świat anielskie dzieciątko, ma duchowe zobowiązania, i coraz więcej czasu spędzała na modlitwach w lokalnej świątyni albo w rezydencji spowiednika Baileya. Ubierała się wyłącznie na białe i nie ruszała się z domu bez krzyża z symbolem Gai. Kupiła drogi wisiorzek ze wszystkimi znakami zodiaku oraz aureolę z kryształu górskiego, którą nosiła na zakładanej na głowę drucianej podpórce. Do tego farbowała włosy na złoto.

Ośmielona zażyłością ze spowiednikiem zaczęła traktować Tinkerbelcię oraz resztę najlepszych od jakiegoś czasu psiapisiółek bardziej jak służki niż koleżanki. Były u niej teraz na posyłki i jeśli dobrze się spisywały, łaskawie „pozwalała”, żeby ją depilowały albo nakładały jej makijaż. Skakały wokół niej jak tresowane pchły, ale Trafford widział, że mają jej za złe arogancję i pobożność, którą nagle zapalała. Mimo

wszystko większość z nich straciła dzieci i trudno im się było pogodzić z faktem, że Chantorria, która jako jedyna z całego bloku dziecka nie straciła, zrobiła się naraz taka egzaltowana.

Chantorria, wyczuwając chyba ich niechęć, tym bardziej dawała im popalić. Być może mściła się za lata złego traktowania, w każdym razie nie robiła żadnej tajemnicy z tego, że uważa się za kogoś lepszego. Czyż nie została wybrana?

Trafford wiedział najlepiej, że nikt jej do niczego nie wybrał, i szlag go trafiał, kiedy patrzył na jej fanaberie. Było dla niego jasne, że uwierzyła w swoją niezwykłość pod wpływem nawały pochlebstw, i stwierdzał, że naiwność żony z jednej strony go śmieszy, z drugiej dołuje. Całą tę sytuację uznawał za śmieszłą i jednocześnie straszną: oto dziecko, które zawdzięcza życie tylko i wyłącznie wyklinanej przez Świątynię nauce, wykorzystywane jest do dalszego szerzenia zabobonu. Im częściej Trafford widywał na filmie uśmiechniętą buzię swojej córeczki, tym bardziej trafiał go szlag.

Powoli, nieubłagane dojrzewała w jego umyśle pewna idea, która w krótkim czasie mogła się okazać skuteczniejszym narzędziem rewolucji niż przygotowywana aktualnie kampania z hasłem rozpoznawczym „Dar win”. Pierwszą osobą, której powiedział, co zamierza, była Sandra Dee. Wracając później myślami do tamtego dnia, dochodził do wniosku, że do takiej lekkomyślności, do tego, że poczuł nagle nieprzepatą potrzebę zrobienia czegoś szalonego, sprowokował go romantyczny sposób, w jaki dała mu kosza.

Siedzieli w małej łódce. Od czasu, kiedy Humanisci przyjęli ją z jego rekomendacji do swojego grona, pierwszy raz zgodziła się spotkać z nim sam na sam i Trafford natychmiast wykorzystał nadarżającą się okazję, by ponownie wyznać jej miłość.

– Nie kochaj mnie, Traffordzie – odparła. – Nie chcę, żebyś mnie kochał.

– Nie można się zakochać albo odkochać na zawołanie – zauważył. – Myślałem, że przeczytałaś już do tej pory tyle powieści, by o tym wiedzieć.

– To nie jest powieść, Traffordzie. To realne życie, gówniane, zasrane, realne życie i ja nie chcę, żebyś mnie kochał.

– To silniejsze ode mnie.

– Ale ja ciebie nie kocham – oznajmiła wypranym z emocji tonem. – Naprawdę, Traffordzie, nie kocham cię ani trochę. Lubię cię. Nawet bardzo...

– No, to może...

– I jeśli mam być szczerą, to przyznam, że być może mogłabym cię pokochać. Ale nie pokochałam i zakończmy już ten temat.

– Jak możesz tak mówić! – zaprotestował Trafford. – Skąd u ciebie ta pewność?

– Stąd, że tak zadecydowałam.

– Zadecydowałaś?! Nie można decydować, czy...

– Owszem, można, Traffordzie – wpadła mu w słowo Sandra Dee. – W tym właśnie rzecz. Można. Czasem nawet trzeba. Jeśli chcesz być w dzisiejszym świecie bezpieczny, musisz planować dokładnie każdy swój krok. Jeśli chcesz pozostać przy zdrowych zmysłach, musisz czasem podejmować trudne decyzje. Miłość niesie ryzyko. Ryzykowne są związki oparte na prawdziwym uczuciu. Dwoje bliskich sobie ludzi to dokładnie podwójne ryzyko wpadki i rozważywszy wszystkie za i przeciw, jest to dla mnie nie do przyjęcia. Dlatego właśnie już dawno, dawno temu postanowiłam sobie, że w nikim się nie zakocham. I nie zrobię wyjątku nawet dla ciebie.

– Jeśli takie jest twoje nastawienie, to dlaczego wtedy ten jeden raz mi się oddałaś? – chciał wiedzieć.

– Wolałbyś, żebym tego nie zrobiła?

Trafford udał, że nie dosłyszał pytania.

- No, dlaczego to zrobiłaś?
- Bo tak mi się podobało. Rozpalił mnie cały ten wymagowany seks. Dziewczyna może się podniecić, nie będąc zakochaną, prawda?
- I rozczarowałaś się, tak? – warknęła gniewnie Trafford. – Fantazje fantazjami, ale jak przyszło co do czego, to nie sprostałem twoim oczekiwaniom, tak?
- Och, proszę cię, Traffordzie – westchnęła – nie wyjeżdżaj mi tu ze swoim męskim ego. Odbiliśmy stosunek i na tym koniec. Nawet przez myśl mi nie przemknęło, żeby to ciągnąć. Wiesz, że nikogo nie mam. Bardzo ciężko na to pracowałam.
- Ale ty wiedziałaś, co do ciebie czuję. Jak mogłaś mi się oddać, wiedząc, że cię kocham, podczas gdy tobie było to zupełnie obojętne?
- Już pytałam, Traffordzie, czy wolałbyś, żeby do tego nie doszło?

Trafford znowu puścił to pytanie mimo uszu. Sandra Dee nie dawała za wygraną.

– No, przyznaj się. Gdybym powiedziała: „Traffordzie, nie kocham cię i nie chcę nawiązywać z tobą żadnego poważnego romansu, ale ten jeden jedyny raz ci się oddam”, byłbyś zadowolony? Odpowiedziałbyś: „Jeśli tak ma się sprawa, skoro mnie nie kochasz, to nie mogę. Byłoby to potem dla mnie zbyt bolesne”? Nie. Jestem pewna, że bym tego od ciebie nie usłyszała. Przeleciałbyś mnie bez względu na wszystko. Przyznaj.

Odpowiedź nasuwała się sama, ale Trafford za nic by nie przyznał, jak brzmi. Zamiast tego, podobnie jak rzesza innych odrzuczanych wcześniej kochanków, postanowił Sandrze Dee zaimponować i pochwalić się, do jak heroicznego aktu poświęcenia się przygotowuje. Jeszcze pożałuje, kiedy się dowie, kim wzgardziła.

– No cóż – westchnął – to i tak nie ma teraz większego znaczenia, bo długo już tu nie zabawię.

– Doprawdy? Śpieszysz się dokądś?

– Nie. Zamierzam wszcząć rewolucję.

Zaskoczona Sandra Dee roześmiała się z niedowierzaniem.

– Co ty wygadujesz? Jaką znowu rewolucję?

– Świątynia chce wykreować moją córeczkę na symbol. No dobrze, niech będzie symbolem. Sam zrobię z niej symbol, ale nie symbol ślepej wiary, tylko symbol rozumu.

Sandra Dee spoważniała.

– Jak zamierzasz to przeprowadzić? – spytała.

– Emocjonalną kulminacją kampanii „Cuda się zdarzają” ma być Festiwal Wiary na stadionie Wembley.

– Wcale mnie to nie dziwi. Świątynia urządziłaby na Wembley festyn nawet w podzięce za wprowadzenie nowego rodzaju kanapek do oferty Burger Kinga.

– Tak, ale to będzie naprawdę kolosalne wydarzenie, ukoronowanie ogólnonarodowej celebracji z okazji ustąpienia plag odry i świnki.

– No i?

– Moja rodzina będzie w samym centrum tego wydarzenia. Chantorria i ja mamy zaprezentować narodowi Caitlin Happymealę, żywą. Planowany jest ponowny chrzest, na którym otrzyma nowe imię, Aniela, i zostanie poświęcona Bogu. Pomyśl tylko: chcą z tego maleństwa zrobić zakonnice. Chcą, żebyśmy z Chantorrią oddali nasze dziecko Bogu.

– I co zamierzasz? – spytała Sandra Dee z zatroskaną miną, która sugerowała, że domyśla się, co planuje Trafford.

– Kiedy wezwą mnie do złożenia oświadczenia, że zrzekam się praw do Caitlin, ja, zanim ktokolwiek zdoła zamknąć mi usta, obwieszczę całemu narodowi, że Caitlin żyje, bo kazałem ją zaszczepić.

Sandra Dee na chwilę zaniemówiła z wrażenia. Przecież to,



co umyślił sobie Trafford, równa się samobójstwu.

– Zabiją cię na miejscu – wykrztusiła, trochę ochłonawszy.

– Trudno, rewolucje to ryzykowny interes – odparł Trafford. Pomimo całej powagi tego, co zamierzał, upajał się dramatyzmem chwili i reakcją Sandry Dee na jego słowa.

– A jeśli zabiją Caitlin? – spytała.

– Dlaczego mieliby ją zabić? Ona nie popełniła tego grzechu, jest niewinna, a poza tym nie sądzę, żeby nawet wembleyska gawieź spokojnie patrzyła, jak spowiednicy mordują niemowlęta. Moim zdaniem zostawią ją w spokoju.

– A co z Chantorrią?

– Powiem, że o niczym nie wiedziała.

– A jeśli nie uwierzą?

– Trudno, jej strata. Nie rozumiesz, co to może oznaczać, Sandro Dee? To niepowtarzalna okazja zrobienia czegoś naprawdę nadzwyczajnego, zasiania ziarna zwątpienia w umysłach milionów ludzi. Świątynia sama rozslawiła Caitlin na cały kraj swoim żalonym przesłaniem, że cuda się zdarzają. Ja mogę postawić to przesłanie na głowie! Taka okazja już się nie powtórzy.

– Okazja do zostania męczennikiem! Traffordzie, ty aż się prosisz, żeby cię zabito! Dlaczego?

– A dlaczego ludzie poświęcają się dla sprawy, w którą wierzą? Uważam to za swój obowiązek.

– Wypełniasz już swój obowiązek, będąc Humanistą. Jesteś chodzącym archiwum, światłym człowiekiem, który stara się nieść między lud kaganek oświaty. To jest twoje powołanie, twój obowiązek.

– Teraz nadarza się okazja, by oświecić za jednym zamachem miliony!

– I tak nie będą cię słuchali.

– Będą. Postaram się o to. A wysłuchawszy mnie, zaczną

się zastanawiać, czy ich dzieci też nie dałoby się uratować. Szacuję, że jeśli zachowam na scenie zimną krew i nie odkryję przedwcześnie kart, będę miał na wystąpienie dobrych parę minut. Uśpię ich czujność zachwytnymi nad cudownym ocale-  
niem Caitlin przed pomorem. Podziękuję nawet Miłości, a potem, zanim się zorientują, do czego zmierzam, powiem o szczepieniu. Mogę nawet przypisać część zasługi Bogu, to ich zbije z tropu. Pomyśl tylko, Sandro Dee! Który Humanista miał kiedykolwiek taką sposobność obnażenia szaleństwa Świątyni?

– A kto z Humanistów się ostanie, jeśli to zrobisz? – spy-  
tała gniewnie Sandra Dee. – Nie zabiją cię od razu, najpierw  
wszystko z ciebie wyciągną torturami. Co się stanie z bibliote-  
ką? Co z resztą naszych towarzyszy?

– O bibliotece się nie dowiedzą, bo będą szukali szczepi-  
ciela, nie Humanisty. O szczepieniach opowiem im wszystko  
sam z siebie, bez bicia. Niczego nie będę ukrywał. Opowiem  
ze szczegółami. Opowiem z dumą, tak jakbym dowodził, że  
mam rację. Dlaczego miałiby drażnić głębiej?

– I wydasz im Cassiusa?

– No... najpierw go oczywiście ostrzeżę. Będzie musiał  
zniknąć. Jeśli zachowa ostrożność, wywinie się, to sprytny  
gość. Tak czy owak, jestem pewien, że zgodzi się ze mną, iż  
warto zaryzykować. To jedyna okazja, żeby obrócić machinę  
propagandową Świątyni przeciwko niej samej.

– A co ze mną? Spotykaliśmy się przecież sam na sam.  
Jeśli to odkryją?

– Dlaczego miałiby odkryć? Jak?

– W marinie są kamery telewizyjne. One są wszędzie.

– Dlaczego miałyby namierzyć właśnie nas? Zawsze  
przychodzimy tutaj w tłumie. Nikt nie zwraca na nas uwagi. A  
zresztą, nie będą szukali, zapewniam cię. Nic nie wiedzą o  
Humanistach, nie wiedzą o nas. Będą szukali szczepiciela i ja

im podam szczepiciela na tacy. Opowiem im o moich spotkaniach z Cassiusem aż do wyprawy na Heathrow, gdzie to zrobił. Wszystko to pokażą również w telewizji. Tak, będą szukali Cassiusa.

- A ciebie prawdopodobnie spalą.
- Tak, jestem na to przygotowany.

Sandra Dee znowu nie odzywała się przez dłuższą chwilę. Siedzieli w kołyszącej się na kotwicy łódce, zatopieni każde w swoich myślach.

– Ty naprawdę chcesz to zrobić? – zapytała w końcu Sandra Dee.

- Tak. Zdecydowanie. Już postanowiłem.
- I zrobiłbyś, gdybym powiedziała, że cię kocham?
- No... nie wiem. Chociaż, tak. Jeśli się dobrze zastanowić, chyba na pewno bym zrobił. Zażądano ode mnie, żebym ze sceny na Wembley ogłosił, że Caitlin przeżyła dzięki boskiej interwencji. Żebym podziękował głupiemu, złośliwemu, mściwemu, pozbawionemu logiki, niemoralnemu, szalonemu bożkowi, który, jak wszystko na to wskazuje, istnieje tylko w wyobraźni kretynów i kreatur żądnych władzy. Naprawdę wierzę, że lepiej umrzeć niż to zrobić.

– Wobec tego – powiedziała Sandra Dee – chyba ci się oddam, jeśli chcesz.

- Prezent na pożegnanie?
- Traktuj to jak chcesz.
- Cóż, nie powiem nie. Jak mógłbym nie chcieć?

Trafford i Cassius udali się jeszcze raz do Hampstead, gdzie w wytwornym salonie Connora Newbury'ego Trafford ponownie wystąpił przed Senatem Humanistów. Przedstawił im swój pomysł wykorzystania okrzyku „Dar win” jako hasła rozpoznawczego i zakomunikował, że pierwsza paczka poczty jest już przygotowana do wysyłki, a program wyzwalający zainstalowany.

– Wyszukiwarka stat-rozu wytypowała już naszą docelową grupę odbiorców – mówił – i jesteśmy gotowi do nawiązania z nimi kontaktu.

– No i ilu ich się nazbierało? – zapytał Billy Macallan.

– Dwanaście milionów – odparł Trafford.

Olbrzym o mało nie wypuścił z ręki filiżanki z herbatą.

– Dwanaście milionów? – wykrztusił. – Kurde, toż to połowa populacji!

– Wiem – przyznał Trafford. – Próbowałem z innymi parametrami wyszukiwania i liczby były jeszcze bardziej szokujące. Kiedy na przykład wydałem komputerowi polecenie wyselekcjonowania osób, które w swoich blogach napomykają, że zdarza im się czasami unikać grulania, znalazł czternaście milionów. Na tej podstawie wywnioskowałem, że większość społeczeństwa naszego kraju jest prywatnie niezadowolona z sytuacji i w głębi duszy sfrustrowana, niespełniona oraz

nieszczęśliwa.

– To by oznaczało, że jeśli nasz profil wyszukiwania jest właściwy, to gmach Świątyni rzeczywiście stoi na ruchomych piaskach – zauważył Cassius.

– Otóż to – podchwycił Trafford. – Jeśli uda nam się nakłonić wytypowane przez komputer osoby do noszenia w widocznym miejscu symbolu „Dar win”, przekonają się nacznie, ilu ich jest, i to doda im odwagi! Kiedy ruszy już na dobre akcja rozsyłania poczty, naszym następnym krokiem powinno być umawianie się w tej korespondencji na spotkania z podaniem dnia, godziny i miejsca. Frekwencja powie nam, czy ludzie połknęli haczyk. Jeśli nasze podejście psychologiczne jest właściwe, to wkrótce zbierzemy rzeszę ludzi wystarczająco liczną, by ustanawiać Prawa Wembley!

Projekt był genialny, miał taki potencjał, że w pokoju zrobiło się na chwilę cicho jak makiem zasiał.

– Tak – przerwała tę ciszę profesor Taylor – to chyba możliwe. Większość rewolucji aż do chwili wybuchu wydaje się z góry skazana na niepowodzenie. Rok przed wybuchem rewolucji rosyjskiej Lenin był nic nieznaczącym banitą skupiającym wokół siebie garstkę zwolenników. Wystarczyło zaledwie jedno pokolenie, by chrześcijaństwo, z początku wyznawane przez jedną z podziemnych sekt, wybiło się na oficjalną religię cesarstwa rzymskiego.

– Racja! – podchwycił z zapalem Trafford. – I jestem przekonany, że mamy idealny wyzwalacz do wszczęcia naszej rewolucji. Do rozsyłania poczty powinniśmy przystąpić dzień przed najbliższym Festiwalem Wiary, tym, podczas którego Świątynia zamierza przedstawić moją córeczkę jako dowód miłosierdzia Miłości.

I tu Trafford przedstawił Senatowi plan, który już wcześniej wyjawiał w ogólnych zarysach Sandrze Dee:

– Zamierzam się przyznać, że kazałem zaszcześcić Caitlin

Happymealkę, ale przedtem nakłonię tłum do skandowania hasła „Dar win”. Będę w koszulce z nadrukiem „Dar win” na piersiach. Znak ten rozpoznają miliony ludzi, którzy otrzymali od nas e-mail! Do tego czasu część z nich będzie już po lekturze naszego konspektu na temat teorii ewolucji i naraz ujrzą człowieka z symbolem tej teorii na koszulce, wyjaśniającego, że to nauka, nie wiara, może ratować dzieci, ale Świątynia do tego nie dopuszcza. Nie powtórzy się więcej tak doskonała okazja do zapoczątkowania zmian.

Zareagowali nerwowo, co było zrozumiałe. Ich mały ruch przez tyle czasu był statyczny, nic więc dziwnego, że trudno im było zaakceptować tak odważny i radykalny projekt.

– Ależ to niebezpieczne – wybąkał w końcu Newbury.

– Słuchaj, Newbury – powiedział Cassius – po samym Traffordzie najbardziej zagrożony jestem ja, a mimo to uważam ten plan za genialny.

– Powiadam wam, to najlepszy moment! – wykrzyknął Trafford. – Bunt dojrzewa. Dowodzi tego nasz zadany profil. Naród przypomina tykającą bombę zegarową i nadarza się wreszcie sposobność zdetonowania jej na pohybel Świątyni.

Trafford, przekonawszy Senat do swojego projektu, opuścił dom Newbury'ego bardzo podniecony. Pozostało mu teraz przygotowanie tekstu wystąpienia na Wembley. Musiał być skonstruowany z zegarmistrzowską precyzją, zaczynać się całkiem niewinnie, subtelnie ewoluować i kończyć detonacją z takiego zaskoczenia, by do ludzi dotarło, co usłyszeli, zanim starszyzna Świątyni zdąży interweniować. Najważniejszy będzie moment, w którym wyjaśni, dlaczego Caitlin Happy-mealka wciąż żyje: to jest klucz.

Niestety, Traffordowi nie było dane wyjaśniać, dlaczego jego córeczka wciąż żyje, ponieważ nazajutrz po spotkaniu z Senatem Humanistów, biedna malutka Caitlin Happy-mealka dostała biegunki i zaczęła wymiotować. Do wody pitnej dostarczanej do Inspiration Towers przeniknęły zarazki cholery plus. Pochorowali się wszyscy lokatorzy, ale ofiara śmiertelna była tylko jedna: zmarło jedyne na osiedlu niemowlę. Wyszło na jaw, że Caitlin Happy-mealka nie jest mimo wszystko cudownym dzieciątkiem.

Świątynia, by ratować twarz, zareagowała błyskawicznie. Od śmierci dziecka nie upłynęły jeszcze dwadzieścia cztery godziny, a z ulic i cyberprzestrzeni znikły wszelkie ślady kampanii „Cuda się zdarzają”. O tragedii nie poinformowano nawet w wiadomościach. Teraz, kiedy Caitlin odeszła, można

było odnieść wrażenie, że wcale jej na tym świecie nie było, nigdy na niego nie zawitała.

Trafford i Chantorria byli tak zaślepieni rozpaczą, że przez kilka dni nie dostrzegali, jak radykalnie obniżyła się ich pozycja we wspólnocie. Siedzieli otępiali w swoim mieszkaniu, starając się pogodzić z pustką dziecięcego łóżeczka, ubrankami i zabawkami, którymi nikt się już nie pobawi. Jeśli nawet zauważali, że nikt do nich teraz nie zagląda ani nie próbuje się z nimi kontaktować poprzez sieć, składali to na karb zażenowania ludzi i uszanowania ich żałoby.

Czwartego dnia Chantorria wyszła. Ból, zamiast mijać, narastał, postanowiła więc odwiedzić spowiednika Baileya. On z pewnością znajdzie jakieś słowa pociechy, które pomogą jej przetrwać ten trudny okres. Ale dziewczyny, która nie dalej jak w ubiegłym tygodniu dostąpiła zaszczytu namaszczenia stóp spowiednika drogocennymi olejkami, nie wpuszczono nawet za próg drzwi frontowych. Od służącego, który kłaniał się jej kiedyś w pas, usłyszała, że Miłość już jej nie kocha i że jeśli chce się widzieć ze spowiednikiem, niech przyjdzie, jak wszyscy, na publiczną spowiedź. Po drugie, ma nigdy, ale to nigdy więcej nie przychodzić na plebanię niezapraszana.

Chantorria stała się dla spowiednika Baileya osobą niewygodną. Wywyższył ją nieopatrznie z ambony i teraz bał się, że to podważy jego wiarygodność. Przez nią wyszedł na człowieka błędzącego, w związku z czym nie chciał mieć z nią więcej nic wspólnego. Kiedy noga za nogą wracała do domu, napotykanii po drodze ludzie rozpoznawali ją, parskali, szeptali coś między sobą i wytykali palcami. Niektórzy chichotali.

Na schodach Inspiration Towers spotkała Tinkerbelcię.

– Caitlin umarła, tak? – spytała bez ogródek Tinkerbelcia, nie siląc się nawet na słowa powitania. – Znaczy, będziesz miała teraz mnóstwo wolnego czasu, nie? Może pozalatatwiasz mi parę spraw?



Chantorria, wciąż jeszcze otepiała z bólu i przybita tragedią, nie od razu zrozumiała skalę animozji wywołanej jej krótkotrwałą rolą faworytki Świątyni. Przecież Tinks, najlepsza przyjaciółka, nie może być chyba wobec niej taka jak inni?

- Tak pusto teraz w naszym mieszkaniu – szepnęła.
- Co ty powiesz? – prychnęła Tinkerbelcia.
- Siedzimy z Traffordem i nie odzywamy się do siebie.

Nie wiemy, co powiedzieć.

- Tak, on zawsze był trochę dupowaty, nie?
- Wpadniesz do mnie od czasu do czasu na kawę albo kieliszek wina, Tinks? Naprawdę nie wiem, jak się po tym wszystkim pozbierać.

– Na kawę i kieliszek wina? – powtórzyła chłodno Tinkerbelcia.

- Tak, albo tylko porozmawiać.

Tinkerbelcia nachyliła się do Chantorrii.

– Słuchaj no, ty nadęta suko – wyszczała jej prosto w twarz. – Byłaś taka ważna i nadęta, kiedy myślałaś, że jesteś, cholera, ulubienicą Boga, tak?

– Nie! Wcale taka nie byłam... – zaprotestowała słabo Chantorria.

– Byłaś, kurde, jeszcze jak byłaś. Skakało dookoła ciebie całe osiedle. A teraz się okazuje, że w niczym nie jesteś lepsza od innych. Gównu obchodzisz Pana i Miłość. I gównu obchodził go twój bachor. Może zaprzeczysz? Bo umarł, może nie? Tak samo jak nasze dzieci. Ale żadna z nas przynajmniej nie trąbiła naokoło, że jej dzieci są święte. Żadna z nas nigdy nie pozowała na Dziewicę, kurde, Maryję, ani nie robiła ze swoich maleństw Jezusków, kurde, Chrystusków. Żadna! Ty jedna! Ty, Chantorrio, ze swoją złotną Caitlin, kurde, Happymealką, uważałaś się za wybraną, zgadza się? O nie, nigdy więcej, kochana. I radzę ci się z tym pogodzić!

- Nie mów tak, proszę – wyszlochała błagalnym tonem

Chantorria. Łzy spływały jej po policzkach.

– Spowiednik raczył zwrócić na ciebie uwagę, a ty zaraz uznałaś, że słońeczko opromieniło ci zadek. No, to teraz masz za swoje! I nie wchodź mi więcej w drogę, słyszysz? Bo ośmieszylaś nas wszystkie, tak, skompromitowałaś nas. Ja sama, głupia, posłałam mojego Lexusa, żeby reperował ci prysznic. Własnoręcznie ondulowałam twoją wyleniała cipę. Teraz zostałaś sama, bo przyniosłaś wstyd całemu osiedlu Inspiration Towers, tak, zhańbiłaś je. Przez ciebie wyszliśmy na durniów i teraz wszyscy chcemy, żebyś zrobiła to samo, co twój dzieciak, i wyciągnęła, kurde, kopyta.

Chantorria z płaczem uciekła przed prześladowczynią. Wpadła do mieszkania, ale i tam nie znalazła azylu. Na ścianie czekała na nią Barbiella.

– Proszę, proszę, Święta Bogurodzica we własnej osobie – zaszydziła na powitanie.

– Błagam cię, Barbiello – załkała Chantorria – dlaczego wszyscy są wobec mnie tacy okrutni? Przecież niedawno umarło mi dziecko!

– Im wszystkim poumierały dzieci, złociutka, ale nikt nie ogłaszał się z tego powodu kimś szczególnym, tak jak ty, zgodzisz się ze mną? – odparła Barbiella, zupełnie nie przejmując się tym, że niezupełnie tak było. – Nie wystawiali naszego bloku na pośmiewisko, twierdząc, że ich zasmarkaniec to nowy Mesjasz, a w twoim przypadku Mesjaszka. Nie, skarbie, tylko ty się do tego posunęłaś, może nie? Jak sobie pościeliłaś, tak teraz śpij, bo nikt już nie chce cię znać.

To powiedziawszy, Barbiella wyciszyła fonię i ostentacyjnie odwróciła się plecami do kamery – a przynajmniej odwróciła o taki kąt, na jaki pozwalał jej rozlazły, nieruchawy korpus.

– Proszę cię, Barbiello, błagam! – krzyczała Chantorria, zanosząc się płaczem, ale Barbiella, otwierająca nową torbę

prażonej kukurydzy z serem, nie zwracała na nią najmniejszej uwagi.

Chantorria osunęła się z łkaniem na podłogę. Trafford też na nią nie patrzył. Siedział przy pustym łóżeczku Caitlin Happymealki. Od czterech dni prawie się od niego nie ruszał. Odezwał się teraz, ale tak jakby mówił w przestrzeń:

– Pies drapał tę głupią żołą, Chantorrio. Kogo obchodzi opinia Barbielli? Kogo obchodzi opinia kogokolwiek? Wszystko to marność nad marnościami.

Chantorria uniosła głowę i wlepiła wzrok w Trafforda. Przez całą minutę wpatrywała się w niego i w końcu Trafford też na nią spojrział.

– O co chodzi? – spytał.

– O ciebie. – Jej głos przepełniony był goryczą. – O ciebie, sukinsynu. To wszystko twoja wina.

Trafford osłupiał. Nie sądził, że jest tego dnia zdolny do jakichkolwiek myśli czy uczuć, ale zarzut Chantorrii wyrwał go z tego marazmu.

– O czym ty, do cholery, mówisz?

– Wszystko zaczęło się psuć, od kiedy zrobiłeś, co zrobiłeś!

– Wszystko zaczęło się psuć, od kiedy uwierzyłaś, że jesteś wybrana. Jeśli ludzie się teraz od nas odwracają, to tylko dlatego, że robiłaś z siebie widowisko, wierząc, że to Bóg ocalił Caitlin.

Chantorria rzuciła się na niego.

– A ty ją może ocaliłeś, sukinsynu!?! – wrzasnęła. – Twoje cudowne szczepienie nic nie dało!

– Uodporniło ją na odrę i świnkę! A umarła na cholere, Chantorrio. Przeciwno cholerze nie została zaszczepiona. Szczepienia to żadne czary, żadne cuda-niewidy, o których plecie Świątynia, to naukowo potwierdzony proces, który...

– Zamknij się! Zamilcz! Nie chcę tego słuchać! Mówię ci,

że wszystko zaczęło się psuć, od kiedy zrobiłeś, co zrobiłeś. Przedtem jakoś nam się układało.

Zabębniła pięściami w jego klatkę piersiową. Chcąc nie chcąc, złapał ją za nadgarstki.

– Caitlin nie żyje! – wykrzyczał jej w twarz. – Nic więcej się nie liczy, ani ty, ani ja, a już na pewno nie to zidiociałe towarzystwo... – Wykonał gest w kierunku sieciowizora. – Caitlin nie żyje i nic na to nie poradzimy. Nie była cudownym aniołkiem, ale była naszym aniołkiem, a teraz jej nie ma.

Chantorria powoli się uspokajała. Osunęła się na podłogę i do końca wieczoru już się do siebie nie odzywali. W końcu, kiedy pokój pogrążył się ciemnościach, Chantorria przeniosła się z podłogi na łóżko. Trafford pozostał przy łóżeczku Caitlin. Żadne z nich nie spało. Każde osobno i samotne, pogrążone w żalobie, zapoczątkowało na swój sposób proces przetrwania nocy.

Okolo drugiej nad ranem huknęło, błysnęło i na ściennym ekranie pojawiła się Tinkerbelcia w otoczeniu koleżanek. Wszystkie były pijane, twarze miały zaczerwienione i wstrętne i postanowiły wpaść na czat.

– Czołem, Chantorrio! – krzyknęła Tinkerbelcia, jak zwykle przewodniczka stada. – Odmawiasz może paciorek? Zastanawialiśmy się właśnie z dziewczynami, co też nasza święta porabia tej nocy. Nic specjalnego, jak widać na załączonym obrazku, co? Nie poczniesz drugiego dzidziusia, skoro ty w łóżku, a on w kuchni, prawda? A może jednak poczniesz? No, to by dopiero był cud!

Dziewczyny stłoczone przed kamerą sieciową Tinkerbelci ryknęły śmiechem.

– Wpadniesz nas pobłogosławić, Chantorrio? – szydziła inna uczestniczka imprezy. – Załóż aureolę i przyjdź zaśpiewać nam hymn!

Trafford siedział z zamkniętymi oczyma i słuchał obojętnie

tych wybuchów pijackiego śmiechu i wrzasków. Zdawało się to ciągnąć godzinami. Nie chciało mu się nawet sięgnąć po pilota, żeby wyciszyć fonię. Wyśmiewany czy nie wyśmiewany, co to za różnica teraz, kiedy Caitlin Happymealki już nie ma? Chantorria też leżała na łóżku, nie odzywając się, zbyt chyba zdruzgotana, żeby nawet błagać o zmiłowanie.

W końcu towarzystwo, zniechęcone brakiem reakcji na zaczepki, dało za wygraną. Powrócił spokój, ale nie przyniósł ukojenia. Trafford nie spał już którąś noc z rzędu, a łkanie dobiegające z sypialni świadczyło, że Chantorria także nie śpi.

Nazajutrz wypadała fiz-ność i Trafford musiał opuścić swój posterunek przy pustym łóżeczku, żeby coś zjeść i przygotować się do wyjścia do pracy. Żaloba, jako okoliczność zbyt powszechna, nie wystarczała na usprawiedliwienie nieobecności. Wprost przeciwnie, od pogrążonych w niej osób oczekiwano, że będą szukały większego audytorium, by wyrazić przed nim swoją rozpacz.

– To na razie – mruknął, otwierając drzwi. – Wracając, kupię coś do jedzenia i w ogóle, słyszysz? Chyba że sama chcesz zrobić zakupy?

Chantorria odwróciła się i spojrzała na niego zapadniętymi oczyma. Trafforda na chwilę zamurowało. Pierwszy raz widział ją taką. Wyglądała jak zombie.

– Znaczy – mruknął – sam mogę to zrobić. Tylko pomyślałem sobie, że może dobrze by ci zrobiło, gdybyś miała jakieś zajęcie i wyszła rozprostować nogi.

Chantorria nadal milczała. Jej twarz coraz bardziej przypominała Traffordowi oblicze trupa.

– No nic – bąknął w końcu, nie doczekawszy się odpowiedzi. – Na razie. Dzwon, jeśli będziesz czegoś potrzebowała.

Sięgał już do klamki, kiedy wreszcie się odezwała:

– Zasłużyliśmy sobie na to – powiedziała niesamowicie

monotonnym, grobowym, przyprawiającym o ciarki głosem.

- Proszę cię, Chantorrio, przestań.
- Próbowaliśmy przechytrzyć Boga.
- Nikogo nie próbowaliśmy przechytrzyć...
- On miał swój plan, a my chcieliśmy mu go pokrzyżować. Teraz nas za to karze.

Traffordowi przemknęło przez myśl, żeby jeszcze raz przemówić jej do rozsądku, ale jeden rzut oka na pozbawioną życia i wszelkiej nadziei bezduszną zjawę, która była kiedyś jego żoną, odwiódł go od tego.

- Postaram się wrócić jak najszybciej – powiedział.

Kiedy Trafford wchodził do biura, Księżniczka Piczka już tam na niego czekała, wyraźnie żądna rewanżu za ten krótki okres samostanowienia, którym cieszył się Trafford, będąc faworytem Świątyni. Fakt, spodziewał się jakichś nieprzyjemności, ale zaskoczyła go forma, w jakiej został na powitanie potraktowany. Ni mniej, ni więcej, Księżniczka Piczka uderzyła go. Przymaszerowała przez salę i z całych sił, jakie drzemały w mięśniach jej grubego jak słoniowa noga ramienia, wymierzyła mu policzek. Zatoczył się.

– Gnojku jeden! – krzyknęła. – Cały stat-roz się z nas śmieje. Dostałam już chyba z tysiąc e-maili! Opowiadałam im, że jesteśmy błogosławieni, że mamy w swym gronie proroka. I jak teraz wyglądam? Coś ci powiem, ty koniowale zasrany. Od teraz obserwuję każdy twój ruch i spróbuj źle stąpnąć – co kiedyś ci się przydarzy – i już nie żyjesz.

Trafford, nic nie mówiąc, ruszył do swojego biurka. Kiedy mijał Cassiusa, ten ledwie zauważalnym skinieniem głowy przekazał mu kondolencje. Sandry Dee nie było na jej stanowisku pracy, nigdzie jej nie widział.

Księżniczka Piczka, obserwująca go i czekająca tylko, jak uczciwie zapowiedziała, na najmniejsze jego potknięcie, zauważyła, że się rozgląda.

– No co tak wypatrujesz oczęta? – wyszczała. – Ta kurwka, do której od pewnego czasu się ślinisz, skrewiła dzisiaj i nie przyszła. Dobrze wie, że na nią też jestem cięta. Zresztą i tak nie jesteś już jej do niczego potrzebny, no nie? Wydało się, że nie jesteś darzony żadnymi specjalnymi względami przez Pana i Miłość.

Nieobecność Sandry Dee jeszcze bardziej przygnębiła Trafforda. Miał nadzieję, że ją zobaczy, że jej uśmiech go podbuduje i pomoże przetrwać ten dzień. Po śmierci córeczki miłość do Sandry Dee pozostała jedyną pozytywną emocją, jaką odczuwał. Nie taką, żeby zapełniła kiedykolwiek pustkę, która pozostała po Caitlin Happymealce, tej nigdy nie da się zasypać, ale widok Sandry podniósłby go na duchu.

Ciekawe, gdzie ona się podziewa?

W tym momencie rozsunęły się drzwi windy i z kabiny wyszli dwaj policjanci, którym towarzyszył przedstawiciel Świątyni. Ruszyli bez słowa w stronę biurka Trafforda, ale dopiero kiedy nad nim stanęli, ten uświadomił sobie, że przyszli po niego.

– Traffordzie Sewellu – powiedział przedstawiciel Świątyni – jesteś aresztowany za występki przeciwko wierze.

Trafford instynktownie spojrzął na Cassiusa. Na twarzy przyjaciela malował się strach.

Po wyjściu Trafibrda do pracy Chantorria ogoliła na zero głowę, włożyła najbielsze bikini, jakie miała, oraz aureolę, którą tak niedawno się szczyciła, ale odwrotnie. Następnie udała się do sex shopu i w dziale sadomaso nabyła kotka o dziewięciu pazurkach. Tak wystrojona i wyposażona zaczęła spacerować po dzielnicy, biczując się i wydzierając na całe gardło, że jako grzesznica powinna zostać ukarana przez Pana i Miłość. W końcu, z poranionymi i zakrwawionymi plecami, podeszła pod plebanię, do której poprzedniego dnia jej nie wpuszczono.

Ponownie stanęła w progu i poprosiła o widzenie ze spowiednikiem. I tym razem nie pozwolono jej wejść, ale zaczęła tak wyć i wrzeszczeć, że spowiednik Bailey podszedł do drzwi i zagroził, że jeśli nie odejdzie, wezwie policję.

– Zasłużyłam tylko na karę – skamlała Chantorria. – Nie ma dla mnie wybaczenia. Chcę się wypowiadać.

– To spowiadaj się i zjeżdżaj – burknął spowiednik Bailey.

– Mój mąż kazał zaszcześcić nasze dziecko, a ja na to patrzyłam i nic nie robiłam! – wrzeszczała Chantorria. – Teraz Miłość zabrała Caitlin, karząc mnie za to sprzeniewierzenie.

Bailey, który nie spodziewał się aż tak ważnego wyznania, kazał natychmiast wpuścić Chantorrię, zaprowadzić ją do



piwnicy i wezwać dzielnicowego inkwizytora. Czekaając na przybycie tego ostatniego, wzburzony ze wszech miar występkiem Chantorrii, złapał za bicz i jął chłostać nieszczęsną, a ona wyla się i skowyczała na cementowej podłodze. Na świadków wymierzania kary poproszona została cała służba i najlepiej zbudowani, najsilniejsi z nich przejmowali od spowiednika bicz, kiedy ten się zmęczył.

Kiedy Bailey, zarządziwszy przykucie Chantorrii łańcuchami do stołu z nieheblowanego drewna, zamówił ciasteczka i wino, żeby zregenerować siły, zjawił się brat Pokuta. Dzielnicowego inkwizytora rzadko widywało się za dnia; naturalnym środowiskiem tego osobnika były zaciemnione pokoje, mroczne cele i w ogóle noc. W odróżnieniu od większości urzędników Świątyni był chudy jak szczapa, po prostu skóra i kości. Tę skórę, której dużo nie było, gęsto pokrywały tatuaże. Powierzchnia ciała inkwizytora stanowiła istną galerię okultystycznych symboli i koszmarnych scen z życia piekła, których rozmaite diabelskie kreatury wykorzystywały seksualnie i torturowały grzeszników. Na czole wypisane miał gotykiem: „Nie pytaj, komu bije dzwon, bije on tobie”. Brat Pokuta jeździł po terenie parafii riksą, którą ciągnęło czterech skaźców. Wszędzie woził ze sobą podręczne narzędzia tortur w postaci wymyślnych śrubsztaków i cęgów. Wpadłszy na plebanię Bailey'a, kazał się bezzwłocznie zaprowadzić do grzesznicy, która otruła swoje dziecko. Do wymuszenia zeznań nie były w tym przypadku potrzebne żadne śrubsztaki ani cęgi, bo Chantorria aż się paliła do zrzucenia z siebie brzemienia winy.

– Jestem grzesznicą! – wyszlochała ze stołu, na którym leżała przykuta łańcuchami. Zasłużyłam na karę. Mój mąż sprowadził naszą rodzinę na złą drogę sprzeniewierzenia się Bogu!

– Na ulicę z nią – rozkazał brat Pokuta.

– Nie lepiej, bracie, gdyby na jakiś czas została tutaj? – zaprotestował spowiednik Bailey. Był czerwony na twarzy, usta miał obślinione. – Znam tę grzeszną niewiastę i pracując nad nią osobiście, może więcej z niej wydobędę.

Spowiednik Bailey stał obok stołu, na którym rozpięto Chantorrię. Zrzucił paradną opończę i złotą przepaskę i był nagi, nie licząc białych butów z cholewami i wysadzanych drogimi kamieniami kolczyków zdobiących jego intymne narządy, teraz skrzących się i połyskujących w słabym blasku piwnicznej żarówki.

– Na ulicę, powiedziałem – powtórzył brat Pokuta i odwrócił się na pięcie.

Spowiednik Bailey, choć wściekły, przełknął to upokorzenie. Inkwizycja była instytucją, z którą nawet on wolał nie zadzierać. Chantorrię wywleczono z piwnicy na parter plebanii, a stamtąd na ulicę, gdzie zebrał się już wiwatujący tłum gapiów. Przywiązano ją za nadgarstki do rikszy i brat Pokuta zaciął batem czwórkę skazańców. Riksza ruszyła ostro, a Chantorria pocwałowała za nią.

Trafforda zabrano z za jego biurka w stat-rozie i przetransportowano łodzią do kwatery głównej Inkwizycji Jeziora Londyńskiego. Było to zaiste upiorne miejsce, o którym jeśli się mówiło, to tylko szeptem. Inkwizycja zajmowała wielką kopułę największej niegdyś katedry w metropolii. Nazywano ją Cycek, bo przypominała kształtem chirurgicznie podrasowaną kobietą pierś.

Dolne partie katedry pozostawały niewykorzystane, a to z powodu kapryśnej Tamizy, która potrafiła niespodziewanie wystąpić z brzegów i je zalać. U podstawy kopuły, jakieś sześćdziesiąt stóp nad lustrem wody, wylano posadzkę ze zbrojonego betonu, i na niej powstał labirynt cel i biur. Ta wielka półkula, mimo iż została w części zagospodarowana, zachowała jednak coś z pierwotnej akustyki i Trafford, wchodząc tam, słyszał odbijające się od ścian jęki i wrzaski torturowanych.

Poprowadzono go biegnącym kuliście korytarzem naszpikowanym drzwiami cel, z za których dobiegało skamlenie torturowanych, i mniej więcej w połowie długości tego korytarza wepchnięto do pomieszczenia, w którym od razu rozpoznał izbę tortur. Stały tam koła tortur, metalowe klatki, zwisały łańcuchy z hakami, w rozżarzonej palenisku grzały się żelaza do piętnowania, noże, nabijane gwoździami maczugi, hacle,

szpikulce, obcęgi i wiele innych narzędzi, których makabrycznego przeznaczenia Trafford mógł się tylko domyślać.

W izbie znajdowało się sześć osób: strażnik, zwalisty drab obsługujący miechy, które podtrzymywały żar w palenisku, dwaj operatorzy madejowego łoża, zakapturzony inkwizytor oraz nieprzytomna, łysa, zawieszona na zardzewiałej żelaznej kratownicy kobieta, której nagość osłaniało tylko body z krzepnącej krwi. Trafford wzdrygnął się, rozpoznając w niej Chantorrię.

– Dzień dobry, Traffordzie – powiedział inkwizytor, zsuwając z głowy kaptur. – Jestem brat Pokuta mianowany przez Świątynię inkwizytorem twojej dzielnicy. Na moim czole przeczytasz: „Nie pytaj, komu bije dzwon. Bije on tobie”, i z żadnej twarzy nie wyczytałeś jeszcze takiego współczucia, jakie maluje się teraz na mojej. Twoja żona powiedziała nam, że podobno znęcasz się nad dziećmi.

Trafford starał się odciąć od straszego widoku, jaki się przed nim roztaczał, i zebrać myśli. Podczas aresztowania nie poinformowano go, o jaki występek przeciwko wierze jest oskarżony, ale ponieważ aresztowano również Chantorrię, a inkwizytor wspomniał coś o znęcaniu się nad dziećmi, należało chyba domniemywać, że chodzi o zaszczepienie Caitlin Happymealki.

Pomimo przerażenia, które ścisnęło mu żołądek, Trafford dostrzegł iskierkę nadziei. To by znaczyło, że nie wiedzą jeszcze nic o jego udziale w ruchu Humanistów. Z pewnością stracą go za zaszczepienie dziecka, ale teraz, kiedy Caitlin Happymealki nie było już wśród żywych, Trafford nie bał się śmierci. Bólu owszem, ale nie śmierci. Teraz liczyła się dla niego tylko Sandra Dee, którą kochał, oraz gorąca wiara w Humanizm i odradzającą się potęgę rozumu. Jedyne obowiązki, jaki pozostał mu do spełnienia na ziemi, to chronić te wartości. Jak na zawołanie w jego głowie zrodził się plan.

Jeśli rzeczywiście chodzi im jedynie o szczepienie, to będą pewnie chcieli poznać okoliczności, w jakich doszło do zabiegu, a przynajmniej, kto go przeprowadził. Postanowił nie wspominać o Cassiusie tak długo, jak długo wytrzyma, i mieć nadzieję, że brat Pokuta w porę uzna, że to naprawdę jego jedyna tajemnica, i poniecha drażenia innych tropów.

– Cokolwiek zrobiłem, zrobiłem to sam – powiedział Trafford. – Ani moja żona, ani nikt inny nie mieli z tym nic wspólnego.

– A cóżeś takiego zrobił, Traffordzie? – spytał inkwizytor.

– To moja sprawa.

– Ach, a więc to tajemnica, tak? – zafrasował się brat Pokuta. – Wiem od Chantorrii, że lubowałaś się w tajemnicach. Czy to prawda?

– Nie mogę powiedzieć. To tajemnica – odparł Trafford i sekundę później leżał już na betonowej posadzce z obolałą szczęką, posłany tam potężnym ciosem strażnika.

– Załatwiłeś swojej córeczce szczepienie? – spytał brat Pokuta.

– A jakie to ma teraz znaczenie? – wy stękał Trafford. – Ona i tak nie żyje.

– Właściwą reakcją na pytanie jest odpowiedź, Traffordzie.

Ktoś kopnął go od tyłu. Nie obejrzał się, bo mało go obchodziło, kto to zrobił. Leżał z policzkiem przyciśniętym do wilgotnego betonu i obserwował sandały brata Pokuty podchodzącego do kratownicy, na której wisiała Chantorria, i zatrzymującego się tam. Rozległo się dźwięczne uderzenie metalu o metal i po chwili z nieprzyjemnym plaśnięciem w jego polu widzenia pojawiło się bezwładne, skatowane ciało Chantorrii. Jej posiniaczoną twarz miał zaledwie trzy stopy od siebie. Myślał, że jest nieprzytomna, ale ona uchyliła powieki i

spojrzeli sobie w oczy nad skrawkiem dzielącego ich betonu.

– Przepraszam – stęknął Trafford.

– Zasłużyłam sobie na to – wyszeptała z trudem Chantorria. Wargi miała opuchnięte, powleczone skorupą zakrzepłej krwi. – Oboje zasłużyliśmy. Zgrzeszyliśmy przeciwko Bogu.

– Jeśli Bóg widzi, jak cię traktują, i jeszcze nie grzmi, to zasługuje, żeby przeciwko niemu grzeszyć – odparł Trafford.

– Jest nie lepszy od szatana.

W tym momencie kopnięto go chyba w głowę, bo stracił przytomność, a odzyskawszy ją, stwierdził, że wisi na metalowej kratownicy na miejscu Chantorrii. Twarz miał przyciśniętą do metalu. Z jego nagiego ciała ściekała lodowata woda, a między prętami kraty widział strażnika z pustym wiadrem w ręku.

– Więzień się ocknął, inkwizytorze – oznajmił mężczyzna.

Trafford usłyszał za sobą kroki. Brat Pokuta obszedł kratownicę i znowu przed nim stanął.

– Twoja żona mówi, że z rozmysłem zamieściłeś w sieci film z narodzin nie swojego dziecka. Czy tak było?

– Tak było.

– Mogę wiedzieć, co cię do tego skłoniło?

– Uważam, że człowiek ma prawo do prywatności.

– Nie byłeś dumny z filmu z narodzin swojego dziecka?

– A z czego tu być dumnym? To rzecz naturalna, na którą nie mam żadnego wpływu.

– Ale Świątynia obliguje cię do dumy z każdego aspektu twego życia, Traffordzie – ze wzrostu, z koloru skóry, ze światopoglądu, z twojego gustu w ozdabianiu biżuterią ciała. No, chyba że masz coś do ukrycia. Masz coś do ukrycia, Traffordzie?

– Nic, czego bym się musiał wstydzić, jeśli o to chodzi.

– No to czegoś tu nie rozumiem. Skoro nie masz do ukry-

cia nic, czego byś się wstydził, to po co ci, u licha, prywatność?

Trafford się zastanowił.

– Bo uważam to za fundament mojego poczucia odrębności.

– A przyczyna nie tkwi aby w tym, żeś zbroczeniec albo heretyk?

Trafford nie odpowiedział.

– A może – ciągnął inkwizytor – prywatność potrzebna ci do tego, by oddawać się lekturze?

Traffordowi serce podeszło do gardła, kiedy w rękach inkwizytora pojawił się nie wiadomo skąd egzemplarz *Pochodzenia gatunków*, który widział ostatnio pod swoim łóżkiem obłożony w wyrwaną z czasopisma o celebrytach stronicą, z której nagłówek krzychał: *Kiedy lifting kup erka nie daje rezultatów. Wygrzewajcie pomarszczone zadki na plaży.*

– To książka o historii naturalnej... interesuje mnie historia naturalna.

– Traffordzie, czytanie tego, co napisał ten antychryst Darwin, jest zbrodnią przeciwko wierze.

– Wiem. Jestem zbrodniarzem przeciwko wierze.

– Skąd masz ten paszkwil, Traffordzie?

– Znalazłem. Często znajduję książki. Przez cały czas mam oczy otwarte. Pełno ich wszędzie, jeśli się dobrze rozejrzeć. Głównie na strychach starych ruder, butwieją też na brzegach rozlewisk. Różne rzeczy wypływają na powierzchnię, kiedy podnosi się poziom wody.

Trafford obserwował zza prętów twarz inkwizytora i starał się z niej wyczytać, czy ten mu wierzy. Ale wodnisto niebieskie oczy, w które patrzył, niczego nie zdradzały.

– Przeczytałem kilka stron – podjął brat Pokuta. – Dla mnie to wyssane z palca banialuki.

– Pewnie dlatego, że jesteś taki głupi, na jakiego wyglą-

dasz, bracie.

– Pięć – rzucił brat Pokuta. Trafford usłyszał trzask bicia, świsnęło i skóra na jego plecach pękła z bólem, jakiego nigdy jeszcze nie doświadczył. Dostał jeszcze cztery razy, a kiedy biczowanie się skończyło, płakał i prosił o zmiłowanie.

– Dzisiaj rano – podjął beznamiętnie inkwizytor – twoja żona Chantorria przysłała do swojego spowiednika i wyznała mu, że zaszczepiłeś Caitlin Happymealkę. Czy to prawda?

– Tak, prawda.

Pomimo przejmującego bólu Trafford czerpał siły z tego, że inkwizytor przestał interesować się książkami.

– Powiedziała, że zrobiłeś to mimo jej sprzeciwu – ciągnął brat Pokuta. – Czy to również prawda?

– Tak, prawda. Prosiła mnie, żebym tego nie robił. Błagała.

– Może zatem zostanie oszczędzona. Jednak decyzja należy do Solomona Kentucky'ego i ludu.

Brat Pokuta znowu spojrział na egzemplarz *Pochodzenia gatunków*, który przez cały czas trzymał w rękach, i zaczął go jakby od niechcenia kartkować. Trafford wyteżył umysł, szukając sposobu na odciążenie uwagi inkwizytora od książki.

– Jeśli Chantorria wyznała to wszystko z własnej nieprzymuszonej woli – zaczął, starając się opanować drżenie w głosie – to dlaczego tak ją skatowaliście?

Ku jego uldze inkwizytor z pogardliwym chrząknięciem zatrzasnęła książkę i cisnął ją w palenisko.

– Było to niezbędne dla stwierdzenia, czy mówi prawdę – odparł. – Jest niezaprzeczalnie czarownicą, a czarownice znane są z przewrotności.

– Jaka tam z niej czarownica?!

– Wmawiała dobrym ludziom ze swojej wspólnoty, że jest świętą, a w rzeczywistości była heretyczką, matką diabelskie-



go dziecka. Czyż to nie typowe dla czarownicy?

Trafford milczał. Przez głębokie rany na plecach powoli opuszczały go siły.

– Kto szczepił twoje dziecko, Traffordzie? – zapytał inkwizytor beznamiętnie i Trafford już wiedział, że dopiero teraz zacznie się prawdziwa próba ogniowa.

– Nigdy go nie wydam – odparł. – Starał się ocalić moje dziecko. Nigdy wam nie powiem.

– Powiesz, Traffordzie, powiesz.

– Za nic.

– Dziesięć – mruknął inkwizytor.

Na plecy Trafforda spadła kolejna seria smagnięć. Po kończącym ją dziesiątym uderzeniu był półprzytomny. Następnie wypalili mu na brzuchu i na pośladkach słowo „heretyk” i rozpięli na kole tortur.

Trafford dzielnie znosił te męki, mając wciąż przed oczyma twarz Sandry Dee. To dla niej cierpiał. Osoba Cassiusa służyła za wabik, który odciągnie uwagę brata Pokuty od tajemnicy biblioteki. Gdyby wyszła na jaw, pojmaliby Sandrę Dee. Trafford miał cichą nadzieję, że zanim zdołają go złamać i zmuszą do mówienia, umrze, bo dopiero wtedy tajemnica będzie naprawdę bezpieczna.

Rozciągnąwszy go na kole, jęli razić prądem jego genitalia, a następnie wyrywać paznokcie.

I tutaj wola walki ostatecznie Trafforda opuściła.

– Dosyć! – wrzasnął. – Człowiek, o którego pytacie, ma na imię...

– Cassius – dokończył za niego inkwizytor.

Trafforda zatkało. Przez dłuższą chwilę starał się uporządkować myśli splątane w karmazynowy kłęb.

– Nie rozumiem – wyszeptał w końcu.

– A czego tu nie rozumiesz? – spytał brat Pokuta. – To Cassius, twój kolega z pracy, wbił zatrutą igłę w Caitlin

Happymealkę. Wiedziałem to od samego początku. Cierpiełeś na darmo. Ciekaw byłem, jak długo wytrzymasz. Możesz to nazywać skrzywieniem zawodowym.

– Ale...

– Oczywiście, że wszystko wiedzieliśmy, Traffordzie. Domyśliłbyś się, że wiemy, gdybyś tylko zadał sobie trud i ruszył głową, zamiast kreować się na bohatera. Po raz pierwszy powiedziałeś Chantorrii, że szczepiciel zaproponował ci swoje usługi w dzień fiz-ności. Dodałeś, że to kolega z pracy. Ty powiedziałeś jej, ona nam. Potem wystarczyło przeprowadzić bardzo prosty proces eliminacji i dotarliśmy do Cassiusa. Niestety, w odróżnieniu od ciebie, przechytrzył nas.

– Uciekł?

– Nie żyje.

– Zabiliście go?

– Sam się zabił. Zaraz po tym, jak aresztowaliśmy ciebie. Poszedł do męskiej toalety i zażył tam truciznę. Wiedział, co się święci.

Trafford milczał, ale w głębi duszy odczuwał dumę, której nie był w stanie przyćmić nawet rozdzierający ból. Cassius jest bohaterem! Tajemnice tylu ludzi mogłyby ujrzeć światło dzienne, gdyby go aresztowano i torturowano. W szpony inkwizycji wpadliby szczepiciele, Humanisci, no i Sandra Dee. Ale on się dla nich wszystkich poświęcił; odebrał sobie głos, nie czekając, aż zostanie zmuszony do mówienia.

– A więc, jak już powiedziałem – ciągnął brat Pokuta – niepotrzebnie cierpiełeś i straciłeś te trzy paznokcie. Muszę przyznać, że trzymałeś się nad podziw dzielnie. Prawdę mówiąc, miałem już zamiar to przerwać. Jeszcze byś nam wyzionął ducha, a tego byśmy nie chcieli.

– Niby dlaczego? Moje tajemnice i tak już znacie. Co to za różnica, czy wykończycie mnie teraz, czy później?

– A jest różnica, ty cholerny głupcze – powiedział brat

Pokuta. – Świątynia was potrzebuje. Przez ciebie i twoją żonę starszyzna wyszła na durniów. Okrzyknęli waszą małą cudownym dzieckiem, a ona umarła. Już wiemy dlaczego.

– Na cholere.

– Zesłaną przez Pana za to, że próbowaliście go przechrzyć. Teraz musicie wyznać publicznie swoje grzechy, żeby naród poznał i zrozumiał całą historię przeklętego dziecka, Caitlin Happymealki.

Wielki pokazowy proces miał się odbyć na stadionie Wembley za tydzień, w ten sam wieczór, na który zaplanowano uprzednio kulminację kampanii „Cuda się zdarzają”.

Wychodziło na to, że Trafford mimo wszystko będzie jednak miał swoje pięć minut w blasku jupiterów.

Żeby proces wyglądał na całkowicie legalny, Świątynia zezwoliła na podkurowanie Trafforda w celi, jak również przydzieliła mu obrońcę z urzędu. Była to kobieta o imieniu Paryska Bezpruderia, a odwiedziła go wieczorem, w przeddzień tego wielkiego wydarzenia.

– Jak mi wiadomo, w odróżnieniu od żony, odmawiasz wyrażenia skruchy, mało tego, nie poczuwasz się do odpowiedzialności za śmierć Caitlin – bardziej oświadczyła, niż zapytała Paryska Bezpruderia suchym, urzędowym tonem. – Na głowie miała srebrną perukę, jej biust podtrzymywał czarny stanik, stroju dopełniały grube reformy w cielistym kolorze, właściwe jej profesji. Zrobiła na Traffordzie wrażenie zimnej i nieczulej.

– Oczywiście, że się nie poczuwam – odparł Trafford. – Umarła na cholere. To nie ja uzdatniam wodę doprowadzaną do naszego bloku.

– Tak, naturalnie. Bóg to czyni. Wymiar sprawiedliwości musi zadać pytanie, dlaczego Bóg zainfekował tę wodę? Czy

jesteś gotowy przyznać, że Pan i Miłość sprowadził cholere na twój blok w zemście za twoje wysiłki mające na celu niepodporządkowanie się jego woli?

– Nie, nie jestem.

– Traffordzie, jeśli przyznasz, że stało się tak z twojej winy, uda nam się być może uzyskać łagodniejszy wyrok.

– Przyznaję, to moja wina. W tym właśnie rzecz. Ale w odróżnieniu od wymiaru sprawiedliwości nie przypisuję tego, co się stało, Bogu ani nie mam do niego żadnych pretensji. Uodporniłem moją córeczkę na odrę i świnkę. A ona umarła na cholere. Nie wierzę, że ja i Bóg mamy z tym cokolwiek wspólnego. To Świątynia uniemożliwiła mi swobodny dostęp do szczepionki przeciwko cholereze.

Paryska Bezpruderia niecierpliwie zastukała w klawisze komputera. Najwyraźniej szkoda jej było czasu na delikwenta, który nie uznaje fundamentalnych zasad prawa, na przykład tego, że wszystko, ale to wszystko dzieje się z woli Boga.

– No dobrze – powiedziała cierpko – zaczynajmy. Przyznajesz, że zaszczepiłeś Caitlin?

– Tak, przyznaję.

– Czy jest ktoś, na kogo mógłbyś zrzucić część winy?

– Nie rozumiem.

Paryska Bezpruderia nie próbowała nawet ukryć, jak jest zirytowana odpowiedzią Trafforda, w której dopatrzyła się zapewne odmowy współpracy.

– Prawo uznaje status ofiary za okoliczność łagodzącą – warknęła. – Jeśli potrafisz wykazać przed sądem, że sam byłeś ofiarą, sędziowie będą zobligowani do uwzględnienia tego podczas ustalania wyroku. Czy na przykład niehołubiony dostatecznie przez rodziców w dzieciństwie wyrosłeś może na człowieka okaleczonego emocjonalnie, o niskiej samoocenie?

– Nie.

– Jesteś podatny na uzależnienia? Walczysz z jakimiś

wewnętrzny demonami albo przywiązujesz się zbyt do przepisanych ci leków? Jesteś niezadowolony z rozmiarów swojego członka albo brak ci wiary w siebie, co sprawia, że nie wykorzystujesz ogromnego potencjału, który w tobie drzemie, w stopniu, w jakim czyni to każda dumna z siebie, silna jednostka?

– Nie.

– Czy spotykałeś się kiedykolwiek z lekceważącym traktowaniem ze strony tych, którzy nie potrafili bądź nie chcieli uszanować twojej słusznej dumy z tego, kim i czym jesteś?

– Nie! Nic z tych rzeczy. Ja nie szukam żadnych okoliczności łagodzących. Kochałem moją córeczkę i działałem w jej najlepszym interesie. Nic dodać, nic ująć.

Paryska Bezpruderia zerknęła na zegarek. Chciała, widać, jak najszybciej zakończyć to bezcelowe przesłuchanie.

– Traffordzie, Świątynia wyznaczyła mnie na twojego obrońcę i mam obowiązek poinformować cię, że „działanie w najlepszym interesie swojego dziecka” nie jest żadnym argumentem, który obrona może przytoczyć w sprawie o zaszczerpiecie Caitlin.

– I bez prawnika wiem, że prawo jest postawione na głowie, pani Bezpruderio. Ja nie wynajduję argumentów na swoją obronę, ja tylko wyjaśniam, dlaczego tak postąpiłem.

– A więc nie masz nic na swoją obronę?

– Mam.

– Chodzi mi o poważny argument – warknęła Paryska Bezpruderia – uznawany przez kodeks tego kraju i Świątynię. Nie jakieś tam tłumaczenia, na które szkoda czasu.

– Mam taki argument.

– Jak wiesz, stajesz przed sądem pod dwoma zarzutami: jako szczepiciel i jako ewolucjonista. Czy zaprzeczasz któreś?

– Nie, a moja obrona będzie w obu przypadkach taka sa-

ma.

Paryska Bezpruderia spojrzała na niego znużona.

– Masz za sobą osiem lat studiów prawniczych, Traffordzie?

– Nie, nie mam.

– A ja mam. Do tego doliczyć trzeba dziesięć lat praktyki w sądzie. I powiem ci w zaufaniu, że jestem na najlepszej drodze do zostania radcą Świątyni.

– Moje gratulacje.

– I podczas gdy mnie nie przychodzi do głowy żadna linia obrony dla kogoś, kto przyznał się, że jest szczepicielem i ewolucjonista, ty twierdzisz, że taką widzisz?

– Tak.

– Jaką?

– Moją wiarę.

– Twoją wiarę?

– Prawo Świątyni stanowi, że wiara i człowiek są nierozłączne. Zarzucanie komuś braku wiary to podżeganie do nienawiści religijnej. Tak, wierzę w skuteczność szczepień. Wierzę w ewolucję! Wierzę, że procesy rządzące fizycznym wszechświatem da się wytłumaczyć w oparciu o empiryczne dowody i dedukcję, bez przypisywania kontroli nad nimi jakiejś nadistocie. W to wierzę! Mój Bóg to selekcja naturalna. Stworzyła mnie selekcja naturalna! A prawo gwarantuje mi wolność wyznania.

Paryska Bezpruderia milczała przez chwilę. Zupełnie jakby odebrało jej na moment mowę.

– Na jakiej podstawie twierdzisz, że te małpoludzkie rojenia to wiara? – spytała w końcu.

– Bo głęboko, całym sercem jestem przekonany o słuszności tych, jak to nazwałaś, rojeń.

– Przekonanie to jeszcze nie wiara – zauważyła Bezpruderia, wydymając pogardliwie policzki. – Ja na przykład

jestem przekonana, że istnieje słodkie wino i herbatniki o smaku imbirowym. Jestem przekonana, że istnieją szczury i karaluchy, ale nie nazywam tego wiarą.

– Herbatniki są obiektami fizycznymi. Szczury to podobnie jak my stworzenia ukształtowane przez naturę. Ewolucja jest koncepcją zdroworozsądkową, czymś, co potrafimy ogarnąć umysłem, jak Bóg.

Paryska Bezpruderia zastanawiała się. Traffordowi przemknęło przez myśl, że chyba trafił do niej jego argument.

– A więc twierdzisz, że teoria ewolucji to wiara, bo jesteś co do niej święcie przekonany. – Uśmiechała się chytrze. – A co cię tak do niej przekonuje?

– To, że jest piękna, logiczna i można dowieść jej prawdziwości. Jest jedynym, powtarzam, jedynym możliwym do przyjęcia wytłumaczeniem pojawienia się złożonego życia na Ziemi! Pasuje do niej każdy strzęp dowodu znaleziony do tej pory, nie ma zaś strzępka dowodu na to, że wszechświat został stworzony w tydzień, a człowiek w ciągu jednego dnia. Człowiek nie powstał w ciągu jednego dnia! Cokolwiek powołało go do istnienia, czy to Bóg, czy jakiś kosmiczny zbieg okoliczności, który możemy nazywać Bogiem, nie stało się w jeden dzień! Trwało miliony milionów lat.

– Twierdzisz więc, że słuszności idei wyznawanych przez zwolenników ewolucji da się dowieść? – spytała prawniczka.

– Tak. Jeśli nie w stu procentach, to na pewno ponad wszelką możliwą do wyobrażenia wątpliwość.

– Aha! – wykrzyknęła triumfalnie Bezpruderia. – A więc to nie może być wiara.

– Jak to?

– Wiara to coś, co do czego człowiek musi być bez reszty przekonany. Coś, w czym musi pokładać pełne zaufanie, wierzyć w to bezwarunkowo. Jeśli czegoś można dowieść, to jest to stwierdzony fakt, a do uznania faktu nie trzeba wiary.



Tak więc twoje poglądy nie są w oczach prawa żadną obroną.

– Dlatego, że są prawdziwe?

– Dlatego, że jak twierdzisz, można je poprzeć dowodami. Żadna wiara nie da się poprzeć dowodem, i to właśnie czyni ją wiarą. Albo idee twoich małpoludów nie mają oparcia w nauce, w którym to przypadku można by je nazywać wiarą, albo są oparte na naukowych dowodach, a wtedy żadna sztuka w nie wierzyć i prawo nie zapewnia im żadnej ochrony. No więc, jak z tym w końcu jest? Czy masz dowód, że szczepienie skutkuje, czy tylko w to wierzysz? Czy ta twoja ewolucja opiera się na niezbitych dowodach, czy jest twoim pobożnym życzeniem?

– Skuteczności szczepienia można dowieść, a teoria ewolucji oparta jest na niezbitych dowodach.

– No to ani jedno, ani drugie nie ma nic wspólnego z wiarą i zostaniesz skazany za herezję.

Trafford uśmiechnął się uprzejmie.

– No cóż, szczerze mówiąc, nie spodziewałem się, że zdołam cię przekonać – podsumował.

Na twarzy Paryskiej Bezpruderii odmalowała się ulga. Spojrzała w kamerę sieciową swojego komputera.

– Niech nagranie pokaże, że podsądny nie ma nic na swoją obronę ani nie podsuwa żadnych okoliczności łagodzących.

Wstała. Spełniła swój obowiązek i nie miała zamiaru tracić więcej cennego czasu. Ruszyła do drzwi, ale w progu odwróciła się jeszcze i spojrzała na Trafforda.

– Zdajesz sobie sprawę, że niemal na pewno spalą cię na stosie?

– Moja córeczka nie żyje – odparł Trafford.

– A, pieprz się – prychnęła Paryska Bezpruderia.

Drzwi celi zatrzasnęły się za nią ze szczękiem.

Za kulisami sceny na stadionie Wembley Trafford spotkał Chantorrię, której nie widział od czasu, gdy leżała przed nim cała we krwi na posadzce izby tortur. Wykąpana, z bliznami po ranach i siniakami zamaskowanymi makijażem, teraz prezentowała się o wiele lepiej, tylko ogolona głowa, którą zaczynał już porastać meszek, nadawała jej jakiś dziki wygląd, zwłaszcza w połączeniu z dziwnym, nieobecnym wyrazem oczu.

– Cześć – powiedział Trafford.

– Jesteśmy grzesznikami. Zasłużyliśmy sobie na to – tyle od niej usłyszał.

Przeprowadzono ich przez maszynownię, strażnicy stanęli za nimi, za sobą mieli również baterię potężnych kolumn głośnikowych. Na scenie kończyła się właśnie piosenka. Audytorium nagrodziło ją ogłuszającym rykiem, a potem stłumiony głos wykonawcy podziękował publiczności za aplauz. Kierunkowy system nagłośnienia sprawiał, że jego słowa zlewały się w niezrozumiały bełkot, ale Trafford nie miał wątpliwości, że była to zachęta do snucia marzeń tudzież życzenie, by każdemu spełniło się to szczególne.

Spojrzał na Chantorrię. Ciekawe, czy pamięta, jak ostatnio byli razem na tym stadionie. Tak, ale wtedy stanowili częśćkę rozentuzjasmowanej widowni, nie zżerała ich jak teraz trema

głównych aktorów widowiska. To było tak niedawno, a tak długą drogę przez ten czas przebyli. Tamtego wieczoru po raz wtóry poruszył kwestię zaszczepienia Caitlin. Nawet pasuje, że ich podróż tutaj właśnie się kończy.

Dziwił się, że jest taki spokojny. Prawdopodobnie świadomość, że wkrótce tak czy inaczej spłonie na stosie, niwelowała strach, który by go zapewne paraliżował tuż przed heretyckim przesłaniem, jakie zamierzał wygłosić do ćwierćmilionowego tłumu.

Aż do tej chwili przebieg Festiwalu Wiary w niczym nie odbiegał od normy. Obwieszczono zwyczajowo, że to największy z dotychczasowych festiwali, bijący na głowę swoją skalą i znaczeniem zesłotygodniowy, podówczas rekordowy. Gwiazdy, jedna po drugiej, informowały z estrady, że wszystkie problemy świata znikną, jeśli tylko taka będzie wola ludu, że ubóstwo, choroby i niesprawiedliwość przejdą niedługo do historii, wystarczy tylko podnieść ręce i zaśpiewać. Dźwigane z niemałym trudem dziewczęta dosiadały na krótko cherlawych ramion swoich partnerów, powiewały transparenty. Skonsumowano już setki tysięcy burgerów i pączków i zbliżała się nieuchronnie kulminacja wieczoru, którą było zazwyczaj zbiorowe oplakiwanie zmarłych dzieci.

Ale ta kulminacja miała być inna. Dzisiaj miał się odbyć wielki proces Trafforda i Chantorrii oskarżonych o herezję. Stali oboje nadzy, zakuci w kajdany przed wejściem na wielką estradę, gdzie kończyła występ ostatnia z zakontraktowanych na ten wieczór kapel i schodziła za kulisy w otoczeniu tancererek, dupofanek i wielbicielek oraz znanego komika, który prowadził konferansjerkę. Potem przemaszerował obok nich, nie zaszczycając nawet spojrzeniem, biskup spowiednik Solomon Kentucky. Obszedł w otoczeniu obstawy wielkie kolumny głośnikowe i wkroczył na scenę, żeby wyjaśnić znaczenie tego, co za chwilę będzie miało miejsce.

– Chwała niech będzie wierze! – doleciał stamtąd jego okrzyk. Dykcję miał taką, że Trafford, pomimo złej akustyki za kulisami, rozumiał każde jego słowo. – Zebraliśmy się dzisiaj jak zawsze, żeby czcić Pana i dziękować mu za wniebowzięcie naszych niewiniątek. Niech usłyszę, jak wołacie: „Amen”!

– Amen! – ryknął tłum.

– Amen – szepnęła ledwo dosłyszalnie Chantorria.

– Skoro już mowa o niewiniątkach – ciągnął Solomon Kentucky – pozostajmy przy tym temacie. Osądzimy dzisiaj straszliwą zbrodnię przeciwko wierze! Zbrodnię, której dopuściło się dwoje pozbawionych wszelkich zasad grzeszników. Zbrodnię tak obłudną i niesłychaną, że nie dostrzegło jej w porę nawet wszystko widzące oko Świątyni. Niech usłyszę, jak wołacie: „Miłość”!

– Miłość! – ryknął tłum.

– Powiedziałem, że chcę usłyszeć, jak wołacie: „Miłość”!  
– krzyknął Solomon Kentucky.

– MIŁOŚĆ! – ryknęli jeszcze głośnieji wierni.

– Wiesz Miś – mruknął pod nosem Trafford.

Podskoczył do niego akustyk.

– Mogę już podłączać mikrofony? – spytał i, nie czekając na odpowiedź, zaczął zawieszać aparaturę radiową na ramionach Trafforda i Chantorrii. – Mogę przymocować to do łańcuchów. – I znów, nie czekając na odpowiedź, robił swoje, czyli mocował taśmą klejącą malutkie mikrofoniki do obroży, które mieli na szyjach.

Podbiegł do nich drugi technik.

– Te mikrofony będą nam jeszcze potem potrzebne na finał – powiedział.

– Wiem – odwarknął pierwszy technik. – Czytałem program.

Biskup Spowiednik kontynuował na scenie swoją introduk-

cję.

– Przypominacie sobie to dziecko!?! – zawołał i na ogromnych ekranach, którymi otoczony był stadion, pojawiło się zdjęcie Caitlin Happymealki, to z kampanii „Cuda się zdarzają”.

Trafford i Chantorria też je zobaczyli na zainstalowanych za kulisami monitorach i każde zaszlochało.

– Pamiętacie, jak to dziecko przeżyło odrę? – ciągnął Solomon Kentucky. – Pamiętacie, jak przeżyło świnkę? Tego dziecka nie imają się najzjadliwsze jak dotąd plagi zsyłane przez Pana na nasze piękne miasto na jeziorze. Ludu, powiadam wam, że to był cud! Niech usłyszę, jak mówicie „O tak!”.

– O tak! – wrzasnęli zebrani.

– Świątynia ukochała to cudowne dziecko! Widzieliśmy w nim symbol nadziei! Symbol wiary Pana i Miłości w przyszłość całego człowieczeństwa. Celebrowaliśmy ocalenie tej malutkiej w naszych miejscach kultu i w sieci. Uczyniliśmy z matki tego dzieciątka wzór cnót do naśladowania dla wszystkich kobiet! Niech usłyszę, jak mówicie: „Tak, uczyniliśmy!”.

– Tak, uczyniliśmy! – krzyknęli.

– Niech usłyszę, jak mówicie: „TAK, UCZYNILIŚMY!” – powtórzył Kentucky.

– TAK, UCZYNILIŚMY! – ryknął posłusznie tłum.

– Ale potem, mój ludu!... Potem, umiłowani moi!...

Tu Kentucky'emu ze wzruszenia załamał się głos. Trafford widział na monitorach, że dostał drgawek i miota się po scenie jak nawiedzony.

– Potem, mój ludu, cudowne dziecię umarło! Tak, umiłowani, umarło! Niech usłyszę, jak wołacie: „Biada nam!”.

– Biada nam! – zawołał tłum.

– Tak, mój ludu, biada wam! Bowiem... przygotujcie się na to, co zaraz usłyszycie, dzieci moje! Dobrze się przygotujcie. I nastawcie uszu! Okazało się bowiem, że to cudowne

dziecko nie było wcale cudowne. Niedługo po śwince, kiedyśmy się radowali, że mamy pośród nas anioła, przyszła pospolita cholera i zabrała to biedne dziecko. Zabrała je prosto do nieba i powiadam wam, nie ma w tym niczego cudownego. To się zdarza na co dzień. I powiem wam coś jeszcze, umiłowani! Kiedy doszła mnie ta wieść, serce mi się ścisnęło. Moje serce było w rozterce. Dlaczego Pan i Miłość ocalił to dziecko, żeby zaraz potem je zabrać? Dlaczego tak okrutnie sobie z nas zakpił? Niech usłyszę, jak wołacie: „Dlaczego!”.

– Dlaczego! – ryknął tłum.

– Dlaczego! – zagrział Solomon Kentucky.

– Dlaczego! – ryknęła ponownie widownia.

– Dlaczego? – szepnęła Chantorria, stojąca w kajdanach za kulisami.

– Powiem wam dlaczego! – krzyknął biskup spowiednik.

– Za karę! Oto dlaczego! To była kara za grzech! Wprowadzić grzeszników!

Zagrała muzyka i Trafforda z Chantorrią wypchnięto w oślepiający blask reflektorów. Smagani pejcami, potykali się i zataczali, wlokąc łańcuchy przez zwoje kabli, stojaki na gitary i przewody, perkusje i zatrzesienie pustych plastikowych butelek walających się po scenie. Kiedy dobrnęli do biskupa spowiednika i przed nim stanęli, orkiestra zagrała jazgotliwy tusz, chór zaczął śpiewać posepną arię z jakiejś opery, a niebo rozświetliły krwistoczerwone fajerwerki.

– Patrzcie na grzeszników, rodziców dziecka! – zakrzyknął Solomon Kentucky. – Dajcie tu kobietę.

Chantorrię wypchnięto na środek sceny, gdzie padła Solomonowi Kentucky'emu do stóp.

– Chantorrio – krzyknął biskup spowiednik – powiedz ludowi, dlaczego Miłość zabrała ci twoje dziecko!

– Bo sprzeniewierzyliśmy się woli Boga – wyszłochała Chantorria. – Mój mąż kazał zaszczepić córeczkę, a ja się

temu nie sprzeciwiłam.

Widownia na moment ucichła. To rzeczywiście była poważna zbrodnia.

– Coś ty powiedziała?! – ryknął biskup spowiednik.

– Powiedziałam, że mój mąż kazał zaszczepić nasze dziecko.

– Wychłostać ją! – zwrócił się Solomon Kentucky do strażników i ci podskoczyli z pejcami, by wysmagać klęczącą przed nim Chantorrię.

Tłum, podniecony widokiem krwi tryskającej z pleców i ramion zakutej w kajdany, nagiej kobiety, wyrzaskiwał swoją nienawiść i domagał się silniejszych smagnień, aż w końcu biskup spowiednik uniósł rękę na znak, że prosi o ciszę.

– Chantorrio – spytał uroczyście – czy twój mąż, pragnąc przechrzyć Miłość, pozwolił wiedźmom kłuć wasze dziecko zatrutymi igłami? Czy twój mąż mówił: „Niech inne dzieci idą do nieba, ale nie moje, bo ja czarami pokrzyżuję zamiary Miłości?”.

– Tak, tak mówił! – wy skamlała Chantorria, krwawiąc obficie z odniesionych ran.

– I zostałam za to ukarana?!

– Tak! Pan odebrał mi dziecko!

– Wychłostać ją! – zaordynował ponownie Kentucky, a żądny krwi tłum ponownie zaryczał i tym razem Chantorrię wychłostano tak, że straciła przytomność.

– Dajcie tutaj tego czarownika! – krzyknął biskup spowiednik i na środek sceny wypchnięto teraz Trafforda. – Twoje dziecko umarło!?! – wrzasnęła Solomon Kentucky.

Trafford starał się zebrać myśli. Wiedział, że ma tylko jedną szansę, by dopiąć swego. Nie było już czasu na uwodzenie tłumu subtelnosćmi, jak to wcześniej planował: pozostały mu zwięzłość i dosadność.

– Tak, biskupie spowiedniku! Umarło. Ale nie na odrę ani

na świnkę, przeciwko którym zostało zaszczepione. Szczepienie pomogło! Umarło na cholere! Na cholere również istnieje szczepionka, ale nie zdołalem jej niestety zdobyć dla mojego dziecka.

– Zamilcz! – krzyknął Solomon Kentucky.

– Szczepionki pomogły! Uodporniły moją córeczkę na choroby, przeciwko którym je opracowano. Słuchajcie mnie, ludzie!

– Wychłostać go! – wrzasnął Kentucky i pejczy znowu poszły w ruch.

– Żądajcie szczepienia swoich dzieci! – wrzeszczał Trafford, usiłując osłaniać się przed razami. – Mówię wam, ludzie, żądajcie szczepienia swoich dzieci!

– Woli Pana i Miłości nie wolno się przeciwstawiać! – krzyknął Kentucky.

– Żaden Bóg, który każe rodziców, zabijając im dziecko, nie zasługuje na to, by go czcić!

W tym momencie Trafford zdał sobie sprawę, że tembr jego głosu się zmienił i domyślił się, że wyłączono mu mikrofon. Poprzez świst pejczy usłyszał jeszcze, jak biskup spowiednik nazywa go „czarownikiem i heretykiem” i każe bić mocniej. Ale na moment przed utratą przytomności odniósł wrażenie, że tłum jakby przycichł – niewykluczone, że do części widowni dotarło znaczenie jego słów.



Ocknął się w celi. Nie od razu skonstatował, gdzie się znajduje, bo powieki zalepiała mu krzepnąca krew, żebra sprawiały wrażenie połamanych, a mięśnie miał tak obite i obolałe, że nie mógł się poruszyć.

A jednak, leżąc tak nieruchomo, skatowany, mając w perspektywie męczeńską śmierć, odczuwał zadowolenie.

W pewnym sensie zwyciężył. Zaprotestował. Przemówił, zdołał sformułować dwa, może trzy zdania prawdy w świecie, w którym prawda była wyjęta spod prawa. I na dodatek dokonał tego nie gdzie indziej, tylko na Festiwalu Wiary na stadionie Wembley! Čwierć miliona ludzi wysłuchało go na żywo, a wiele milionów słyszało i oglądało na kanale inforozrywkowym. Świątynia umyśliła sobie uczynić z jego przyznania się do winy główny punkt programu, a on, na krótko, bo na krótko, ale jednak, wykorzystał to do własnych celów. Nikt przed nim jeszcze tego nie zrobił. Nikt dotąd nie wykrzyczał na Wembley prawdy i należało wątpić, czy komuś jeszcze kiedyś to się uda.

W społeczeństwie, gdzie każdy jest „dumny” ze swojej indywidualności, a tak naprawdę jest malutką owieczką w ogromnej owczarni, on był wyjątkiem. I kto wie? Może jego słowa padły na podatny grunt? Może do kilku osób z tej ludzkiej rzeszy dotarło, o co mu chodzi, i zaczną teraz myśleć?

Nawet jeśli zasiał ziarenko zwątpienia w głowie tylko jednej osoby, to już coś. Odniósł zwycięstwo nad Świątynią. Kto jeszcze może to o sobie powiedzieć?

Mało tego. Zatrzymał dla siebie wszystkie swoje bezcenne tajemnice. Stracą go, tak naprawdę nic o nim nie wiedząc. Wiedzą, że zaszczepił swoje dziecko, ale tę akurat tajemnicę z dumą sam wyjawiał. Nie wiedzą nic o jego sekretnym świecie, o tym, że studiuje naukę, historię, literaturę i potęgę wyobraźni. Wątpił, by ci niedorozwinięci barbarzyńcy, nawet gdyby to z niego wydusili, potrafiliby zrozumieć.

Nie powiedział im nic o Humanistach, ani słówkiem o nich nie napomknął. Tym głupcom o ptasich mózdkach nawet do głowy nie przyszło, że człowiek, który zaszczepił jego córeczkę, mógł też prowadzić inne rodzaje wywrotowej działalności. Ruch był bezpieczny. Cassius nie żyje, ale biblioteka pozostanie otwarta, a z czasem powstanie ich więcej. Na razie dobre i to, że członkowie ruchu mogą spać spokojnie. Bezpieczni są Macallan i Taylor. Bezpieczny jest Connor Newbury, a przede wszystkim bezpieczna jest Sandra Dee! Ocaliło ich wszystkich jego milczenie i odwaga Cassiusa, który sam odebrał sobie życie.

I nie wiedzą nic o jego miłości. O tej jego najboleśniejszej i najcenniejszej tajemnicy. Nie wiedzą, że jest zakochany w Sandrze Dee ani że wprowadził ją w królestwo książek, żeby mogła swobodnie przemierzać światy lepsze od tego, który stworzyła Świątynia. Sandra Dee będzie z niego dumna. W tej chwili dygocze pewnie ze strachu, że teraz, kiedy pojмали jego, tylko patrzeć, jak trafią i do niej. Ale gdy z upływem tygodni nikt jej nie będzie próbował aresztować, zrozumie, że nic jej nie grozi. Wróci do biblioteki. Zacznie przekonywać do sprawy innych. I kto wie, może za jakiś czas świat uwolni się od ślepej wiary.

Przyszli medycy obejrzeć jego rany.

– Trzeba cię wykurować na tyle, żebyś dał radę wdrapać się na stos – powiedzieli, kiedy spytał ich, co sądzą o jego stanie.

Następnego dnia przyniesiono mu balkonik i kazano z nim poćwiczyć.

– Twoja egzekucja ma się odbyć za niecały tydzień – oznajmił medyk. – Jeśli nie będziesz w stanie dojść na miejsce kaźni o własnych siłach, my za to odpowiemy. Według mnie, jeśli chcą mieć skazańca w odpowiedniej formie, żeby go jak należy stracić, to przede wszystkim nie powinni go tak maltretować – ale nikt mnie nie słucha.

Trafforda podniesiono z pryczy i wyprowadzono pod pachy z celi. Podstawiono mu balkonik i kazano kuśtykać głównym kolistym korytarzem, a potem skręcić w boczny korytarzyk wiodący do centrum kopuły. Nagle znalazł się w rozległej hali. Centralna część podłogi położonej u podstawy kopuły nie była zabudowana, a tym samym widać stamtąd było wysoko w górze sklepiony łukowato strop. Była to najwyraźniej sala ćwiczeń, bo zapelniali ją tacy jak Trafford, posiniaczeni, skatowani nieszczęśnicy obojga płci, którzy wspierając się na balkonikach, laskach bądź kulach, trenowali przed czekającą ich egzekucją.

– Spaceruj – burknął strażnik.

Trafford wmieszał się posłusznie w drepzczącą noga za nogą rzeszę. Myślał głównie o Sandrze Dee. Rzecz jasna, od czasu do czasu wspominał również Caitlin Happymealkę oraz Phoenix Podfruwajkę, swoje wcześniej zmarłe dziecko, ale starał się nie rozpamiętywać zbyt wiele śmierci obu dziewczynek.

– Wybaczam ci – usłyszał w pewnej chwili. Głos był obcy, obarczony jakąś bliżej nieokreśloną wadą wymowy, i w pierwszej chwili pomyślał, że te słowa nie są adresowane do niego. Ale ten sam głos zaraz potem zwrócił się do niego po

imieniu:

– Wybaczam ci, Traffordzie.

Trafford rozejrział się. Opuchnięta, granatowa od sińców twarz, a w nich szparki podbitych oczu. Spoglądając w nie, uświadomił sobie naraz z przerażeniem, że zna tę osobę, i wzdrygnął się. Kiedy ostatni raz ją widział, nosiła grube okulary i strzegła wejścia do swojej bezcennej biblioteki.

– Zgar... zgarnęli cię? – wyjąkał Trafford.

– Jak widać – odparł Puchacz dziwnie zmienionym głosem. – Podejrzewam, że to ty sypnąłeś. To bez znaczenia. Wszyscy wcześniej czy później zaczynamy sypać. Nie wyłączając mnie. Próbowiałem odgryźć sobie język, kiedy po mnie przyszli, ale spieprzyłem sprawę i przyszyli mi go z powrotem. Na szczęście niewiele mam im do powiedzenia. Nie znam nazwisk większości ludzi, których przyprowadzał do nas Cassius. Z wyjątkiem takich w gorącej wodzie kąpanych jak ty.

– Ja nikogo nie wydałem – zachnął się Trafford.

– Na jedno wychodzi – mruknął Puchacz – używając frazy, której osobiście nie cierpię.

– Chodzić, chodzić! – warknął strażnik i Puchacz pokuszył w jedną, a Trafford w drugą stronę.

Rozglądając się teraz uważniej, Trafford szybko wypatrzył w drepzczącym tłumie Macallana, potem profesor Taylor, a na koniec Connora Newbury'ego, jeszcze tak niedawno wybitną osobistość, teraz odartą ze sławy. Dostrzegał również inne osoby znane mu z widzenia z biblioteki i z bólem serca uświadamiał sobie powoli, że inkwizycja w taki czy inny sposób spenetrowała jednak ruch oporu. Rozglądał się zrozpaczony, szukając wzrokiem Sandry Dee i żywiąc nikłą nadzieję, że jej tu nie ma. Dlaczego była taka niecierpliwa?

Dlaczego nalegała, żeby jak najszybciej wprowadził ją do biblioteki? Gdyby nie to, uniknęłaby może tego straszego

losu.

I nagle ją zobaczył. Stała przy drzwiach, którymi wszedł na salę ćwiczeń, i patrzyła na niego. Pokuśtykał w jej stronę, ale ona nawet nie drgnęła. Nie była posiniaczona ani w żaden inny sposób pokiereszowana. Ubrana jak zawsze, elegancko, ale skromnie, wyglądała świeżo i schludnie. Obok niej tkwił brat Pokuta. Trafford stanął jak wryty. Sandra Dee powiedziała coś do inkwizytora. Wyglądało na to, że wydaje mu polecenie.

Brat Pokuta ruszył w kierunku Trafforda.

Trafibrdowi kazano wrócić za Sandrą Dee do celi. Szedł ze zwieszoną głową, śledząc spod oka kraj kołyszącej się przed nim powabnie cienkiej, bawełnianej szmizjerki. Tej samej, którą miała na sobie, kiedy pierwszy raz wypłynęli łódką na jezioro. Rozpięła ją potem, ściągnęła z ramion i siedziała przed nim na ławeczce prawie naga, wsłuchana w jego seksualne fantazje.

– Zostaw nas samych – zwróciła się Sandra Dee do brata Pokuty, kiedy weszli do celi Trafforda.

– Ależ... – chciał zaprotestować inkwizytor.

– Jest półżywy po tym wybatożeniu – wpadła mu w słowo Sandra Dee. – Nie powinien przysporzyć mi kłopotów. Zostaw nas.

– Jak pani sobie życzy – wydukał uniżenie ten, zdawałoby się nie tak dawno, wszechwładny człowiek, i bez dalszych komentarzy wycofał się na korytarz. Drzwi zatrzasnęły się za nim ze szczękiem i Sandra Dee została sam na sam z Traffordem.

– Pracujesz dla inkwizycji? – spytał Trafford. O dziwo, odczuwał spokój, spokój człowieka, który jedną nogą jest już w grobie.

– No niezupełnie – odparła Sandra Dee. – Podobnie jak ty pracuję na rządowej posadzie, jestem policjantką, a ściślej

mówiąc, szpiegiem, ale w zasadzie wszyscy pracujemy przeciw dla Świątyni, nieprawdaż?

Ten dziwny spokój, który odczuwał Trafford, nie uchronił go przed całkowitym zaskoczeniem.

– Zatrudniłaś się w naszym urzędzie, żeby... żeby nas szpiegować?

– Tak.

– Czy policja ma swoich szpiegów w każdym biurze?

– Bez przesady.

– To dlaczego akurat nasze?

– Szukaliśmy szczepiciela – wyjaśniła. – A tak nawiasem mówiąc, jesteś w błędzie, uważając, że wszystkie dane gromadzone przez KrajBanDan są bezużyteczne. Korzystamy z nich przez cały czas, zwłaszcza tych z archiwum działu statystyki rozwodnictwa. Właśnie dzięki nim dowiedzieliśmy się, że dzieci znajomych naszego nieżyjącego już przyjaciela Cassiusa przeżywają w większości kolejne epidemie. Procedura jest prosta: odnaleźć rodzica, któremu epidemia nie zabrała dziecka, wklepać wszystkie jego znane kontakty i wyprowadzić wspólny mianownik. W tym przypadku tym mianownikiem był Cassius. Właśnie w ten sposób wyłapujemy szczepicieli. Umożliwia nam to stat-roz.

Tyle jeszcze pytań miał do niej Trafford, tyle oskarżeń chciał cisnąć w twarz kobiecie, która okazała się szpiegiem.

– Ale... ale jeśli waszym kluczem do namierzania szczepicieli są zdrowe dzieci – głos Trafforda drżał z wściekłości – to musicie wierzyć w skuteczność szczepień.

– Naturalnie, Traffordzie. Dlatego właśnie policji nie można utożsamiać z inkwizycją. Tych ostatnich wiara obliguje do zaprzeczania. Nas nie krępują takie ścisłe zasady pobożności. Łapiemy szczepicieli, bo wiemy, że szczepienie spełnia swoją funkcję, a potem tamci palą ich na stosie, bo są święcie przekonani, że nie spełnia.

Trafford rzucił się na nią z wyszczerzonymi zębami i zaciśniętymi pięściami. Nie zdołał przebyć nawet połowy drogi, na tyle tylko było stać jego skatowane ciało.

– Proszę cię, Traffordzie – powiedziała spokojnie Sandra Dee – nie bądź śmieszny.

– Aresztując szczepicieli, mordujecie dzieci! – krzyknął Trafford.

– Jestem policjantką, Traffordzie. Moim obowiązkiem jest pilnowanie, by prawo było przestrzegane.

– Dlaczego? Dlaczego jesteś policjantką?

– Z tych samych powodów, dla których ty stałeś się Humanistą. Z tych samych powodów, które przyciągnęły cię do mnie i... – jakby się trochę zawahała – ...i mnie do ciebie.

– Nie wygaduj bzdur.

– Mówię poważnie. Jestem taka sama jak ty, z tym że ja wyciszyłam sumienie. Praca pod przykrywką pozwala mi mieć tajemnice. Tylko ja wiem, kim jestem. Falszywy blog, który odkryłeś, jest na bieżąco uzupełniany i wrzucany do sieci przez urzędnika z mojego wydziału. Ja sama nigdy do niego nie zaglądam. Tak samo jak ty uważam, że ten świat jest gówniany, Traffordzie, i odcinam się od niego, dla niego pracując. Nie muszę się nawet bawić w to cholerne powiększanie cycków. Moje ciało należy wyłącznie do mnie i do mnie należy moja dusza. Moje życie jest okryte pełną tajemnicą, a Świątynia nic dla mnie nie znaczy. Co więcej, wykonując swoje obowiązki, poznaję najbardziej interesujących ludzi. Ludzi takich jak ty, Traffordzie. I inni Humanisci. Zanim mnie do nich doprowadziłeś, podejrzewaliśmy tylko, że istnieją. Nie mieliśmy pojęcia, że są tak dobrze zorganizowani, a przy okazji rozpracowywania ciebie przeczytałam tyle ciekawych książek. Nikt mi tego nie odbierze. Dlatego właśnie jestem policjantką, Traffordzie. Policjanci z wydziału antynarkotykowego mają pod dostatkiem narkotyków na własny użytek, ci



z obyczajówki oglądają nielegalną pornografię, a ja czytam *Dumę i uprzedzenie*.

– Ty odrażająca, samolubna dziwko...

– Bycie samolubnym to jedyny sposób na przetrwanie, Traffordzie. Dlaczego nie miałabym być samolubna? Jeśli dobrze się zastanowisz, czym jest człowieczeństwo, jakim bezużytecznym, porąbanym plemieniem sadystycznych, tępych durniów naprawdę jesteśmy, dojdiesz do wniosku, że samolubność to jedyna nadająca się do przyjęcia postawa moralna. Jaki ma sens poświęcanie się dla innych? Ludzkość to jedna wielka kupa gówna. Jeśli masz odwagę się poświęcić, to już cię szkoda dla tych dupków, których chcesz ocalić. Popatrz tylko, jaki świat zbudowali.

– Czy ja jestem kupą gówna? Czy Cassius był kupą gówna?

Przyglądała mu się przez chwilę, zanim odpowiedziała:

– Nie, ty nie jesteś kupą gówna, Traffordzie. Jesteś wspaniałym człowiekiem i nawet cię lubię. Zdarzają się oczywiście wyjątki, ale w ilości niewystarczającej, by warto się było dla nich umartwiać. Ludzkość miała wszystko, co potrzebne do szczęścia, i wszystko to roztrwonila. Gdyby dostała to z powrotem, znów poszłoby na zmarnowanie. Historia jest jednym długim dowodem na to, że rasa ludzka nie zasługuje na mózg, z którym się rodzi. Jesteśmy beznadziejnym stadem parszywych baranów i na dłuższą metę pozostaje nam tylko rozglądać się za kimś, kto nami pokieruje.

Trafford wciąż leżał na posadzce, tam gdzie upadł. Sandra Dee pomogła mu wstać i dowlec się do pryczy. Zdumiewała go jej siła.

– Przemyśl to, Traffordzie – podjęła – i na pewno przyznasz mi rację.

– Co cię mogą obchodzić moje przemyślenia? – spytał.

– Jesteś inteligentny i potrafisz dochowywać tajemnic –

odparła. – Potrzebujemy takich jak ty.

Przez chwilę do Trafforda nie docierał sens tego, co usłyszał.

– Co przez to rozumiesz? – wyjąkał.

– To, że najwyższa pora, byś wydorostał. Chciałeś być indywidualistą, to nim zostań. Twoje dziecko nie żyje, żona na ciebie doniosła. Jesteś teraz nikim, a więc możesz wcielić się w każdą postać, jaką dla ciebie wybierzemy. Wstąp do nas, zostań szpiegiem. Możemy zmienić ci twarz, wprowadzić do jakiejś nowej wspólnoty i będziesz mógł sobie spokojnie kolekcjonować swoje tajemnice, łamiąc jednocześnie tajemnice innych. Moglibyśmy się nawet od czasu do czasu spotykać, żeby wymienić się książkami albo... ot, tak, pogawędzić. Albo to, albo stos, Traffordzie.

– Wolę stos.

– Radzę ci się dobrze zastanowić.

– Zastanawianie się niczego nie zmieni. Wolę spłonąć niż zostać czymś takim jak ty, Sandro Dee.

– To znaczy czym?

– Istotą nieludzką.

– A ja szcycę się swoją nieludzkością, bo ludzkość to gnój.

– Nieprawda, i dobrze o tym wiesz. Przeczytałaś już tyle książek, więc powinnaś to rozumieć. Człowieczeństwo łączy w sobie i to, co w naturze najszlachetniejsze, i to, co najpodlejsze. Wolę umrzeć, wciąż wierząc w szlachetność, niż stać się czymś takim jak ty. Ty należysz do tych najpodlejszych, stoisz w klasyfikacji o wiele niżej od szarogęszącej się Księżniczki Piczki. Ona w porównaniu z tobą jest aniołem.

Sandra Dee wstała bez słowa i podeszła do drzwi. Odwróciła się.

– A tak nawiasem mówiąc, to my wyeliminowaliśmy Caitlin Happymealkę – powiedziała.

Wstrząśnięty Trafford pobladł.

– Za... zamordowaliście ją?

– Tak. Nie dało ci do myślenia, że dziwnym zbiegiem okoliczności umarła tuż przed planowanym przez ciebie wykorzystaniem kulminacji kampanii „Cuda się zdarzają” do publicznego ogłoszenia, że Caitlin nie ocalała interwencją Pana, lecz szczepionką? Nie trzeba mi było wyjawiać tego planu, Traffordzie. Jeszcze nie skończyłeś, a ja już wiedziałam, że mała będzie musiała umrzeć. Zameldowałam przełożonym o tym, co od ciebie usłyszałam, i oni wysłali naszych chemików z poleceniem wprowadzenia wirusa cholery do instalacji wodociągowej twojego budynku. Zabiliśmy Caitlin Happymealkę, żeby uniemożliwić ci wykorzystanie jej w charakterze narzędzia przeciwko Świątyni. Jak więc widzisz, sam jesteś winien jej śmierci.

Pomimo martwoty, jaka ogarnęła jego mózg, kiedy usłyszał tę potworną nowinę, Traffordowi zaświtał jednak w głowie ostatni pomysł. Ostatni plan.

– Pokochałem cię – powiedział.

– Nie prosiłam cię o to.

– Ale kochałaś się ze mną.

– Uprawiałam z tobą seks.

– Czy ty w ogóle wiesz, co to miłość?

– Chyba wiem.

– Nie sądzę.

– No cóż, nigdy już tego nie rozstrzygniemy. A przy najmniej tobie nie będzie to dane.

– Chciałem ci powiedzieć... powiedzieć ci, czym jest miłość... Napisałem do ciebie list. Napisałem go tego ranka, kiedy zostałem aresztowany. Przeczucie mi mówiło, że coś się święci.

– Przeczucie? Traffordzie – Sandra Dee uśmiechnęła się – a ja myślałam, że kierujesz się tylko i wyłącznie rozumem.

- Plik z listem zatytułowany jest „Wiesz Miś”.
- „Wiesz Miś”?
- Tak. „Wiecznotrwała Miłość”.

Pomimo maski chłodu, za którą konsekwentnie kryła się Sandra Dee, w jej sposobie bycia zaszła teraz ledwie zauważalna zmiana.

– Wiecznotrwała Miłość? – spytała i Traffordowi wydało się, że jej głos nieco złagodniał.

– Tak – odparł. – Wiecznotrwała Miłość.

Na wargi Sandry Dee powrócił wyzywający uśmiezek. A więc to opuszczenie gardy było tylko chwilowe.

– A z ciebie wciąż niepoprawny romantyk, prawda, Traffordzie? – powiedziała i wyszła.

Trafford został sam. Zajrzy czy nie zajrzy? Jest w końcu policyjnym szpiegiem; zainteresowanie ludźmi należy do jej zawodowych obowiązków, do tego dochodzi zwyczajna ciekawość. Poza tym Trafford podejrzewał, że chociaż była, kim była, to coś tam jednak do niego czuła. Na swój nieludzki sposób. Prawdopodobnie zajrzy. Oby to zrobiła, bo otwierając plik z nagłówkiem „Wiesz Miś”, który Trafford wysłał do niej ze stat-rozu, zainicjuje automatyczne wysyłanie e-maili. E-maili zawierających informacje o ewolucji. E-maili, które od tego momentu będą generowały się same.

W dniu, na który wyznaczono publiczną egzekucję Trafforda, kanały informacyjne od samego rana zachłystywały się doniesieniami z ostatniej chwili, jakoby ów heretyk z Wembley, człowiek, który chełpił się otwarcie, że otruł swoją córeczkę, okazał się również członkiem jakiejś złowrogiej sekty, tajnej, wywrotowej organizacji terrorystycznej. Ludzie ci, gorsi nawet od nastolatków Drugiej Wiary, dokonujących samobójczych zamachów bombowych – informowały dzienniki – ucząc się i studiując, próbowali wskrzesić dawno zdemaskowane, bałamutne i groźne kłamstwa o małpoludach. Za cel stawiali sobie ekshumację tego bluźnierstwa, za które Pan zesłał niegdyś na ziemię straszny potop, i przysięgali, że nie spoczną, dopóki tego celu nie osiągną.

Nic więc dziwnego, że na trasę, którą prowadzono Trafforda na stos pogrzebowy, batożąc go po drodze, wyległy tysiące obywateli, ogromne tłumy zaślepione gniewem na zбочzonego heretyka, który z upodobaniem truł dzieci i wierzył, że jego pradziad był małpą.

Na miejscu egzekucji wisieli już na krzyżach, przybici do nich haclami, inni członkowie sekty. Jeszcze żyli. Gawiedź obrzucała ich garściami błota i kamieniami. Niektórzy błagali o litość i wyrażali skruchę, reszta milczała. Trafford zauważył, że do tych ostatnich należy Connor Newbury, i był zaskocz-

ny, bo nie posądzaj go o taki hart ducha.

Chantorria też tam była, naga, zakuta w dyby, ponizona z własnej woli. Na wpół obłąkana z rozpaczy i strachu bełkotała, że tylko jej cierpienie może kiedyś otworzyć jej córeczce drogą do nieba.

Trafford wspiął się po schodkach na podest, z którego miał zstąpić w płomienie. Zmartwił, stwierdzając, że stos usypany został z książek. Nie miał wątpliwości, że pochodzą z jego ukochanej biblioteki.

Na podeście czekał już spowiednik Bailey. To on, jako spowiednik wspólnoty Trafforda, miał wezwać skazańca do pokajania się przed straceniem i wyrzeczenia heretyckich poglądów.

– Traffordzie Sewellu – zaintonował uroczyście do mikrofonu, wyraźnie celebrując swoje pięć minut w blasku jupiterów – przyznajesz się, że byłeś szczepicielem, czytelnikiem książek i wyznawcą tak zwanej nauki zwolenników ewolucji?

– Przyznaję – powiedział głośno i wyraźnie Trafford. – I jestem z tego dumny!

Ubawiony tłum zawył. Z wyżyn podestu Trafford zauważył, że przez ciżbę, z wykrzywionymi szpetnie twarzami, przepychają się rozsierdzone Księżniczka Piczka i Tinkerbelcia.

– Czy żałujesz swoich grzechów?! – zawołał spowiednik Bailey. – Czy jesteś gotów przyznać, że szczepienie nie ma nic wspólnego z nauką i że człowiek nie jest produktem ewolucji, lecz został stworzony w ciągu jednego dnia przez Boga?

– Nie. Nigdy tego nie przyznam.

– A więc spłoniesz żywcem.

– Wiara, która ucieka się do takich metod, jest nic niewarta.

– W ogień z nim!

Trafford sam dotąd nie wiedział, że ma w sobie tyle odwa-

gi, by raczej umrzeć niż się pokajać, dopiero teraz przyszło mu się o tym przekonać. Przywiązywany do pała, spojrzął z góry na gapiów. Mikrofon miał prawie pod nosem, żeby lepiej było słyszeć jego krzyk cierpienia.

– Wiecznotrwała Miłości! – zawołał nagle. – Daruj nam nasze winy! Dar win! Dar win! Dar win!

Tłum na moment ucichł, wszyscy chcieli usłyszeć ostatnie bluźnierstwo tego heretyka.

– Nie dajcie się prowadzić w mroki ignorancji! – krzyknął Trafford. – Obejrzyjcie się za siebie i szukajcie tam oświecenia. Dar win, powiadam wam! Złączcie te sylaby w jedno słowo – „Darwin!”. To klucz.

I w momencie, kiedy do stosu zbliżał się zakapturzony kat z zapaloną pochodnią, Trafford dostrzegł w tłumie machającą rękę. Wytężył wzrok, spodziewając się ujrzeć jakąś znajomą twarz, ale mężczyzna, który patrzył mu prosto w oczy, był zupełnie obcy. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, tamten wskazał swoją kamizelkę. Widniały na niej sylaby: „Dar win”.

Mężczyzna skinął znacząco głową.

Rozglądając się, Trafford zatrzymał wzrok na dziewczynie siedzącej na ramionach swojego chłopaka. Trzymała nad głową transparent z napisem: „Dar win”. Wpatrzona w Trafforda nieruchomym wzrokiem nie krzyczała z innymi, jej chłopak też tylko patrzył.

Sandra Dee złapała jednak przynętę i zajrzała do jego wyznania miłości! Nie wiadomo, z jakiego powodu – może z czystej ciekawości, może z sentymentu, może w końcu ze zwykłego obowiązku – otworzyła na stat-rozowski komputerze Trafforda plik zatytułowany „Wiecz Miś”. Przechytrzył ją więc i nakłonił podstępem do wygenerowania potopu e-maili o wywrotowej treści. Pierwsza elektroniczna przesyłka Humanistów dotarła do milionów ludzi.

Stos już się zajął. Ale kiedy płomienie z palących się książ-

żek zaczynały lizać mu stopy, Trafford po raz ostatni się uśmiechnął. Teraz był już pewien, że nadejdzie dzień, w którym Świątynia zostanie pokonana. Dyktował to rozum. Rozum i teoria ewolucji. Bo żaden system oparty na strachu i niewiedzy nie ma szans na przetrwanie. Żadne społeczeństwo, które niczego nie wynalazło, nie podjęło żadnego wyzwania, nie wykazuje zainteresowania zupełnie niczym, wprost przeciwnie, tłamsi indywidualną ciekawość i przedsiębiorczość, nie ma przed sobą perspektyw. Trafford był przekonany, że naturalna selekcja ocali świat, tak jak zdarzało się to już dawniej, gdy inni tyrani próbowali zgasić ludzkiego ducha, i że nadejdzie taki czas, że po spowiednikach Świątyni pozostanie tylko wspomnienie.